



BESTSELLEROWA SERIA Z TOP 10 „NEW YORK TIMESA”
W USA sprzedano 2 000 000 egzemplarzy, w Niemczech – 500 000

W objęciach północy

LARA
ADRIAN



Adrian Lara

Rasa Środka Nocy 09

W objęciach północy

Pchany żądzą zemsty wampir-wojownik i kobieta obdarzona nadzwyczajnym darem muszą wybierać pomiędzy mrocznym obowiązkiem a pragnieniem poddania się nieśmiertelnej rozkoszy

Piękna osiemnastoletnia Corinne wiodła beztroskie życie otoczona miłością swoich przybranych rodziców, do chwili gdy wprowadził ją Dragos, okrutny władca nieśmiertelnych. Teraz uwolniona przez Zakon szlachetnych wampirów - wojowników, którzy toczą wojnę z Dragosem, Corinne musi odzyskać to, co dawało jej nadzieję przez lata niewoli.

Niebezpieczny złotooki Hunter był niegdyś jednym z zabójców Dragosa, lecz dziś jego jedynym celem jest zniszczenie dawnego pana. A jego nowym zadaniem - ochrona Corinne. Jej zielone oczy i jedwabista skóra rozpalają w kamiennym sercu Huntera płomień, lecz wkrótce będzie musiał zdecydować, jak daleko posunie się w walce z Dragosem - i czy poświęci dla niej Corinne...



Rozdział 1

Prywatny nocny klub był dobrze zakamuflowany z ważnych powodów. Znajdował się na końcu wąskiej, pokrytej szronem alejki w chińskiej dzielnicy Bostonu i obsługiwał ekskluzywną, choć zróżnicowaną klientelę. Jedyni ludzie, jakich tu wpuszczano, to młode, atrakcyjne kobiety - a także nieliczni równie atrakcyjni mężczyźni - których zadaniem było zaspokajanie wszelkich potrzeb prawdziwych klientów tego przybytku.

Trudno byłoby odgadnąć, co znajduje się za nieoznakowanymi metalowymi drzwiami, ukrytymi w mrocznym westybulu. Choć były grube i mocne, osłonięto je dodatkowo grubą metalową kratą. Przed wejściem, jak gargulec, tkwił potężny ochroniarz, ubrany w czarną skórę. Na czoło miał naciągniętą zrobioną na drutach czapkę.

Należał do Rasy, podobnie jak dwóch wojowników, którzy pojawili się właśnie w alejce. Na odgłos ciężkich wojskowych butów chrzęszczących na śniegu ochroniarz uniósł głowę. Miał gruby, bulwiasty nos i wąskie wargi, odsłaniające krzywe zęby i ostre czubki wampirycznych kłów. Zmrużył oczy, przyglądając się nieproszonym gościom. Sapnął, aż para z jego nozdrzy zakotłowała się w mroźnym grudniowym powietrzu.

Kiedy zbliżali się do wampira pilnującego wejścia, Hunter zarejestrował napięcie w ruchach swojego partnera. Sterling Harvard Chase był niespokojny od chwili, kiedy opuścili dziś wieczorem kwaterę Zakonu. Teraz szedł pierwszy, agresywnym,

kołyszącym się krokiem, co chwila zaciskając palce na rękojeści półautomatycznego pistoletu dużego kalibru w kaburze przy pasie.

Ochroniarz zrobił krok do przodu, zastępując im drogę. Rozkraczył potężne uda i opuścił głowę. Jego poza wskazywała, że jest gotowy do walki. Oczy, które przed chwilą mrużył, by rozpoznać ich z daleka, na widok Chase'a zrobiły się okrągłe i zimne jak lód.

- Chyba ci nieźle odwaliło. Czego, do diabła, szukasz na terenie Agencji, wojownika?

- Taggart, proszę, proszę - powiedział, a właściwie zawarczał Chase. - Jak widzę, od czasu mojego odejścia z Agencji twoja kariera nadal rozwija się obiecująco. Zrobili z ciebie odźwiernego przed klubem dla spragnionych? I co masz dalej na oku? Będiesz ochroniarzem w supermarkecie?

Agent wydał usta i zaklął pod nosem.

- Musisz mieć zaćmienie mózgu, żeby nam się pokazywać na oczy, szczególnie tutaj.

Chase zaśmiał się ponuro.

- Popatrz czasami w lustro, a wtedy pogadamy, kto nie powinien pokazywać się publicznie.

- Do tego klubu mają wstęp tylko pracownicy Agencji Bezpieczeństwa Rasy - oświadczył ochroniarz, krzyżując ramiona na szerokiej piersi. Przecinał ją szeroki pas od kabury pistoletu. Drugi pistolet miał zatknięty w spodnie. - Zakon nie ma tu czego szukać.

- Tak? - parsknął Chase. - Powiedz to Lucanowi Thor-ne'owi. Dobierze się do twojego tyłka, jeśli nam nie zejdziesz z drogi. O ile my dwaj ci go zaraz nie skopiemy, bo znudziło nam się już sterczenie na mrozie.

Na wzmiankę o Lucanie, przywódcy Zakonu i jednym z najdłużej żyjących i najbardziej imponujących starszych Rasy, agent Taggart zacisnął usta. Jego niespokojne spojrzenie wędrowało teraz od Chase'a do Huntera, który stał w milczeniu za swoim partnerem. Hunter nie miał nic do Taggarta, ale już zdążył obmyślić pięć różnych sposobów obezwładnienia go - a właściwie zadania mu szybkiej śmierci - jeśli będzie trzeba.

Do tego został wyszkolony. Spłodzono go i wychowano na bezlitosną broń, był tworem chorego umysłu głównego wroga Zakonu. Od zawsze przywykł patrzeć na świat w sposób logiczny i pozbawiony emocji.

Nie służył już złoczyńcy o imieniu Dragos, ale nadal jego umiejętności zabójcy determinowały to, kim i czym był. A był śmiertelnie niebezpieczny - i nie do pokonania dla zwykłego wampira. Kiedy przelotnie spojrzął w oczy Taggarta, dostrzegł, że tamten to pojmuje.

Agent zamrugnął szybko, a potem cofnął się, schodząc z drogi Hunterowi i pozwalając im wejść do klubu.

- Tak sądziłem, że po prostu wolno myślisz - stwierdził Chase i, otworzywszy stalową kratę, razem z Hunterem wszedł do przybytku rozpusty utrzymywanego przez Agencję.

Drzwi okazały się dźwiękoszczelne. W mrocznym klubie ich zmysły zaatakowała dudniąca muzyka, której towarzyszyło migotanie kolorowych, obracających się świateł nad umieszczonym pośrodku sali lustrzanym parkietem. Tańczyła na nim trójka półnagich ludzi - wyginali się zmysłowo przed publicznością złożoną z napalonych wampirów, siedzących przy stolikach.

Hunter przyglądał się przez chwilę, jak długowłosa blondynka, tańcząca w środku, owija się wokół rury biegnącej od parkietu do sufitu. Kołysząc biodrami, uniosła ogromną, nienaturalnie okrągłą pierś i zaczęła ją lizać. Kiedy bawiła się przekłutym sutkiem, pozostała dwójka, wytatuowana kobieta o rudych, sterczących włosach i ciemnooki młodzieniec, który ledwie się mieścił w czerwonych winylowych stringach, rozeszli się na boki sceny i zaczęli solowe popisy.

W klubie śmierdziało zwietrzałymi perfumami i potem, ale nawet ten odór nie był w stanie zamaskować zapachu świeżej

ludzkiej krwi. Hunter stwierdził, że dobiega on z boksu w kącie, gdzie wampir ubrany w ciemny garnitur i białą koszulę, przepisowy strój agentów, pożywiał się żarłocznie na nagiej, jęczącej kobiecie, którą trzymał na kolanach. Nie był jedynym wampirem, który korzystał tu z usług karmicieli, choć niektórzy wydawali się bardziej zainteresowani zaspokojeniem innych potrzeb.

Stojący obok Huntera Chase znieruchomiał jak kamień, a z jego gardła dobył się głęboki pomruk. Hunterowi wystarczyło jedno chłodne spojrzenie na wnętrze klubu, natomiast Chase był wyraźnie poruszony, jego wzrok pałał, jak u wszystkich zebranych tu członków Rasy. Może nawet silniej.

Huntera dużo bardziej interesowali ci, którzy ich obserwowali. Każde pałające spojrzenie, jakie na sobie czuł, mówiło, że bardzo szybko może się tu zrobić gorąco.

Nagle jeden z wampirów, rozciągnięty wygodnie na kanapie, podniósł się i ruszył ku nim. Był wielki, podobnie jak jego dwaj towarzysze, którzy przyłączyli się po drodze. Cała trójka była uzbrojona, broń ukrywali pod dobrze skrojonymi, ciemnymi garniturami.

- Proszę, proszę. Patrzcie tylko, kogo tu przywlokło - zakpił agent, który szedł przodem. W jego powolnym głosie i delikatnych rysach twarzy wyczuwało się cień amerykańskiego Południa. - Tyle lat przeszłużyłeś w Agencji, ale nigdy nie przychodziłeś do klubu.

Chase wykrzywił wargi, ledwie kryjące wysunięte kły.

- Wyraźnie jesteś rozczarowany, Murdock. Ten szajs nigdy mi nie pasował.

- Właśnie, zawsze uważałeś, że jesteś ponad to - odparł wampir, a jego głos był równie fałszywy jak jego uśmiech. - Taki ostrożny. Taki zdyscyplinowany, nawet jeśli chodzi o apetyt. Ale wszystko się zmienia. Ludzie się zmieniają, prawda, Chase? Jeśli zobaczysz tu coś, co ci się spodoba, szepnij mi słówko. Za dawne dobre czasy, co nie?

- Przyszliśmy po informacje dotyczące agenta o nazwisku Freyne - wtrącił się Hunter, gdy Chase nie odpowiedział. - Kiedy je otrzymamy, wyjdziemy.

- Czyżby? - Murdock przyjrzał mu się, przechylając z zaciekawieniem głowę. Hunter zauważył, że wzrok agenta powędrował dyskretnie na

dermaglify, widoczne po bokach jego szyi. Ich widok wystarczył, by Murdock zorientował się, że Hunter należy do Pierwszego Pokolenia i jest wśród Rasy prawdziwym unikatem.

Hunter był dużo młodszy od innych wojowników z Pierwszego Pokolenia, Lucana i Tegana, jednakże jego ojcem też był jeden z Prastarych, twórców Rasy, i miał w żyłach równie czystą krew. Podobnie jak wszyscy członkowie tej ekskluzywnej grupy, miał siłę i moc dziesięciu wampirów z późniejszych pokoleń. Natomiast fakt, że wychowano go na członka osobistej armii zabójców Dragosa - o czym wiedzieli tylko członkowie Zakonu - powodował, że był dużo niebezpieczniejszy niż Murdock i pozostali agenci w klubie razem wzięci.

Chase wyraźnie już się pozbierał.

- Co możesz nam powiedzieć o tym Freynie? Murdock wzruszył ramionami.

- Nie żyje. No ale o tym pewnie wiecie. Freyne i jego zespół zginęli w zeszłym tygodniu podczas misji. Mieli odbić chłopaka porwanego z Mrocznej Przystani. - Powoli pokręcił głową. - Wielka szkoda. Agencja straciła kilku dobrych wojowników, a wynik misji nie był satysfakcjonujący.

- Nie był satysfakcjonujący - parsknął Chase. - Cóż, można tak to ująć. Z tego co wiemy, misja odbicia Kellana Archera zamieniła się w krwawą jatkę. Chłopak, jego ojciec i dziadek, i cała reszta rodziny Archerów zginęli jednej nocy.

Hunter milczał, pozwalając Chase'owi zarzucić przynętę. Większość tego, co powiedział, była prawdą. Doszło do masakry, zginęło wiele osób, głównie z rodziny Archerów.

Ale wbrew twierdzeniu Chase'a, ktoś jednak ocalał. A konkretnie dwie osoby. Obie zostały dyskretnie usunięte z miejsca zdarzenia i obecnie przebywały bezpiecznie pod opieką Zakonu w jego prywatnej kwaterze.

- Nie twierdzę, że nie mogła skończyć się lepiej i dla agentów, i dla cywilów, którzy stracili życie. Ale błędy, choć godne pożałowania, jednak się zdarzają. Niestety raczej nigdy się nie dowiemy, kto był winien tej tragedii.

Chase zaśmiał się cicho.

- Nie bądź tego taki pewien. Wiem, że przyjaźniłeś się z Freyne'em. Do diabła, wiem, że połowa obecnych tu dzisiaj wymieniała z nim regularnie przysługi. Freyne to był dupek, ale potrafił zwęszyć okazję, tyle że miał niewyparzoną gębę. Jeśli był zamieszany w porwanie Kellana Archera albo zamach na Mroczną Przystań Archerów... Dla ułatwienia założmy, że był, jestem tego w zasadzie pewien. Wówczas są duże szanse, że komuś o tym powiedział. Mogę się założyć, że wygadał się przynajmniej przed jednym z głupków przesiadujących w tej norze.

W miarę jak Chase mówił, na twarzy Murdocka pojawiała się coraz większe napięcie, a jego oczy zaczęły się przemieniać: ciemne tęczęwki rzucały ostrzegawcze bursztynowe błyski. Tymczasem Chase mówił coraz głośniej, żeby słyszeli go zebrani.

Teraz już połowa obecnych patrzyła w ich stronę. Kilka wampirów wstało, odpychając brutalnie na bok ludzkie kar-micielki i naćpane tancerki. W kierunku Chase'a i Huntera ruszyła grupa oburzonych agentów.

Chase nie czekał, aż zaatakują.

Z głośnym warkotem skoczył na nich. Nagle zakotłowało się od pięści zadających ciosy i wyszczerzonych kłów.

Hunter nie miał wyjścia, też musiał wziąć udział w bójce. Nie spuszczał ani na chwilę oka ze swojego partnera, zamierzał go stąd wyciągnąć w jednym kawałku. Bez wysiłku odrzucał od siebie napastników, coraz bardziej zaniepokojony zajadłością,

z jaką walczył Chase. Jego twarz była spięta i dzika, na ślepo zadawał cios za ciosem. Jego kły tak urosły, że nie mieściły się w ustach. Oczy płonęły mu jak węgle.

- Chase! - krzyknął Hunter i zaklął, gdy w powietrze wzbiła się fontanna wampirycznej krwi, jego partnera albo innego wampira, nie był pewien.

Nie miał okazji tego sprawdzić.

Jego uwagę zwróciło nagle poruszenie po drugiej stronie klubu. Spojrzał w tamtą stronę i natrafił na wzrok Murdocka, który stał, przyciskając do ucha komórkę.

Kiedy ich oczy spotkały się ponad walczącym tłumem, na twarzy agenta odmalowała się panika. To, że był zamieszany w wydarzenia związane z Archerami, miał wypisane na poblądłej twarzy, mówiły o tym zaciśnięte usta i kropelki potu na czole, połyskujące w obracających się nad pustym parkietem światłach. Powiedział coś szybko do telefonu i ruszył na tyły klubu.

W ułamku sekundy, jaki zajęło Hunterowi odrzucenie na bok szarżującego agenta, Murdock zniknął mu z oczu.

- To sukinsyn. - Hunter przemknął skrajem walczących. Musiał opuścić Chase'a, jeśli miał ruszyć jedynym tropem, na jaki mieli szansę tu dziś natrafić.

Ruszył biegiem, ufając, że właściwa Pierwszemu Pokoleniu szybkość pozwoli mu dogonić Murdocka, który zniknął już za drzwiami. Kiedy wypadł na zewnątrz, zwierzyny nigdzie nie było widać, ale zimny wiatr przyniósł mu z sąsiedniej uliczki echo uciekających kroków.

Hunter ruszył w tamtą stronę. Zakreślił za róg, akurat kiedy wielki czarny sedan zatrzymał się z piskiem opon przy krawężniku. Ktoś siedzący wewnątrz otworzył tylne drzwiczki. Murdock wskoczył do środka, zatrasnął za sobą drzwi, a samochód ryknął silnikiem, gotując się do odjazdu.

Biegł już w tamtą stronę, kiedy auto ruszyło z piskiem opon, po czym wystrzeliło z uliczki i znikło w ciemnościach.

Hunter nie tracił ani chwili. Jednym susem znalazł się przy ścianie najbliższego budynku, chwycił zardzewiałą drabinkę schodów pożarowych i praktycznie wskoczył za jej pomocą na dach. Ruszył biegiem, przeskakiwał z budynku na budynek i cały czas obserwował uciekający samochód.

Kiedy sedan skręcił w ciemną pustą ulicę, Hunter wyskoczył w powietrze i wylądował ciężko na dachu wozu. Zarejestrował ból po upadku, ale mu to w niczym nie przeszkodziło. Przytrzymał się, gdy kierowca zaczął jechać zygzakiem, próbując go zrzucić.

Samochód hamował, przyspieszał i skręcał, ale Hunter leżał pewnie na dachu, trzymając się jedną ręką skraju przedniej szyby. Drugą sięgnął za siebie i wyciągnął z kabury na plecach pistolet. Kierowca znów skręcił gwałtownie, o włos unikając uderzenia w zaparkowaną ciężarówkę.

Ściskając w ręku półautomatyczny pistolet, Hunter podciągnął się do przodu i zeskoczył na maskę jadącego sedana. Leżąc płasko na brzuchu, wycelował w kierowcę, zdecydowany rozwalić mu głowę, dorwać Murdocka i wydusić z niego wszystkie sekrety.

Czas nagle zwolnił, a Hunter przeżył chwilę - a właściwie ułamek sekundy - zaskoczenia.

Kierowca miał na szyi grubą czarną obrozę. Jego głowa była ogolona na łyso, a skórę na czaszce pokrywał skomplikowany wzór dermaglifów.

To był jeden z armii zabójców Dragosa. Łowca, tak jak on.

Wampir z Pierwszego Pokolenia, urodzony i wychowany, by zabijać. Tak jak on.

Zaskoczenie Huntera minęło równie szybko, jak się pojawiło. Zamierzał usunąć tego wroga. Przysiągł to Zakonowi, kiedy wstępował w jego szeregi - to było jego osobiste ślubowanie, zabić wszystkich wyhodowanych przez Dragosa łowców.

Ponownie naprowadził lufę beretty na głowę zabójcy i już zaczął naciskać spust, kiedy poczuł, że samochód wysuwa się spod niego. Kierowca z całej siły wdepnął hamulec.

Rozległ się pisk opon, wóz zatrzymał się niemal w miejscu.

Ciało Huntera popłynęło w powietrzu i wylądowało kilkanaście metrów dalej, na zimnym chodniku. Przekoziółkował i poderwał się na nogi, jakby nic nie zaszło, strzelając raz za razem w stojące nieruchomo auto.

Murdock wymknął się z tylnego siedzenia i uciekł w mrok bocznej ulicy, ale Hunter nie miał czasu teraz się nim zająć, gdyż zabójca również wysiadł, celując do niego z pistoletu o dużym kalibrze. Przez chwilę trwali nieruchomo, z bronią podniesioną do strzału, a w oczach zabójcy malowała się taka sama pozbawiona uczuć determinacja jak w oczach Huntera.

Strzelili równocześnie.

Jednym płynnym, dobrze obliczonym ruchem Hunter zszedł z linii strzału. Wiedział, że jego przeciwnik zrobił to samo. Znów rozległy się strzały, prawdziwy grad kul, gdy obaj opróżnili magazynki. Żaden z nich nie trafił.

Ich siły były zbyt wyrównane, przeszli takie samo szkolenie. Obu trudno było zabić, obaj gotowi byli walczyć do ostatniego tchu.

Równocześnie pozbyli się bezużytecznej już teraz broni i rzucili na siebie.

Hunter osłonił się przed szybkimi ciosami przeciwnika. Zabójca omal nie kopnął go w szczękę, ale Hunter zdążył cofnąć głowę. Kiedy przeciwnik spróbował kopnąć w krocze, Hunter chwycił napastnika za nogę i gwałtownie przekręcił.

Zabójca bez trudu odzyskał równowagę. Nie przestawał atakować. Hunter złapał go za pięść, miażdżąc kości, po czym wykorzystując swoje ciało jak dźwignię, wykręcił rękę przeciwnika i złamał ją w łokciu. Rozległ się głośny trzask, jednak zabójca tylko sapnął - była to jedyna wskazówka, że poczuł ból. Złamana ręka zwisała bezużytecznie, kiedy odwrócił się, by

znów zaatakować. Trafił Huntera pięścią w twarz, uszkadzając mu prawy łuk brwiowy tak mocno, że przez chwilę Hunter widział tylko gwiazdy. Natychmiast otrząsnął się, w samą porę, by odeprzeć kolejny atak - równocześnie pięścią i nogą.

Walka trwała, obaj przeciwnicy dyszeli ciężko, obaj krwawili. Wiadomo było, że żaden nie poprosi o litość, bez względu na to, jak długie i krwawe będą ich zmagania.

Nie wiedzieli, co to litość ani współczucie. Podobne uczucia wybito im z głowy, gdy byli jeszcze chłopcami.

Jedyną rzeczą gorszą od litości czy współczucia była klęska. Kiedy Hunter chwycił przeciwnika za złamaną rękę i powalił na ziemię, przyciskając mu tułów kolanem, ujrzał, jak w zimnych oczach zabójcy pojawia się mroczny cień zrozumienia, że jego klęska jest nieuchronna.

Przegrał swoją walkę.

Wiedział o tym, podobnie jak Hunter, który sięgnął wolną ręką po jeden z wyrzuconych pistoletów, leżących na chodniku. Chwycił go za lufę i używając rękojeści jak młotka, uderzył w czarną obrożę na szyi powalonego przeciwnika.

Jeszcze raz, mocniej. Tym razem wgiął metal obudowy, pod którą kryło się diabelskie urządzenie opracowane przez Dragosa i jego zaufanych tylko w jednym celu: aby zapewnić sobie lojalność i posłuszeństwo zabójczej armii wampirów.

Hunter usłyszał ciche brzęczenie, zwiastun nadchodzącej eksplozji. Zabójca od Dragosa wyciągnął rękę, jakby chciał się osłonić.

Hunter odcoczył się na bok. W samą porę, gdyż z obroży trysnęły promienie ultrafioletu.

Rozbłysk zaraz zniknął, ale promieniowanie zdążyło odciąć głowę zabójcy.

Kiedy ulica znów pogrążyła się w ciemnościach, Hunter popatrzył na dymiące zwłoki przeciwnika, którego sam tak bardzo przypominał. To był jego brat, choć wśród armii Dragosa brakowało braterskich uczuć.

Hunter nie czuł wyrzutów sumienia z powodu śmierci tego wampira, jedynie lekką satysfakcję, że oto armia Dragosa utraciła kolejnego wojownika.

Nie spocznie, póki nie zlikwiduje ich wszystkich.

Rozdział 2

Jako założyciel i przywódca Zakonu - a przede wszystkim jako członek Pierwszego Pokolenia - wampir liczący sobie ponad dziewięćset lat, Lucan Thorne, nie przywykł, by ktokolwiek robił mu wyrzuty.

A jednak słuchał cierpliwie i w milczeniu relacji Mathiasa Rowana, wysokiego rangą agenta, o tym, co zaszło dwie godziny temu w jednym z prywatnych klubów Agencji w Chinatown Tym samym, gdzie wysłał na patrol dwóch swoich wojowników, Chase'a i Huntera. Jakoś zupełnie nie zdziwiła go informacja, że sprawy wymknęły się spod kontroli, wywiązała się bójka, a Chase brał w niej aktywny udział. Od początku do końca, jak twierdził Rowan. W normalnych okolicznościach ani Lucan osobiście, ani Zakon jako całość nie przejęliby się psioczeniem Agencji Bezpieczeństwa Rasy. Od zawsze te dwie instytucje działały po swojemu i przestrzegały własnych praw. Podstawą założonego przez Lucana Zakonu były działanie i sprawiedliwość. Credo Agencji zagubiło się już dawno w odmętach polityki i pogoni za władzą.

Nie oznaczało to jednak, że w jej szeregach nie było dobrych i godnych zaufania członków - takich jak Mathias Rowan czy Sterling Chase. Niewiele ponad rok temu Chase

należał do elity Agencji, był dobrze urodzonym, dobrze ustosunkowanym i dobrze wychowanym złotym chłopcem, przed którym otwierała się wielka kariera. A teraz?

Lucan zacisnął usta, spacerując po salonie apartamentu który dzielił ze swą ukochaną, dawczynią życia, Gabrielle' Chase bez wątpienia był dla Zakonu cennym nabytkiem kiedy postanowił zmienić wykrochmalone białe koszule i grzeczne garnitury Agencji na czarny strój bojowy wojownika. Był bezwzględnie lojalny wobec Zakonu oraz jego misji. Szybko nauczył się zasad obowiązujących na patrolach i niejednemu wojownikowi ocalił skórę w ogniu walki.

Ale Lucan nie mógł zaprzeczyć, że w ostatnich miesiącach Chase stapał po bardzo cienkim lodzie. Czasami zupełnie tracił z oczu cel misji. Słuchając relacji Mathiasa Rowana o tym co zdarzyło się w klubie, Lucan czuł narastający gniew.

- Mam tu raport, według którego trzech agentów zostało ciężko pobitych, a jeden wygląda, jakby wpadł do szatkowni-cy - mówił Rowan.
- Nie licząc lżej rannych ani tych, którzy się jeszcze nie zgłosili. Wszyscy jak jeden mąż twierdzą, że twoi wojownicy szukali zaczepki. Szczególnie Chase.

Lucan zaklął cicho. Miał złe przeczucia, wysyłając dziś Chase'a na patrol do Chinatown. Dlatego poprosił Huntera -najbardziej opanowanego z wojowników - żeby z nim pojechał. Fakt, że ani jeden, ani drugi jeszcze się nie zameldowali wcale nie polepszył mu humoru.

- Słuchaj - powiedział Rowan, po czym westchnął, wyraźnie znękany.
- Uważam Chase'a za przyjaciela. To z jego powodu zgodziłem się wam pomóc, być oczami i uszami Zakonu w Agencji. Nie wiem, co się z nim ostatnio dzieje, ale dla jego dobra... może dla dobra wszystkich powinien przemyśleć parę spraw. Nie zamierzam cię pouczać, jak powinienś prowadzić swoje operacje, Lucanie, ale...

- Wiem - przerwał mu Lucan. - Masz rację.

Na chwilę w słuchawce zapadła cisza. Lucan poczuł ruch powietrza i podniósł wzrok. Do pokoju weszła Gabrielle.

Mruknął coś niewyraźnie i zawiesił rozmowę, po prostu po to, żeby móc spokojnie popatrzeć, jak porusza się jego piękna partnerka. Wyniosła z biblioteki tacę i w milczeniu poszła do kuchni. Na tacy stały nakrycia dla dwóch osób: dla niej i kobiety, która przybyła do kwatery kilka godzin wcześniej. Tylko jedna z cieniutkich filiżanek była używana. Tylko z jednego porcelanowego talerzyka znikły maleńkie czekoladowe ciasteczko i inne słodkości.

Lucan nie musiał zgadywać, do której z kobiet należało to nakrycie. Odrobina sproszkowanej czekolady pozostawiła smugę na zmysłowych ustach jego rudowłosej partnerki. Oblizwał wargi, jak zwykle stęskniony za smakiem Gabrielle. Gdyby nie niepokojąca sytuacja oraz problem, jaki czekał na niego w drugim pokoju, zapewne porzuciłby wszystko i zaciągnął swoją kobietę do łóżka.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie, wskazujące, że wie dobrze, o czym on myśli. Jasna sprawa, miał to przecież wypisane na twarzy. Czuł na języku ostre czubki wysuwających się kłów i wzrok mu się wyostrzył, jego oczy nie były w tej chwili szare, ale rzucały bursztynowy blask - namiętność ujawniała jego wampiryczną naturę w taki sam sposób jak głód krwi.

Na usta Gabrielle wypłynął uśmiech. Podeszła do niego, jej wielkie brązowe oczy spoglądały łagodnie. Pogładziła go czule po napiętej skórze policzka. Jak zwykle jej dotyk go uspokoił, a dźwięk, jaki dobył się z jego piersi, przypominał bardziej mruczenie niż warkot.

Kiedy wplotła palce w jego ciemne włosy, Lucan odsunął od ucha telefon i pochylił głowę ku jej ustom. Przesunął wargami po jej wargach, zlizując delikatnie językiem smugę czekolady, która nadała smak ich pocałunkowi.

- Przepyszna - szepnął, widząc, jak głodny blask jego oczu odbija się w głębinach jej tęczywek.

Gabrielle objęła go, ale zmarszczyła niespokojnie brwi. - Czy wszystko w porządku z Chase'em i Hunterem? - spytała cicho.

Kiwnął głową i pocałował ją w czoło. Dziwnie się czuł, ukrywając przed nią niepokój. Od półtora roku, odkąd związał się krwią z Gabrielle, dzielili się wszystkim. Ufał jej bardziej niż komukolwiek przez całe swoje długie życie.

Była jego kobietą, jego partnerką, jego ukochaną. Była jego najcenniejszym sojusznikiem i zasługiwała na to, by wiedzieć, co on czuje. Czego obawia się w głębi duszy jako przywódca Zakonu oraz opiekun kwatery, która ostatnimi czasy bardziej przypominała Mroczną Przystań niż centrum strategiczne misji Zakonu.

Każdy z wojowników codziennie toczył walkę z własnymi demonami. Koleje losu Zakonu różnie się układały, miał na swoim koncie straty i triumfy - natomiast liczba mieszkańców kwatery niemal się podwoiła, i to w ciągu niecałych dwóch lat. Kilku członków Zakonu zakochało się i związało ze swoimi partnerkami.

Pozostawał jeden niepokojący fakt.

Jak dotąd nie zdołali powstrzymać Dragosa oraz jego szaleńczych planów.

Dragos nadal żył, nadal był zdolny siać zniszczenie i zabijać, czego dowiódł w zeszłym tygodniu, porywając z Mrocznej Przystani wpływowej rodziny młodego chłopca, a potem niszcząc samą Przystań, ze wszystkimi, którzy byli w środku. Tę porażkę Lucan przyjął bardzo osobiście.

Wydarzyła się zdecydowanie za blisko domu.

Ale nie mógł podzielić się tym z Gabrielle. Jeszcze nie teraz. Nie chciał, żeby czuła strach, który go prześladował. Starał się dźwigać samotnie jak najwięcej ciężarów. I będzie to robił, póki nie zdobędzie wszystkich odpowiedzi, póki nie przygotuje wszystkich planów.

- Nie martw się, kochana. Wszystko jest pod kontrolą. - Znów pocałował ją czule, tym razem w czoło. - A tobie jak idzie?

Gabrielle lekko wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

- Niewiele mówi, ale nic w tym dziwnego, po takich przeżyciach. Chce tylko wrócić do domu, do rodziny. To też jest zrozumiałe.

Lucan chrząknął, całkowicie się z nią zgadzając. Niczego bardziej nie pragnął, niż odesłać do domu tego gościa. Choć współczuł jej bardzo, ostatnie, czego teraz potrzebował, to kolejny cywil w kwaterze.

- Zapewne jej eskorta jeszcze się nie odezwała?

- W ciągu ostatniej godziny nie. Brock obiecał, że on albo Jenna zadzwonią, jeśli tylko pogoda w Fairbanks uspokoi się na tyle, żeby mogli wracać.

Lucan zaklął.

- Nawet gdyby zamieć skończyła się w tej chwili, mają przed sobą cały dzień podróży. Zlecę to komu innemu. Może należałoby wysłać z nią Chase'a? Po tym, co dziś wywinął, to chyba jedyne wyjście, żeby nie zamordował go gołymi rękami.

Gabrielle czujnie zmrużyła oczy.

- W żadnym razie nie odeślesz tej biednej kobiety do Detroit w towarzystwie Chase'a. Mowy nie ma, Lucanie. Prędzej sama ją tam zawiozę.

Nie mówił zupełnie serio, ale i nie zamierzał się spierać. Szczególnie kiedy w taki sposób zadzierała podbródek, dając do zrozumienia, że nie cofnie się ani o krok.

- Dobra, zapomnij, że to powiedziałem. Wygrałaś. - Przyciągnął ją do siebie jedną ręką, a drugą przesunął po łuku jej pupy. - Jak to się dzieje, że zawsze wygrywasz?

- Ponieważ wiesz, że mam rację - odparła, przysuwając się do niego bliżej i stając na palcach, żeby go pocałować. -

I ponieważ... przyznaj się, wampirze, nie chciałbyś, żebym była inna.

Uniosła jedną brew i przygryzła jego dolną wargę, a potem, nim zdążył zareagować, wysliznęła się z jego ramion. Choć oczywiście pewna część jego ciała zdążyła zareagować. Gabrielle uśmiechnęła się, doskonale świadoma, co mu zrobiła, obróciła się na pięcie i ruszyła do biblioteki zająć się wreszcie ich gościem.

Lucan zebrał myśli. Odchrząknął, przywrócił połączenie z Rowanem i przysunął telefon do ucha. Kazał agentowi czekać już zbyt długo.

- Mathiasie, chcę, żebyś wiedział, że Zakon docenia twoją pomoc - oznajmił. - Jeśli chodzi o to, co zaszło dziś w klubie, zapewniam cię, że nie takie były moje intencje. Rozumiem, że jako dyrektora regionalnego Agencji stawia to cię w niewygodnej sytuacji.

Na wyraźniejsze przeprosiny nie mógł się zdobyć. Niepisane zasady współzycia Agencji z wojownikami Lucana zabraniały wkraczać na cudze podwórko, ale ostatnimi czasy okoliczności się zmieniły.

I to drastycznie.

- Nie martwię się o siebie - powiedział Rowan. - I nie żałuję, że wam pomagałem. Chcę, żebyście powstrzymali Dragosa. To najważniejsze. Nawet jeśli narobię sobie wrogów w Agencji.

Lucan chrząknął, pełen uznania dla jego postawy.

- Dobry z ciebie człowiek, Mathiasie.

- Po tym wszystkim, co ten drań zrobił, szczególnie po wydarzeniach z zeszłego tygodnia, chcę go powstrzymać równie mocno jak ty i twoi wojownicy - oświadczył Rowan z mocą. Lucan doskonale go rozumiał. - Nie zaskakuje mnie korupcja w szeregach Agencji, szczególnie zdrada takiego neandertalczyka jak Freyne. Żałuję tylko, że nie zorientowałem się wcześniej, przed akcją odbicia Kellana Archera.

- Nie tylko ty tego żałujesz - stwierdził Lucan ponuro. Wysłał na tę misję kilku swoich wojowników, żeby pomóc Agencji odbić chłopca z

rak porywaczy: trzech zabójców Dragosa, i sprowadzić go bezpiecznie do domu. Główny cel akcji został osiągnięty, ale straty okazały się poważne, a wraz z nimi pojawiło się wiele niepokojących pytań.

- Jak chłopak? - spytał Rowan.

- Nadal dochodzi do siebie w naszym ambulatorium. -Obrażenia fizyczne młodego Archera były poważne, ale Lucan obawiał się najbardziej o jego psychikę.

- A jego dziadek?

Lucan przez chwilę milczał. Lazaro Archer był jednym z nielicznych żyjących jeszcze członków Pierwszego Pokolenia Rasy, i to bardzo starym. Miał prawie tysiąc lat, prowadził uczciwe'i spokojne życie, a kilka ostatnich wieków spędził w Nowej Anglii, gdzie był opiekunem Mrocznej Przystani. Wychował silnych synów, a oni dochowali się własnych synów - Lucan nie miał pojęcia, ile dzieci miał Lazaro ze swoją dawczynią życia.

Teraz to już bez znaczenia.

Tego jednego tragicznego wieczoru zginęły partnerka Lazara i cała jego mieszkająca w bostońskiej Mrocznej Przystani rodzina. Jego syn i ojciec Kellana, Christophe, został zamordowany przez agenta Freyne'a, zdrajcę, który brał udział w akcji odbijania chłopca. Lazaro i Kellan byli jedynymi ocalałymi członkami rodu Archerów, choć o ich ocaleniu nikt jeszcze nie wiedział.

- Chłopiec i jego dziadek mają się tak dobrze, jak można się spodziewać w tych okolicznościach - odezwał się Lucan. -Póki nie stwierdzą, dlaczego stali się celem Dragosa, pozostaną w naszej kwaterze.

- Oczywiście - odparł Rowan. Zamilkł na chwilę, a potem odetchnął cicho. - Znając Chase'a, jestem pewien, że obwinia się o to, co zaszło podczas misji.

Lucan poczuł, jak brwi zjeżdżają mu się nad nosem na wspomnienie kolejnej wpadki Chase'a.

- Pozwól, że sam będę się martwił o swoich podkomendnych. Ty pilnuj swoich.

- Oczywiście - odparł agent spokojnie. - Spróbuję zatuszować zajście w klubie. Jeśli pojawi się tymczasem coś interesującego na temat Freyne'a czy jego powiązań z Dragosem, na pewno cię zawiadomię.

Lucan podziękował. Gdyby pozycja Rowana w Agencji nie była tak mocna, mógłby zostać świetnym wojownikiem. Wojna z Dragosem miała trudny przebieg, Zakonowi na pewno przydałyby się dodatkowa para rąk i spokojna głowa.

Tym bardziej że nie mogli już polegać na jednym ze swych towarzyszy.

Kiedy to pomyślał, zacisnął zęby. W tej samej chwili zadzwonił telefon wewnętrzny. Laboratorium techniczne. Lucan zakończył rozmowę z Rowanem, po czym wcisnął przycisk in-terkomu.

- Wrócili - oznajmił Gideon, nim Lucan zdążył warknąć „halo”. - Widziałem właśnie, jak wjeżdżają przez bramę. Mam ich na monitorze. Jadą do garażu.

- Najwyższy czas, do cholery - wydusił Lucan. Przerwał połączenie i wyszedł z apartamentu. Jego kroki

rozległy się echem w krętych korytarzach z białego marmuru, przypominających skomplikowany krwiobieg podziemnej kwatery. Szedł szybko w stronę laboratorium technicznego, gdzie Gideon przesiadywał ostatnio niemal przez całą dobę.

Nagle jego czuły słuch wychwycił jęk windy, zjeżdżającej do kwatery z garażu, usytuowanego na powierzchni ziemi, kilkaset metrów nad ich głowami.

Kiedy mijał laboratorium techniczne, Gideon dołączył do niego. Ten urodzony w Anglii wojownik i ich prywatny geniusz był ubrany w luźne szare dzinsy, zielone pantofle i żółtą koszulkę. Jasne włosy miał potargane bardziej niż zwykle, jakby wiele razy wczepiał w nie palce, kiedy czekali na wieści od Huntera i Chase'a.

- Dawno już nie widziałem u ciebie tej wściekłej miny -stwierdził Gideon, spoglądając bystro znad bladoniebieskich szkieł bez oprawek. - Wyglądasz, jakbyś miał ochotę rozerwać ich na strzępy.

- Śmierdzą tak, jakby mnie ktoś w tym wyręczył - zawarczał Lucan, rozpoznając zapach świeżo przelanej wampirycznej krwi, jeszcze nim stalowe drzwi windy się otworzyły, ukazując parę zaginionych wojowników.

Rozdział 3

Na pewno nie chcesz niczego zjeść ani się napić?

Gabrielle wróciła do biblioteki zaróżowiona, a jej brązowe oczy były jakby jaśniejsze, niż kiedy wychodziła z tacą kilka minut temu. Jej wzrok odpłynął na chwilę, bezwiednie uniosła palce do ust w geście, który nie do końca ukrył lekki uśmiezek. Zamrugła gwałtownie i zajęła miejsce na kanapie.

- Przepraszam, że musiałaś czekać. Lucan i ja przeprowadzaliśmy drobne negocjacje - powiedziała, uprzejmie i miło jak stara przyjaciółka, choć znały się zaledwie od kilku godzin. -Nie jest ci tu zimno? Drżysz cała.

- To nic. - Corinne Bishop owinęła się szczelniej jasnoszarym swetrem i pokręciła głową, choć wstrząsnął ją kolejny dreszcz. - Wszystko w porządku, naprawdę.

Jej dreszcze nie miały nic wspólnego z temperaturą panującą w pomieszczeniach Zakonu. Tutejszy luksus był tak wielki,

że ledwie mogła go pojąć. Zachwyciła ją ta zaskakująco wielka podziemna kwatera, a elegancka biblioteka, gdzie siedziała obecnie z Gabrielle, to był najwspanialszy pokój, jaki widziała od bardzo wielu lat.

Jeszcze do niedawna jej „dom” przypominał bardziej loch. Została porwana, kiedy miała osiemnaście lat, i od tamtej pory przebywała w zamknięciu wraz z kilkunastoma innymi młodymi kobietami, które uprowadził szaleniec Dragos tylko dlatego, że urodziły się dawczyniami życia.

Corinne złożyła ręce na kolanach i wbiła w nie wzrok. Powoli przesuwając kciukiem po małym szkarłatnym znamieniu na wierzchu prawej dłoni - takie samo miała gdzieś na ciele każda dawczyni życia. Ten stygmat w kształcie półksiężyca i kropli czynił ją częścią niezwykłego świata - tajemnego, odwiecznego świata Rasy. To z jego powodu wychowano ją w bogatej rodzinie, choć jako niemowlę, zaledwie kilka godzin po urodzeniu, została porzucona pod drzwiami szpitala w Detroit.

Małe czerwone znamię okazało się biletem wstępu do życia Victora i Reginy Bishopów, jej adopcyjnych rodziców. Ta związana krwią para, mająca już własnego syna, przyjęła do siebie Corinne i jeszcze jedną, młodszą dziewczynkę, Charlotte. Zapewnili im obu kochający dom i wszystko, co w życiu najlepsze.

Gdyby tylko była wówczas dość dorosła, żeby docenić to, co otrzymała.

Gdyby tylko miała szansę powiedzieć swoim bliskim, że ich kocha... nim ten złoczyńca porwał ją i wtrącił do piekła.

To małe czerwone znamię na jej dłoni było powodem wszystkich jej cierpień. Torturowano ją i gwałcono, utrzymywano przy życiu wbrew jej woli, zmuszano do znoszenia rzeczy, o których ledwie mogła myśleć, a co dopiero mówić. Niedawno ona i prawie dwadzieścia innych przetrzymywanych przez Dragosa kobiet, którym udało się przetrwać eksperymen-

ty i tortury, zostały uwolnione przez wojowników Zakonu oraz ich niezwykle odważne i sprytne dawczynie życia.

Kilka dni, jakie minęły od tych wydarzeń, Corinne i pozostałe oswobodzone kobiety spędziły na Rhode Island, w Mrocznej Przystani innej związanej krwią pary, której wspaniałomyślność i opieka były dla nich po prostu darem niebios. Andreas Reichen, zaufany współpracownik Zakonu, i jego partnerka Claire ofiarowali wszystkim uratowanym dach nad głową, ubrania - wszystko, czego potrzebowały, by odzyskać choć trochę poczucia normalności i rozpocząć na nowo życie poza zasięgiem rąk Dragosa.

Jedyne, czego potrzebowała Corinne, to jej rodzina. Była zaskoczona, kiedy stwierdziła, że ze wszystkich dawczyń życia porwanych i uwięzionych przez Dragosa tylko ona wychowała się w Mrocznej Przystani. Inne kobiety mieszkały wcześniej w schroniskach dla bezdomnych albo prowadziły samotne życie, nieświadome, że jest w nich coś wyjątkowego.

Ale Corinne wiedziała, kim jest. Miała rodzinę, która ją kochała, która na pewno za nią tęskniła, aż w końcu, po wielu dziesięcioleciach, opłakała jej śmierć. Różniła się od innych ofiar Dragosa, jednak cierpiała tak samo jak one - może nawet bardziej, bo myśl o rozpaczach rodziców i rodzeństwa kazała jej się buntować przeciwko swoim oprawcom.

Potrzeba powrotu do domu, do ludzi, którzy pomogą jej przyjść do siebie - odzyskać wszystko, co straciła przez lata niewoli - dręczyła ją coraz bardziej, w miarę jak upływały godziny i dni, uciekał cenny czas.

Mogła mieć tylko nadzieję, że znów powitają ją z otwartymi ramionami. Mogła się tylko modlić, by przez długie lata jej nieobecności nie zapomnieli o niej. Mogła tylko pragnąć z całego serca, by nadal ją kochali.

Podniosła wzrok i napotkała pełne troski spojrzenie Gabrielle.

- Kiedy Brock może wrócić do Bostonu?

Gabrielle westchnęła cicho i powoli pokręciła głową.

- Zapewne jeszcze nie dziś ani nie jutro. Jeśli w Fairbanks nie przestanie sypać śnieg, to pewnie zostaną tam dłużej.

Corinne ledwie zdołała ukryć rozczarowanie. Kiedy po uwolnieniu odkryła, że jednym z wybawicieli jest jej ochroniarz z dzieciństwa, po raz pierwszy poczuła prawdziwą nadzieję. Po jej zniknięciu Brock został członkiem Zakonu. Ponadto się zakochał. To właśnie miłość kazała mu kilka dni temu pojechać na Alaskę, ale dał Corinne słowo, że gdy tylko wróci stamtąd z Jenną, swoją partnerką, osobiście dopilnuje, żeby bezpiecznie dotarła do domu.

Corinne potrzebowała wsparcia Brocka. Zawsze mu ufała, zawsze był jej prawdziwym przyjacielem. Jako młoda dziewczyna wierzyła, że ją ochroni. Chciała znów poczuć się bezpieczna i wiedzieć, że w drodze powrotnej do domu nie czyha na nią żadne niebezpieczeństwo.

W głębi przerażonego umysłu obawiała się, że nie starczy jej sił, by zapukać do drzwi rodzinnego domu, jeśli nie będzie miała u boku kogoś takiego jak Brock. Kogoś, komu mogłaby zaufać bez zastrzeżeń.

- Claire i Andreas mówili, że nie kontaktowałeś się z rodziną - zaczęła Gabrielle łagodnie, przerywając zamyślenie Corinne. - Nie wiedzą nawet, że żyjesz?

- Nie - odparła Corinne.

- Może do nich zadzwonisz? Na pewno chcieliby wiedzieć, że tu jesteś, bezpieczna i zdrowa, i że niedługo do nich wrócisz.

Pokręciła głową.

- Minęło tyle czasu. Pamiętam nasz stary numer telefonu, ale nie wiem, jak teraz się z nimi skontaktować...

- To żaden problem. - Gabrielle wskazała płaskie białe pudełko, które stało na biurku w bibliotece. - Odszukanie ich przez komputer zajmie może minutę. Mogłabyś zaraz do nich zadzwonić. Jeśli chcesz, możesz ich nawet zobaczyć na ekranie.

- Dziękuję, ale nie. - Wszystkie te rzeczy były dla Corinne czymś nowym. Nie chciała rozmawiać z rodzicami na odległość, bez możliwości dotknięcia ich, znalezienia się w ich ramionach. - Chodzi o to, że... nie wiedziałabym, co im powiedzieć po takim czasie. Nie wiedziałabym, jak im powiedzieć...

Gabrielle pokiwała ze zrozumieniem głową.

- Musisz być tam osobiście, żeby to zrobić.

- Tak. Po prostu muszę wrócić do domu.

- Oczywiście - powiedziała Gabrielle. - Nie martw się. Dopilnujemy, żebyś tam dotarła jak najszybciej.

Obie obejrzały się, kiedy ktoś zapukał do drzwi biblioteki, prowadzących bezpośrednio na korytarz. Do środka zajrzała śliczna blondynka o jasnych lawendowych oczach.

- Nie przeszkadzam?

- Skąd, Elizo, wejść, proszę. - Gabrielle wstała i gestem zaprosiła kobietę do środka. - Zastanawialiśmy się właśnie z Corinne, czy są wieści od Brocka i Jenny.

Eliza weszła do środka i uśmiechnęła się ciepło do Corinne.

- Pomyślałam, że zajrzę i posiedzę z wami, póki wszyscy nie wrócą z patroli.

Corinne poznała kilka kobiet Zakonu, kiedy przyjechała tu dziś wieczorem. Pamiętała, że partner Elizy to wojownik o imieniu Tegan. Wiedziała, że on i prawie wszyscy członkowie Zakonu wyruszyli na misję do miasta i że ich celem jest wytropienie Dragosa oraz jego współpracowników.

Ta myśl bardzo ją pocieszyła. Skoro tak niezwykli wojownicy postanowili schwytać Dragosa, na pewno im się nie wymknie.

A jednak do tej pory nie zdołali go złapać.

Na ile mogła zrozumieć, zawsze wyprzedzał wojowników o krok. Zakon był silny, ale Corinne z własnego doświadczenia wiedziała, jak potężny jest Dragos. Miał własnych żołnierzy i straszliwą, bezwzględną strategię, której się trzymał.

Był szalony - i bardzo niebezpieczny. To również wiedziała z własnego doświadczenia. Potworne wspomnienia wezbrały w niej teraz jak fala mroku, nim zdążyła je stłumić. Pod ich wpływem zachwiała się, kiedy wstała z kanapy, by przywitać się z Elizą. Tym razem panika ogarnęła ją nagle, dużo szybciej niż wcześniej. Kiedy Gabrielle zostawiła ją samą w bibliotece, jakoś udało jej się zachować panowanie nad sobą.

Ale nie tym razem.

Miała wrażenie, że sięgające sufitu półki na książki kołyszą się, że napierają na nią ściany biblioteki. Naprzeciwko niej wisiał wielki arras, przedstawiający wspaniałego mrocznego rycerza na czarnym koniu. W tej chwili jego wizerunek wydawał się Corinne zniekształcony i płynny, twarz mężczyzny oraz jego piękny rumak wyglądali, jakby zostali poćwiartowani.

Zamknęła oczy, ale ciemność w niczym jej nie pomogła. Nagle znalazła się na powrót w więzieniu, w pozbawionym światła lochu, naga i drżąca. Sama w cuchnącej próżni, marząca jedynie o śmierci. Modląc się o nią, gdyż była to jedyna droga ucieczki przed koszmarem.

Nabrała powietrza, ale miała wrażenie, że do płuc dotarła tylko odrobina tlenu. Zaczęła odpływać w próżnię.

- Corinne? - Gabrielle i Eliza wypowiedziały równocześnie jej imię. Obie wyciągnęły ręce, by ją podtrzymać.

Corinne usłyszała własny urywany oddech.

- Muszę wyjść... Muszę się wydostać z tej celi...

- Możesz iść? - spytała Eliza z troską, ale opanowanym głosem. - Przytrzymaj się nas, Corinne. Wszystko będzie dobrze.

Udało jej się kiwnąć głową, a wtedy wyprowadziły ją na korytarz. We wszystkie strony ciągnął się zimny biały marmur. Korytarz, nieskazitelnie biały i na pozór bez końca, natychmiast podzielał na nią kojąco. Syciła wzrok widokiem błyszczących śnieżnobiałych ścian, oddychała głęboko i czuła, jak powoli skurcz w klatce piersiowej mija.

Bogu dzięki.

Już było jej lepiej.

Gabrielle odgarnęła jej z twarzy ciemne włosy.

- Radzisz sobie?

Corinne przytaknęła. Nadal oddychała ciężko, ale najgorszy atak paniki miała już za sobą.

- Czasami ja... czasami czuję, jakbym nadal tam była. Jakbym nadal siedziała zamknięta w tym okropnym miejscu -szepnęła. - Przepraszam. Tak mi wstyd.

- Nie masz się czego wstydzić. - Uśmiech Gabrielle był pełen współczucia, ale nie litości. - Nie musisz przepraszać. Jesteś wśród przyjaciół.

- Chodź - powiedziała Eliza. - Zabierzemy cię na górę, do rezydencji. Możemy pospacerować po terenie posiadłości, aż poczujesz się lepiej.

Kiedy winda zjeżdżająca z garażu zatrzymała się na dole, Hunter spojrział na swojego partnera i ocenił w milczeniu jego stan.

Chase zwiesił nisko głowę, rozczochrane złocistobrązowe włosy opadły mu na czoło. Stał oparty o ścianę windy, oddychając ze świstem przez zęby. Jego czarne spodnie były podarte i poplamione krwią, na twarzy miał liczne ślady po walce. Z całą pewnością ktoś złamał mu nos. Górną wargę miał rozciętą, a krew ściekała mu po brodzie. Niewykluczone, że miał też pękniętą szczękę.

Obrażenia po bójce były liczne, ale powinny szybko się zagoić, szczególnie jeśli pożywi się kilka razy.

Chase nie wydawał się przejęty swoim stanem.

Kiedy drzwi windy otworzyły się cicho, wyszedł na korytarz pierwszy, a każdy jego ruch przepelniała arogancja.

Zdołał zrobić tylko kilka kroków, kiedy drogę zastąpił mu Lucan. Gdy Chase spróbował go wyminąć, położył mu rękę na piersi, żeby go zatrzymać.

- Dobrze się dziś bawiłeś, Chase?

Harvard chrząknął i uśmiechnął się krzywo, co sprawiło, że pęknięta warga zaczęła mocniej krwawić.

- Zapewne dzwonił do ciebie Mathias Rowan?

- Istotnie. W przeciwieństwie do was dwóch - odparł Lucan. Na chwilę oderwał wściekłe spojrzenie od poturbowanego Chase'a i spojrzał na Huntera, którego ubranie również nosiło ślady walki. - Rowan powiedział mi dokładnie, w co wdepnęliście. Mówi, że ma kilku rannych i zabitego i że wszyscy agenci winią ciebie, Chase, za niesprowokowaną napaść.

Harvard się skrzywił.

- Niesprowokowaną, akurat. Każdy z tych agentów tylko czekał na sposobność, żeby mi dowalić.

- A ty nie mogłeś się doczekać, żeby im oddać, co nie? - W odpowiedzi Chase tylko łypnął na niego spod łba. Lucan pokręcił głową. - Po prostu nie myślisz. Ta bójka dzisiaj to kolejny przykład bałaganu, który robisz, a potem zostawiasz innym, żeby posprzątało. Ciągłe się tak ostatnio zachowujesz, a mnie się to wcale nie podoba. Ani trochę, do cholery!

- Posłałeś mnie, żebym wykonał robotę - odparł Chase ponuro. - Czasami robi się nieprzyjemnie.

Lucan zmrużył oczy, gniew promieniował z niego wyczuwalnym żarem. Hunter czuł go nawet ze swego miejsca, kilka kroków z tyłu, za Gideonem.

- Nie jestem pewien, czy jeszcze w ogóle wiesz, na czym polega twoja robota, Chase. Gdybyś wiedział, nie wracałbyś tutaj z niczym, śmierdząc przelaną krwią. Jeśli o mnie chodzi, dziś w nocy zaważyłeś misję. Czego się dowiedziałeś o Freynie? Czy jesteście choćby o włos bliżej dorwania Dragosa albo jego współpracowników?

- Może jesteśmy - wtrącił się Hunter.

Teraz gniew Lucana skoncentrował się na nim.

- Wyjaśnij.

- Agent Murdock - zaczął Hunter. - Przywitał nas, kiedy weszliśmy do klubu. Wymieniliśmy kilka zdań, ale nie udzielił

nam żadnych użytecznych informacji. Kiedy wywiązała się bójka, wpadł w panikę. Widziałem, jak do kogoś dzwoni, a potem ucieka.

- To ma być trop? - spytał Chase lekceważąco. - Jasne, że Murdock zwiął. Znam tego faceta. To tchórz, prędzej strzeli ci w plecy, niż stanie do walki twarzą w twarz.

Hunter zignorował ten komentarz, nie spuszczać wzroku z przywódcy Zakonu.

- Po Murdocka podjechał od tyłu samochód. Prowadził go zabójca z Pierwszego Pokolenia.

- Dobry Boże - powiedział Gideon, przeczesując dłonią potargane włosy.

Twarz Lucana znieruchomiła. Nawet Chase zamilkł i słuchał teraz uważnie.

- Ścigałem pojazd pieszo - ciągnął Hunter. - Zabójca został zneutralizowany.

Sięgnął do tyłu, za pasek od spodni, i wyjął broń, którą zdjął zabitemu zabójcy. Gideon wziął ją od niego.

- Jeszcze jedna do kolekcji? Ostatnio masz niezłe wyniki. Dobra robota.

Hunter tylko zamrugnął, słysząc tę niepotrzebną pochwałę.

- A co z Murdockiem? - spytał Lucan.

- Zniknął - poinformował Hunter. - Uciekł, kiedy neutralizowałem kierowcę. Potem miałem wybór: tropić go albo wracać do klubu po partnera.

W tamtej chwili decyzja o powrocie do klubu nie była dla niego łatwa. Logika i przeszkolenie, jakie przeszedł u Dragosa, nakazywały mu prowadzić misję w pojedynkę, jako efektywny, obojętny i całkowicie niezależny zabójca. Murdock to właściwy cel. Przesłuchanie go z pewnością dostarczyłoby cennych informacji. Sukces patrolu zależał od jego schwytania, więc Hunterowi pościg za celem wydawał się logiczną decyzją.

Ale Zakon działał wedle innych reguł, a on zaprzysiągł ich przestrzegać, bez względu na to, jak bardzo odbiegały od tego,

co znał dotąd. Wojownicy mieli własny kodeks postępowania na misjach. Obowiązywała zasada, że jeśli zespół wychodzi razem, to razem wraca. Nikogo nie pozostawiano samemu sobie. Nawet jeśli to oznaczało poświęcenie celu misji.

- Znam Murdocka - wycedził Chase, unosząc rękę, żeby wytrzeć krew kapiącą z podbródka. - Wiem, gdzie mieszka, wiem, gdzie bywa. Znajdę go i...

- Nikogo nie będziesz szukał - przerwał mu Lucan. - Zdejmuję cię z tej misji. Póki nie zdecyduję inaczej, wszelkie kontakty z Agencją mają przechodzić przeze mnie. Gideon ustali wszystko, co musimy wiedzieć o zwyczajach i majątku Murdocka. Jeśli uważasz, że masz coś użytecznego do dodania, powiedz to jemu. Sam zdecyduję, jak, kiedy i kto pójdzie za tym sukinsynem.

- Jak sobie chcesz. - Niebieskie oczy Chase'a pociemniały groźnie pod zmarszczonymi brwiami. Ruszył przed siebie korytarzem.

Lucan obrócił lekko głowę, a jego głos był cichy jak odległy grom.

- Nie powiedziałem, że skończyliśmy. Chase się skrzywił.

- Odniosłem wrażenie, że masz już wszystko pod kontrolą, więc czego jeszcze ode mnie chcesz?

- To pytanie zadaję sobie dzisiaj przez całą noc - odparł Lucan spokojnie. - Czego ja, psiakrew, jeszcze od ciebie chcę?

Chase mruknął coś opryskliwie. Zrobił kolejny krok i nagle Lucan znalazł się tuż przed nim. Przemieszczał się tak szybko, że nawet Hunter ledwie zauważył jego ruch. Przywódca Zakonu pchnął Chase'a tak mocno, że poleciał bezwładnie na ścianę.

Harvard zaklął pod nosem i się wyprostował. Oczy pałały mu jak jasne węgle. Rzucił się naprzód, szczerząc ogromne kły.

Tym razem to Hunter poruszał się najszybciej.

Stał między dwoma wampirami, gotów bronić swojego dowódcy. Chwycił Chase'a za gardło.

- Cofnij się, wojowniku - powiedział spokojnie. Więcej nie zamierzał go ostrzegać. Jeśli teraz Chase choćby drgnie, nie będzie miał wyboru - będzie musiał go zabić.

Chase zacisnął i wyszczerzył zęby. Obserwował przeciwnika w ciężkiej ciszy. Hunter wyczuł na korytarzu za sobą jakiś ruch. Usłyszał westchnienie, z jakim kobieta wstrzymała oddech.

Spojrzenie Chase'a powędrowało w tamtą stronę i natychmiast jego furia opadła. Kiedy się odprężył, Hunter puścił go i wycofał się powoli.

- Co tu się dzieje, Lucanie?

Hunter odwrócił się, podobnie jak jego towarzysze. Ujrzeni partnerkę Lucana, Gabrielle, która stała w korytarzu z dwiema innymi kobietami. Hunter znał delikatną blondynkę o lawendowych oczach. To właśnie ona - Eliza, partnerka Tegana - wstrzymała oddech. Nadal przyciskała rękę do ust.

- Spadam stąd - mruknął Chase, wyraźnie nieposkromiony. Minał Huntera i pozostałych i poszedł korytarzem w stronę swojej kwatery.

Hunter prawie nie zwrócił uwagi na jego odejście, ponieważ zajęty był trzecią kobietą, niezbyt wysoką, o jasnej cerze i długich, czarnych jak heban włosach, które częściowo ukrywały jej twarz. Jej widok sprawił, że na chwilę zamarł. Nie mógł oderwać wzroku od tych wielkich zielononiebieskich oczu, które zwężyły się lekko przy zewnętrznych kąciakach. Nie bardzo potrafił nazwać ich kolor, więc dał sobie z tym spokój i zaczął rozważać, dlaczego jej obecność tak bardzo przykuła jego uwagę.

- Czy wszystko w porządku? - spytała Gabrielle, podchodząc do Lucana. Była wyraźnie zaniepokojona.

- Tak - odrzekł. - Już wszystko dobrze.

Hunter zbliżył się do nieznajomej, ledwie świadom, że to robi, aż stanął dokładnie naprzeciw niej. Spojrzała na niego

wtedy, unosząc idealny owal twarzy. Jej spojrzenie przesunęło się po jego pobrudzonym krwią stroju i wreszcie ich oczy się spotkały.

Nie znał jej, a równocześnie wydała mu się dziwnie znajoma.

Przechylił głowę, próbując zanalizować to dziwne wrażenie, że już ją kiedyś widział.

- Czy my się znamy? - zapytał, wypowiadając myśl, która zrodziła się gdzieś w jego umyśle.

Gabrielle odchrząknęła i podeszła bliżej, gotowa chronić przed nim tę kobietę.

- Corinne, to jest Hunter, wojownik Zakonu. Przywitaj się, Hunterze. Mruknął coś, nie odrywając wzroku od nieznajomej.

- Widziałam cię tej nocy, kiedy nas uwolniliście - oznajmiła cicho. - To ty nas zawiozłeś do Mrocznej Przystani An-dreasa i Claire.

Była wśród więźniów Dragosa. Jej wyjaśnienie miało sens. Skinął lekko głową, jej słowa zaspokoily w pewnym stopniu jego ciekawość. Jednak był niemal pewien, że nie widział jej na Rhode Island. Czuł, że zapamiętałby tę twarz, te świetliste oczy.

- Obawiam się, że Brock i Jenna nadal są uwięzieni na Alasce - zwrócił się Gideon do ciemnowłosej piękności. - Prognoza pogody na następne trzy dni też nie wygląda dobrze dla tamtego regionu.

- Jeszcze trzy dni? - Na gładkim czole Corinne pojawiły się cieniutkie zmarszczki. - Naprawdę muszę wrócić do domu. Potrzebuję rodziny.

Lucan westchnął.

- To zrozumiałe. Ponieważ Brock jest parę tysięcy kilometrów stąd, uwięziony przez zamieć, ktoś inny będzie musiał...

- Ja ją zawiozę. - Hunter poczuł na sobie spojrzenie Lucana, gdy tylko te słowa wyrwały się z jego ust. Wytrzymał jego wzrok i stanowczo kiwnął głową. - Dopilnuję, żeby dotarła bezpiecznie do rodziny.

To było proste zadanie, jednak wszyscy zebrani nagle zamilkli zdziwieni. Najbardziej zdumiona wydawała się sama Corinne. Patrzyła na niego w milczeniu. Przez chwilę miał wrażenie, że odrzuci jego propozycję.

- Samochodem to będzie ze czternaście godzin jazdy - stwierdził Gideon. - W sumie dwie doby, ponieważ będziecie podróżować tylko nocą. Jeśli ruszycie natychmiast, zdążycie przejechać kilkaset kilometrów, nim wzejdzie słońce. Albo każę przygotować nasz samolot, żeby czekał na was o zachodzie słońca. Dwie godziny lotu i będziecie na miejscu.

Lucan zastanowił się chwilę, a potem kiwnął głową.

- Im szybciej, tym lepiej. Będę cię potrzebował na patrolach, Hunterze.

- Tak jest - rzekł Hunter.

Rozdział 4

Chase siedział sam, w ciemności, przykucnięty w czarnym kącie małej kaplicy w kwaterze.

Nie wiedział, dlaczego przyszedł tutaj, w to ciche, oświetlone świecami miejsce, zamiast wrócić do swojej kwatery, położonej trochę dalej przy tym samym korytarzu. Nigdy nie należał do osób, które szukają pociechy albo wybaczenia wyższej mocy. Bóg z pewnością wie, że już i tak nie stać go na modlitwy.

Nie miał żadnej nadziei na odpuszczenie. Ani ze strony Boga, ani Lucana, ani towarzyszy z Zakonu. Nawet ze strony siebie samego.

Zamiast się korzyć, podsycił swój gniew. Cieszył się z bólu, gdyż tylko on jeszcze pozwalał mu czuć, że żyje. Jedynie cierpiąc fizycznie, w ogóle coś czuł. I jak narkoman podążał na oślep, za wszelką cenę, za tym uczuciem.

Lepsze to niż alternatywa.

Ból był mroczny, zły, ale łagodził bardziej niebezpieczne pragnienie.

Bez bólu pozostałby mu tylko głód.

Wiedział oczywiście, do czego to prowadzi.

Jego umysł nie zatracił się tak bardzo, jak jego ciało czy dusza. Zdawał sobie sprawę, że pewnego dnia to pragnienie go zabije. Były takie noce - ostatnio coraz częściej - kiedy po prostu przestawało go to obchodzić.

- Sterling, jesteś tutaj?

Drgnął, od razu skupiony, dokładnie tak samo jak kilka minut temu, przy windzie. Przekrzywił głowę i nasłuchiwał jej kroków, choć równocześnie pragnął samotności, chciał ukryć się w mroku przed jej wzrokiem.

Za pomocą wrodzonego talentu ściągnął ku sobie cienie. Ostatnio przychodziło mu to z coraz większym trudem. Jeszcze trudniej było mu utrzymać mrok wokół siebie. W końcu poddał się i zaklął. Nawet cienie go opuściły.

- Sterling? - znów zawołała cicho Eliza.

Jej kroki były ostrożne, jakby nie czuła się tu bezpieczna. Rozsądna kobieta. Ale jednak się nie wycofała. Nie zostawiła go w spokoju, tak jak tego pragnął.

- Byłam właśnie u ciebie, więc wiem, że cię tam nie ma. - Westchnęła niepewnie i trochę smutno. - Możesz się kryć przed moim wzrokiem, ale wyczuwam twoją obecność. Dlaczego nie odpowiadasz?

- Ponieważ nie mam ci nic do powiedzenia.

Ostre słowa. Eliza nie zasłużyła sobie na nie. Od roku żyła z Teganem, ale wcześniej była szwagierką Chase'a, a obecnie wdową po jego bracie, Quentinie. Quentin miał to szczęście, że wybrała go na partnera - i nie miał pojęcia, że jego młodszy brat żywi do niej potajemną, wstydliwą namiętność.

Przynajmniej to jedno się zmieniło.

Uwolnił się od tego pożądanego. Chciał myśleć, że to dlatego, iż oddała serce jednemu z jego braci - towarzyszkowi broni, który zabiłby dla niej, umarłby dla niej, tak jak ona dla niego.

Związek Tegana i Elizy był nierozzerwalny, ale tak naprawdę miłość Chase'a do Elizy musiała ustąpić przed pragnieniem bólu. To ono stało się teraz jego obsesją.

Mimo to wstrzymał oddech, kiedy weszła do kaplicy. Po chwili zobaczyła go, przykucniętego w kącie, opartego o ścianę.

W milczeniu przeszła między ławkami. Usiadła w tej najbliższej niego i po prostu mu się przyglądała. Nie musiał sprawdzać, wiedział, że na jej twarzy maluje się rozczarowanie. Zapewne również litość.

- Może mnie nie zrozumiałaś - rzucił chwilę później, z jak najgorszą intencją. - Nie chcę z tobą rozmawiać, Elizo. Powinnaś stąd iść.

- Dlaczego? - spytała, nie ruszając się z miejsca. - Żebyś mógł się wściekać w samotności? Quentin byłby wstrząśnięty, widząc cię w tym stanie. Wstydziliby się za ciebie.

Chase parsknął.

- Mój brat nie żyje.

- Tak, Sterlingu, zginął podczas służby w Agencji. Umarł z honorem, starał się uczynić ten świat bezpieczniejszym miejscem. A czy ty, z ręką na sercu, możesz powiedzieć, że też się o to starasz?

- Nie jestem Quentinem.

- To prawda - zgodziła się. - Quentin był wyjątkowy, bardzo odważny. Mogłeś być od niego lepszy, Sterlingu. Mogłeś

tyle osiągnąć. Słyszałam, jak ostatnio zachowujesz się na misjach. I już zbyt wiele razy widziałam, jak wracasz do kwatery w takim stanie. Przepelnia cię wściekłość.

Chase wstał i odszedł kilka kroków. Chciał zakończyć tę rozmowę.

- To moja sprawa, co robię. Nie musisz się o mnie troszczyć.

- Rozumiem - odparła. Wstała z ławki i podeszła do niego. Zmarszczyła brwi, skrzyżowała ręce na piersi. - Nie chcesz, żeby ktoś, komu na tobie zależy, był przy tobie, kiedy krwawisz, czy tak? Chcesz, żebyśmy pozwolili ci po prostu siedzieć gdzieś w ciemnym kącie i rozczulać się nad sobą?

Rzucił jej ciężkie spojrzenie.

- Wyglądam, jakbym się rozczulał nad sobą?

- Wyglądasz jak zwierzę - stwierdziła cicho, ale nie tak cicho, żeby można to było uznać za strach. - I zachowujesz się jak zwierzę, Sterlingu. Ostatnio patrzę na ciebie i mam wrażenie, że już cię nie znam.

Wytrzymał jej wzrok.

- Nigdy mnie nie znałaś, Elizo.

- Kiedyś byliśmy rodziną - przypomniała mu szeptem. - Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi.

- To nie przyjaźni od ciebie chciałem - odezwał się głosem bez wyrazu. Aż do tej pory nie śmiał wyznać jej tej prawdy. Kiedy cofnęła się o krok w stronę przejścia, zaśmiał się ponuro. - Możesz uciekać, jeśli chcesz.

Nie uciekła.

Pozwoliła sobie tylko na ten jeden krok w tył. Nie była już biedną zagubioną sierotką, przygarniętą przez Quentina Chase'a. Była silną kobietą, przeszła przez piekło i nie dała się złamać. Nie zamierzała ustąpić, wszystko jedno jak bardzo starał się ją od siebie odepchnąć.

Jakby chcąc to sprawdzić, podszedł do niej.

Był brudny i pokrwawiony. Sam ledwie mógł znieść własny smród. Ale choć dzieliło ich zaledwie kilka centymetrów, Eliza się nie odwróciła. Na jej twarzy malowały się smutek i oczekiwanie, kiedy otwierał usta, by wypowiedzieć słowa, które zerwą ostatnią, cieniutką więź z przeszłością.

- Chciałem od ciebie czego innego, Elizo. Chciałem rozłożyć ci nogi i...

Uderzyła go w twarz z całych sił, a policzek rozległ się echem w cichej kaplicy. Jej fiołkowe oczy połyskiwały w świetle świec, pełne nieprzelanych łez.

Nie uroniła ani jednej. Nie nad nim.

Zapewne już nigdy nie będzie nad nim płakać, jeśli sądzić ze sposobu, w jaki na niego patrzyła.

Chase cofnął się niepewnie. Policzek piekł go po uderzeniu. Podniósł rękę i musnął palcami gorącą skórę.

Potem bez słowa, bez zastanowienia, odwrócił się i zniknął, wykorzystując całą szybkość, jaką dało mu dziedzictwo Rasy. Wbiegł po schodach prowadzących z kaplicy na zewnątrz, prosto w zimową noc.

Corinne stała na skraju wielkiego marmurowego tarasu na tyłach rezydencji Zakonu. Przez chwilę była sama, gdyż Gabrielle wróciła do środka po płaszcze. Odchyliła głowę i zaciągnęła się zimnym grudniowym powietrzem. Niebo nad nią było ciemne i bezchmurne, morze granatu pełne jasnych, mrugających gwiazd.

Ile czasu minęło, odkąd czuła ten świeży, nieco dymny zapach zimy?

Ile czasu minęło, odkąd czuła wiatr na policzkach?

Lata więzienia upływały początkowo powoli, kiedy starała się zachować poczucie czasu, kiedy walczyła o każdą sekundę, jakby miała być jej ostatnią. Wkrótce jednak uświadomiła sobie, że ten, który ją przetrzymuje, nie chce jej śmierci. Potrzebował jej żywej, choćby ledwie. To wtedy przestała liczyć, przestała walczyć, a jej życie zmieniło się w jedną niekończącą się noc.

A teraz była wolna.

Jutro znajdzie się bezpiecznie w domu, z rodziną.

Jutro jej życie zacznie się od początku, stanie się nową osobą. Przeżyła, ale w głębi serca wątpiła, czy jeszcze kiedyś poczuje się całością. Tyle jej odebrano. Niektórych rzeczy nie da się odzyskać.

A inne...

Później będzie miała czas opłakiwać wszystko, co straciła przez Dragosa.

Zamknęła oczy i odetchnęła jeszcze raz, żeby się oczyścić. Kiedy wypuszczała powietrze, usłyszała śmiech dziecka. Drgnęła zaskoczona.

Najpierw pomyślała, że to tylko złudzenie, jedna z tych okrutnych gier, w które grała z nią ciemność. Ale potem ten uroczy śmiech rozbrzmiał znowu, przyniesiony przez wiatr z wielkiego ogrodu.

To był śmiech dziewczynki ośmio-, może dziewięcioletniej. Corinne zobaczyła ją, jak bnie radośnie w sięgającym kolan śniegu, opatulona jak różowy bałwanek w puchowy skafander i grube spodnie.

Za nią biegly w podskokach, z wywieszonymi jęzorami, dwa psy. Najwyraźniej ją goniły. Corinne uśmiechnęła się, widząc, jak mały pękaty terier próbuje za wszelką cenę przegonić większego, eleganckiego psa. Drobił, poszczekując u boku swego podobnego do wilka towarzysza, aż wreszcie przebiegł mu między łapami, żeby pierwszy dogonić dziewczynkę.

Pisnęła, kiedy psiak zaczął jej się kręcić pod nogami, szczekając wesoło. Drugi pies podbiegł do nich, machając ogonem, i zaczął lizać dziecko po twarzy.

- No dobrze, już dobrze. - Mała zanosila się śmiechem. -Luna, Harvard, już dobrze, wygraliście! Poddaję się!

Psy porzuciły ją i zaczęły się bawić ze sobą, a na ośnieżonym trawniku pojawiły się dwie kobiety. Jedna niewątpliwie była w ciąży, miała na sobie obszerny płaszcz i poruszała się ostrożnie. Druga była wysoka i dobrze zbudowana, a w rękę trzymała dwie smycze.

- Bądź grzeczna, Luna! - zawołała do większego psa. Ten zareagował

natychmiast, skończył zabawę i zaczął biegać wokół swojej pani.

- To jest Alex - powiedziała Gabrielle, stając na tarasie obok Corinne. Miała na sobie ciemny wełniany płaszcz, a w rękę trzymała drugi. Kiedy Corinne go włożyła, poczuła lekki zapach cedru. Płaszcz był miły i ciepły jak koc. - Alex jest partnerką Kade'a - ciągnęła Gabrielle. - Nie było ich, kiedy przyjechałaś, więc jeszcze nie miałaś okazji jej poznać.

- Ale ją pamiętam - odezwała się Corinne. - Była wśród kobiet, które nas uwolniły.

Gabrielle kiwnęła głową.

- Racja. Pojechały tam razem, Alex, Jenna, Dylan i Renata. Gdyby Tess nie miała lada chwila rodzić, pewnie byłyby wtedy z nimi.

Corinne popatrzyła na ogród. Kobiety zauważyły je i uniosły ręce na powitanie. Dziewczynka znów zaczęła chichotać, skoczyła w najbliższą zaspę, a psy za nią.

- Ten uroczy diabełek to Mira - wyjaśniła Gabrielle, kręcąc głową z naganą. - Renata opiekuje się nią od czasu, kiedy obie mieszkały w Montrealu. Kiedy latem związała się z Nikolaiem, przywiozła Mirę do kwatery i odtąd są rodziną. - Partnerka Lucana spojrzała z uśmiechem na Corinne. - Nie wiem jak ty, ale ja uwielbiam szczęśliwe zakończenia.

- Przydałoby się ich więcej na tym świecie - szepnęła Corinne, ciesząc się ze szczęścia Miry, choć równocześnie jej serce przeniknął zimny ból. Odepchnęła od siebie tę pustkę. Alex i Tess weszły po schodach na taras.

Oddech Gabrielle zmieniał się na mrozie w parę.

- Nie za zimno na spacer, Tess?

- Jest cudownie - odparła piękność w zaawansowanej ciąży. Miała zaróżowione policzki. - Przysięgam, jeśli Dante

będzie mnie dalej przetrzymywał w kwaterze, nie dożyje narodzin syna. - Wszelką wagę groźbie odebrały wyraz jej oczu w kolorze akwamaryny i radosny uśmiech. Wyciągnęła rękę odzianą w rękawiczkę. - Cześć, jestem Tess. Corinne uścisnęła jej dłoń.

- Miło mi poznać.

- Alex - przedstawiła się druga dawczyni życia, też wyciągając rękę i uśmiechając się na powitanie. - Nie masz pojęcia, jaka to ulga wiedzieć, że ty i inne porwane przez Dragosa kobiety wreszcie jesteście bezpieczne.

Corinne kiwnęła głową.

- Jestem wam wszystkim wdzięczna bardziej, niż potrafię wyrazić.

- A jutro w nocy Corinne jedzie do domu - oznajmiła Gabrielle.

- Jutro? - zdziwiła się Alex. - Czy to znaczy, że Brock i Jenna są już w drodze z Alaski?

- Nie, nadal są unieruchomieni przez zamieć - odrzekła Gabrielle. - Ale Hunter zgłosił się na ochotnika, że zamiast Brocka odwiezie Corinne do Detroit.

W zapadłej nagle ciszy Corinne ponownie przeżyła tę chwilę, kiedy olbrzymi, upiornie spokojny wojownik nagle zaproponował, że odwiezie ją do domu. Nie spodziewała się tego po nim. Nie wyglądał na kogoś, kto lubi spełniać dobre uczynki, nawet wówczas gdy przewoził uwolnione kobiety do Mrocznej Przystani na Rhode Island.

Trudno byłoby go nie zauważyć tamtej nocy. Jego jakby wyciosana w kamieniu, kanciasta twarz i potężne, umięśnione ciało wyróżniały go spośród innych wojowników. Wszystkich poniosły emocje, tylko Hunter zachował spokój, jako jedyny milczał i po prostu sprawnie i ze stoickim spokojem wykonywał swoje zadanie.

Później jedna z kobiet usłyszała, jak Andreas i Claire rozmawiają o Hunterze. Podobno jeszcze niedawno był w jakiś sposób związany z Dragosem. Corinne ledwie była w stanie ukryć, jak bardzo się go obawia. Czowała się przy nim spłoszona zarówno wtedy, jak i teraz.

Przypomniała sobie, jak wyglądał w kwaterze, zakrwawiony, w stroju bojowym, uzbrojony po zęby. Przypomniała sobie, jak wpatrywał się w nią tymi niezwykłymi złocistymi oczami.

Dlaczego zwróciła jego uwagę? Nie miała pojęcia. Miała wrażenie, że przenika ją wzrokiem, bada na sposób, który był równocześnie wnikliwy i poruszający.

Nawet teraz skóra jej mrowiła na to wspomnienie.

Zadrżała, choć wcale nie było jej zimno. Spróbowała pozbyć się tego uczucia, pocierając rękami ramiona.

- Hunterze! - Mira porzuciła nagle zabawę w śniegu i ruszyła biegiem w stronę tarasu. - Hunterze, chodź tu do nas!

Corinne obróciła głowę, podobnie jak pozostałe kobiety. Mira przemknęła obok nich, po czym wpadła przez otwarte przeszklone drzwi do rezydencji.

Hunter stał zaraz za nimi.

Nie był już pokrwawiony i ubrany na czarno. Wziął prysznic i się przebrał. Miał teraz na sobie luźne granatowe dżinsy i rozpiętą białą koszulę, odsłaniającą skomplikowane dermaglify na piersi i brzuchu. Jego wielkie stopy mimo mrozu były bose, a krótkie, wilgotne włosy lepiły się do czoła.

I znów się jej przyglądał... znów badał ją wzrokiem. Jak długo tam stał?

Corinne spróbowała odwrócić wzrok, ale jego przenikliwe złociste oczy nie chciały jej wypuścić. Dopiero kiedy Mira radośnie rzuciła mu się w ramiona, przestał na nią patrzeć.

Uniósł dziewczynkę bez wysiłku i posadził sobie na lewym ramieniu. Słuchał uważnie, jak opowiada mu z ożywieniem, co dziś robiła. Corinne nie słyszała jego odpowiedzi, ale widać było wyraźnie, że lubi to dziecko.

Kiedy rozmawiał z Mirą, coś przemknęło przez pozbawioną wyrazu twarz. Coś, co sprawiło, że znieruchomiał na

chwile. Rzucił kolejne spojrzenie w stronę Corinne - przewiercił ją nim na wylot - po czym ostrożnie postawił dziecko na ziemi. Potem odszedł z powrotem do kwatery.

Nawet kiedy zniknął, nawet kiedy Mira wróciła do zabawy z psami na zaśnieżonym trawniku, a kobiety podjęły rozmowę, Corinne nadal czuła na sobie niepokojący żar oczu Huntera.

Na pewno widział już gdzieś twarz Corinne Bishop.

I to nie podczas akcji odbijania więźniów Dragosa ani w Mrocznej Przystani na Rhode Island, gdzie znalazła schronienie wraz z innymi uwolnionymi kobietami.

Nie, widział tę kobietę wiele miesięcy wcześniej, tego był pewien.

Uświadomił sobie gdzie, kiedy kilka minut temu wziął Mirę na ręce. To było jak fizyczny cios. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na niewinną twarz dziecka - w oczy małej dawczyni życia, które miały moc ukazywania przyszłości.

Choć na co dzień specjalne szkła kontaktowe neutralizowały dar Miry, był taki moment kilka miesięcy temu, kiedy spojrzał w jej przypominające lustra oczy i ujrzał kobietę błagającą go o litość, błagającą, by nie zabijał.

W tej wizji kobieta próbowała powstrzymać jego rękę, rozpaczliwie prosiła, by oszczędził to życie - tylko to jedno, dla niej.

„Puść go, Hunterze...

Proszę, błagam cię... Nie rób tego!

Nie rozumiesz? Kocham go! Jest dla mnie wszystkim...

Po prostu go puść... pozwól mu żyć!"

A kiedy uświadomiła sobie, że nie zawaha się, nawet dla niej, jej twarz zmieniła się w maskę. Wydała okrzyk bólu, a Hunter wyrwał rękę i zadał ostatni cios.

Tą kobietą była Corinne Bishop.

Rozdział 5

Nazywał się Dragos, jak jego ojciec, choć niewielu o tym wiedziało.

Tylko garstka niezbędnych pomocników w wojnie, którą sam rozpętał, znała jego imię i pochodzenie. Oczywiście jego wrogowie też już to wiedzieli. Lucan Thorne i jego wojownicy odkryli jego działania, kilkakrotnie zmusili go do ucieczki. Ale jeszcze nie wygrali.

I nie wygrają, zapewnił sam siebie, spacerując po wyłożonym boazerią gabinecie w swojej posiadłości.

Za starannie zamkniętymi okiennicami, które nie wpuszczały tu bladego popołudniowego światła, szalała zimowa burza. Wiatr i śnieg napływały falami znad Atlantyku, uderzając w okna i dachy, w skały jego wysepki. Wysokie sosny otaczające wielką posiadłość szumiały i jęczały na wietrze. Wichura pędziła na zachód, ku wybrzeżu odległemu zaledwie o kilka kilometrów od tej skalistej wysepki, którą teraz nazywał domem.

Dragos rozkoszował się furią tej burzy. Podobna szalała w nim samym za każdym razem, kiedy pomyślał o Zakonie i ciosach, jakie zadał jego operacjom. Chciał, żeby wojownicy poczuli jego gniew, żeby wiedzieli, że kiedy wreszcie dokona zemsty - a zrobi to już bardzo niedługo - będzie ona krwawa i ostateczna. Żadnej litości, dla nikogo.

Rozmyślał o planach, jakie miał wobec Lucana i jego jak dotąd nieprzeniknionej, tajnej kwatery w Bostonie, kiedy rozległo się grzeczne pukanie do drzwi gabinetu.

- O co chodzi? - warknął zniecierpliwiony.

Drzwi otworzyła jedna z jego sług. Była to młoda i ładna kobieta, miała rudawe włosy i świeżą brzoskwiniową cerę. Znalazł ją dwa tygodnie temu w małym rybackim miasteczku,

gdzie pracowała jako kelnerka, i uznał, że może go zabawić w jego kryjówce.

I faktycznie go zabawiała.

Dragos pożywił się na niej na tyłach restauracji, za kontenerami na śmieci, które cuchnęły rybimi odpadkami. Początkowo walczyła, podrapała go po twarzy i kopnęła kilka razy, nim zdołał ją ugryźć. Wtedy wydała krótki bolesny okrzyk i spróbowała uderzyć go kolanem w krocze.

Zgwałcił ją za to brutalnie, kilka razy, i przyniosło mu to przyjemność. Potem wykrwawił ją niemal na śmierć i zmienił w to, czym była teraz - jego służkę, pozbawioną własnej woli, bezwzględnie oddaną, całkowicie zniewoloną. Już nie opierała się jego zdeprawowanej żądzy.

Weszła do gabinetu, leciutko pochylając głowę.

- Panie, mam twoją dzisiejszą pocztę, przywiezioną ze skrzynki na ładzie.

- Świetnie - mruknął, podążając za nią, gdy szła położyć koperty na wielkim biurku, stojącym pośrodku obszernego gabinetu.

Kiedy odwróciła się do niego, jej twarz była zupełnie pusta. Normalny wyraz twarzy służki, który czeka na kolejny rozkaz swego pana. Gdyby jej kazał paść na kolana i zadowolić go tu i teraz, zrobiłaby to bez sekundy wahania. Równie wielkie posłuszeństwo okazałaby, gdyby kazał jej wziąć srebrny nóż do papieru i poderżnąć nim sobie gardło.

Dragos przechylił głowę i przyglądał się jej, zastanawiając się, który z tych dwóch scenariuszy sprawiłby mu większą przyjemność. Miał już wybrać, kiedy jego wzrok przyciągnęła duża, biała welinowa koperta, leżąca na wierzchu stosu poczty. Adres nadawcy był bostoński. Jego uwagę zwróciła ręczna kaligrafia.

Odprawił służkę znudzonym gestem dłoni. Usiadł w wygodnym skórzanym fotelu, a dziewczyna bez słowa wyszła z gabinetu. Wziął kopertę i uśmiechnął się, przesuwając palcami po wykaligrafowanym na niej nazwisku, którym posługiwał się używał ostatnio, obracając się wśród ludzi.

W swoim długim życiu używał wielu fałszywych nazwisk, zarówno wśród własnej Rasy, jak i wśród ludzi. Tak wielu, że nawet nie starał się ich spamiętać. Nie miało to już znaczenia. Czas, kiedy musiał ukrywać, kim jest i do czego jest zdolny, dobiegał końca. Był tak blisko celu. Ostatnie akcje Zakonu nie były istotne. Próby powstrzymania go nic nie dadzą, zresztą i tak są spóźnione.

Zaproszenie na przyjęcie, które trzymał w ręku, było kolejnym krokiem na drodze do triumfu. Zabiegał o młodego senatora z Massachusetts już od prawie roku, śledząc każdy ruch ambitnego polityka i pilnując, by zawsze miał do dyspozycji okazały fundusz na kampanię.

Senator wierzył, że jest stworzony do wielkich rzeczy, a Dragos dokładał starań, by wspiał się tak wysoko i szybko, jak to tylko możliwe. Aż do Białego Domu, jeśli on będzie miał w tej sprawie coś do powiedzenia.

Otworzył kopertę i przeczytał zaproszenie. Ekskluzywne przyjęcie, którego celem była zbiórka funduszy na kampanię senatora. Zaproszono na nie ważnych kolegów młodego polityka oraz wpływowych darczyńców jego kampanii. Dragos za nic nie przegapiłby tej imprezy. Prawdę powiedziawszy, nie mógł się jej już doczekać.

Za kilka nocy szala przechylił się tak bardzo na jego stronę, że nikt nie zdoła go powstrzymać od urzeczywistnienia swej wizji. Z pewnością nie ludzie. Do końca nie będą wiedzieli, co się dzieje, dokładnie tak, jak zaplanował.

Zakon też będzie bezradny. Jeden z jego sług szykował już specjalną akcję przeciwko Lucanowi i jego wojownikom. Po niej z Zakonu nie ocaleje nikt, by znów wchodzić mu w drogę.

Kiedy odkładał zaproszenie na biurko, jego komputer pisnął cicho, sygnalizując, że dostał e-mail na niemożliwą do wysledzenia bezpłatną skrzynkę pocztową. Dokładnie o czasie,

pomyślai i kliknął, by otworzyć raport informatora. Wiadomość była prosta i zwięzła, jak można się spodziewać po dawnym wojskowym.

„Nieruchomość zlokalizowana.

Kontakt nawiązany.

Akcja realizowana zgodnie z planem".

Nie było potrzeby odpowiadać. Sługa znał cel swojej misji, a ze względów bezpieczeństwa adres e-mailowy, z którego nadał wiadomość, zapewne już został dezaktywowany. Dragos wyrzucił wiadomość ze skrzynki i oparł się wygodnie w fotelu.

Na zewnątrz nadal szalała burza. Zamknął oczy i słuchał jej wycia. Czuł spokój i zadowolenie. Wszystkie fragmenty jego wielkiego planu wreszcie zaczęły się układać w jedną całość.

Nazywał się Dragos i już niedługo wszyscy ludzie - i wampiry - będą mu się kłaniać jako swemu królowi i władcy.

Wszystko się zmieniło.

Ta myśl cały czas krążyła w głowie Corinne, od chwili kiedy wraz z Hunterem wylądowali w Detroit.

Dragos więził ją przez dziesięciolecia, więc teraz była zmuszona się przystosować do wielu zmian, jakie zaszły na świecie, od tego jak ludzie mówią i jak się ubierają, do tego jak żyją, pracują i podróżują. Od momentu uwolnienia miała wrażenie, jakby trafiła do innego wymiaru, jakby była obcym przybyszem, zagubionym w dziwnym świecie przyszłości.

Ale nic nie wstrząsnęło nią tak bardzo, jak jazda samochodem dostarczonym przez Zakon z lotniska do Mrocznej Przystani rodziców. Tętniące życiem centrum miasta, które pamiętała, znikło. Na niegdyś pustych terenach nad rzeką wyrosła dżungla nowoczesnych smukłych drapaczy chmur, z jaskrawo oświetlonymi biurami na wyższych piętrach. Starsze budynki najwyraźniej od dawna stały puste i popadały w ruinę. Na ulicach było niewiele ludzi, szli pospiesznie, mijając szare plamy porzuconych domów.

Nawet w ciemności kontrasty krajobrazu Detroit wydały jej się szokujące, niewiarygodne. Wciąż to samo, przecznica za przecznica. Jakby szczęście uśmiechało się do jednej działki ziemi, a odwracało od innej.

- Mój Boże - szepnęła z ulgą na widok budynku Mrocznej Przystani. - Nadal tu jest. Wreszcie wróciłam do domu...

Ale nawet tu było teraz inaczej. Corinne zaczęła niecierpliwie szarpać pas bezpieczeństwa, chciała wyrwać się jak najszybciej z tych więzów, które narzucił jej Hunter na czas podróży. Pochyliła się do przodu, wyglądając przez przyciemniane okno od strony pasażera. Kiedy tu mieszkała, nie było tej potężnej bramy ani wysokiego ogrodzenia.

Czy to wymóg niebezpiecznych czasów, czy też po jej zniknięciu jej nieugięty ojciec poczuł się tak zagrożony, że otoczył murem siebie i rodzinę, tworząc prywatne więzienie? Bez względu na przyczynę poczuła smutek na widok brzydkiej bariery okalającej niegdyś bezpieczną posiadłość.

Za bramą widać było dom z czerwonej cegły o licznych, zasłoniętych kotarami oknach. Przyćmione światło padało z nich na plac, którym kończył się długi, brukowany podjazd. Rosnące wzdłuż niego dęby były dużo wyższe niż za jej czasów, ich nagie gałęzie łączyły się ze sobą wysoko nad podjazdem niczym sklepienie. W połowie wielkiego trawnika, tam gdzie kiedyś stała kamienna fontanna, przy której bawiła się latem ze swoją młodszą siostrą Charlotte, ustawiono teraz ozdobne głazy. Okalały je owinięte na zimę krzaki, przystrzyżone w rzeźby.

Jaka wielka wydawała jej się ta posiadłość, kiedy mieszkała tu jako dziecko. Jaki magiczny i wyjątkowy wydawał jej się wtedy ten świat.

To straszne, że brała to wszystko za pewnik, a kilka lat później, jako młoda, uparta kobieta, pragnęła się stąd za wszelką cenę wyrwać.

A teraz chciała wrócić, rozpaczliwie.

Przycisnęła palce do ust, żeby stłumić szloch, który wzbierał jej w gardle.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jestem. Nie mogę uwierzyć, że wróciłam do domu.

Impuls kazał jej chwycić klamkę. Ignorując pomruk niezadowolenia beznamiętnego towarzysza, wysiadła z samochodu i przeszła kilka kroków w stronę bramy. Powiew zimnego wiatru przemknął nad zimowym krajobrazem, mroząc jej twarz i każąc się skulić w grubym wełnianym palcie.

Na plecach poczuła nagle ciepło. Wiedziała, że to Hunter stanął za nią. Nie usłyszała, jak wysiadł z samochodu, tak cicho się poruszał. Jego głos był niski i cichy:

- Powinnaś zaczekać w samochodzie, póki nie zdecyduję ze możemy iść.

Corinne podeszła do bramy. Dotknęła jej solidnych, czarnych prętów.

- Czy wiesz, jak długo mnie tu nie było? - szepnęła. Hunter nie odpowiedział, po prostu stał za nią w milczeniu. Zaciśnęła dłonie na prętach i zaśmiała się smutno, wypuszczając w powietrze obłoczek pary. - Latem minęło siedemdziesiąt Piec *M*. Możesz to sobie wyobrazić? Tyle życia mi ukradziono. Moja rodzina, tam w domu... wszyscy sądzą, że umarłam.

Bolała ją myśl o tym, co musieli przeżyć jej rodzice i rodzeństwo, kiedy znikła. Przez jakiś czas po porwaniu martwiła się, jak radzi sobie jej rodzina. Tak długo trzymała się nadziei ze będą jej szukać, że nie przestaną jej szukać, aż znajdą przede wszystkim jej ojciec. W końcu Victor Bishop to ważny człowiek w środowisku Rasy. Już siedemdziesiąt pięć lat temu był bogaty, wpływowy. Miał do dyspozycji wszelkie środki dlatego więc nie przeczesał miasta kamień po kamieniu i nie przesłuchał każdego jego mieszkańca, żeby się dowiedzieć gdzie jest jego córka?

To pytanie dręczyło ją przez całą niewolę. Nie wiedziała wówczas, co zrobił jej porywacz, aby przekonać rodzinę i wszystkich znajomych, że ona już nie żyje. Brock, który kiedyś był ochroniarzem, a obecnie wojownikiem Zakonu, opowiedział jej, co wie o jej porwaniu. Choć starał się mówić oględnie, jego słowa zmroziły ją do szpiku kości.

- Kilka miesięcy po porwaniu z rzeki, niedaleko stąd, wyłowiono ciało kobiety - powiedziała teraz cicho do Huntera. Nadal nie potrafiła uwierzyć w ten koszmar. - Była w tym samym wieku co ja, mojego wzrostu i budowy. Ktoś przebrał ją w moje ubrania, te, które miałam na sobie w dniu porwania. I zrobił coś jeszcze. Ciało zostało...

- Rozczłonkowane - dokończył Hunter, kiedy urwała. Spojrzała na niego pytająco. Obojętnie wytrzymał jej wzrok. - Brock opowiadał o twoim zniknięciu. Wiem, co zrobiono z ciałem, by nie udało się ustalić tożsamości ofiary.

Corinne opuściła twarz i ze zmarszczonymi brwiami popatrzyła na swoją prawą dłoń, tam gdzie miała charakterystyczne znamię dawczyni życia.

- Żeby przekonać moją rodzinę, że to byłam ja, zabójca odciął jej dłonie i stopy. I głowę.

Poczuła mdłości na myśl o okrucieństwie, jakiego trzeba, żeby uczynić coś takiego człowiekowi.

Oczywiście to, co Dragos zrobił jej i innym uwięzionym dawczyniom życia, było tylko odrobinę mniej ohydne. Corinne zacisnęła mocno powieki, broniąc się przed wspomnieniami, które zlatywały się z ciemności jak nietoperze. Wilgotne cele z betonu. Zimne stalowe stoły z grubymi skórzanymi pasami, którymi krępowano ją bezlitośnie. Igły i próbówki. Testy i badania. Ból i furia, i absolutna niemoc.

Okropne krzyki oszalałych, umierających kobiet i tych, które utknęły gdzieś pomiędzy szaleństwem a śmiercią.

I krew.

Tyle krwi - jej i tej, którą regularnie wlewano jej do gardła, żeby, podobnie jak pozostałe przetrzymywane kobiety,

zachowała młodość i była użyteczna dla chorych celów Dra-gosa.

Zadrżała i objęła się ciasno ramionami. Miała wrażenie że zamiast serca ma głęboką, zimną otchłań. W tej pustce czaił się boi, który od tak dawna próbowała stłumić. Od chwili uwolnienia stawał się coraz większy.

- Jest zimno - odezwał się jej nieporuszony towarzysz -Powinnaś wrócić do pojazdu, póki nie zorganizuję przekazania.

Kiwnęła głową, ale się nie poruszyła. Teraz, kiedy tu stała -teraz, kiedy chwila, o którą modliła się od tak dawna, wreszcie nadeszła - me była pewna, czy starczy jej odwagi.

- Oni myślą, że nie żyję, Hunterze. Przez cały ten czas dla nich nie istniałam. A jeśli o mnie zapomnieli? A jeśli byli szczęśliwsi beze mnie? - Opadły ją wątpliwości. - Może powinnam była skontaktować się z nimi wcześniej, przed opuszczeniem Bostonu. Może przyjazd tutaj nie był dobrym pomysłem

Odwróciła się do niego, szukając w jego twarzy zapewnienia, że jej lęki są bezpodstawne. Chciała usłyszeć że nie ma powodu panikować, chciała usłyszeć coś pocieszającego cos, co powiedziałby jej Brock, gdyby był teraz przy niej Ale wyraz twarzy Huntera pozostał nieodgadniony. Jego złociste oczy patrzyły na nią nieruchomo. Corinne odetchnęła głęboko

- Co byś zrobił, gdyby tam, w tym domu, była twoja rodzina, Hunterze?

Poruszył lekko ramionami odzianymi w czarny skórzany płaszcz.

- Nie mam rodziny.

Wyznał to obojętnie, zupełnie jakby stwierdził, że jest ciemno. Jakby to było coś oczywistego. Jego ton nie zachęcał do pytań, a jednak miała ochotę dowiedzieć się o nim więcej Nie potrafiła go sobie wyobrazić inaczej niż jako trzeźwego niemal ponurego wojownika, w czarnym stroju bojowym i z arsenałem broni wyglądającym spod płaszcza. Nie potrafiła sobie

wyobrazić, jak wyglądała jego kanciasta surowa twarz o zaciętej linii podbródka, kiedy był dzieckiem.

- Przecież musiałeś mieć rodziców - nalegała zaciekawiona. - Ktoś cię przecież wychował?

- Nie mam nikogo. - Nagle przeniósł wzrok za jej plecy. Zaciśnął zęby, zmrużył złociste oczy. - Zostaliśmy zauważeni.

Gdy tylko to powiedział, dziedziniec i podjazd zostały zalane jaskrawym światłem lamp. Było oślepiające, bezlitosne. Corinne poczuła gwałtowny niepokój, gdy z mroku czającego się za oświetlonym terenem wynurzyło się sześciu uzbrojonych wampirów. Zbliżyli się tak szybko, że ledwie mogła śledzić ich wzrokiem.

Hunter nie miał takiego problemu.

W jednej chwili znalazł się przed nią i łagodnym, choć stanowczym gestem przesunął ją za siebie, równocześnie przybierając pozycję bojową. Nie wyciągnął broni, choć ochroniarze jej ojca celowali z pistoletów prosto w jego pierś.

Jednak sam jego widok wyraźnie onieśmielił ochronę Mrocznej Przystani. Oczywiście natychmiast rozpoznali w nim wampira, a jego czarny strój i zabójcze opanowanie kazały im się domyślać w nim wojownika Zakonu.

- Opuśćcie broń - odezwał się Hunter. Jego beznamiętny spokój nigdy jeszcze nie sprawiał tak groźnego wrażenia. - Nie chcę nikogo skrzywdzić.

- To prywatna posiadłość - oznajmił jeden z ochroniarzy. - Nikt nie wchodzi tu niezaproszony.

Hunter przechylił na bok głowę.

- Opuśćcie. Broń.

Dwóch posłuchało, jakby instynktownie. Kiedy trzeci zaczął opuszczać pistolet, urządzenie przypięte do jego kołnierza zaszumiało cicho. Dobiegł z niego męski głos:

- Co się tam, u diabła, dzieje, Mason? Raportuj, już!

- O mój Boże - szepnęła Corinne. Od razu rozpoznała ten głęboki baryton, pomimo pobrzmiewającej w nim złości. Nagle

znów poczuła nadzieję, która przytłumiła wcześniejsze obawy i niepewność. Wyjrzała zza pleców Huntera.

- Tatusiu! - wykrzyknęła z ulgą.

Ochroniarze zamarli, ale kiedy spróbowała wyjść zza Huntera, jeden z nich uniósł broń. W następnej chwili Hunter znalazł się przy bramie, osłaniając ją niczym żywa tarcza, czysta siła mięśni i zabójcza determinacja.

Nie zauważyła, co takiego zrobił, że lufa pistoletu, z którego celował do niej ochroniarz, nagle została wygięta pod ostrym kątem i zablokowana między prętami bramy. Hunter obrzucił ostrzegawczym spojrzeniem resztę mężczyzn. Najwyraźniej żaden nie miał ochoty na konfrontację.

Z radia znów odezwał się głos Victora Bishopa:

- Niech ktoś mi, do diabła, powie, co się dzieje. Kto tam z wami jest?

Teraz Corinne rozpoznała wśród ochroniarzy Masona, który od zawsze należał do personelu Mrocznej Przystani. Był to miły, ale poważny wampir, przyjaciel Brocka, który lubił jazz prawie tak samo jak ona. Kiedyś pomadował mocno swoje rudawe włosy i zaczesywał modnie, gładko do tyłu. Teraz był krócej ostrzyżony, a jego duże oczy wydawały się przez to jeszcze większe.

- Panienska Corinne? - rzucił z wahaniem, patrząc na nią, jakby nie wierzył własnym oczom. - Ale... jakim cudem? To znaczy, dobry Boże... czy to... czy to naprawdę ty?

Kiedy w milczeniu kiwnęła głową, na jego twarzy pojawił się uśmiech. Wymamrotał coś, chwycił radio przypięte do klapy płaszcza i przyciągnął bliżej ust.

- Panie Bishop? Tu Mason. Jesteśmy przy bramie i... proszę pana, nie uwierzy pan, ale mamy tu przed sobą cud.

Rozdział 6

Kobieta była bezpieczna, a zatem jego misja dobiegła końca.

To właśnie powiedział sobie Hunter, kiedy Corinne Bishop przejęła ochrona jej ojca. Ochroniarze natychmiast otworzyli bramę i przeprosili za swoje wrogie zachowanie. Mason miał łzy w oczach, głos mu się załamywał, ledwie panował nad emocjami. Wciąż powtarzał, że nie może uwierzyć, że ją widzi. Wysłał przodem swoich ludzi, a sam objął Corinne za ramiona i poprowadził podjazdem w stronę domu.

Hunter stał zaraz za bramą, patrząc za nimi. Doprowadził ją bezpiecznie do Mrocznej Przystani jej rodziny, a zatem mógł teraz wrócić na lotnisko, gdzie czekał na niego samolot, i odlecieć do Bostonu. Za chwilę Corinne Bishop znajdzie się w domu, a za kilka godzin on sam podejmie pościg za Dragosem i armią zabójców z Pierwszego Pokolenia, która jemu służyła.

Jednak nadal pozostawała wizja Miry... Corinne odwróciła się i spojrzała na niego. Jej długie czarne włosy powiewały na wietrze, ich pasma przysłoniły blade policzki i czoło. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale jej słowa porwał wiatr. Czuł na sobie jej udęczony wzrok, zupełnie jakby go dotykała.

Patrzył na nią, ale tak naprawdę widział jej twarz skąpaną we łzach, zrozpaczoną, jak w wizji Miry. Słyszał jej głos, pełen strachu i cierpienia.

„Proszę, błagam cię... Kocham go... Pozwól mu żyć...”

Logika przypominała mu, że wizje Miry dotychczas zawsze się sprawdzały, ale tym razem coś go wyjątkowo niepokoiło.

Czuł, że ta wizja to zagadka, którą należy rozwiązać. Ponadto podejrzewał, że może go doprowadzić do wroga, którego należy odnaleźć i usunąć.

Ale patrząc na Corinne Bishop, podziwiając jej delikatną urodę i siłę woli, która pozwoliła jej wyjść z godnością z lochów Dragosa, nie potrafił sobie wyobrazić, że to właśnie on zada jej ogromny ból, jak było w wizji.

Szanował ją ze względu na to, co wycierpiała z rąk Dragosa. Nie chciał przysparzać jej nowych cierpień.

To właśnie ta pozbawiona logiki, nazbyt ludzka część jego duszy nakazywała mu wrócić do samochodu, zaparkowanego na podjeździe. Jeśli teraz odejdzie, istnieje duża szansa, że nigdy więcej nie spotka tej kobiety.

Jeśli wróci do Bostonu, wizja się nie sprawdzi.

Kiedy robił pierwszy krok, frontowe drzwi rezydencji otworzyły się gwałtownie. Usłyszał krzyk kobiety:

- Corinne! Muszę ją zobaczyć! Chcę zobaczyć moją córkę!

Hunter zatrzymał się i obejrzał przez ramię. Z domu wybiegła atrakcyjna brunetka. Nawet nie zarzuciła na siebie płaszcza, zapewne po prostu porzuciła to, co robiła, i wybiegła. Miała na sobie białą satynową bluzkę i wąską ciemną spódnicę. Jej wysokie obcasy stuknęły pospiesznie w kamienne płyty podjazdu, kiedy biegła, zanosząc się płaczem, ku ochroniarzom i Corinne.

Corinne wybiegła jej na spotkanie.

- Mamo!

Kobiety chwyciły się gwałtownie w objęcia, obie równocześnie śmiały się i płakały, tuliły do siebie i szeptały coś, urywając słowa.

Victor Bishop zjawił się chwilę później. Jego twarz, widoczna w świetle księżyca, była blada i nieruchoma. Zmarszczył brwi nad nieruchomymi ciemnymi oczami.

- Corinne... - powiedział zdławionym głosem. Uniosła wzrok, słysząc swoje imię, i pokiwała głową.

- To naprawdę ja, tatusiu. O Boże... Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś was zobaczę.

Hunter obserwował ich powitanie. Słyszał, jak zaskoczony ojciec Corinne usiłuje zrozumieć, co się dzieje.

- Nie pojmuję, jak to możliwe - mówił. - Nie było cię tak długo, Corinne... Umarłaś.

- Nieprawda - zapewniła go i wysunęła się z jego objęć, żeby na niego popatrzeć. - Zostałam tamtej nocy uprowadzona. Mielicie uwierzyć, że nie żyję, ale ja żyłam. Przez cały czas byłam więziona. Ale to już nie ma znaczenia. Jestem taka szczęśliwa, że znowu jestem w domu. Nigdy nie sądziłam, że będę wolna.

Victor Bishop powoli kręcił głową. Jeszcze mocniej zmarszczył brwi, wyraźnie skołowany.

- Nie mogę uwierzyć... Jak to możliwe, że stoisz tu przed nami?

- Zakon - odparła Corinne. Ponad ramionami ochroniarzy odszukała wzrokiem Huntera. - Zawdzięczam życie wojownikom i ich partnerkom. Znaleźli miejsce, gdzie byłam przetrzymywana. W zeszłym tygodniu uwolnili mnie i kilka innych kobiet i zawieźli w bezpieczne miejsce na Rhode Island.

- W zeszłym tygodniu? - powtórzył Bishop, wyraźnie zaskoczony i poruszony. - I nikt nas nie zawiadomił? Powinniśmy zostać poinformowani, że nic ci nie jest... Na litość boską, powinniśmy zostać zawiadomieni, że żyjesz!

Corinne łagodnym gestem ujęła jego dłonie.

- Chciałam wam to powiedzieć osobiście. Chciałam was widzieć, móc was objąć, kiedy będę wam mówić, co się ze mną działo. - Posmutniała, co nie uszło uwagi Huntera. - Och, tatusiu... Tyle muszę wam opowiedzieć, tobie i mamie.

Matka Corinne objęła ją i zaszlochała głośno. Victor Bishop zacisnął z całej siły zęby.

- A twój porywacz? Dobry Boże, powiedz mi, że drań, który cię nam odebrał, nie żyje...

- Wkrótce umrze - obiecał Hunter, a wówczas oczy wszystkich zwróciły się w jego stronę. - Zakon go ściga. Wkrótce ten, kto to zrobił, umrze.

Bishop zmierzył Huntera wzrokiem.

- Wkrótce to nie dość szybko, skoro stawką jest życie mojej rodziny, wojownika. - Zwrócił się do swojej obstawy: - Zamknijcie bramę i uzbrójcie alarm. Nie stójmy tak na zewnątrz. Regino, Corinne, wejdźcie, proszę, do domu. Zaraz do was dołączę.

Ochroniarze zaczęli wypełniać jego polecenie. Kiedy matka popchnęła łagodnie Corinne w stronę domu, ta wyrwała się jej i podeszła do Huntera. Wyciągnęła do niego rękę.

- Dziękuję, że mnie tu odwiozłeś.

Patrzył na nią przez chwilę, na jej delikatną dłoń. Ostrożnie ujął jej smukłe palce.

- Nie ma za co - wymamrotał, uważając, żeby nie zmiażdżyć jej drobnej ręki w swojej wielkiej łapie.

Nie przywykł do kontaktu fizycznego i nigdy nie rozumiał potrzeby okazywania wdzięczności. Zarejestrował, jak miękka jest skóra Corinne, ciepły aksamit w jego szorstkiej, przywykłej do broni ręce.

To nie powinno nic znaczyć, ale z niewiadomych powodów dotyk tej kobiety wzbudził w nim zainteresowanie. Niechciane, niczym nieuzasadnione zainteresowanie, tym bardziej że w uszach wciąż słyszał pełne bólu błaganie Corinne z wizji Miry.

„Puść go, Hunterze...

Proszę, błagam cię... Nie rób tego!

Nie rozumiesz? Kocham go! Jest dla mnie wszystkim..."

Puścił jej rękę, ale nawet po zerwaniu kontaktu fizycznego czuł ciepło jej skóry. Zacisnął dłoń w pięść.

Corinne odchrząknęła cicho, przyciskając rękę do piersi.

- Proszę, powiedz wszystkim w Zakonie, a także Andreasowi i Claire Reichenom - że będę im do końca życia wdzięczna za to, co dla mnie zrobili.

Patrzyła na niego przez długą chwilę, a potem skinęła lekko głową i odwróciła się do matki. Kiedy we dwie ruszyły do domu, w polu widzenia Huntera pojawił się Victor Bishop. Patrzył za odchodzącymi kobietami, a kiedy znalazły się poza zasięgiem głosu, zaklął cicho pod nosem.

- Nawet nie marzyłem, że nadejdzie taka chwila - mruknął, przenosząc wzrok na Huntera. - Pochowaliśmy tę dziewczynę kilkadziesiąt lat temu. Czy raczej kogoś, kogo wzięliśmy za nią. Regina tak długo wierzyła, że nastąpiła jakaś pomyłka i ciało, które moi ludzie wyłowili z rzeki, to nie była jej córka.

Hunter słuchał w milczeniu, obserwując, jak twarz Bishopa drga i czerwienieje pod wpływem emocji.

- Utrata Corinne omal nie załamała Reginy. Wciąż miała nadzieję na cud. Trzymała się jej dłużej, niż sądziłem, że to możliwe. Ale wreszcie się poddała. - Bishop przesunął dłonią po zmarszczonym czole, powoli pokręcił głową. - A teraz... dzięki Bogu i Zakonowi wreszcie doczekała się swego cudu. My wszyscy się doczekaliśmy.

Hunter nie zareagował na pochwałę, nie przyjął też wyciągniętej ręki Bishopa. Wciąż patrzył na Corinne, idącą z matką ku otwartym drzwiom domu. Nie spuścił z niej wzroku, póki nie zamknęła za sobą drzwi. Dopiero teraz miał pewność, że jego tymczasowa podopieczna znalazła się bezpiecznie na łonie rodziny.

W przedłużającej się ciszy Victor Bishop odchrząknął i opuścił wyciągniętą rękę.

- Jak mogę się odwdzięczyć Zakonowi za to, co dla nas zrobił?

- Zapewnij jej bezpieczeństwo - powiedział Hunter, po czym odwrócił się i poszedł do czekającego na ulicy samochodu.

Lucan siedział w laboratorium technicznym wraz z kilkoma członkami Zakonu i czuł, jak w żyłach pulsuje mu

wściekłość. Oparł łokcie o blat długiego stołu konferencyjnego i słuchał zdegustowany, jak Gideon referuje swoje ustalenia na temat Murdocka, agenta, który wczorajszej nocy uciekł z prywatnego klubu i jak dotąd nie dał znaku życia.

- Murdock nie tylko często odwiedza takie kluby, ale upodobał sobie karmicieli szczególnego rodzaju, to znaczy bardzo młodych. W jego aktach w Agencji jest wiele nagan za nagabywanie nieletnich, i to nie tylko nagabywanie z zamiarem pożywienia się. Są też wzmianki o przemocy wobec ludzi oraz mieszkańców Mrocznych Przystani. A pamiętajcie, że wszystko to są rzeczy wymienione w oficjalnych aktach. Jeśli pogrzebię głębiej, bez wątpienia dokopię się do prawdziwych brudów.

Gideon zhakował dane wampira z bazy danych osobowych obejmującej prawie wszystkich żyjących członków Rasy. Oczywiście nie uwzględniono w niej wyjątków, na przykład Lucana i nieznaney liczby innych wampirów z wczesnych pokoleń, urodzonych wiele wieków temu, nim pojawiły się podobne możliwości techniczne. Lucan spojrział na panel komputera, na którym wyświetlone było zdjęcie pruderyjnego ciemnowłosego mężczyzny o lepkiem, nazbyt przyjaznym uśmiechu.

- A co z jego rodziną? Jest ktoś, z kogo dałoby się wycisnąć obecne miejsce jego pobytu?

Gideon pokręcił głową.

- Nigdy nie wziął sobie dawczyni życia, a w aktach nie ma wzmianek o krewnych. I jeszcze jedno, Murdock mieszka w Bostonie dopiero od jakichś pięćdziesięciu lat. Wcześniej, mniej więcej w czasach, kiedy zaczęły pojawiać się w jego aktach wzmianki o problemach z dziećmi i przemocą, pracował w Agencji w Atlancie. Mam wrażenie, że tamtejszy dyrektor regionalny osobiście rekomendował go do awansu i przeniesienia tutaj.

Siedząca naprzeciwko niego Renata, partnerka Nikolaia, ubrana podobnie jak wojownicy w czarny strój bojowy, zmarsz-

czyła brwi. Jej długie do podbródka, ciemne włosy zakołysały się, kiedy odchyliła się w krześle i założyła ręce na piersiach.

- Nie ma łatwiejszego sposobu pozbycia się problemu, niż zapakować go i odesłać gdzie indziej. Widywałam to często u personelu sierocińców w Montrealu.

- Tego Murdocka najwyraźniej należy uciszyć - stwierdził Rio, siedzący obok Nika i Renaty. Topazowe oczy miał pełne pogardy, a blizny na lewej stronie twarzy nadawały mu złowieszczy wygląd.

Kolejny wojownik, Kade, kiwnął głową. Jego czarne włosy jak zwykle sterczały na wszystkie strony.

- Szkoda, że Hunter i Chase nie wykończyli go wczoraj w tym klubie. Mogli zrobić światu przysługę.

- Murdock to gnojek - zgodził się Lucan. - Ale jeśli jest choćby najmniejsza szansa, że ma powiązania z Dragosem i jego operacjami, musimy dopilnować, aby pożył przynajmniej tak długo, żebyśmy mogli z nich skorzystać.

- A co ze Sterlingiem? - spytała Eliza niepewnie. Spojrzała na Lucana ze swego miejsca u boku Tegana. Póki narada dotyczyła misji i konieczności odszukania agenta Murdocka, nie odzywała się, zatopiona w myślach. Teraz dała wyraz zaniepokojeniu, przygryzając wargę. Jej lawendowe oczy były pełne troski. - Zniknął niemal do bólu. Czy się do kogoś odezwał?

Przez chwilę wszyscy milczeli. Nieobecność Sterlinga Cha-se'a ciążyła nad zebraniem, a choć wszyscy o nim myśleli, nikt nie chciał poruszyć tego tematu.

- Ani słowa - oznajmił wreszcie Gideon. - W jego komórce od razu włącza się poczta głosowa. I nie oddzwania.

- Właśnie - mruknął Dante. Ze wszystkich wojowników partner Tess był najbliższym związany z Chase'em. Rok temu, kiedy Harvard wstąpił do Zakonu, rzucali się sobie z Dantem do gardeł, ale od tamtej pory zaprzyjaźnili się i stali towarzyszami broni. Jednak nawet Dante zaczynał chyba wątpić w Chase'a. -

Próbowałem się do niego dodzwonić tuż przed naradą, ale nie odbiera. Tym razem gra na ostro.

- To wcale do niego niepodobne. - Eliza rzuciła okiem na Tegana, który wziął ją za rękę. - Jest zbyt odpowiedzialny, żeby tak zniknąć bez słowa wyjaśnienia.

- Na pewno? - Pytanie Tegana zostało zadane łagodnym głosem, ale zacisnął mocno zęby i popatrzył opiekuńczo na swoją zaniepokojoną partnerkę. - Wiem, że chcesz myśleć o Chasie jak najlepiej, ale musisz spojrzeć prawdzie w oczy. Widziałaś go wczoraj, Elizo. Powiedziałaś mi, jak zachował się wobec ciebie. Czy to był ten Chase, którego znasz?

- Nie - odparła cicho, spuszczać wzrok i kręcąc jasną głową.

Wcześniej opowiedziała wszystkim o swojej konfrontacji z Harvardem, o tym, jak na nią napadł, a potem opuścił kwaterę. Lucan był zły, a Tegan jeszcze bardziej. Był wściekły na Chase'a, choć starał się traktować ostrożnie uczucia swej partnerki wobec powinowatego.

- Nie powinnam była go uderzyć - wyszeptała Eliza. - Wiedziałam, że jest zdenerwowany. Mogłam odejść i zostawić go w spokoju. Prosił mnie o to. Nie powinnam była naciskać, żeby...

- Hej - zaprotestował Tegan, czule unosząc jej podbródek. - Nie wypchnęłaś go przecież za drzwi. Sam poszedł. - Rzucił okiem na Lucana. - Spójrzmy prawdzie w oczy, Harvard już od jakiegoś czasu balansował na krawędzi. Może pora, żebyśmy powiedzieli to sobie jasno. Przestańmy go usprawiedliwiać i przyznajmy to, o czym wszyscy na pewno ostatnio myślicie.

Lucan doskonale rozumiał, o czym mówi Tegan. Ta świadomość zawisła nad zebranymi jak całun. Do diabła, przecież sam miał niedawno podobne doświadczenia. Pamiętał dobrze walkę, jaką toczył ze sobą, by nie paść ofiarą słabości dotykającej Rasę.

- Nałóg krwi - oświadczył poważnie. Popatrzył w twarze siedzących wokół stołu wojowników, bardziej świadom niż oni, oczywiście z wyjątkiem Tegana, co to znaczy uzależnić się od pragnienia. Kiedy wampir ruszy raz tą drogą, jego upadek jest zwykle szybki. A jeśli przesadzi, nie ma powrotu. - Bez obrazy, Teganie, ale mam nadzieję, że się mylisz.

Tegan wytrzymał jego spojrzenie.

- A jeśli nie?

W zapadłej ciszy rozległo się przekleństwo Dantego.

- Wszystko jedno, musimy po prostu ściągnąć go do kwatery i naprostować. Ktoś mu musi wytłumaczyć, żeby się wziął w garść, nim będzie za późno. Osobiście wbiję mu to do głowy, jeśli będzie trzeba.

Lucan chciał się zgodzić z Dantem, ale pokręcił głową.

- Chase wiedział, co robi, kiedy stąd wychodził. A jeśli nie, to z pewnością wie teraz. Mamy większe problemy niż sprzątanie po nim bałaganu. Oddalił się samowolnie, i to po sknoconej misji, która mogła się zmienić w katastrofę, gdyby na patrolu nie towarzyszył mu Hunter. Nie zapominajmy też, że Chase zawiódł podczas misji odbijania Kellana Archera. To on nie zapewnił bezpieczeństwa Lazarowi i Christopherowi. Ostatnio nawalał prawie zawsze. Szczerze mówiąc, zaczynał być dla nas ciężarem.

- Mogę go odszukać i ściągnąć do kwatery - nie ustępował Dante. - Chryste, Lucanie, to dobry wojownik. Niejeden raz ratował mi dupę i zrobił wiele dobrego dla Zakonu. Nie uważasz, że zasługuje na drugą szansę?

- Nie, skoro jego zachowanie zagraża naszym celom - odrzekł Lucan. - I nie, skoro jego nieobecność zagraża bezpieczeństwu kwatery i jej mieszkańców. Jak zauważył Tegan, nikt nie wypchnął Chase'a za drzwi. Wyszedł stąd z własnej woli.

Dante popatrzył ponuro po twarzach zebranych.

Lucan nie chciał tego robić, ale był przywódcą i ostatecznie to jego słowo było tu prawem. Żaden z wojowników nie będzie z nim polemizował. Nawet Dante, który zgarbił się w krześle, klnąc pod nosem.

Odchrząknął.

- A teraz wróćmy do sprawy Murdocka i...

Nim zdążył dokończyć myśl, przeszklone drzwi laboratorium technicznego otworzyły się z sykiem i do środka wpadła Dylan, partnerka Rio. Jej piegowata, otoczona ognistorudymi włosami twarz była blada jak kreda, a oczy pełne paniki.

- Tess mnie przysłała - wykrztusiła, zatrzymując się z poślizgiem na kamiennej podłodze. - Jest w ambulatorium. Potrzebuje pomocy, szybko!

Dante zerwał się z miejsca.

- Do licha. Czy dziecko...?

- Nie. - Dylan pokręciła głową. - Nie o to chodzi. Tess nic nie jest. To Kellan Archer. Coś mu się stało... coś poważnego. Bardzo cierpi. Nie możemy opanować konwulsji.

Spotkanie natychmiast zakończono. Wszyscy ruszyli do ambulatorium, Lucan i Dante na czele.

Dylan nie przesadziła, mówiąc, że stan Kellana Archera jest zły. Młody wampir leżał skulony na łóżku w ambulatorium, trzymał się za brzuch i jęczał z bólu.

- Mdłości zaczęły się pół godziny temu - oznajmiła Tess, kiedy cała grupa weszła do środka. Dziadek Kellana, Lazaro Archer, stał przy łóżku. Tess położyła rękę na policzku chłopca, kiedy znów zaczęły się drgawki.

- Co się stało Kellanowi? - spytała mała Mira, która stała u boku Savannah, partnerki Gideona. Dziewczynka przyciskała do piersi otwartą książkę, jakby przed chwilą ją czytała. Oczy miała wielkie i pełne niepokoju. - Czy wyzdrowieje?

- Kellana bardzo boli brzuch - wyjaśniła jej Savannah, rzucając okiem na Gideona i Lucana. Odciągnęła łagodnie małą od łóżka. Mówiła i zachowywała się bardzo spokojnie, ale jej ciemnobrązowe oczy były pełne troski.

Rzecz w tym, że nikt nie wiedział, co się dzieje z Kellanem. Zamiast dochodzić do siebie po porwaniu i torturach, jakim poddano go na rozkaz Dragosa, robił się coraz słabszy. Musiał się pożywić, z pewnością, ale nie był w stanie pójść na górę i samodzielnie znaleźć karmiciela.

Źle się stało, że Lucan był zmuszony przyjąć do kwatery Zakonu Archera i jego wnuka, kiedy Dragos zrównał z ziemią ich Mroczną Przystań i zabił wszystkich krewnych. Jeśli stan Kellana nie poprawi się szybko, będzie musiał złamać kolejną zasadę i sprowadzić do kwatery człowieka, żeby nakarmić chłopca.

Renata wzięła Mirę za rękę.

- Chodź, skarbie. Może pobędziesz teraz trochę z Savannah i ze mną? Wrócimy, jak Kellan poczuje się lepiej, dobrze?

Mira kiwnęła głową, ale cały czas odwracała się i patrzyła na chłopca, kiedy dwie dawczynie życia wyprowadzały ją z ambulatorium. Kiedy wyszły, młody wampir skulił się gwałtownie, z ust pociekła mu ślina.

- Proszę - wymamrotał Lazaro Archer. - Proszę, zróbcie coś, żeby mu pomóc. Nikt więcej mi nie został...

Z gardła chłopca wyrwał się głośny jęk. Zaczął się dławić i rzezić, a potem wychylił z łóżka i zwymiotował. Pochylił się jeszcze bardziej i zwymiotował jeszcze raz.

Dante przepchnął się do Tess i odciągnął ją na bok, zasłaniając własnym ciałem. Dylan i Rio wyjmowali z szafki ręczniki papierowe, a Eliza podeszła do chłopca i zaczęła go pocieszać i wycierać.

Jęczał, przez jego ciało przebiegały skurcze. Próbował coś powiedzieć, przeproszać, ale nie dał rady.

- Ciii - szepnęła Eliza, gładząc go po wilgotnych włosach, kiedy opadł na poduszkę. - Już dobrze, Kellanie. Nie martw się o nic. Zdrowiej.

Dylan sprzątała wymiociny z podłogi, a Rio zdejmował z łóżka pobrudzoną pościel. Lucan usłyszał nagle, jak Dylan gwałtownie wstrzymuje oddech, zamarła na czworakach.

- Chłopaki? - Wstała, trzymając w ręku kawałek brudnego ręcznika papierowego. - Chyba wiem, dlaczego Kellan chorował.

Lucan spojrział na to, co trzymała w ręku, i poczuł, że jemu też robi się niedobrze. W ręczniku papierowym leżał srebrny dysk wielkości monety.

- O Chryste - jęknął Gideon. Twarz miał bladą, kiedy wyjmował urządzenie z ręcznika. - Nie do wiary. A to skurczybyk!

- Co to jest? - spytał Tegan z niepokojem.

- To nadajnik GPS - wyjaśnił Gideon. - Przekłęte urządzenie naprowadzające. - Wczepił palce jednej ręki we włosy i odwrócił się do Lucana. - Zostaliśmy odkryci.

Lucan westchnął gwałtownie. Ogrom własnego błędu uderzył go z siłą pociągu towarowego.

Teraz wszystko nagle nabrało sensu. Porwanie Kellana Archer'a. Podejrzenie łatwe odbicie chłopca. A potem atak na Mroczną Przystań Archerów - żeby chłopiec na pewno nie miał dokąd wrócić i żeby trafił do kwatery, pod opiekę Zakonu.

Dragos zaaranżował to wszystko.

I teraz wiedział, gdzie znajduje się ich kwatera. Wiedział to od kilku dni, od chwili kiedy Lucan podjął decyzję, by wpuścić cywilów do tajnej siedziby Zakonu.

Pytanie tylko, ile pozostało czasu, zanim Dragos lub jego armia zabójców zaatakują Zakon na jego terenie.

Rozdział 7

Kochanie, jesteś głodna? Poproszę Tildę, żeby przygotowała ci coś dobrego przed kolacją, powiedz tylko słowo. Na co tylko masz ochotę...

- Nie, dziękuję. - Corinne odwróciła się od okna. Matka przyprowadziła ją do tego pokoju, a ojciec zamknął się w gabinecie i konferował z Masonem oraz pozostałymi członkami ochrony.

Zamieszanie, jakie wywołała, sprawiło, że poczuła się niepewnie. Teraz, kiedy wróciła do domu, pragnęła tylko kilku chwil sam na sam z rodzicami, żeby mogła im powiedzieć, jak bardzo za nimi tęskniła... i jak rozpaczliwie potrzebowała ich pomocy.

Kiedy matka zaczęła rozważać na głos, czy nie zadzwonić jednak do kuchni i nie poprosić o tacę z jedzeniem, podeszła do niej i wzięła ją za rękę.

- Naprawdę dziękuję. Nic mi nie jest. Nie musisz się o mnie troszczyć.

- Ale nie mogę się powstrzymać. Czy wiesz, ile razy modliłam się, żeby znów móc się o ciebie troszczyć? - Skóra Reginy była wilgotna i zimna, ręce jej się trzęsły, kiedy ścisnęła dłonie Corinne. W jej łagodnych oczach kręciły się łzy. - Dobry Boże, naprawdę tu jesteś? Patrząc na ciebie... czuję twój dotyk, widzę, że żyjesz i jesteś piękna jak zawsze, i ledwie mogę w to uwierzyć. To był koszmar, kiedy zaginęłaś.

- Wiem - powiedziała Corinne cicho. - Przykro mi, że musieliście przez to przejść.

- Lottie płakała przez wiele tygodni po twoim zniknięciu. Tak się ucieszy, kiedy się dowie, że wróciłaś.

Corinne uśmiechnęła się na myśl o spotkaniu z młodszą siostrą. Choć obie urodziły się ze znamieniem dawczyni życia,

nie łączyło ich pokrewieństwo. Mimo to były do siebie przywiązane jak rodzone siostry, być może dlatego, że jako niemowlęta zostały porzucone przez biologicznych rodziców i adoptowane przez Bishopów.

- Jest tutaj?

- Och, nie, kochanie. Charlotte ma teraz własną Mroczną Przystań, w Londynie, partnera i dwóch synów. Jej młodszy syn i jego dawczyni życia właśnie świętowali narodziny swojego pierwszego potomka.

Corinne poczuła w sercu słodko-gorzka radość. Lottie pięć lat od niej młodsza, była jeszcze chudą nastolatką, kiedy ona została porwana. A teraz miała partnera i dorosłe dzieci. Powinna się cieszyć jej szczęściem - i w głębi duszy naprawdę się cieszyła. Ale te wieści tylko podkreśliły, że pod jej nieobecność czas nie stał w miejscu.

Dużo boleśnieszka była myśl o wszystkim, co straciła - o cennych rzeczach, które jej odebrano - kiedy Dragos przetrzymywał ją w niewoli. Teraz, kiedy znów znalazła się w domu rodziców, powinna skupić się na odbudowie własnego życia.^b

- A Sebastian? - Uśmiechnęła się na wspomnienie przystojnego pilnego młodzieńca, który miał tyle cierpliwości dla przybranych sióstr. Skończył dwadzieścia lat, kiedy Corinne została porwana. Teraz zapewne miał własną Mroczną Przystań, piękną dawczynię życia i pięciu synów.

Cisza, jaka zapadła po jej pytaniu, sprawiła, że niespokojnie wstrzymała oddech.

Usta Reginy Bishop zadrżały.

- Oczywiście, ty nic nie wiesz. Straciliśmy Sebastiana z powodu nałogu krwi ponad czterdzieści lat temu.

Corinne zamknęła oczy.

- O Boże, tylko nie on!

- Wiem, kochanie. - Matka mówiła cicho, widać było że nadal oplakuje syna, choć umarł tak dawno. - Sebastian

zmienił się, kiedy znikłaś. Wiedzieliśmy, że walczy ze sobą, że nałóg krwi go niszczy, ale oddalił się od nas. Próbował ukrywać swoje problemy, nie chciał przyjąć pomocy. Pewnej nocy poszedł do miasta i zaczął zabijać. Wrócił do domu cały zalany krwią. Nikt z nas nie mógł do niego dotrzeć. Zmienił się w Szkarłatnego, nie dało się go już ocalić. Wiedział o tym. Zawsze był taki pojętny, taki mądry i wrażliwy. Zamknął się w gabinecie ojca, a chwilę później usłyszeliśmy wystrzał.

- Tak mi przykro. - Corinne objęła matkę. Poczowała ból, słysząc jej zdławiony szloch. - To musiało być dla ciebie straszne.

- Tak. - Matka popatrzyła na nią smutno i wysunęła się z jej objęć. - Póki nie straci się dziecka... a aż do dziś sądziłam, że straciłam ich dwoje... nikt nie może sobie wyobrazić, jak to jest czuć w środku taką pustkę.

Corinne milczała, niepewna, jak zareagować. Sama też nosiła w sobie tę pustkę, zniosła taką stratę, czuła ją w sobie nawet teraz. To ona przywiodła ją do domu, w jeszcze większym stopniu niż samolubne pragnienie pociechy i schronienia w ramionach rodziny.

Bez entuzjazmu, chcąc po prostu oderwać myśli, rozejrzała się po otoczeniu. Jej wzrok przewędrował po eleganckim łóżku z wiśniowego drewna, po antycznej skrzyni i toaletce, która wydała jej się znajoma mimo upływu lat. Narzuta i zasłony były inne, ściany nie były już obite połyskliwym, brzoskwiniowym jedwabiem, ale pomalowane na głęboką, matową szarość.

- To kiedyś był mój pokój - stwierdziła.

- To nadal jest twój pokój - poprawiła ją Regina, usiłując mówić wesoło. - Możemy przywrócić mu dawny wygląd, jeśli tak wolisz. Zaczniemy zaraz jutro, kochanie. Z samego rana zabiorę cię na zakupy, wybierzemy ci nowe stroje i umówimy się z dekoratorką, żeby urządziła ten pokój. Przywrócimy mu dawny wygląd i będzie tak, jakbyś nas nie opuściła ani na

chwile. Wszystko może być dokładnie takie jak kiedyś, Corinne. Zobaczysz.

Corinne nie zdawała sobie sprawy, że kręci głową, póki nie zobaczyła rozczarowania na twarzy matki.

- Nic nie będzie takie samo. Wszystko się zmieniło.

- Naprawimy to, kochanie. - Matka pokiwała głową, jakby wystarczyło samo jej przekonanie. - Jesteś znów w domu, a to najważniejsze. Nic innego się nie liczy.

- Owszem, liczy się - szepnęła Corinne. - Kiedy mnie nie było, działy się ze mną różne rzeczy. Okropne rzeczy, o których muszę ci opowiedzieć. Tobie i tacie...

Nie chciała mówić tego w ten sposób. Zamierzała usiąść z nimi obojgiem i łagodnie zapoznać ich z okolicznościami swej niewoli. Teraz jednak, widząc strach na twarzy Reginy, zrozumiała, że nie istnieje dobry sposób na przekazanie takiej prawdy.

Ktoś obcy mógłby je wziąć za siostry, gdyż obie wyglądały młodo. Ich proces starzenia zatrzymał się około trzydziestki, podobnie jak u wszystkich dawczyń życia, a to dzięki anomalii genetycznej i spożywaniu krwi partnera należącego do Rasy. Corinne miała siedemdziesiąt kilka lat, ale prawie wcale się nie postarzała. Zachowano jej młodość, gdyż tylko taka była cenna dla porywacza.

Regina Bishop dostrzegła teraz prawdę. Corinne uświadomiła sobie, że aż do tej chwili matka zachowywała się tak, jakby wcale jej nie widziała.

- Powiedz mi - poprosiła. - Powiedz mi, co się z tobą działo. Dlaczego ktoś chciał cię skrzywdzić?

Corinne powoli pokręciła głową.

- Dlaczego ktoś chciał skrzywdzić którąkolwiek z tych młodych dawczyń życia, które były uwięzione wraz ze mną? Może to szaleniec? Na pewno ktoś bardzo zły. Tylko tak można wyjaśnić to, co nam robił. Tortury i eksperymenty...

- Och, córeczko! - wykrzyknęła Regina i głos na chwilę uwiązał jej w gardle. - Przez cały czas? Cierpiałas przez tyle lat? Dlaczego?

- Wykorzystywano nas w bardzo szczególnym celu - odparła Corinne drewnianym głosem. - Ten, kto nas porwał, ten, kto nas zamknął w ciemnym lochu i traktował jak bydło, potrzebował naszych ciał, żeby wyhodować sobie armię. Nie byliśmy jego jedynymi więźniami. Miał jeszcze jednego więźnia, stworzenie, o którym opowiadał Sebastian, kiedy chciał nastraszyć Lottie i mnie.

Regina zbladła.

- Co ty mówisz?

- W tym laboratorium był uwięziony Prastary - wyznała, nie zwracając uwagi na jęk Reginy. - Nasz porywacz wykorzystywał do eksperymentów również jego. I do rozmnażania, żeby dał mu wampiry z Pierwszego Pokolenia, które wychowywał na swoje sługi... czy raczej niewolników.

Przez długą chwilę jej matka tylko patrzyła na nią, oniemiała i blada. Po jej policzku spłynęła łza.

- Och, moje biedactwo...

Corinne odchrząknęła. Skoro powiedziała już tyle, musi dobrać do końca.

- Walczyłam z całych sił, ale byli ode mnie silniejsi. Zabrało to wiele czasu, ale wreszcie, trzynaście lat temu, na ile jestem w stanie to ocenić, dostali ode mnie to, czego chcieli. - Musiała zaczerpnąć głęboko tchu, żeby to oznajmić. - Kiedy trzymano mnie w tym okropnym laboratorium, urodziłam syna. Gdzieś po świecie chodzi moje dziecko. Zabrano mi je zaraz po urodzeniu. Teraz, kiedy jestem wolna, zamierzam je odzyskać.

Coś było nie tak.

Kiedy Hunter zaparkował samochód w prywatnym hangarze na lotnisku, cały czas myślał o spotkaniu Corinne z rodziną.

Nie rozumiał, dlaczego instynkt każe jego myślom krążyć wokół Victora Bishopa. Czuł się jak ogar na tropie, który prawie całkiem ostygł. Prawie, ale nie do końca.

W reakcji Bishopa na widok Corinne było coś fałszywego. Choć niewątpliwie był zaszokowany i poruszony.

Jak każdy przywódca Mrocznej Przystani niepokoił się sprawami bezpieczeństwa osób, które miał pod opieką. Zachowywał ostrożność, tak jak należało się tego spodziewać. Jednak Hunter wyczuł w Bishopie coś jeszcze, coś, co kryło się głębiej niż jego zaskoczenie i ulga na widok Corinne.

Kiedy patrzył na córkę, jego spojrzenie było nieobecne. Wahał się, wydawał się myśleć o czymś innym, nawet kiedy ją tulił i mówił jej, jaka to ulga znowu ją widzieć. Victor Bishop coś ukrywał. Nie był szczery wobec Corinne. Hunter był tego pewien.

No ale z drugiej strony, czy on potrafił osądzać sposoby okazywania uczuć?

Wychowano go, by posługiwał się logiką, a nie uczuciami. Uczono go walki, pogoni, podstępów i niszczenia wskazanego celu. W tych sprawach był ekspertem i takie właśnie zadania czekały go w Bostonie - pogoń za agentem, który uciekł z klubu w Chinatown, oraz unicestwienie Dragosa i nieznaney liczby wychowanych przez niego zabójców.

Niemniej...

Podejrzenia dręczyły go nadal, kiedy wysiadł z samochodu i ruszył w stronę prywatnego odrzutowca, czekającego w hangarze. Na schodki cessny wyszedł jeden z pilotów i przywitał go z uprzejmym uśmiechem.

- Witamy z powrotem, panie Smith - powiedział. On i drugi pilot należeli do tajnego personelu lotniczego utrzymywanego przez Zakon. Hunter nie orientował się, jak był zorganizowany, wiedział jednak, że ludzie, którzy pilotowali samoloty wyłącznie dla Zakonu, byli mistrzami w zawodzie i otrzymywali zbyt dobre wynagrodzenie, by stawiać jakiegokolwiek pytania na temat swych latających wyłącznie nocą klientów. - Mamy zgodę na start, gdy tylko będzie pan gotowy.

Hunter lekko kiwnął głową, nadal niespokojny. Zaczął wchodzić po schodkach do samolotu i właśnie wtedy uświadomił sobie, co go dręczy.

Słowa Victora Bishopa.

„A twój porywacz? Dobry Boże, powiedz mi, że drań, który cię nam odebrał, nie żyje...”

Choć ani Corinne, ani Hunter nie wspomnieli, gdzie przebywała przez te lata ani kto ją przetrzymywał, Victor Bishop mówił tak, jakby wiedział, że odpowiedzialność za jej zniknięcie ponosi konkretna osoba.

Ktoś, kogo wyraźnie się obawiał. „Panika”, takie określenie nasunęło się Hunterowi na wspomnienie pospiesznych rozkazów, jakie Bishop wydawał ochronie, i tego, jak szybko kazał Corinne i swojej dawczyni życia wracać do domu. Teraz przyszło mu do głowy, że Bishop zachowywał się jak ktoś, kto szykuje się do oblężenia.

Pytanie brzmiało: dlaczego?

- Czy coś się stało, panie Smith?

Hunter nie odpowiedział. Zbiegł ze schodków samolotu i przemknął przez hangar, tupiąc głośno po betonowej podłodze. Wsiadł do samochodu i zapalił silnik.

Czarny sedan obudził się do życia i z piskiem opon wystrzelił z hangaru. Hunter wracał do Mrocznej Przystani Bishopa poznać ciemne sekrety, które ukrywał jej gospodarz.

Rozdział 8

Corinne siedziała z matką przy stole w jadalni i z roztargnieniem obserwowała, jak Tilda wnosi kolejne półmiski. Jedzenie wyglądało wspaniale, pachniało jeszcze lepiej, ale jakoś nie miała apetytu. Wzrok cały czas uciekał jej w stronę korytarza, w którego głębi widać było zamknięte drzwi gabinetu ojca.

- Jestem pewna, że za chwilę skończy, kochanie - odezwała się Regina i uśmiechnęła się do niej. - Nie pozwoliliśmy nam czekać i zmarnować cudowny posiłek, który przygotowała nam Tilda.

U szczytu stołu stało puste krzesło ojca. Przygotowano mu nakrycie, choć jedynie pro forma; żaden członek Rasy nie jadł ani nie pił jak człowiek. Corinne patrzyła na puste mahoniowe krzesło, próbując siłą woli oderwać Victora Bishopa od jego zajęć i sprowadzić tutaj, na miejsce przeznaczone dla głowy i obrońcy rodziny.

- Może zaczniemy od zupy? - zaproponowała Regina, unosząc pokrywkę dużej srebrnej wazy, która stała na stole między nimi. Z naczynia uniósł się wspaniały aromat. Zanurzyła w zupie łyżkę wazową i naląła porcję Corinne. - Czyż nie pachnie przepysznie? To bardzo delikatny bulion wołowy z szalotkami i grzybami.

Corinne wiedziała, że matka usiłuje tylko okazać jej troskę i nadać sytuacji pozory normalności, choć nic nie było normalne. Patrzyła, jak porcelanowy talerz napełnia się aromatyczną zupą, i miała ochotę krzyczeć.

Nie mogła jeść w tej chwili. Niczego nie była w stanie robić, póki nie porozmawia z ojcem i nie usłyszy z jego ust zapewnienia, że nikt - nawet ten sadystyczny potwór, Dragos -nie będzie rozdzielać jej dłużej z jej dzieckiem. Póki tego nie usłyszy i nie uwierzy, że odszukanie syna jest możliwe, nic nie będzie miało dla niej znaczenia.

- Może porozmawiam z nim w jego gabinecie - postanowiła, wstając od stołu.

Matka odłożyła łyżkę i zmarszczyła cienkie brwi.

- Kochanie, co się dzieje?

Corinne wyszła z jadalni i przecięła korytarz, nerwowo wyłamując sobie palce.

Kiedy zbliżyła się do drzwi prywatnego gabinetu Victora Bishopa, ze środka dobiegł ją dźwięk tłuczonego szkła.

- Tatusiu? - Natychmiast poczuła niepokój. Zastukała kilka razy do drewnianych drzwi. Jej pukanie było pełne paniki i wahania, gdyż nagle ogarnął ją strach. Ze środka dobiegały ją inne odgłosy walki - szelest spadających papierów, stłumiony jęk. - Tatusiu, czy wszystko w porządku?

Nacisnęła klamkę i pchnęła lekko drzwi. Na szczęście nie były zamknięte. Matka i dwóch ochroniarzy ojca, Mason i jakiś inny wampir, znaleźli się za jej plecami.

Ich oczom ukazał się przerażający widok. Victor Bishop został przyciśnięty do blatu biurka, ubrany na czarno napastnik trzymał go ręką za gardło i dusił. Był ostatnią osobą, jaką Corinne spodziewała się zobaczyć w takiej sytuacji.

- Hunter - szepnęła z niedowierzaniem i obawą. Matka krzyknęła, po czym wybuchła płaczem.

Mason i jego towarzysz poruszyli się niespokojnie za plecami Corinne. Czuli ich napięcie, wiedziała, że oceniają swoje szanse w starciu z takim przeciwnikiem. Nie były wielkie.

Dostrzegła tę prawdę w pozbawionej uczuć twarzy Huntera. Wyraz jego złocistych oczu był zabójczo chłodny. W jednej chwili zrozumiała, że ten wampir jest gotów bez wahania i obojętnie odebrać życie jej ojcu. Wystarczyło, by zacisnął mocniej palce, a Victor Bishop umrze.

Poczuła, jak pod wpływem przerażenia budzi się w niej uśpiona siła. To był jej wrodzony dar, energia sonokinetyczna,

dzięki której mogła wzmacniać nawet najcichszy dźwięk do ogłuszającej mocy. Wzbierała w niej teraz, gotowa do wykorzystania. Ale nie mogła tak zaryzykować, skoro Hunter trzymał jej ojca za gardło.

Kiedy Mason poruszył się, gotów sprawdzić determinację Huntera, Corinne pokręciła lekko głową.

Była zaskoczona, zdezorientowana. Co Hunter robił w ich Mrocznej Przystani? Nie było wątpliwości, jak dostał się do środka - ciężkie kotary, zasłaniające przeszklone drzwi do gabinetu, falowały na zimowym wietrze. Włamał się tu w złych zamiarach.

- Dlaczego? - wyszeptała. - Hunterze, o co chodzi?

- Powiedz jej. - Hunter zwrócił bezlitosne spojrzenie z powrotem na jej ojca. Victor Bishop zakrztusił się, usiłował oderwać od szyi jego palce, ale bezskutecznie. Rozluźnił więc mięśnie, głowa znów opadła mu na biurko, czemu towarzyszył bezradny jęk. Hunter nawet nie mrugnął. - Wyznaj jej prawdę albo zabiję cię, tu i teraz.

Puls walił Corinne w skroniach, wnętrzości skręcał strach. Nie wiedziała, co wywołało większy niepokój - śmiertelne zagrożenie, w jakim znalazł się wampir, który ją wychował, czy lęk, czający się na skraju świadomości. Wiedziała, że Hunter nie jest osobą, która działałaby pod wpływem impulsu.

Nie, on wszystko robił celowo. Nie знаła go zbyt długo, ale wyczuwała w nim zimną, spokojną rezerwę, która nie pozostawiała miejsca na nieracjonalność czy błędy.

Fakt, że jej ojciec wzbudził gniew tego wojownika, sprawił, że żołądek zacisnął się jej boleśnie. Poczowała głęboką, intuicyjną pewność, że jej świat za chwilę rozpadnie się na kawałki. Wątpiła, czy to zniesie. Nie po tym wszystkim, co przeszła. Nie po tym, co przeżyła.

- Nie - zażądała, chcąc wyprzeć to uczucie, choć wiedziała, że nie zdoła. - Proszę, Hunterze... nie rób tego. Proszę, puść go.

Przechylił lekko głowę, kiedy Corinne się odezwała. Coś dziwnego przemknęło przez jego twarz, jakby na moment się rozproszył. Być może ogarnęły go wątpliwości? Ale nie puścił jej ojca, tylko zmarszczył lekko brwi.

- On wie, co ci się przydarzyło tej nocy, kiedy znikłaś, i kto cię porwał. Wie dużo więcej.

- Nie. To niemożliwe. - Jej głos to był zaledwie szelest powietrza wypuszczanego z płuc. - Mylisz się, Hunterze. Popełniasz okropny błąd. Tatusiu, proszę... powiedz mu, że się myli.

Ciało Victora Bishopa zrobiło się jeszcze bardziej bezwładne. Pocił się, drżał, poddał się zupełnie Hunterowi. Jego piękna twarz, która budziła w Corinne taki zachwyt, kiedy była dzieckiem, teraz obwisła, pokryta kropelkami potu. Ich oczy spotkały się na chwilę, a wtedy wykrztusił coś, co zabrzmiało jak przeprosiny.

Corinne zaniemówiła, poczuła, jak cała krew odpływa jej z głowy. Jej ciężar spłynął do stóp, niemal powalając ją na kolana. Powietrze wokół Masona i jego towarzysza wyraźnie stężało, obaj czekali, aż sytuacja sama się rozwiąże.

Wyczuwała u swego boku drzenie matki, równie wytrąconej z równowagi jak ona.

- Victor nie mógł nic wiedzieć - wykrztusiła Regina. Zakryła usta ręką, delikatną jak skrzydło ptaka. Po chwili ręka opadła bezwładnie. - Przecież rozpaczałeś, kiedy znikła. Byłeś załamany, jak my wszyscy. Nie mogłeś udawać tych uczuć. Jesteśmy związani krwią... wiedziałabym, gdybyś nie był szczery.

- Tak - zdołał wychrypieć. Corinne zauważyła, że Hunter rozluźnił chwyt, ale tylko na tyle, by pozwolić swej ofierze odetchnąć. Victor Bishop był nadal unieruchomiony, zdany na jego łaskę i niełaskę. - Tak, Regino, rozpaczałem. Byłem załamany po jej porwaniu. Staralem się za wszelką cenę chronić rodzinę. I to właśnie zrobiłem. Chciałem tylko ocalić resztę rodziny, więc nie miałem innego wyboru, jak zachować milczenie.

Corinne zamknęła oczy, usiłując pojąć jego słowa, tak niespodziewane i pełne goryczy. Nie mogła nic powiedzieć. Uniosła powieki i napotkała spokojne złociste spojrzenie wojownika, którego twarz nie ujawniała ani zaskoczenia, ani współczucia. Jedynie surowe zrozumienie.

- Nie miałem wyboru - powtórzył Victor Bishop. - Nie miałem pojęcia, że zemści się na mnie w taki sposób. Musisz mi uwierzyć...

- Victorze - jęknęła Regina. - Co ty mówisz?

Bishop spojrzał na swoją dawczynię życia, która była jego partnerką od ponad stu lat.

- Oznajmił, że tak czy inaczej będzie miał moje poparcie, Regino. Myślałem, że jestem od niego sprytniejszy. Wiedziałem, że mam lepsze powiązania. Ale widzisz, on tego właśnie ode mnie chciał, moich powiązań. Potrzebował mojego poparcia, żeby awansować szybciej w Agencji.

Kiedy ojciec Corinne rozpoczął to zenujące wyznanie, Hunter wydał niski pomruk.

Nie, poprawiła się natychmiast w myślach Corinne. Victor Bishop nie jest jej ojcem. To dla niej obcy, stał się nim przed chwilą, a nie przez te lata, kiedy była więziona.

- Groził mi, kiedy nie chciałem się do niego przyłączyć - wychrypiął Bishop głosem niskim z rozpacz. - Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, do czego jest zdolny. Mój Boże, skąd miałem wiedzieć, że posunie się do czegoś takiego?

- Kto ci groził, Victorze? - spytała Regina, a z jej głosu i zachowania znikło wahanie. - Kto ukradł nam córkę?

- Urko Mapn.

- Dyrektor Mapn? - zdumiała się Regina. - Bywał w tym domu wiele razy i przed zniknięciem Corinne, i potem. Na Boga, Victorze, to było pięćdziesiąt lat temu, ale nadal pamiętam, że przemawiałeś podczas ceremonii, kiedy został wybrany do wysokiej rady Agencji. Chcesz powiedzieć, że miał z tym coś wspólnego?

Corinne zmarszczyła brwi. Poczowała się zdezorientowana, choć nieznane nazwisko zrodziło dziką, desperacką nadzieję. Może nastąpił tu

jednak jakiś błąd? Skoro ojciec nie wiedział, że porwał ją Dragos, może nie ubrudził sobie rąk tak, jak się obawiała?

Ale surowe spojrzenie Huntera pozbawiło ją nawet tej drobnej nadziei. Lekko pokręcił głową, jakby znał kierunek jej myśli.

- Dragos używał wielu fałszywych nazwisk. Również i tego. Urko Mapn i Dragos to jedna i ta sama osoba.

Corinne spojrzała na Bishopa, szukając choć odrobiny szczerości w twarzy, której już nie знаła.

- Czy wiedziałeś o tym? Czy miałeś świadomość, że człowiek, którego nazywałeś Urkiem Mapnem, to tak naprawdę potwór o imieniu Dragos?

Zmarszczył brwi, jego oczy były puste.

- Przekazałem wam wszystko, co wiem.

- Nie - szepnęła. - Nie powiedziałeś wszystkiego. Wiedziałeś, co się ze mną stało, ale nie szukałeś mnie. Czekałam. Modliłam się. Mówiłam sobie, że nie spocznesz, póki mnie nie znajdziesz. Póki mnie nie uwolnisz i nie zabierzesz do domu. Ale nikt po mnie nie przyszedł.

- Nie mogłem - odrzekł. - Mapn zagroził, że jeśli wystąpię przeciwko niemu, zada mi jeszcze większy cios. Mówił, że jeżeli przestanę go popierać albo spróbuję ujawnić, co zrobił, by osiągnąć swoją pozycję w Agencji, cena za moją zdradę będzie dużo większa. Musisz zrozumieć, wszyscy musicie zrozumieć, że postąpiłem tak, żeby chronić rodzinę, to, co z niej zostało.

Regina wciągnęła głośno powietrze.

- I po prostu pozwoliłeś mu przetrzymywać naszą córkę? Corinne jest członkiem rodziny... jest naszym dzieckiem, do cholery! Jak mogłeś postąpić tak bez serca?

- Nie pozostawił mi wyboru - ciągnął Bishop, a jego wzrok znów powędrował ku Corinne. - Mapn oświadczył, że jeśli

spróbuję ciebie szukać, w następnej kolejności będę opłakiwał Sebastiana. Więc milczałem. I byłem mu posłuszny. - Głos załamał mu się na chwilę. - Przepraszam, Corinne. Musisz mi uwierzyć, że...

- Nigdy ci już nie uwierzę - odparła. Owszem, była zraniona, ale bynajmniej nie załamana.

Przeżyła gorsze rzeczy. Czowała się wstrząśnięta i oszołomiona jego zdradą, ale nadal miała przed sobą długą i mroczną drogę.

Kiedy tak stała, próbując objąć umysłem wszystko, co tu usłyszała, nagle znów poczuła przerażenie.

- Ta dziewczyna... - podjęła, a kolejne kawałki układanki odnajdywały swe miejsca w jej umyśle. - Kiedy mnie porwano, wyłowiono z rzeki dziewczynę...

Victor Bishop wytrzymał jej spojrzenie.

- Nie było cię, a Mapn powiedział wyraźnie, że nigdy nie wrócisz. Póki twój los pozostawał nieznany... póki była nadzieja, że możesz żyć...

Prawda zalała ją jak płynny ołów, ciężki i zimny.

- To ty chciałeś wszystkich przekonać, że umarłam. Boże... kazałeś zabić niewinną dziewczynę. Kazałeś ją pociąć na kawałki, żeby ukryć własne grzechy!

- Była nikiem - zaprotestował Bishop, jakby można było usprawiedliwić morderstwo. W jego głosie pojawił się gniew. -Zwykły śmieć, sprzedawała się w porcie na godziny.

- A co ze mną? - spytała Corinne równie gniewnie. Złość zaczęła się z niej wylewać. - Ja też musiałam być dla ciebie nikiem. Pozwoliłeś mi mnie zabrać, przetrzymywać mnie tyle lat jak zwierzę w klatce. Gorzej niż zwierzę. Czy zastanawiałeś się kiedyś, jaki jest mój los w jego rękach? Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że może mnie torturować, poniżać... niszczyć mnie, kawałek po kawałku? Czy wyobrażałeś sobie kiedyś, do jakich potworności jest zdolny taki sadystyczny szaleniec?

Regina Bishop wybuchła płaczem. Bishop milczał, tylko patrzył bez wyrazu na Corinne i swoją życiową partnerkę.

- Pozwól mi wstać - zawarczał do Huntera, który ponownie zacisnął palce na jego szyi. - Powiedziałem: puść mnie! Dostałeś, czego chciałeś. Dostałeś wyznanie, po które przyszedłeś.

Hunter pochylił się nad nim.

- A teraz powiesz mi wszystko, co wiesz o Urku Mapnie. Muszę wiedzieć, gdzie jest i kiedy ostatni raz się z nim spotkałeś. Muszę wiedzieć, kim są jego wspólnicy w Agencji i poza nią. Opowiadaj ze szczegółami. Już.

- Nic więcej nie wiem - rzucił ostro Bishop. - Nie widziałem go od dziesięciu lat. Nie mam nic więcej do dodania, przysięgam.

Ale Hunter nie wyglądał na przekonanego i najwyraźniej nie zamierzał wypuścić Bishopa ze swego morderczego chwytu, nawet jeśli udzieli mu wszystkich odpowiedzi. Corinne wyczytała zabójcze zamiary w tych spokojnych, nieugiętych oczach.

Bishop też je wyczuł. Zaczął się wrywać. Próbował kopać i zrzucił na podłogę stos oprawionych w skórę książek.

Talent Corinne, który zbudził się w jej żyłach, wychwycił dźwięk spadających woluminów. Nie mogła się powstrzymać. Hałas wzmagął się szybko, aż wybuchł w przeciągły grzmot, który zatrzęsł pokojem.

- Corinne, przestań! - krzyknęła jej matka, zasłaniając uszy. Grom trwał i trwał, przybierając na sile.

W narastającym hałasie Bishop wyszczerzył zęby, ukazując czubki wysuwających się kłów. Wściekłość i strach przemieniły jego oczy, które z brązowych stały się bursztynowe. Jego źrenice zwięzły się w wąskie szparki jak u kota.

Tylko Hunter pozostał spokojny, całkowicie opanowany. Wybuch energii sonokinetycznej zwrócił jego uwagę w minimalnym stopniu, wampir odciął się zupełnie od hałasu. Jego

oczy zachowały złocistą barwę, szczupła kanciasta twarz miała wyraz skupienia, a nie wściekłości. Zaciśnął mocniej palce na szyi Bishopa.

Corinne otworzyła usta, zdyszana. Chciała opanować swój dar, zamierzała krzykiem zakończyć to szaleństwo. Ale pierwsza przemówiła Regina:

- Henry Vachon.

Victor zawarczał. Trudno było stwierdzić, czy jego gniew został skierowany teraz na jego prześladowcę, czy partnerkę. Regina odwróciła wzrok, zadarła podbródek i zwróciła się bezpośrednio do Huntera:

- Pamiętam jeszcze jednego wampira, również z Agencji. Prawie zawsze tkwił u boku Mapna, kiedy ten występował publicznie. Nazywał się Henry Vachon. Pochodził gdzieś z Południa... o ile dobrze pamiętam, z Nowego Orleanu. Jeśli chcesz odnaleźć Urka Mapna, czy jak on się teraz nazywa, zacznij od Henry'ego Vachona.

Hunter skinął lekko głową, ale nadal trzymał Bishopa za gardło.

- Puść go - odezwała się Corinne cicho. Przepelniała ją pogarda dla Bishopa, ale w jej sercu nie było żądzy zemsty. Nawet wobec ojca, który tak bezdusznie ją zdradził. - Proszę, Hunterze... puść go.

Rzucił jej to samo dziwne spojrzenie co wcześniej, kiedy po raz pierwszy wstawiła się za Bishopem. W jego oczach coś przemknęło, jakby pytanie, chwila niepewności czy oczekiwania.

- Nie jest tego wart - dodała. - Pozwól mu żyć z tym, co zrobił. Dla mnie już nie istnieje.

Kiedy Hunter zwolnił chwyt, Bishop osunął się na podłogę, kaszląc i plując. Twarz Reginy była ściągnięta bólem, zaczerwieniona od płaczu. Znów zaczęła szlochać, przepraszając Corinne, błagając ją o wybaczenie za to, co uczynił Victor. Próbowwała wziąć córkę w ramiona, ale Corinne nie mogła znieść myśli, że ktoś mógłby jej w tej chwili dotknąć.

Cofnęła się gwałtownie. Czuła się uwięziona w tym pokoju, dusiła się w zamkniętej Mrocznej Przystani, która nie była już jej domem i nigdy nim nie będzie. Miała wrażenie, że ściany na nią napierają, a podłoga faluje pod jej nogami. Zrobiło jej się niedobrze, w głowie się kręciło.

Musiała się stąd wydostać.

Mason wyciągnął rękę, by ją podtrzymać, kiedy ruszyła chwiejnie ku drzwiom gabinetu. Usunęła się przed jego dotykiem, unikając współczującej dłoni i pełnych litości oczu.

- Muszę odetchnąć świeżym powietrzem - szepnęła, dysząc z wysiłku.

- Nie mogę... Muszę się stąd... wydostać.

A potem zaczęła biec.

Przez korytarz wielkiego domu, a następnie przez podjazd. Gdzieś z niedaleka dobiegły ją tony wesołych kolęd, ale tylko pogłębiły jej smutek. Oddychała szybko zimnym powietrzem, biegnąc po odśnieżonym podjeździe.

Rozdział 9

Corinne stała przy zamkniętej bramie prowadzącej na ulicę, kiedy Hunter wyszedł z Mrocznej Przystani. Wydawała się bardzo mała i delikatna pomimo siły, jaką okazała w tak trudnej sytuacji. Sama w ciemności. Nagle dotarło do niego, jak bardzo musi cierpieć. Trzęsła się, przytłoczona bólem, którego mógł się tylko domyślać. Ścisnęła rękami pręty bramy, zgarbiona, z opuszczoną głową.

Płakała cicho, kiedy podszedł bliżej. Jej oddech zmieniał się w białe obłoczki pary na czarnym tle. Szlochała, pogrążona

w niemym bólu. Nie wiedział, co powiedzieć. Nie miał dla niej słów pociechy, nie miał pojęcia, co chciałyby usłyszeć.

Wyciągnął rękę, zamierzając położyć ją na jej drżącym ramieniu, tak jak to podpatrzył u innych w podobnych sytuacjach. Z niewyjaśnionych powodów poczuł potrzebę dzielenia jej bólu. Wydawała mu się w tej chwili taka samotna, że chciał jej okazać, iż zdaje sobie sprawę, co właśnie straciła.

Zauważyła jego obecność, nim zdążył dotknąć jej ręki.

Pociągnęła nosem, uniosła twarz i obejrzała się przez ramię.

- Czy coś... mu zrobiłeś? Hunter powoli pokręcił głową.

- Żyje, choć nie rozumiem, dlaczego jego śmierć była dla ciebie nie do przyjęcia.

Jej cienkie brwi zjechały się nad nosem.

- Kiedyś mnie kochał. Jeszcze dzisiaj uważałam go za ojca Jak mógł mi to zrobić?

Hunter patrzył w jej płonące oczy, rozumiejąc, że nie oczekuje od mego odpowiedzi. Musiała wiedzieć, podobnie jak on ze tchórzostwo Victora Bishopa okazało się silniejsze niż jego związek z dzieckiem, które przyjął do swego domu jako własną córkę.

Corinne spojrzała za jego plecy w ciemność.

- Jak mógł żyć sam ze sobą przez cały czas, wiedząc, co zrobił... nie tylko mnie, ale reszcie rodziny... swoim kłamstwem? Jak mógł spać po zamordowaniu tej dziewczyny, której zwłoki wykorzystał w swoim oszustwie?

- Nie zasługuje na litość, jaką mu dziś okazałaś - odparł Hunter. W jego słowach nie było wyrzutu, tylko proste stwierdzenie faktu. - Wątpię, czy okazałby ci takie same względy.

- Nie chcę, żeby umarł - szepnęła. - Nie mogłabym tego zrobić mojej matce, to znaczy Reginie. Będzie musiał patrzeć jej w oczy po tym wszystkim. To gorsze niż śmierć z ręki Zakonu.

Hunter chrząknął, nieprzekonany. Darował życie Victorowi Bishopowi ze względu na prośbę jego córki. Był zaskoczony, gdy poprosiła, by go oszczędził. A nie powinien. W końcu Mira przewidziała to w swojej wizji.

Jednak wizja nie ziściła się tak dokładnie, jak się spodziewał. Cała sytuacja wydawała się jakby inna. Corinne była inna, nie błagała go w rozpacz, tylko ze znużeniem.

I nie tylko to, pomyślał. Wynik wizji też był inny, niż pokazały mu oczy dziecka. Wstrzymał rękę. Wydarzenia uległy zmianie. Jeszcze nigdy tak się nie stało.

Wszystko przebiegło nie tak, jak powinno.

Coś go ciągnęło z powrotem do Mrocznej Przystani. Uczono go, by nigdy nie zostawiać niedokończonych spraw, które później mogłyby się na nim zemścić. Widział dziś złamanego człowieka, kogoś, kto okazał się uległy i słaby. Dragos wykorzystywał te jego cechy przez wiele lat. A choć dziś Victor Bishop sprawiał wrażenie słabego, pomimo swego bogactwa i stosunków, doświadczenie Huntera domagało się dokończenia zadania.

Znając niezwykły dar małej Miry, nie mógł pojąć, jak to możliwe, że nie odrzucił próśb Corinne i nie zadał ostatecznego ciosu.

Przez bramę przeleciał podmuch lodowatego wiatru i Corinne zadrżała.

- Muszę się stąd wydostać - wydusiła, patrząc za bramę. - Nie przynależę tutaj. Już nie.

Chwyliła pręty obiema rękami i ciągnęła coraz mocniej, a z jej gardła dobywał się pozbawiony słów krzyk. Odrzuciła w tył głowę i wyła w czarne, pełne gwiazd niebo.

- Wypuście mnie stąd, do cholery! Muszę stąd wyjść, natychmiast!

Hunter stanął za nią i położył dłonie na jej rękach. Uspokoila się, jej ciało znieruchomiało napięte jak struna. Choć drżała, czuł jej ciepło na piersi. Ciepło żywej istoty, niemal

niemożliwą do zniesienia obecność, która sprawiła, że wszystkie jego zmysły nagle obudziły się do życia.

Corinne też musiała to poczuć. Wyrwała mu rękę i założyła na piersiach. Uświadomił sobie, jak blisko siebie stoją, ledwie kilka centymetrów dzieliło jego tors od jej pleców, gdy otaczał ją ramionami.

Była taka mała i delikatna, a jednak promieniowała z niej buntownicza energia. Nęciła go, prowokowała, by nią odetchnąć, by znów poczuć jej niewiarygodnie miękkie dłonie w swoich i sprawdzić, czy jej włosy będą jak jedwab na jego zarośniętym policzku.

Nie przywykł do odczuwania pokus, a tym bardziej do poddawania się im. Dlatego stał nieruchomo, ignorując nagle przyspieszenie pulsu i żar, który płynął w jego żyłach.

Kiedy Corinne wymknęła mu się, poczuł ulgę. Zimne powietrze wypełniło przestrzeń między jego ramionami. Chwycił za skraj skrzydła bramy i odgiął je na tyle, by oboje mogli przejść na drugą stronę.

W Mrocznej Przystani natychmiast włączył się alarm. Zapaliły się jaskrawe światła, kąpiąc w upiornym blasku ogrodzenie i dziedziniec.

Corinne spojrzała na niego.

- Zabierz mnie stąd. Nie obchodzi mnie dokąd, po prostu zabierz mnie stąd, Hunterze.

Kiwnął z powagą głową, po czym wskazał gestem samochód, który zostawił na ulicy, kiedy wrócił porozmawiać z Bishopem. Pobiegli razem, Corinne wskoczyła na siedzenie pasażera, a Hunter wsiadł za kierownicę.

Ruszył, mimowolnie zauważając, że jego pasażerka ani razu nie obejrzała się na Mroczną Przystań. Siedziała sztywno w fotelu, wbijając wzrok w przestrzeń.

Jechali w milczeniu przez dwadzieścia minut, aż znaleźli się w spokojnej części miasta, gdzie można było zaparkować.

- Muszę się zameldować - powiedział Hunter, wyjmując telefon z kieszeni skórzanego płaszcza.

Corinne skinęła lekko głową, nadal wbijając wzrok przed siebie.

Hunter wybrał numer, spodziewając się zwykłego powitania Gideona: „Mów, stary”. Zamiast niego odebrał Lucan:

- Gdzie jesteś?

- Mam opóźnienie w Detroit - wyjaśnił, wyczuwając w głosie dowódcy napięcie, niecierpliwość. - Coś się u was stało - stwierdził. - Czy jest jakiś postęp w sprawie Dragosa?

Lucan zaklął cicho.

- Tak, można to tak ująć. Właśnie odkryliśmy, że zna położenie kwatery. To znaczy zakładamy, że zna. Kilka godzin temu Kellan Archer zwymiotował urządzenie naprowadzające. Gideon właśnie je bada.

- Czyli porwanie to był podstęp - skomentował Hunter, składając w myślach fragmenty układanki. Teraz ten niespro-wokowany atak na cywilów z zeszłego tygodnia nabrał sensu. -Dragos chciał mieć pewność, że zabierzemy chłopca do siebie, więc zabił jego rodzinę i zrównał z ziemią Mroczną Przystań. Nie mieliśmy tak naprawdę wyboru, jeśli chcieliśmy zapewnić mu bezpieczeństwo.

- Daliśmy się zrobić jak dzieci - zimno skwitował Lucan. -Ja podjąłem tę decyzję, ja złamałem protokół i kazałem sprowadzić chłopca do kwatery. Do diabła, równie dobrze mogłem sam otworzyć Dragosowi drzwi i zaprosić go do środka.

Hunter nigdy nie słyszał, żeby Lucan robił sobie wyrzuty. Jeśli starszy z Pierwszego Pokolenia miał jakieś wątpliwości, nigdy wcześniej nie dzielił się nimi. Jego obecne zachowanie tylko podkreślało powagę sytuacji.

- Wiem, jak działa Dragos - rzekł Hunter. - Widziałem, jak myśli, jak planuje. Chłopak Archera był w kwaterze przez ponad dwie doby...

- Siedemdziesiąt dwie godziny - przerwał mu Lucan.

Hunter poczuł na sobie wzrok Corinne, gdy wymienił imię Dragosa. Słuchała teraz w milczeniu, ze ściągniętą twarzą, widoczną w zielonej poświacie z tablicy rozdzielczej sedana. Hunter wyczuwał jej przerażenie.

- Dragos musiał wiedzieć, że urządzenie zostanie dość szybko wykryte. Zaczął organizować atak, jeszcze nim przeprowadził tę akcję. Kiedy uderzy, zrobi to w taki sposób, by zadać Zakonowi jak największe straty.

- Pragnie naszej krwi - mruknął Lucan. - A właściwie mojej.

- Tak. - Hunter zauważył jeszcze w czasach, kiedy służył oszalałemu na punkcie władzy Dragosowi, że bitwa pomiędzy nim a Zakonem zmieniła się w osobistą sprawę. Dragos będzie chciał unicestwić przeszkodę stojącą na drodze do jego celów i zrobić tak, aby zadać największy ból Lucanowi Thorne'owi i tym, którzy mu podlegają.

Bostońska kwatera przestała być bezpiecznym miejscem, ale tego Hunter nie musiał mówić. Lucan zdawał sobie z tego sprawę. W jego głosie można było wyczuć zrozumienie powagi sytuacji, ale ciężka cisza, jaka teraz zapadła, mówiła jeszcze więcej.

- Pojawiły się komplikacje w mojej misji w Detroit - zmienił temat Hunter i złożył krótki raport o zajściu w Mrocznej Przystani, poczynając od swoich podejrzeń, że Victor Bishop coś ukrywa, po jego wyznanie winy, które postawiło pod znakiem zapytania przyszłość Corinne, ale dało Zakonowi nowy trop.

- Henry Vachon. - Lucan powtórzył nazwisko podane przez Reginę Bishop. - Nie znam go, ale jestem pewien, że Gideon zdoła go namierzyć. Na pewno nie muszę ci mówić, jak ważne jest zbadanie każdego tropu w sprawie Dragosa.

- Oczywiście - zapewnił Hunter.

- Każę Gideonowi poszukać Vachona w bazie i przekazać ci, co znajdzie. Powinieneś otrzymać dane w ciągu godziny - zdecydował Lucan. - A co z Corinne? Jest z tobą nadal?

- Tak - odparł Hunter, rzucając na nią okiem. - Jest ze mną teraz w samochodzie.

Lucan chrząknął.

- To dobrze. Pilnuj jej. Póki mamy tu w kwaterze kryzys, nie powinniście wracać.

Hunter zmarszczył brwi, nadal patrząc na Corinne, na której twarzy malowało się nieme pytanie.

- Oddajesz kobietę pod moją opiekę?

- Chwilowo nie widzę dla niej bezpieczniejszego miejsca.

Pomimo złych wieści Lucan nie odwołał zaplanowanych patroli. Nastroje w kwaterze nie były dobre.

Dante miał takie wrażenie, jakby w chwili, gdy Kellan Archer zwymiotował urządzenie naprowadzające Dragosa, włączył się zegar bomby, na której siedzieli. Każdy bez wyjątku rozumiał, co to dla nich oznacza, a napięcie związane z oczekiwaniem na uderzenie odbiło się na wszystkich.

Ale przerażenie i cisza nie powstrzymają nadchodzącej burzy. Musieli działać bardziej agresywnie, zaglądać w każdy kąt, pod każdy kamień, jeśli miało ich to zbliżyć choćby o centymetr do Dragosa. Musieli go znaleźć i powstrzymać - teraz jeszcze bardziej niż wcześniej.

To przekonanie i gniew, jaki mu towarzyszył, dały Dante-mu siłę, by zostawić Tess w kwaterze i wyjść tej nocy na patrol z Kade'em.

W kwaterze zostało jego serce, ale umysł miał skupiony na zadaniu, wyszukiwaniu choćby najsłabszych tropów, które mogłyby ich doprowadzić do agenta Murdocka, zabójców Dragosa... czy czegokolwiek.

Przez całą noc szukał też śladów innego rodzaju.

- Zatrzymaj - rzucił do Kade'a, który właśnie skręcił w wąski zaułek nad rzeką Mystic, w dzielnicy Southie. - Widziałeś tamtego faceta?

Kade zwolnił i popatrzył w kierunku, który pokazywał Dante.

- Nikogo nie widzę, tylko parę rozzłoszczonych dziwek na platformach i ze słabością do tandety dla nastolatek. Ekstraklasa.

Dante nie był w stanie okazać rozbawienia, choć też zauważył dziwki stojące na rogu, po drugiej stronie przecznicy.

- Myślę, że to mógł być Harvard - powiedział, prawie pewien, że wysoka, barczysta sylwetka, która znikła po drugiej stronie magazynu, należała do wampira. A to, jak ten wampir się poruszał, jak zniknął za zrujnowanym magazynem, sprawiło, że Dante mógłby się założyć, że to Sterling Chase. - Zatrzymaj samochód.

- Nawet jeśli to Harvard, myślę, że nie powinniśmy...

- Gównu mnie obchodzi, co myślisz - warknął Dante. Troska o zaginionego towarzysza przesłoniła mu wszystko inne. -Zatrzymaj, Kadzie. Wsiadam.

Nie czekał nawet, aż samochód zatrzyma się do końca. Wskoczył na zewnątrz i ruszył biegiem do miejsca, gdzie wampir zniknął mu z oczu. Kade pobiegł za nim, klnąc cicho pod nosem, ale mimo to gotów go osłaniać.

Zakręcili za róg magazynu i znaleźli się na opuszczonej bocznicy kolejowej. Na torach stał rząd pordzewiałych i pokrytych graffiti wagonów towarowych. Drzwi jednego były otwarte na tyle, by dało się wejść do środka. Opodał, wokół metalowej beczki, w której płonęły śmieci, stała grupka ludzi. Grzali ręce nad ogniem i podawali sobie małą fajkę.

Ledwie spojrzeli na Dantego i Kade'a, kiedy ci ich mijali. Ich twarze były puste, widmowe. Śmierdzieli narkotykami, alkoholem i butwiejącymi ubraniami. Ich włosy były brudne, ciała dawno niemyte. Szklany wzrok wbili przed siebie, zatraceni w narkotycznych wizjach.

- Jezu Chryste - syknął Kade z obrzydzeniem. - Jeśli Chase ukrywa się w takim szambie, naprawdę musi być świrem.

Dante tylko zacisnął mocniej zęby. Wiedział, że Chase to szaleniec, jak tylko usłyszał, co zaszło między nim a Elizą. Fakt, że potajemnie wymknął się z kwatery, był po prostu kolejnym gwoździem do jego trumny. Takim, który sam sobie wykuł.

Ale Dante nie mógł jeszcze odpuścić.

Musiał wierzyć, że Harvard nie jest zupełnie stracony. Może, jeśli go odnajdzie, zdoła wbić mu do głowy trochę rozumu. Jeśli powie mu, co się zdarzyło w kwaterze, może Chase się obudzi, może zrozumie, że jest potrzebny.

A jeśli i to zawiedzie, Dante gotów był skopać mu dupę. I to naprawdę solidnie.

- Poszedł tędy - stwierdził. - Musi tu gdzieś być.

Kade wskazał gestem otwarty wagon towarowy. Dante kiwnął głową. To chyba jedyne miejsce, gdzie Chase mógł się ukryć, choć dla żadnego z nich nie było tajemnicą, że jeśli Harvard nie chce zostać znaleziony, jego dar przyciągania cieni zapewni mu doskonałą kryjówkę.

Dante wszedł wraz z Kade'em do wagonu przez szparę w drzwiach. Poczł smród kolejnych wyniszczonych, niemytych ludzkich ciał. Rozejrzał się szybko wokoło. Widział świetnie w ciemności, podobnie jak wszystkie wampiry. Wśród śpiących, obojga płci, nie zauważył ani śladu Chase'a. Nie było go też wśród tych, którzy kulili się pod jednym kocem i patrzyli na nich pustym wzrokiem.

Chase'a tu nie było, nie krył się nawet w najgłębszych cieniach.

- Harvardzie - odezwał się Dante, wciąż próbując do niego dotrzeć. Może, jeśli usłyszy znajomy głos...

Nic, tylko cisza.

Zaczekał chwilę, głęboko zasmucony widokiem tych zapomnianych przez Boga istot. To byli obcy, w dodatku ludzie, którym pisane było przeżyć całe życie w czasie krótszym niż

wiek. Ale w ich zagubionych, pozbawionych nadziei twarzach widział swojego przyjaciela Sterlinga Chase'a.

Czy to właśnie czekało Harvarda, jeśli nikt go nie powstrzyma? Nie chciał myśleć o tym, że przyjaciel mógłby prowadzić wojnę z własnymi demonami. Nie chciał uwierzyć, że Tegan i Lucan mogli mieć rację, że Chase popadał w nałóg krwi. Dla członka Rasy nie było gorszego losu, niż ulec nałogowi i zmienić się w Szkarłatnego.

Jeśli raz do tego doszło, nie było nadziei na powrót do normalności.

- Niech go szlag - wysyczał przez zaciśnięte zęby. Wskoczył z wagonu na zamarzną ziemię przy torach.

Kiedy lądował, poczuł, jak komórka w kieszeni płaszcza obija mu się o udo.

Wyciągnął ją i nacisnął szybkie wybieranie.

- Jego telefon - wyjaśnił Kade'owi, słuchając sygnału połączenia. - Jeśli Harvard naprawdę tu przyszedł, może ma przy sobie komórkę...

Urwał w pół słowa, kiedy obaj usłyszeli gdzieś w pobliżu cichy dzwonek.

Srebrzyste oczy Kade'a zabłyśły pod uniesionymi czarnymi brwiami.

- Mamy cię, Harvardzie.

Ruszyli biegiem w stronę słabego sygnału.

Dante nie śmiał żywić nadziei, instynkt ostrzegał go, że nawet jeśli znajdzie Harvarda, może mu się nie spodobać to, co zobaczy. Pełen jak najgorszych przeczuć poprowadził Kade'a między zrujnowane magazyny. Musiał przerwać połączenie, kiedy włączyła się poczta głosowa. Zaklął i wybrał numer Chase'a jeszcze raz. Tym razem dzwonenie rozległo się bliżej.

Do diabła, praktycznie stali mu nad głową.

Tyle że nikogo tu nie było. Żywego ducha, nawet ludzie znikli.

Pobiegł dalej, aż telefon Chase'a słyszał niejako w stereo, sygnał w uchu i dzwonek gdzieś obok.

- Tam - ocenił Kade, przykucając przy stosie zamrożonych brezentowych płacht. Poszperał w nich, odrzucając je niecierpliwie na bok.

Nagle zamarł i zaklął dosadnie. Dante zrozumiał, że trafili na mur.

Kade podniósł komórkę. Jego twarz wyrażała rozczarowanie, ale nie zaskoczenie.

- Spławił nas, stary. Był tutaj, tak jak mówiłeś, ale nie chciał, żebyśmy go znaleźli.

- Harvardzie! - krzyknął Dante, w tej chwili bardziej rozsierdzony niż zmartwiony. Niepokój skręcał mu żołądek, serce waliło w piersi jak młotem. Wręcz promieniował wściekłością, kiedy obracał się wokół własnej osi, przeczesując wzrokiem otoczenie, oczywiście na próżno. - Chasie, do licha ciężkiego, wiem, że tu jesteś. Powiedz coś!

Kade wyłączył telefon i schował do kieszeni.

- Chodźmy stąd. Harvard odszedł.

Dante w milczeniu kiwnął głową. Zeszłej nocy Sterling Chase opuścił Zakon, przez co zawalił wiele spraw. A teraz odciął się od najbliższego przyjaciela, jakiego miał wśród wojowników. Odwrócił się plecami od wszystkich braci, a biorąc pod uwagę, co zaszło tu dzisiaj, Dante miał pewność, że zrobił to specjalnie.

Harvard, którego znał, nigdy by tego nie zrobił.

Kade miał rację.

Harvard odszedł, zapewne na dobre.

Rozdział 10

Hunter nie powiedział do niej nawet dwóch słów od chwili, kiedy zakończył rozmowę z Zakonem, do momentu, kiedy dojechali do lotniska na przedmieściach Detroit. Corinne nie miała ochoty rozmawiać. Cały czas myślała o tym, co się stało w Mrocznej Przystani, miała wrażenie, jakby w jej piersi ziała ogromna rana.

Przyjechała tu, by odszukać rodzinę, a zamiast niej spotkała zdrajcę. Co jeszcze boleśniesz, jej nadzieja, że wpływy i kontakty Victora Bishopa pomogą jej odszukać zaginionego syna, legła w gruzach.

Komu miała teraz zaufać, skoro jedyna rodzina, jaką miała, świadomie pozostawiła ją w rękach potwora?

Rozpacz ścisła jej gardło, kiedy siedziała tak w milczeniu w ciemnej kabinie samochodu, bezmyślnie patrząc na mijany krajobraz, skąpany w blasku księżyca. Hunter podążał labiryntem prywatnych dróg dojazdowych, kierując się ku hangarom przylegającym do terminalu lotniska.

Corinne nie mogła przestać myśleć o swoim dziecku, niemowlęciu, które Dragos kazał wyrwać z jej ramion zaledwie kilka minut po porodzie. Teraz to był już nastolatek. I nigdy nie poznał swojej matki.

W niewoli u Dragosa była pozbawiona możliwości mierzenia upływu czasu. Obliczała więc wiek syna w jedyny dostępny jej sposób: obserwując ciężę innych uwięzionych dawczyń życia. Minęło trzynaście takich dziewięciomiesięcznych cykli między dniem narodzin jej syna a dniem jej uwolnienia.

Pomimo potwornych okoliczności jego poczęcia Corinne pokochała głęboko swoje dziecko, w chwili gdy je ujrzała. Należało do niej, stanowiło ważną część tego, kim była, bez

względu na to, jak brutalnie zostało splodzone. Tak strasznie cierpiała, gdy odebrano jej synka. Nadal za nim tęskniła, nadal czuła ten ból. Była pewna, że on żyje, ale nie miała pojęcia, dokąd go zabrano ani co się z nim stało.

Dreńczyło ją to nawet w tej chwili, ale odsunęła od siebie te myśli, kiedy Hunter zaparkował we wnętrzu hangaru, gdzie czekał na nich biały prywatny odrzutowiec. Wyjął komórkę i połączył się z kwaterą. Jego niski, cichy głos wydawał się jej tylko szumem tła - głęboki, dziwnie pocieszający szmer. Sam tembr głosu, silny i spokojny, oraz pewność siebie Huntera i jego nieporuszone panowanie nad otoczeniem w jakiś sposób sprawiały, że burza jej wspomnień stawała się łatwiejsza do opanowania.

Pozwoliła, by ukoił ją ten głos, choć fale bolesnych wspomnień - tego, że zawiodła, że nie zapewniła bezpieczeństwa swemu dziecku - nadal bezlitośnie zalewały jej umysł.

Jeśli to nieszczęsne spotkanie z rodziną coś jej dało, to tylko większą determinację, gdyż zrozumiała, jak bolesne potrafi być odrzucenie. Nie porzuci swojego syna. Pójdzie do piekła i z powrotem, jeśli tego będzie trzeba, by go odszukać. Nawet Dragos i jego zło nie powstrzyma jej od odzyskania dziecka. Nie pozwoli, by ktokolwiek jej w tym przeszkodził.

Zauważyła, że Hunter skończył rozmowę z kwaterą. Rozłączył się, po czym schował telefon do kieszeni płaszcza.

Spojrzała na niego, ich oczy spotkały się w ciemnym wnętrzu samochodu.

- Czy u twoich przyjaciół w Bostonie wszystko w porządku?

Choć nie powiedział jej, o czym rozmawiał wcześniej z towarzyszami, usłyszała dość, by się zorientować, że w Bostonie wydarzyło się coś złego. Wychwyciła imię Dragosa i wzmiankę o chłopcu z Mrocznej Przystani, tym, który ostatnio stracił przez szaleńca dom i prawie całą rodzinę. Na podstawie tych fragmentów domyśliła się, że Dragos zdołał w jakiś sposób zyskać przewagę.

- Czy są w niebezpieczeństwie?

- Prowadzimy wojnę - odparł Hunter, a jego spokojny głos wydawał się bardziej posępny niż zwykle. - Póki Dragos nie umrze, wszyscy są w niebezpieczeństwie.

Nie mówił jedynie o mieszkańcach kwatery Zakonu. I nawet nie o wojownikach ani o innych członkach Rasy. Ta wojna obejmowała dużo więcej. Mówił o zagrożeniu, jakie Dragos stanowił dla całego świata.

Gdyby to ktoś inny oznajmił jej coś takiego, uznałaby, że dramatyzuje. Ale usłyszała to od Huntera. Przesada nie leżała w jego naturze. Był zwięzły i rzeczowy, precyzyjny tak w słowach, jak w czynach. To tylko dodało wagi jego stwierdzeniu, które zaległo ciężarem na jej sercu.

Odwrociła oczy, nie mogąc wytrzymać jego przenikliwego złocistego spojrzenia. Spojrzała przez przyciemnianą szybę od strony pasażera na schodki prowadzące do kabiny samolotu.

- Odsyłasz mnie do Bostonu?

- Nie - mruknął Hunter, wyłączając silnik samochodu. - Nigdzie cię nie odsyłam. Masz chwilowo zostać ze mną. Lucan powierzył mi twoje bezpieczeństwo.

Oderwała wzrok od czekającego samolotu i odważyła się znów spojrzeć na towarzysza. Chciała zaprotestować, że nie potrzebuje ochrony, skoro znów zakosztowała wolności, choć jak dotąd okazała się ona pełna goryczy. Ale jego stwierdzenie kazało jej się zastanowić nad inną kwestią.

- Skoro nie lecimy do Bostonu, to dokąd?

- Do Nowego Orleanu - odrzekł. - Gideon potwierdził to, co mówiła Regina Bishop o Henrym Vachonie. Jest właścicielem kilku nieruchomości w Nowym Orleanie i zapewne w którejś z nich mieszka. W tej chwili to nasz najlepszy trop, jeśli chodzi o Dragosa.

Serce Corinne zaczęło walić gwałtownie. Henry Vachon był najlepszym tropem Zakonu w sprawie Dragosa... a to oznaczało, że był

również jej najlepszym tropem. Być może stanowił dla niej jedyną szansę na dowiedzenie się, co stało się z synem.

Choć chciała uwolnić się spod nadzoru, Huntera czy kogokolwiek, rozumiała, że ma w tej chwili niewielki wybór i jeszcze mniej możliwości. Jeśli towarzyszenie Hunterowi zbliży ją do Henry'ego Vachona i pozwoli uzyskać wiadomości o synu, jakoś to zniesie. Wszystko, żeby odzyskać dziecko.

- Co zrobisz, jeśli znajdziesz tego Vachona? - spytała.

- Moja misja jest prosta: ustalić, jakie ma powiązania z Dragosem, i wydobyć z niego wszystkie użyteczne informacje. Potem zneutralizować cel, by zapobiec ewentualnym przeciekom.

- To znaczy, że zamierzasz go zabić - stwierdziła po prostu Corinne.

W surowych oczach Huntera nie było wahania.

- Jeśli się dowiem, że Vachon naprawdę jest powiązany z Dragosem teraz lub był w przeszłości, musi zostać wyeliminowany.

Odruchowo kiwnęła lekko głową, ale w głębi duszy nie wiedziała, co powinna myśleć. Nie mogła współczuć Henry'emu Vachonowi, jeśli w jakiś sposób pomagał w jej uwięzieniu, ale równocześnie zastanawiała się, do jakiego stopnia brutalna profesja Huntera wpłynęła na jego charakter.

- Czy cię nie dręczy to, co musisz robić? - Zadała to pytanie, nim jeszcze zdążyła przemyśleć, czy w ogóle powinna o to pytać. Nie miała czasu pomyśleć, czy na pewno chce znać odpowiedź. - Czy życie naprawdę znaczy dla ciebie tak niewiele?

Surowa twarz Huntera nawet nie drgnęła. Wystające kości policzkowe i kanciasta szczeka pozostały nieruchome, jakby wykute w kamieniu. Jedyne jego usta wydawały się miękkie, ale pełne wargi nie układały się ani w grymas, ani w uśmiech, po prostu zachowywały neutralny wyraz.

Jednak to jego oczy sprawiły, że zamarła. Patrzyły przenikliwie, badawczo spod czupryny krótko przystrzyżonych jasnych włosów. A choć wwierały się w nią, nie ujawniały niczego o swoim właścicielu, bez względu na to, jak głęboko w nie zaglądała.

- Zajmuję się zadawaniem śmierci - odparł, a w jego głosie nie było żalu czy prób usprawiedliwienia. - Urodziłem się do tego zadania i zostałem do niego przeszkolony.

- I nigdy nie miałaś wątpliwości? - drażyla dalej, wbrew sobie. Chciała zrozumieć tego niesamowitego wampira, który wydawał się taki samotny. - Nigdy nie kwestionowałaś tego, co robisz? Ani razu?

Coś mrocznego przemknęło przez jego twarz. Miała wrażenie, że na moment umknął wzrokiem. To było mgnienie, ale zauważyła. Chwilę później jego oczy znikły pod opuszczonymi powiekami, kiedy wyciągał kluczyki ze stacyjki i kładł na desce rozdzielczej.

- Nie - odezwał się wreszcie. - Nie kwestionuję swoich obowiązków. Nigdy. - Otworzył drzwi samochodu i zaczął wysiadać. - Samolot czeka. Musimy lecieć, póki nadal zostało dość nocy na podróż.

- Są w drodze do Nowego Orleanu.

Lucan podniósł wzrok, gdy Gideon skończył rozmowę z Hunterem i wrócił do stołu konferencyjnego w laboratorium technicznym. Wraz z Teganem oglądali dokładne plany budynku.

- Nic więcej nie zaszło w sprawie Corinne Bishop i jej rodziny?

- Hunter nie wydawał się zaniepokojony - odrzekł Gideon. - Powiedział, że ma wszystko pod kontrolą.

Lucan chrząknął, rozbawiony mimo powagi sytuacji.

- Gdzie ja to już słyszałem? Słynna kwestia, która wiele razy padła z ust wojowników w ciągu ostatniego półtora roku.

- Tak, pamiętam. - Gideon uniósł brew nad błękitnymi szklami okularów. - Zwykle potem odbieram telefon z terenu, że sytuacja, która była tak idealnie pod kontrolą, nagle całkowicie i beznadziejnie zrobiła się PPWM, jak mawia Dante. Czyli pokręcona ponad wszelką miarę.

Lucan też nie był tu bez winy, podobnie jak Tegan, a właściwie nawet sam Gideon. Niemniej rozmawiali teraz o Hunterze.

- Gdybym na własne oczy nie widział kilka razy, jak krwawi, uznałbym, że jest zrobiony ze stali i przewodów, a nie z mięśni i kości - stwierdził Tegan, jakby słyszał myśli Lucana. - Ten facet to maszyna. On niczego nie sknoci, po prostu nie ma tego w genach. Ze strony Huntera nie czekają nas żadne niespodzianki.

- Lepiej, żebyś miał rację - powiedział Lucan. - Bo i bez tego dość mamy na głowie.

Wszyscy trzej wrócili do planów, które Lucan rozłożył na stole. Było to coś, nad czym pracował samotnie przez ostatnie kilka miesięcy, a zaczął, kiedy uświadomił sobie, jak bardzo kwatery stała się narażona na atak Dragosa.

Były to plany nowego lokum Zakonu.

Już kupił ziemię - sto hektarów w Green Mountains w Vermont - a plany bezpiecznego, nowoczesnego bunkra, w którego licznych podziemnych pomieszczeniach zdołaloby się pomieścić małe miasteczko, były prawie na ukończeniu. Nowa siedziba Zakonu była ogromna, niesamowita, dokładnie taka, jakiej Zakon potrzebował, skoro Dragos poznał lokalizację jego obecnej kwatery.

Problem polegał na tym, że bunkier tych rozmiarów nie będzie gotowy do przeprowadzki jeszcze przez co najmniej rok.

Natomiast oni potrzebowali go już dzisiaj. - Może powinniśmy się rozdzielić - zaproponował Gideon. - Wszyscy mamy pieniądze i własne nieruchomości.

Wprawdzie żadna nie jest tak bezpieczna jak kwatera, czy raczej jak była bezpieczna kwatera... ale to jakieś wyjście. Możę najszybciej i najmądrzej będzie, jeśli każdy zabierze swoją kobietę i przeniesie się na własne śmieci.

Zielone oczy Tegana zabłyśły ponuro, kiedy rzucił okiem na Lucana. Nie musiał pytać, co myśli jego towarzysz. Choć me zawsze pozostawali w najlepszych stosunkach, byli ostatnimi żyjącymi członkami założycielami Zakonu. Przez prawie siedem wieków walczyli ramię w ramię, przeszli razem przez piekło, nadstawiali karku za towarzysza... a czasami nawet razem płakali. I dotrwali razem aż do tej chwili.

Razem, nie osobno.

Lucan dostrzegł surową, pierwotną dzikość w spojrzeniu Tegana. Rozumiał ją. Sam też się tak czuł.

- Zakon się nie rozdzieli - oświadczył głosem pełnym furii na mysi, że Dragos zmusza ich do choćby rozważania takiej możliwości. - Jesteśmy wojownikami. Braćmi. Rodziną. Nie pozwolimy, żeby ktokolwiek nas terroryzował.

Gideon kiwnął głową, poważnie i w milczeniu.

- No tak - podjął po chwili, patrząc im w oczy. - Znaczący, jestem idiotą. Kretyński pomysł. Nie mam pojęcia, skąd mi się to wzięło.

Zaśmiali się niewesoło, wszyscy trzej świadomi, że reszta kwatery złożyła w ich ręce decyzję o swoim losie. A mieli do wyboru bardzo niewiele wariantów. Dragos mógł zaatakować w każdej chwili.

- Andreas i Claire mają nieruchomości w Europie - odezwał się Gideon. - Choć to nie będzie idealne rozwiązanie, można przenieść się za granicę, i to w krótkim czasie.

Lucan się zastanowił.

- A co z laboratorium technicznym? Nie możemy sobie pozwolić na rezygnację z poszukiwań Dragosa, nawet jeśli porzucimy kwaterę. He czasu potrzebujesz na przeniesienie go do nowej lokalizacji?

- Będzie trudno, ale da się zrobić - ocenił Gideon. -Wszystko jest możliwe.

- A co z Tess? - włączył się Tegan, a jego pytanie spadło na nich jak cios. - Naprawdę uważacie, że zniesie takie przenosiny? Myślicie, że Dante podejmie takie ryzyko?

Tegan pokręcił głową, a Lucan wiedział, że ma rację. Nie mogli prosić Tess i Dantego, by narazili zdrowie i życie jej albo ich nienarodzonego jeszcze dziecka przy przenosinach na taką skalę.

Nie wspominając już o tym, że Lucan wątpił w sens zakładania nowej kwatery Zakonu tak daleko od bazy operacyjnej Dragosa. Byłoby dużo łatwiej ścigać go tutaj.

Kiedy rozważał wszystkie dostępne rozwiązania, kątem oka zauważył, że do drzwi laboratorium podszedł Lazaro Archer. Stary wampir z Pierwszego Pokolenia zatrzymał się przed nimi i gestem poprosił o pozwolenie na wejście.

Lucan rzucił okiem na Gideona.

- Wpuść go.

Prywatny geniusz Zakonu pochylił się w stronę komputera i nacisnął klawisz. Przeszkłone drzwi rozsunęły się z sykiem.

Lazaro wszedł do środka. Ten imponujący wampir z Pierwszego Pokolenia miał prawie dwa metry wzrostu i wyglądał jak wojownik, choć przeżył długie życie, trzymając się z dala od pola walki i przelewu krwi.

To znaczy, póki Dragos nie zainteresował się jego rodziną.

- Jak się czuje Kellan? - spytał Lucan, widząc w oczach starego wampira napięcie.

- Z każdą godziną lepiej - odparł Lazaro. - Chorował przez to urządzenie. To silny chłopak. Przetrwa to wszystko, nie mam co do tego wątpliwości.

Lucan powoli pokiwał głową.

- Cieszę się ze względu na was obu. Żałuję, że twoja rodzina została wplątana w wojnę Dragosa z Zakonem. Nie prosiłeś się o to. I z całą pewnością sobie na to nie zasłużyłeś.

Ciemne oczy Archera zrobiły się czujne, kiedy podszedł do stołu. Rzucił przelotne spojrzenie na rozłożone plany, a potem znów spojrzał na Lucana.

- Pamiętasz, co ci powiedziałem tej nocy, kiedy moja Mroczna Przystań została zrównana z ziemią, a mój syn Christophe zastrzelony na moich oczach? Przysiągłem ci coś.

Lucan pamiętał.

- Stwierdziłeś, że chcesz pomóc zniszczyć Dragosa. Pozostawiłeś do naszej dyspozycji swój majątek i wpływy.

- Właśnie - potwierdził Archer. - Wszystko, czego wam trzeba, jest wasze. Zakon ma mój szacunek i całkowitą lojalność. Tym bardziej teraz, po tym, co się dziś stało. Mój Boże, kiedy pomyślę, że wszyscy znaleźliście się w niebezpieczeństwie tylko dlatego, że przyszlście nam z pomocą...

- Nie rób tego - przerwał mu Lucan. - To nie jest wasza wina. Ani twoja, ani chłopca. Dragos was wykorzystał. Zapłaci za to, co zrobił.

- Chcę wam pomóc - powtórzył Archer. - Słyszałem od waszych kobiet, że dyskutujecie tu nad przeniesieniem kwatery.

Wzrok Lucana powędrował ku Teganowi i Gideonowi, a potem wrócił do Archera.

- Mieliliśmy nadzieję, że nam się uda, ale w tej chwili może to być niewykonalne.

- Dlaczego?

Lucan wskazał ręką plany.

- Planujemy budowę nowej kwatery, ale nie zostanie ukończona na czas, żeby coś zmienić. Możemy jeszcze przenieść nasze operacje za granicę, ale Dragos skupia swoje działania w Nowej Anglii, na ile oczywiście jesteśmy w stanie to stwierdzić, więc wycofanie się kilka tysięcy kilometrów stąd to nie najlepszy wybór.

- A co powiesz o Maine? Lucan zmarszczył brwi.

- Mamy tam kilka posiadłości, ale niczego, co mogłoby służyć jako kwatera, nawet tymczasowa.

- Wy nie macie - rzekł Archer powoli. - Natomiast ja mam dokładnie takie miejsce.

Rozdział 11

Chase powoli się budził, bo jego nozdrza nappełnił słodkawy smród spalenizny. To on wyrwał go z ciemności ciężkiego, nieprzytomnego snu.

Oczy nie chciały mu się otworzyć. Ciało było ocieźiałe, ręce i nogi ważyły tony. Leżał wyciągnięty na brzuchu na zimnej, twardej powierzchni, która najwyraźniej służyła mu za łóżko. Jęknął, gardło miał suche jak pieprz, w ustach watę. Z wysiłkiem zdołał unieść jedną powiekę. Rozejrzał się po otoczeniu.

Był w starym wagonie towarowym. I to przerdzewiałym. Tam, gdzie rdza przeżarła się przez metal na wylot, powstały otwory, przez które do środka wpadały oślepiająco białe promienie słoneczne.

Promienie słoneczne!

Sufit wyglądał jak pajęczyna, połatany gdzieś kawałkami drewna i plastiku. Za mało, by zapewnić mu ochronę. Jeden promień padał bezpośrednio na jego nagą dłoń i zdążył już wypalić na skórze paskudną oparzelinę - to właśnie swąd przypiekanego ciała go obudził.

- Ożeż... - Chase dźwignął się z podłogi i przysiadł w zacienionym kącie.

Dopiero wtedy zobaczył drugie źródło smrodu unoszącego się w wagonie. W pobliżu jego legowiska leżał martwy mężczyzna. Miał na sobie wojskową kurtkę, zerwaną z ramion, na jego twarzy skamieniało przerażenie. Był przeraźliwie blady. Szyję miał pogryzioną w kilku miejscach. A właściwie rozerwaną po dzikim pożywianiu się wampira.

Chase przypomniał sobie dręczące go pragnienie. Przypomniał sobie, jak wśliznął się do wagonu i wypłoszył stąd narkomanów, prezentując im swoje kły i płonące oczy. Kiedy ludzie uciekali, złapał tego najwolniejszego, najłatwiejszą zdobycz w stadzie.

Człowiek walczył, ale nie był dla niego żadnym przeciwnikiem. Nic nie mogło powstrzymać zwierzęcej żądz, która tak głęboko wbiła pazury w duszę Chase'a. Cisnął ofiarę na podłogę wagonu i zaczął się pożywiać.

I pozbawił go całej krwi.

Zabił go.

Kiedy patrzył teraz na swoje dzieło, zalała go fala hańbiącego wstydu. Przekroczył granicę, złamał odwieczne prawo Rasy. Zszargał swój honor, jedyną rzecz, której mógł się trzymać przez całe życie.

No i pozostawała jeszcze kwestia Zakonu. Zawiódł ich zaufanie. Zeszłej nocy, kiedy Dante i Kade go zauważyli i ścigali, pełni troski o towarzysza, schował się w cieniach bocznicy jak tchórz. Wiedzieli, że tam jest, że wykorzystuje swój dar, by się ukryć, że ignoruje ich wołanie. Jeśli została im jeszcze jakaś wiara w niego, to właśnie ich jej pozbawił, nie odpowiadając na wezwania.

Takie odcięcie się od nich - szczególnie od Dantego - zaboląoby go jeszcze bardziej, gdyby któryś z towarzyszy zobaczył go w takim stanie. Polował całą noc, już raz się pożywił, ale nie zaspokoił do końca pragnienia. To ono doprowadziło go do dzielnicy przemysłowej nad rzeką, gdzie zbierają się dziwki

i narkomani - wyrzutki tak jak on. Jego pragnienie nie znało wstydu, żądało więcej i więcej.

Chase nadal je czuł, mimo że wypił więcej krwi, niż powinien, i to zaledwie kilka godzin temu.

Popatrzył na martwego człowieka, krzywiąc się od smrodu. Musi się stąd wydostać. Pragnienie obudziło się w nim z nową siłą, kiedy pozbawiał trupa kurtki, fioletowo-szarej bluzy i workowatych džinsów. Czarny strój, który Chase miał na sobie, gdy opuszczał kwaterę Zakonu, był przesiąknięty krwią i cuchnął. Zdjął go, po czym włożył ubranie człowieka. Dżinsy i bluza były trochę za małe i zapewne nieprane od czasu, kiedy mężczyzna dostał je od opieki społecznej.

Chase'a to nie obchodziło, przede wszystkim nie chciał wyglądać, jakby przed chwilą kogoś zamordował. Wziął zniszczone ubranie pod pachę, po czym podszedł do częściowo otwartych drzwi wagonu. Otworzył je szerzej i ujrzał widok, jaki niewielu z jego Rasy chciałoby oglądać.

Był wczesny ranek, na błękitnym niebie świeciło słońce, promienie odbijały się od brudnego śniegu i zamarzniętego błota na bocznicy. Mimo brzydoty otoczenia było w tej chwili i piękno - pierwsze momenty dnia, nowy świt.

To piękno przytłumiło nawet jego pragnienie krwi, sprawiło, że zamarł i po prostu patrzył na cudowny świat, który wymykał mu się między palcami, dalej z każdym uderzeniem pulsu.

Oślonił ramieniem wrażliwe oczy. Uniósł głowę i pozwolił, by nieznane, wspaniałe ciepło poranka ogrzało mu twarz. Zaczęło piec. A potem palić.

Ile czasu zajmie, nim słońce go spopieli? Zapewne pół godziny, pomyślał, rozkoszując się pieczeniem policzków. Trzydzieści minut i głód zniknie. Nie będzie już wstydu. Nie będzie walki o to, by nie spaść w otchłań, która wydawała się tak wspaniała, tak cudownie mroczna i nieskończona.

Przez długą, pełną cierpienia chwilę rozważał tę możliwość.

Ale poniósł porażkę, nawet i w tym.

Szpony pragnienia wbiły się w niego głębiej. Wyskoczył z wagonu, przebiegł przez tory i wrzucił swoje pokrwawione ubranie do nadal dymiącej stalowej beczki.

A potem pobiegł szukać schronienia, gdzie zaczeka na noc, kiedy znów będzie mógł zapolować.

Przylecieli do Nowego Orleanu wcześniej rano, kiedy było jeszcze ciemno, i wzięli taksówkę z lotniska do hotelu, położonego, zgodnie z życzeniem Huntera, w sercu dzielnicy turystycznej. Przez okna pokoju na trzecim piętrze jeszcze długo po wschodzie słońca wpadały muzyka i gwar uliczny, pobudzając jego zmysły, każąc mu wypatrywać najdrobniejszych oznak kłopotów.

Zresztą i tak nie zamierzał spać. Prawie nie potrzebował odpoczynku; zwykle nie więcej niż godzinę czy dwie na dobę. Tak go wyszkolono. Dzięki bezwzględnej dyscyplinie jego ciało było gotowe na każdą sytuację, jego umysł mógł zareagować błyskawicznie na każde zagrożenie.

Natomiast Corinne zasnęła jak zabita zaraz po przyjeździe.

Wiedział, że jest wyczerpana fizycznie i psychicznie. Jej uczucia zostały wystawione na ciężką próbę, choć musiał przyznać, że zamiast oddawać się bezsilnemu płaczowi, trzymała się zaskakująco dzielnie. Od chwili, kiedy opuścili Mroczną Przystań Bishopów, wydawała się zdeterminowana, zachowywała się wręcz wyzywająco.

Całkiem spokojnie przyjęła informację, że teraz znajduje się pod jego opieką. Nie histeryzowała, kiedy dodał, że jego misja wymaga, by udali się na potencjalnie wrogi teren, gdzie mieszka Henry Vachon, sprzymierzeniec jej okrutnego porywacza. Wydawała się wręcz z tego zadowolona, co wzbudziło jego czujne zaniepokojenie.

Teraz słuchał szumu wody, lejącej się do wanny w łazience. Corinne obudziła się wkrótce po południu i poszła się odświeżyć. On przez cały poranek studiował mapy miasta i hrabstwa przy starannie zaciągniętych zasłonach.

Zauważył, że Corinne tylko przymknęła drzwi do łazienki i przez ostatnie trzydzieści siedem minut - czyli cały czas, jaki spędziła nago w wannie - musiał celowo unikać patrzenia w wąską szparę, z której padała smuga światła, rozjaśniając mrok pokoju.

Skupił się na rozłożonych mapach, które zabrał z recepcji hotelu zaraz po przyjeździe. Miały skrótowy indeks ulic, przeznaczony głównie dla turystów, których najwyraźniej interesowała jedynie lokalizacja restauracji, barów i klubów jazzowych. Hunter niedługo powinien dostać od Gideona nowe informacje o Henrym Vachonie; póki to się nie stanie, postanowił poświęcić czas na zapoznanie się z terenem. Aż do zachodu słońca będzie przeprowadzał ten wirtualny rekonesans, a potem wyjdzie i osobiście stawi czoło miastu Vachona.

Wszystko, byle nie patrzeć w szparę w drzwiach łazienki.

Jego postanowienie zostało wystawione na ciężką próbę, kiedy usłyszał bulgotanie wody spuszczonej z wanny. Skóra Corinne zapiszczała o porcelanę. Ujrzał jej smukłą rękę, sięgającą po gruby biały ręcznik wiszący na wieszaku. Usłyszał szelest tkaniny, kiedy zaczęła się wycierać.

Zmusił się, żeby spojrzeć na mapę, którą rozłożył przed sobą na stoliku do kawy. W skupieniu studiował tę jej część, która pokazywała okolice ich hotelu. Zamierzał nauczyć się na pamięć układu i nazw ulic. Hotel stał w dzielnicy Upper French Quarter, ciągnącej się od Iberville Street po St. Anne Street i od North Rampart po Missisipi...

Przez jasno oświetloną szparę w drzwiach zobaczył nagle nagie udo Corinne. Ręcznik powędrował w dół, po chwili postawiła stopę na zamkniętej desce klozetu, wycierając smukłą łydkę.

Żar, który zbierał mu się w brzuchu, teraz zsunął się niżej. Hunter chciał odwrócić wzrok. Zamierzał odwrócić wzrok.

Ale wówczas Corinne znów zmieniła pozycję, a jego spojrzenie padło na jej małe, krągłe piersi. Sutki były ciemnoróżowe, odcinały się mocno od kremowej skóry. Wpatrywał się w te rozkoszne różowe guziczki. Nigdy wcześniej nie widział tak dokładnie nagich piersi kobiety. Z wyjątkiem filmów, które oglądał czasami w telewizji, ale tamte twarde, rozdęte balony nie mogły się równać z delikatną perfekcją nagiego ciała Corinne.

Chciał zobaczyć więcej. Zaskoczyło go, jak bardzo tego pragnął. Kiedy patrzył, jak Corinne pojawia się i znika w wąskiej szparze w drzwiach, jego podniecenie rosło. Czuł, że skóra zrobiła mu się gorąca i napięta, że mocno opina jego pierś i szyję. Spodnie z każdą chwilą robiły się ciaśniejsze w kroku. Zapłonął od krwi pospiesznie krążącej w jego żyłach.

Wydał cichy pomruk, choć czy z powodu zdumienia czy wstydu, nie był pewien. Nie chciał czuć tej ciekawości, tego niechcianego seksualnego podniecenia. Wyszkolono go - nauczono za pomocą bezlitosnej dyscypliny - w taki sposób, by nie poddawał się prymitywnym potrzebom.

Jednak nie mógł w tej chwili oderwać się od widoku Corinne Bishop.

Nawet kiedy poprawiał się na kanapie, by zmniejszyć ucisk spodni, patrzył nadal, kradł kolejne spojrzenie, mając nadzieję na następne. Chciał, żeby duży biały ręcznik opadł na chwilę, by móc napawać wzrok widokiem całego jej ciała i zaspokoić ciekawość, która kazała mu się pochylić i oprzeć na łokciu, żeby lepiej widzieć.

W skroniach mu pulsowało niemal tak mocno jak w kroczu. Gdyby nie wychowano go tak surowo, zapewne uciekłyby się do masturbacji, choćby po to, by złagodzić ból. Zamiast tego walczył z potrzebą. I ledwie ją pokonywał.

Był tak skupiony na Corinne, że musiałaby być nieprzytomna, by nie wyczuć ciężaru jego głodnego spojrzenia.

Rzeczywiście coś wyczuła, bo odwróciła się nagle i gwałtownie odsunęła od szpary w drzwiach. Kiedy się poruszyła, ręcznik wysunął się z jej ręki, dokładnie tak jak marzył Hunter. Opadł z jednej strony, odsłaniając plecy i górną część pośladków, ukształtowanych w formie serca.

Hunterowi oddech uwiązł nagle w piersiach. Nie z powodu kobiecego piękna jej ciała, ale gwałtu, jaki jej niewątpliwie zadano.

Całe plecy miała pokryte siecią czerwonych blizn, od ramion po pośladki. Straszliwe pamiątki po uderzeniach bata -być może również od łańcucha, sądząc po wyglądzie blizn -sprawiły, że zmarł.

Co ona musiała wycierpieć?

Jak głęboko dotknęło ją zło Dragosa?

Podniecenie, jakie czuł jeszcze przed chwilą, opadło na widok tych blizn. Poczul coś nieuchwytnego i nieznanego, uczucie, które zdawało się płynąć z zapomnianego miejsca, do którego nie miał dostępu. To był żal z powodu tego, co jej uczyniono. Wraz z nim przyszła fala gniewu na bestię, która za to odpowiada.

Nie zdołał powstrzymać w sobie tych uczuć i zaklął.

Corinne odwróciła głowę, mokre czarne włosy uderzyły w jej nagie ramiona, kiedy pospiesznie zasłaniała się ręcznikiem. Ich oczy spotkały się nagle. W jej spojrzeniu były wyzwanie i duma. Miał wrażenie, że oglądanie blizn zadało jej równie wielki gwałt jak tortury, jakim ją poddano.

Odwrócił wzrok z powrotem na mapy.

Uczynił to z szacunku - i ze współczucia, choć aż do tej pory sądził, że nie jest do niego zdolny. Nasłuchiwał kroków bosych stóp Corinne na płytkach podłogi.

Drzwi zaskrzypiały, kiedy powoli zamykała je na zamek, odcinając się od niego.

Rozdział 12

Tak, oczywiście. Rozumiem. - Victor Bishop stał koło kominka w gabinecie i prowadził rozmowę przez prywatny telefon. Przez całe popołudnie zastanawiał się, czy powinien ją odbyć, w obawie, że wściekłość rozmówcy z powodu tych niepokojących wieści może spaść właśnie na niego.

W końcu doszedł do wniosku, że w jego najlepiej pojętym interesie leży złożenie deklaracji lojalności, zapewnienie, że nic się w tej kwestii nie zmieniło.

- Jeśli zdobędę więcej informacji, oczywiście natychmiast się skontaktuję. - Odchrząknął, zły, że strach spowodował lekkie drżenie jego głosu. -1 proszę... mu powiedzieć, że nie mam nic wspólnego z obecnymi wydarzeniami. Nigdy nie zawiodłem jego zaufania. Jak zwykle pozostaję do jego dyspozycji.

Połączenie zostało gwałtownie przerwane, bez pożegnania.

- Cholera - syknął Bishop, odrywając słuchawkę od ucha. Miał ochotę cisnąć nią w ścianę, ale kiedy się odwrócił, odkrył, że nie jest sam.

Za nim stała Regina. Milczała, ale w jej zaczerwienionych od płaczu oczach zobaczył potępienie.

- Myślałem, że jeszcze leżysz - oznajmił, celowo obojętnie, przechodząc obok niej i odkładając telefon na biurko. -Wyglądasz na zmęczoną, kochanie. Może powinnaś wrócić do sypialni i spróbować jeszcze trochę pospać?

Udała się do siebie zaraz po wyjściu Corinne i wojownika z Bostonu. Jak dotąd nie próbował z nią rozmawiać. Wiedział, że jego wczorajsze wyznanie otworzyło między nimi przepaść, której nie zdoła zasypać. Nawet więź krwi, którą dzielili, nie wystarczy, by naprawić zniszczenia. Nadal byli ze sobą połą-

czeni, ale jej zaufanie i jej miłość nigdy już nie będą naprawdę należeć do niego.

Musiał przyznać, że przyniosło mu to ulgę. Wiele kosztowało go kłamanie, utrzymywanie maski pogrążonego w żałobie, zrozpaczonego ojca, ponieważ więź łącząca go z Reginą w każdej chwili mogła go zdradzić. Dobrze, że wreszcie postawił sprawy jasno. To była wolność, pomimo jej pogardy, palącej go jak trucizna.

Widział teraz tę pogardę w jej oskarżycielskim spojrzeniu, czuł w szybkich uderzeniach jej pulsu, który wibrował w jego żyłach.

- Z kim rozmawiałeś, Victorze?

- Z nikim ważnym - odparł, ostrzegając ją wzrokiem, by nie nalegała.

Zrobiła krok w jego stronę, ręce trzymała wzdłuż boków, zaciśnięte w pięści.

- Znowu kłamiesz. Albo może raczej wciąż kłamiesz. Robi mi się niedobrze na myśl, jak długo to już trwa.

Poczuł wściekłość.

- Wracaj do łóżka, kochanie. Jesteś zdenerwowana i nie chcę, żebyś powiedziała coś, czego potem będziesz żałować.

- Wszystkiego w tej chwili żałuję - mruknęła, patrząc na niego z bolesnym grymasem na twarzy. - Jak mogłeś tak postąpić, Victorze? Jak mogłeś wytrzymać sam ze sobą, wiedząc, co zrobiłeś Corinne?

- Najwyraźniej nie dociera do ciebie, że zrobiłem to dla nas - parsknął.

- Dla naszego syna. Mapn w następnej kolejności zająłby się właśnie nim. Nie zamierzałem narażać na niebezpieczeństwo naszego chłopca, to krew z naszej krwi i kość z naszych kości...

Regina popatrzyła na niego, jakby ją uderzył.

- Corinne też była naszym dzieckiem, Victorze. Ona i Lottie były naszymi dziećmi tak samo jak Sebastian. Przyjęliśmy je pod nasz dach, do naszych serc, tak samo jak gdyby nam się urodziły.

- Dla mnie to nie było to samo! - krzyknął, uderzając pięścią w biurko. Poczł bezsilną wściekłość, kiedy pomyślał o swoim synu, wrażliwym, rozumnym młodzieńcu, do którego powinien należeć cały świat. Obiecującym synu, który mógł mieć wszystko, gdyby ojciec nie oplótł go siecią kłamstw.

Jak się okazało, nie dość starannie. To właśnie ta sieć zadusiła Sebastiana, zniszczyła jego przyszłość.

- To bez znaczenia - podjął spokojniej. - Co się stało, już się nie odstanie. Wszystko i tak na nic. Straciliśmy Sebastiana, choć tyle uczyniłem, żeby go chronić.

Regina przyglądała mu się badawczo. Jej wzrok wyczytywał za wiele.

- Nigdy nie był już taki sam po zaginięciu Corinne - powiedziała, bardziej do siebie niż do niego. - Pamiętam, jaki się zrobił zamknięty w sobie kilka lat później, jak się od nas oddalił podczas tych ostatnich dwóch tygodni... nim pokonał go nałóg krwi.

Bishop nienawidził tych wspomnień. Nienawidził bólu, jaki niosła ze sobą świadomość, że jego jedyny syn stał się Szkarłatnym, że zatracił się w nałogu krwi, substancji, która dawała członkom Rasy życie i siłę, i moc. Sebastian był słaby, ale do przekroczenia granicy pchnęło go dopiero odkrycie zdrady ojca.

Regina była teraz w stanie odczytać jego winę nawet bez pomocy więzi krwi.

- Co się stało, Victorze? Bastiego też zdradziłeś, prawda? Bishop zacisnął zęby, wściekły, że ta kobieta każe mu

przeżywać ponownie najgorsze chwile życia. Prawie najgorsze - bo nic nie mogło przebić dnia, kiedy Sebastian, pijany krwią, wziął jedną ze strzelb ojca, przyłożył sobie lufę do głowy i pociągnął za spust, nim ktokolwiek zdołał go powstrzymać.

- On się wszystkiego domyślił, prawda? - naciskała Regina. - Oszukałeś nas, ale nie jego. W jakiś sposób odkrył prawdę.

- Zamknij się!!! - ryknął Bishop, a jego umysł zalały wspomnienia.

Sebastian i jego pomysły. Był taki dumny z mahoniowej szafki na broń, którą zrobił własnoręcznie, w prezencie dla ojca. Chciał, żeby to była niespodzianka, więc zaczął przenosić cenną kolekcję antycznej broni Victora ze starej szafki do tej nowej, pięknej. I wtedy odkrył na spodzie ukryty panel.

W tym prywatnym schowku Victor przechowywał wszystkie swoje mroczne sekrety.

Sebastian dowiedział się więc o prostytutce, którą zabito i ucharakteryzowano na Corinne. Były tam też rachunki od krawca za uszyte w ekspresowym tempie ubrania, dokładnie według wskazówek Victora. I list od zaprzyjaźnionego jubilera ze szkicem naszyjnika, identycznego z tym, który miała na sobie Corinne w noc jej zniknięcia.

Głupie pamiątki, które powinien był spalić razem z nadzieją, że jeszcze kiedykolwiek zobaczy córkę.

Sebastian był przerażony tym odkryciem, ale zachował milczenie. Victor zabronił mu o tym mówić, groził. Oświadczył synowi, że jeśli ujawni jego kłamstwa, sprowadzi śmierć na nich wszystkich.

Sebastian nie zdołał udźwignąć ciężaru tego sekretu.

- To ty - wyrzuciła Regina drewnianym głosem. - To ty odpowiadasz za to, co stało się z naszym synem. Mój Boże... to ty doprowadziłeś go do nałogu, do tego, że strzelił sobie w głowę!

Furia Bishopa wreszcie eksplodowała.

- Kazałem ci się zamknąć!

Choć Reginę zaskoczył ton jego głosu, nie cofnęła się ani o krok. Ręce nadal miała zaciśnięte w pięści, pobieleły jej knykcie. Ona też była wściekła. Podeszła do biurka, przy którym stał.

- Zniszczyłeś życie Sebastiana tak samo jak życie Corinne, ale to ci nie wystarczyło, prawda? Zdradziłeś ją jeszcze raz. Ten telefon... chciałeś jej kosztem ratować własną skórę. Nie mogę tak żyć z tobą. Jesteś tchórzem, Victorze. Gardzę tobą.

Pochylił się nad biurkiem i uderzył ją pięścią w twarz tak mocno, że upadła na podłogę. Obszedł biurko i spojrzał na nią, gotując się z gniewu. Poczul, że usta wypełniają mu kły. Regina nie okazała strachu. Uniosła głowę i popatrzyła mu prosto w oczy. Nawet nie drgnęła na widok przemienionych tęczówek, które zalały jej twarz bursztynowym blaskiem. Oblizła kącik ust i posmakowała strumyczek czerwonej krwi, ściekający jej po policzku.

- Czy masz pojęcie, na jakie piekło ją skazałeś? - spytała zimno. - Była gwałcona, Victorze. Bita i torturowana. Przeprowadzano na niej eksperymenty, jak na zwierzęciu. Urodziła dziecko w tym więzieniu. Tak, Corinne ma syna. Odebrali go jej. Myślała, że pomożesz jej go odszukać, sprowadzić z powrotem. Chciała tylko, żebyśmy znów byli rodziną, żebyśmy przyjęli ją i jej dziecko.

Bishop słuchał, ale pozostał nieporuszony. Nawet łzy Reginy nie zrobiły na nim wrażenia. Tkwił w tym za głęboko, zbyt długo. Zamiast tracić czas na współczucie czy wyrzuty sumienia z powodu rzeczy, których nie mógł zmienić, już rozważał, jak odwrócić tę sytuację na swoją korzyść i zaskarbić sobie względy Urka Mapna czy Dragosa, wszystko jedno, jak naprawdę nazywał się ten potężny wampir.

Przyglądał się w milczeniu, jak Regina podnosi się z podłogi. Nie próbował jej pomóc. Pogardzała nim. Czuł to w jej krwi.

- Chcę, żebyś odszedł, Victorze. Dziś w nocy masz opuścić Mroczną Przystań.

Żądanie było tak absurdalne, że roześmiał się głośno.

- Spodziewasz się, że opuszczę własny dom?

- Dokładnie tak - potwierdziła spokojnie. Nigdy nie widział jej takiej stanowczej. - Jeśli tego nie zrobisz, ujawnię

twoje sprawy przed całą Rasą. Twoje, Urka Mapna, Henry'ego Vachona... was wszystkich.

Wyzywająco odwróciła się do niego tyłem i ruszyła ku otwartym drzwiom gabinetu. Nie pozwolił jej do nich dotrzeć.

W jednej sekundzie - a nawet szybciej - wystrzelił z miejsca, gdzie stał, pośrodku pokoju, i zastąpił jej drogę.

Chwycił ją mocno za ramiona.

- Nie zrobisz niczego podobnego - wycodził przez zaciśnięte zęby. - Ty, moja droga, będziesz trzymać za zębami ten swój gadzi język. Będziesz słuchać swojego partnera, jeśli zależy ci na własnym dobru.

Otworzyła nieco szerzej oczy i przełknęła ślinę. Nim się odezwała, wziął jej zachowanie za strach.

- Bo inaczej co? - zapytała, zdecydowanie zbyt śmiało. - Bo co zrobisz, Victorze? Zabijesz mnie?

Choć zdarzało się to rzadko, były takie przypadki, szczególnie w dawnych czasach. Nie byłby pierwszym wampirem, który stracił kontrolę nad swą dziką naturą i zabił partnerkę.

Kiedy patrzył na Reginę, uświadomił sobie, o ile łatwiejsze byłoby jego życie bez niej. Jego grzechy umrą wraz z nią. A jeśli Corinne spróbuje kiedyś stanąć mu na drodze, usunie ją z tego świata, jak drzazgę tkwiącą pod paznokciem. Nic dla niego teraz nie znaczyła, jeszcze mniej niż tej nocy, kiedy porwał ją Urko Mapn.

Niemal bezwolnie zacisnął mocniej ręce. Regina skrzywiła się z bólu.

- To boli - poskarżyła się, rzucając nerwowe spojrzenie ponad jego ramieniem, jakby szukała pomocy.

Był teraz w stanie furii. Uświadomił sobie, że utrata jej zaufania oznacza, że i on nie może jej ufać.

- Głupio zrobiłaś, grożąc mi, Regino. Być może byłbym w stanie znieść pogardę, jaką do mnie czujesz, ale jak sama powiedziałaś, stałaś się dla mnie zagrożeniem. Nie stać mnie na takie ryzyko...

Nagle kliknięcie przeładowanej broni zaskoczyło go zupełnie, podobnie jak zimna lufa, przyciśnięta do jego prawej skroni.

- Proszę ją puścić, panie Bishop. Już. Mason. Nie musiał patrzeć, żeby wiedzieć, że to on. Znał doskonale niski, spokojny głos swojego ochroniarza, który służył tu od wielu lat. Wielokrotnie widział go w akcji, więc wiedział, że ma kłopoty. Mason był szlachetny aż do bólu i nie podda się, póki będzie oddychał. Szczególnie że stawką jest życie ślicznej Reginy, a Bishop od dawna podejrzewał, że jest ona dla niego kimś więcej niż tylko panią Mrocznej Przystani. Tak, Mason będzie ją chronił za cenę życia, co do tego Victor nie miał wątpliwości.

Będzie więc musiał ubrudzić sobie ręce krwią ich obojga, nim skończy się ten dzień.

Wszystko jedno, pomyślał bezlitośnie. Był gotów zrobić wszystko co konieczne, by jego życie i przyszłość stały się mniej skomplikowane.

- Powiedziałem, żeby pan ją puścił. - Mason przycisnął mocniej lufę do skroni Bishopa.

Bishop wypełnił polecenie, ale tylko po to, by Mason sądził, że kontroluje sytuację. Gdy tylko wyczuł, że ochroniarz odprężył się, rzucił się na niego z wyszczerzonymi kłami.

Regina wrzasnęła, kiedy wytrącił Masonowi broń z ręki. Uciekła z gabinetu, a pistolet poleciał na podłogę w korytarzu.

Bishop rzucił się na swego ochroniarza. Byli sobie równi, jednak Bishopowi przewagę zapewniała dzika determinacja, wściekłość, która niczym szaleństwo pulsowała w jego krwi i umyśle. Z potwornym rykiem chwycił Masona za koszulę na piersi i cisnął nim o ścianę gabinetu. Nie dał mu nawet sekundy na reakcję.

Doskoczył do niego i wbił mu obcas włoskiego półbuta prosto w krocze. Mason zawył z bólu. Oczy płonęły mu jak węgle, kły wysunęły się z dziąseł.

Bishop zaśmiał się, czerpiąc przyjemność z bólu, który zadał przeciwnikowi. Zabije Masona powoli, a potem udusi Reginę gołymi rękami.

Kiedy rozkoszował się tą myślą, zauważył kątem oka jakiś ruch na korytarzu.

Regina wróciła, widać nie uciekła daleko. Trzymała oburącz pistolet Masona.

Bishop obrzucił ją ciężkim spojrzeniem - nagle usłyszał kliknięcie, gdy nacisnęła spust. Kula leciała w jego stronę, za nią unosił się obłoczek dymu. Uskoczył w ostatniej chwili. Usłyszał, jak za jego plecami tłuką się z brzękiem przeszklone drzwi. Popołudniowe słońce wdarło się przez dziurę w grubych zasłonach, do pokoju napłynęło zimne grudniowe powietrze.

Bishop parsknął. Właśnie miał zakpić z trzęsących się rąk swojej dawczyni życia, kiedy wystrzeliła jeszcze raz. Strzelała do niego raz za razem, a on nie miał szans uskoczyć przed kulami. Strzelała, póki nie skończyły jej się naboje.

Zachwiał się, spojrzął na czerwoną plamę, która rozlała mu się na piersiach. Nie mógł powstrzymać krwawienia. Czuł, jak jego serce stara się utrzymać rytm, przy każdym oddechu w pierś wbijały mu się pazury bólu. Nogi się pod nim ugięły.

Na dodatek Mason zdołał się podnieść i stał teraz przed nim, a wrogość wręcz emanowała z jego ciała jak ciemna burzowa chmura.

Bishop zrozumiał, że to koniec.

Kule go nie zabiły, ale pozbawiły siły. Miał przebite płuca i serce, ale trzymał się dzięki wściekłości - jedynej rzeczy, która mu została.

Z potwornym rykiem rzucił się na swoją dawczynię życia.

Ale Mason zastąpił mu drogę. Chwycił go za ubranie, dźwignął z podłogi. A potem cisnął nim w wielkie przeszklone drzwi, które wychodziły na trawnik przed Mroczną Przystanią. Ciało Bishopa uderzyło w kotary i szkło, po czym upadło zakrwawione na zamarzniętą trawę.

Nie był w stanie się ruszyć, więc patrzył w niebo nad sobą. Nic nie mogło go ocalić przed powolną, bolesną śmiercią. Patrzył w zdumieniu na wspaniałe, bezlitosne światło dnia.

Rozdział 13

Dragos zamknął z trzaskiem komórkę, nadal zirytowany wieściami, jakie otrzymał kilka godzin temu od swego zastępcy w Nowym Orleanie.

Henry Vachon, jego długoletni sprzymierzeniec jeszcze z czasów pracy w Agencji, był poważnie zaniepokojony perspektywą odwiedzin jednego z członków Zakonu. Dragos nie wątpił, że ma ku temu powody. Sądząc z informacji przekazanych Vachonowi przez bardzo zdenerwowanego Victora Bishopa z Detroit, odwet Zakonu to jedynie kwestia czasu.

Zeby uspokoić Vachona i zapobiec utracie kolejnego sprzymierzeńca, Dragos wysłał mu mocne wsparcie z rozkazem zabijania napastników. Natomiast jeśli chodzi o Victora Bishopa, to choć dawniej służył jego celom, obecnie stanowił zagrożenie, bez względu na to, jak bardzo się płaszczył, dzwoniąc do Vachona. Jeśli okaże się na tyle głupi, by mu się narzucać, Dragos z rozkoszą sam go zabije.

Paskudnego humoru, jaki dręczył go od kilku godzin, nie mogło poprawić podskakiwanie limuzyny na nierównej drodze gruntowej w północnym Maine.

- Musisz wpadać w każdą cholerną dziurę? - warknął na sługę, który prowadził samochód. Zignorował uniżone przeprosiny i wyrzwał przez okno na ciemną puszcę i zamarznięte bagna. - Telepię się w tym przeklętym wozie już od czterech godzin. Daleko jeszcze?

- Nie, panie. Według wskazań GPS jesteśmy prawie na miejscu.

Dragos parsknął, nadal wyglądając przez okno. Ostatnie miasteczko minęli dobre sto kilometrów temu - o ile grupę zniszczonych, pięćdziesięcioletnich przyczep i wraków aut można było nazwać miasteczkiem. Ludzie najwyraźniej nie osiedlali się tak daleko na północy, a przynajmniej niezbyt licznie. Zapewne przenosili się do miast z powodu marnej ziemi i braku przemysłu.

Tylko prawdziwi straceńcy mogli zarabiać na życie, mieszkając na skraju tych lasów. Albo tacy, którzy mieli ważne powody, by uciekać przed społeczeństwem.

Tacy jak ci, z którymi Dragos jechał się spotkać.

Ludzkie władze nazywały ich terrorystami, zbuntowanymi obywatelami, którzy obwiniali o swoje porażki wszystkich, tylko nie siebie. Inni nazywali ich socjopatycznymi bombami zegarowymi, które tylko czekają na następny kryzys polityczny czy finansowy, by wybuchnąć. Zdaniem większości ci ludzie byli szaleni, stanowili anomalie w ludzkim społeczeństwie.

Natomiast oni sami bez wątpienia uważali się za bohaterów i patriotów. Ci trzej, którzy na niego czekali, zapewne byli gotowi zostać męczennikami za sprawę, oddać życie na ołtarzach moralnego oburzenia. To właśnie ta dzika wiara, bezwzględne oddanie i gotowość do działania sprawiły, że Dragos zwrócił na nich uwagę.

Fakt, że cała grupa znajdowała się przez ostatnie dziesięć lat na czarnej liście ludzkich władz, sprawiał, że perspektywa ich zwerbowania stała się bardziej pociągająca.

Dragos spojrział przez przednią szybę, gdy kierowca zwolnił, po czym skręcił w jeszcze węższą dróżkę. To była w zasadzie ścieżka, ubity śnieg i lód, a prowadziła prosto w las.

Światła reflektorów drgały, gdy długi sedan kołysał się i podskakiwał na drodze. Znaczyły ją ledwie widoczne ślady pikapa z łańcuchami na oponach - pozostawione przez innego sługę, który dzień wcześniej umówił spotkanie. Poza nim nikt chyba od miesiący tędy nie przejeżdżał.

Ten sługa, były oficer wywiadu, czekał na nich przed walącą się oborą na końcu drogi.

Podszedł do drzwi pasażera, gdy tylko samochód się zatrzymał.

- Witaj, panie. - Skłonił głowę, gdy Dragos wysiadł. -Oczekują ciebie w środku.

- Każ kierowcy wyłączyć silnik i światła i czekać tu na mnie - mruknął zniecierpliwiony Dragos. - To nie powinno potrwać długo.

- Oczywiście, panie.

Dragos ostrożnie ruszył oblodzoną ścieżką, która prowadziła do obory. Przez szpary w deskach widać było światło, dach się zapadał i czuć było zwietrzały zapach zwierząt. Na usta Dragosa wypłynął uśmiech, kiedy pomyślał o bliskim zwycięstwie.

Co za ironia, że wejście do tego obskurnego budynku -należącego do miejscowych radykałów - miało być znaczącym krokiem w stronę całkowitej, nieodwracalnej klęski potężnego Lucana Thorne'a i jego przeklętego Zakonu.

Corinne siedziała na jednym z dwóch szerokich łóżek w pokoju hotelowym w Nowym Orleanie i przełączała za pomocą pilota kanały w telewizji. To zajęcie zajęło na chwilę jej umysł, nie pozwalając myśleć o ich małej kwaterze jak o klatce. Ale nowość, jaką były dla niej zgiełk i żywe obrazy, poruszające się po ekranie za naciśnięciem przycisku, szybko się znudziła.

Rzuciła okiem na Huntera, który z każdą minutą stawał się bardziej odległy i milcząco obojętny. Jakąś godzinę temu,

po zachodzie słońca, rozmawiał przez komórkę z Gideonem o planach zlokalizowania posiadłości Henry'ego Vachona i przeniknięcia do środka. Kiedy znajdzie Vachona, przeniesie go w odosobnione miejsce i wyciągnie z niego informacje na temat Dragosa. Musi jedynie stwierdzić, gdzie Vachon obecnie przebywa, i włamać się do niego, nie dając się po drodze złapać ani zabić.

To wszystko brzmiało bardzo ryzykownie i niebezpiecznie.

Corinne wyłączyła telewizor, odłożyła pilota na łóżko i wstała, żeby popatrzeć na mapę rozłożoną na stole przy kanapie, po drugiej stronie pokoju. Hunter wolał studiować elektroniczną mapę, w komórce.

Przyjrzała się uważnie zakreślonemu obszarowi, gdzie zdaniem Zakonu znajdowały się posiadłości Vachona. Podczas lotu z Detroit i w pokoju hotelowym, w oczekiwaniu na zachód słońca, zastanawiała się, jak samodzielnie odnaleźć Henry'ego Vachona i błagać go o pomoc w odnalezieniu syna.

Jeśli pozwoli, by to Hunter go znalazł, Vachon w zasadzie będzie dla niej martwy. Ale gdyby zdołała pierwsza się z nim spotkać i spróbować negocjacji, mimo słabych kart przetargowych, może zyskałaby szansę na odnalezienie syna. Myśl o znalezieniu się w pobliżu lojalnego współpracownika Dragosa budziła w niej strach, ale jeśli Henry Vachon brał udział w jej porwaniu, to już poznała go od najgorszej strony. Doświadczyła jego zdeprawowanego okrucieństwa i przeżyła. Jeśli będzie trzeba, stawi ponownie czoło im obu, jemu i Drago-sowi, by odnaleźć syna.

To desperacki plan. Głupi, właściwie samobójczy.

Ale ona była zdesperowana i gotowa zaryzykować wszystko.

Znów spojrzała na Huntera, stojącego przy przeszklonych, przesuwanych drzwiach. Jego potężna sylwetka rysowała się w blasku księżyca i lamp na bulwarze poniżej. Powietrze napełniała muzyka, ciche zawodzenie saksofonu. Ktoś grał bluesa.

Podeszła bliżej okna, jak zawsze wabiły ją kojące dźwięki poezji przekształconej w nuty. Słuchała przez chwilę, obserwując starca na przeciwległym rogu ulicy. Grał na zniszczonym saksofonie z pasją kogoś o połowę młodszego.

- Kiedy wychodzisz szukać Vachona? Hunter uniósł głowę i napotkał wzrok Corinne.

- Jak najszybciej. Gideon szuka danych na temat jego posiadłości, starych planów, schematów bezpieczeństwa, wszystkiego, co może mi pomóc w rekonesansie. Jeśli w ciągu godziny zdoła odszukać coś użytecznego, zadzwoni do mnie.

- A jeśli nic nie znajdzie?

- Wówczas poradzę sobie bez tego.

Kiwnęła głową. Nie zaskoczyła jej ta odpowiedź. Hunter nie wyglądał na kogoś, kogo zniechęcają przeszkody, nawet jeśli to oznacza zakradanie się do obozu wroga za pomocą jedynie własnego rozumu i broni.

- Sądzisz, że Vachon powie ci, gdzie jest Dragos? Twarz Huntera wyrażała spokojną pewność siebie.

- Jeśli wie, powie mi.

Nie chciała zgadywać, jak to osiągnie. Nie mogła też wytrzymać jego przenikliwego spojrzenia, skoro stał ledwie pół metra od niej.

Jego bliskość przywiodła jej na myśl tamten moment, gdy przyłapała go na podglądaniu jej w łazience. Była zaskoczona -w zasadzie wstrząśnięta żarem jego zagadkowego spojrzenia. Kiedy przypomniła to sobie teraz, poczuła falę ciepła tym gorętszą, że nie dzieliły ich już żadne drzwi.

Powinna poczuć się obrażona, że ją podglądał, może nawet przestraszona. Spojrzenie Huntera ją zdenerwowało i wtedy, i teraz. Nie dlatego, że się go bała, choć sądziła, że to właśnie powinna czuć, ale z powodu własnego pobudzenia. Twardy wojownik nie patrzył na nią jak na obiekt, który musi chronić, ale jak na kobietę.

A przynajmniej do chwili, kiedy zobaczył jej blizny.

Wiedziała, że są paskudne, ale znacznie gorsze rany nosiła w duszy. W pewnym sensie jeszcze nie wyszła do końca z upiornego więzienia Dragosa, być może nigdy stamtąd nie wyjdzie. Tyle siebie utraciła w tych wilgotnych celach, że nie była pewna, czy jeszcze kiedykolwiek stanie się całością.

To dlatego przerażała ją myśl o zamknięciu w ciasnym pomieszczeniu, na przykład w maleńkiej hotelowej łazience. Zostawiła tylko małą szparę w drzwiach, żeby widzieć przestrzeń poza ścianami, żeby wiedzieć, że w każdej chwili może wyjść. Że nie jest zamknięta, że nie czeka bezsilnie na kolejne tortury, zdana na łaskę tego, kto ma klucz.

Nawet teraz sama myśl o ograniczonej przestrzeni, o zamkniętych drzwiach sprawiła, że ściany zaczęły na nią napierać. Puls jej przyspieszył, gardło zacisnęło się w panice. Odwróciła się ku szerokim przesuwным drzwiom, za którymi był mały balkon. Wyciągnęła ręce, przyłożyła je do zimnej szyby i skupiła się na oddychaniu, usiłując uspokoić kołaczące serce.

To nie wystarczyło.

- Co się stało? - spytał Hunter, marszcząc brwi, kiedy zaczęła oddychać szybko i urywanie. - Jesteś chora?

- Powietrza - jęknęła. - Potrzebuję... powietrza. Zaczęła walczyć gwałtownie z zamkiem w przeszklonych

drzwiach, aż wreszcie odsunęła je z rozmachem i wypadła na balkon. Chwyciła się stalowej barierki i zaczęła oddychać głęboko orzeźwiającym nocnym powietrzem. Hunter stanął przy niej. Czowała jego obecność, był niczym ściana ciepła. Przyglądał się jej w milczeniu, ale z niepokojem.

- Nic mi nie jest - wymamrotała, choć świat nadal wirował, klatkę piersiową wciąż miała ściśniętą jak w imadle. - Tonic... Nic mi nie jest.

Wyciągnął rękę, delikatnie ujął jej podbródek i obrócił ku sobie jej twarz. Zmarszczył brwi jeszcze bardziej, wbił w nią badawcze spojrzenie złocistych oczu.

- Nie czujesz się dobrze.

- To nic. Musiałam zaczerpnąć świeżego powietrza, to wszystko. - Odsunęła się delikatnie, a on opuścił rękę. Jeszcze przez chwilę czuła na twarzy ciepło jego dotyku, jej skóra pamiętała kształt dużych palców. Odetchnęła, drżąc.

Zauważył, że drży, choć noc w Nowym Orleanie nie należała do zimnych.

- Nie czujesz się dobrze - powtórzył. Tym razem jego głos był łagodniejszy, ale równie stanowczy. - Twoje ciało potrzebuje więcej odpoczynku. I musisz się pożywić.

Jego spojrzenie powędrowało ku jej ustom i zawisło na nich na chwilę, budząc w niej inny rodzaj drżenia.

- Kiedy ostatni raz jadłaś, Corinne?

Boże, nawet nie pamiętała. Zapewne ponad dobę temu, w bostońskiej kwaterze, nim wyruszyli do Detroit. Wzruszyła niepewnie ramionami. W niewoli przywykła do głodu. Dragos karmił uwięzione kobiety tylko tak często, by utrzymać je przy życiu. Czasami, kiedy z powodu swej buntowniczej natury trafiała do karceru, dostawała jeszcze mniej pożywienia.

- Wszystko w porządku - zapewniła, czując się niezręcznie pod jego badawczym wzrokiem. - Muszę po prostu przez chwilę pobyc na zewnątrz. Potrzebuję powietrza.

Nie wyglądał na przekonanego. Rzucił okiem na balkon, a potem na ulicę na dole. Wiatr przynosił dźwięki: rozmowy i śmiech ludzi spacerujących po ulicach, turkot samochodów podskakujących na bruku, melodię graną przez muzyka na rogu. Towarzyszył im zapach pieczonego mięsa i ostrych sosów, który wywołał zdradzieckie burczenie w brzuchu Corinne.

Hunter znów na nią spojrzał, przechylił pytająco głowę.

- No dobrze - powiedziała. - Zjadłabym coś.

- Więc chodź ze mną - poprosił, cofając się do pokoju. Corinne poszła za nim po części dlatego, że chciała się

znaleźć na tętniącej życiem ulicy, znowu wśród żywych, a częściowo dlatego, że zrozumiała, że jeśli chce wprowadzić dziś

swój plan w życie - czyli znaleźć sposób na skontaktowanie się samodzielnie z Henrym Vachonem - musi najpierw napełnić żołądek i przygotować się do tej desperackiej misji.

Rozdział 14

Usiedli w małej restauracji kilka przecznic od hotelu, z dala od turystycznego ruchu.

Zdaniem Huntera knajpka nie wyglądała obiecująco. Ciemna sala z zaledwie dwudziestoma stolikami ustawionymi wokół małej sceny z oheblowanych desek i parkietu tanecznego nie większego niż znaczek pocztowy. Trio na scenie grało coś powolnego i zmysłowego, kobieta, która śpiewała, kiwała głową do pianisty i drugiego muzyka, który wydobywał ponure nuty z krótkiej mosiężnej trąbki.

W powietrzu wisiał zapach tłustego jedzenia oraz dziwnych przypraw, dymu z grilla i tanich perfum. I było tu zdecydowanie za dużo ludzkich ciał. Ale Corinne wydawała się zadowolona. Kiedy tylko usłyszała z ulicy muzykę, wpadła do środka i uparła się, że właśnie tutaj chce coś zjeść.

W gruncie rzeczy nie Hunterowi było oceniać ten wybór. To jej ciało domagało się pożywienia, więc postanowił pozwolić Corinne wybrać, gdzie będzie jeść.

Jeśli chodzi o jego potrzeby, minęło już kilka dni, odkąd się pożywiał. Wiedział, że wytrzyma dłużej, ale nie było rozsądnie narażać na szwank delikatnego metabolizmu właściwego Pierwszemu Pokoleniu obywatelom się bez krwi przez cały tydzień. Kiedy usiadł z Corinne przy narożnym stoliku, plecami

do ściany, i przyglądał się innym klientom, czuł w żyłach pulsowanie głodu.

Nie był jedynym wampirem obserwującym tłum homo sapiens. Zauważył dwóch innych, gdy tylko wszedł tu z Corinne. Nie stanowili dla nich zagrożenia. To było po prostu dwóch cywilów z Mrocznej Przystani, oceniających potencjalnych karmicieli, tak samo jak on. Gdy tylko zauważyli, że na nich patrzy, schronili się niespokojnie w cieniu, jak para małych rybek, które właśnie wyczuły w swej sadzawce rekina.

Kiedy znikli, Hunter rzucił okiem na Corinne.

- Czy twój posiłek jest odpowiedni? - spytał.

- Wspaniały. - Odstawiła szklankę z jakimś przezroczystym alkoholowym koktajlem z kostkami lodu i grubą ćwiartką cytryny. - Wszystko jest, a właściwie było, pyszne.

W zasadzie nie musiał pytać. Tak szybko - i z takim apetytem - pochłonęła porcję ryby zapiekanej w migdałach, że nie było co do tego wątpliwości. A wcześniej zjadła talerz ostrej zupy i dwie bułeczki z koszyka ustawionego na brzegu stołu.

Choć wyraźnie smakował jej posiłek, im dłużej tu siedzieli, tym bardziej robiła się milcząca, zamyślona. Patrzył, jak przesuwając palcem po obwodzie niskiej szklanki koktajlowej. Kiedy ich spojrzenia spotkały się nad stolikiem, miał wrażenie, że jej niezwykle oczy uwięziły go na chwilę. Płomyk stojącej na stoliku świecy igrał z ich kolorem, zmieniając zielonkawy błękit w ciemną zielen puszczy. Jej wzrok był udręczony, ukrywała najboleśniejse sekrety za tą nieprzeniknioną ścianą zieleni.

Wątpił, żeby mu się zwierzyła ze swych myśli. A choć czuł ciekawość, uważał, że nie powinien pytać. Siedział więc w milczeniu, kiedy zamknęła oczy i zaczęła kołysać się lekko w rytm muzyki dobiegającej ze sceny. Mimo gwaru głosów i szczęku naczyń usłyszał, jak nuci cicho wraz z piosenkarką przesycone smutkiem słowa.

Po dłuższej chwili uniosła powieki i zauważyła, że Hunter się jej przygląda.

- To stara piosenka Bessie Smith - wyjaśniła, patrząc na niego wyczekująco, jakby powinien znać to nazwisko. - Jedna z jej najlepszych.

Słuchał, próbując zrozumieć, co Corinne się w niej podoba. Brzmienie było dość miłe, leniwa melodia, ale słowa wydawały się niemal pozbawione sensu. Wzruszył ramionami.

- Ludzie piszą piosenki o dziwnych rzeczach. Ta piosenkarka najwyraźniej żywi uczucia wobec nowego urządzenia kuchennego.

Corinne uniosła szklankę do ust, zamierzając dopić drinka. Popatrzyła na niego przeciągle, a potem na jej wargi wypłynął uśmiech.

- Ona nie śpiewa o urządzeniach kuchennych.

- Ależ tak - sprzeciwił się, pewien, że dobrze usłyszał. Spojrzał na wokalistkę, a potem kiwnął głową do Corinne. -O, właśnie tutaj. Śpiewa, że kiedy jej facet ją opuścił, poszła kupić najlepszy młynek do kawy. Powtarza to co chwila. -Zmarszczył brwi, nie potrafiąc odnaleźć logiki w tych słowach. - A teraz najwyraźniej przeniosła uczucia na jakiegoś nurka.

Uśmiech Corinne stał się szerszy, po chwili roześmiała się głośno.

- Wiem, co mówią słowa, ale nie to znaczą. Wcale nie. - Jej oczy pełne były rozbawienia. Przechyliła pytająco głowę, przyglądając mu się. - A ty jaką muzykę lubisz, Hunterze?

Nie był pewien, co odpowiedzieć. Słuchał muzyki, którą inni wojownicy puszczali w kwaterze, ale nie czuł sympatii do żadnej konkretnej odmiany. Nigdy nie myślał o muzyce, nigdy się nie zastanawiał, czy mu się podoba, czy nie. Jaki byłby w tym cel?

Teraz spojrział na śliczną, uśmiechniętą Corinne Bishop, siedzącą na wyciągnięcie ręki od niego, skapaną w blasku świecy. Przełknął z trudem, zaskoczony tym, jak na niego działa.

- Podoba mi się... to - wyznał, nie będąc w stanie oderwać od niej oczu.

To ona zerwała kontakt wzrokowy, spojrzała w dół i zdjęła z kolan wykrochmaloną białą serwetkę. Wytarła nią kąciki ust.

- Tyle czasu minęło, odkąd jadałam w ten sposób. I odkąd słuchałam bluesa. Kiedyś słuchałam takiej muzyki przez cały czas. Przedtem.

- Nim zostałam porwana - dopowiedział, widząc, jak na jej twarz znów wypływa ten udęczony wyraz. Wiedział, że była bardzo młoda, kiedy Dragos ją porwał. Słyszał, że kiedyś była pełna życia, wciąż się śmiała i szukała przygód. Dostrzegał w niej ślady tamtej dziewczyny, kiedy nieświadomie kołysała się w rytm muzyki, wystukując stopą rytm. - Brock wspominał, że towarzyszył ci do klubów tanecznych, kiedy ochraniał cię w Detroit.

- Towarzyszył mi? - Kiedy Corinne uniosła głowę, miała na ustach gorzki półuśmiech. - Jeśli tak ci powiedział, to widać starał się być grzeczny. Byłam wtedy nieznośna, ciągnęłam go do wszystkich klubów jazzowych w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od miasta. Nie popierał tego, ale myślę, że wiedział, że jeśli mnie tam nie zabierze, znajdę sposób, żeby pójść sama. Jestem pewna, że wiele razy był wściekły, że musi mnie pilnować.

Hunter pokręcił głową.

- Zależało mu na tobie. Nadal zależy. Jej uśmiech stał się czuły.

- Bardzo się ucieszyłam, że jest szczęśliwy, że znalazł w Jennie partnerkę. Zasługuje w życiu na wszystko co najlepsze.

Zamilkła, kiedy kelnerka przyszła zabrać talerze i pustą szklanę.

- Przynieść jakiegoś drinka, kochana? Corinne uczyniła odmowny gest.

- Lepiej nie. Już ten uderzył mi do głowy.

Hunter również odmówił. Nie tknął piwa, zamówionego na pokaz. Kiedy kelnerka odeszła, Corinne spojrzała na niego w migotliwym świetle świecy. Jej źrenice przypominały czarne stawy, hipnotyzujące, bezdenne. Kiedy się odezwała, jej głos był zduszony i cichy, a równocześnie niepewny.

- A ty, Hunterze? Gdzie dorastałeś? Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żebyś był kiedyś dziki i impulsywny.

- Bo nie byłem - stwierdził, przypominając sobie swoje surowe wychowanie. Był poważny i zdyscyplinowany, odkąd tylko pamiętał. Musiał; gdyby nie spełnił oczekiwań pod jakimś względem, sam skazałby się na śmierć.

Nadal na niego patrzyła, próbując go rozgryźć.

- Mówiłeś, że nie masz rodziny. Czy zawsze mieszkałeś w Bostonie?

- Nie - odparł. - Przyjechałem tam zeszłego lata, kiedy wstąpiłem do Zakonu.

- Och... - Najwyraźniej była zaskoczona tą informacją i jakby nie do końca zadowolona. - Więc nie jesteś z nimi długo. - Znów spuściła wzrok i zaczęła przesuwac okruszki po blacie. - A jak długo byłeś w służbie Dragosa?

Teraz zdołała go zaskoczyć.

- Tamtej pierwszej nocy, w Mrocznej Przystani Claire i Andreasa, któraś z kobiet usłyszała, jak o tobie mówią - wyjaśniła. - O tym, że kiedyś pracowałeś dla Dragosa. - Przyjrzała mu się uważnie. - Czy to prawda?

- Tak. - Po prostu. Szczerze. Przecież już to wiedziała. Więc dlaczego nagle zapragnął cofnąć to słowo? Dlaczego chciał ją zapewnić, że choć służył Dragosowi, nie stanowi dla niej zagrożenia?

Ale nie mógł jej tego powiedzieć. Ponieważ w głębi duszy wątpił, czy to prawda.

Czy naprawdę nie stanowił dla niej zagrożenia?

Wizja Miry zdawała się wskazywać na co innego. Odkąd opuścili Mroczną Przystań w Detroit, próbował o niej zapomnieć, uznając, że już się spełniła - choć rozegrała się inaczej i miała inne zakończenie - podczas konfrontacji z Victorem Bishopem.

Ale coś było nie tak.

Wcześniej nigdy się nie zdarzyło, by wizja Miry uległa zmianie. Byłby głupcem, sądząc, że tym razem będzie inaczej po prostu dlatego, że intrygowała go mrocznie piękna Corinne.

Gwałtownie wciągnęła powietrze. Zaczęła się odsuwać od niego fizycznie, na ile to było możliwe, nadal siedząc. Przez chwilę milczała i tylko patrzyła na niego w przyćmionym blasku świecy, przez mgiełkę unoszącą się w sali.

- Jak długo mu służyłeś? - spytała ostrożnie.

- Odkąd pamiętam.

- Ale już nie - dodała, przyglądając się jego twarzy. Przypuszczał, że szuka w niej oznak, że może mu zaufać.

Zachował nieruchomy, celowo neutralny wyraz twarzy, próbując ocenić, czy to przypadkiem nie ona ukrywa coś przed nim.

- Teraz robię dla Zakonu to, co robiłem dla Dragosa. Wytrzymała jego wzrok, wyraźnie zasmucona jego słowami.

- Zajmujesz się zabijaniem - oznajmiła. Hunter lekko skinął głową.

- Chcę, by Dragos i wszyscy, którzy mu służą, zostali wyeliminowani. Nawet jeśli będę musiał osobiście wytropić każdego z nich, dopilnuję, by tak się stało.

Po prostu stwierdzał fakt, ale Corinne popatrzyła na niego z dziwnie łagodnym wyrazem twarzy. W jej oczach było pytanie, zbyt osobiste jak na jego gust.

- Co on ci zrobił, Hunterze? W jaki sposób cię zranił?

Ku własnemu zaskoczeniu Hunter zauważył, że nie może wykrztusić ani słowa. Nigdy nie wahał się przyznać, że wychowano go w surowej dyscyplinie i izolacji. Nigdy nie litował się nad sobą i nie czuł upokorzony faktem, że traktowano go nie lepiej niż zwierzę... a w zasadzie gorzej.

Nigdy nie wstydził się, że pochodzi od Prastarego, ostatniego żyjącego przybysza z obcej planety, tego, który wraz ze swymi towarzyszami spłodził całą Rasę wampirów na Ziemi. Dragos w sekrecie przetrzymywał to potężne stworzenie przez długie dziesięciolecia i wykorzystywał do pokrywania niezliczonych porwanych dawczyń życia, takich jak Corinne i uwolnione wraz z nią kobiety.

I jak nieznana dawczyni życia, która urodziła Huntera w cuchnącym lochu.

Nie miał pojęcia, co się z nią stało, w ogóle nie miał o niej wspomnień. Ale spotkał Corinne Bishop i widząc blizny na jej delikatnych plecach, poczuł głęboki wstyd, że zapragnął wyprzeć się wszelkich związków z Dragosem oraz jego straszliwym laboratorium.

Zacisnął z całych sił zęby.

- Nie musisz przejmować się tym, co przeżyłem - powiedział po chwili. - Nie spotkało mnie z rąk Dragosa nic gorszego niż ciebie.

Zmarszczyła brwi z dezaprobatą. Nawet w ciemności widział, jak rumieniec pokrywa jej policzki. Bez wątpienia wiedziała, że mówi o jej bliznach... o których nie miałby pojęcia, gdyby jej nie podglądał w łazience.

Spodziewał się, że rozzłości ją to przypomnienie; zapewne miała do tego prawo. Nie wyparłby się tego, że patrzył. Zapewne nie wyparłby się i tego, że mu się spodobała. Przez cały wieczór próbował zapomnieć o widoku jej nagiego ciała. To wspomnienie wróciło do niego teraz, bardzo żywe, mimo wysiłków, by usunąć je z myśli.

A jeśli chodzi o blizny, ich widok nim wstrząsnął, ale nie przesłonił jej urody. Przynajmniej nie w jego oczach.

Zaskoczyło go, jak wielką ma ochotę jej to wyznać, wszystko jedno, czy chciała to usłyszeć, czy nie.

Corinne patrzyła na niego przez długą chwilę, po czym odsunęła krzesło od stołu i zaczęła się podnosić.

- Pójdę poszukać łazienki - oznajmiła.

Wstał również, pospiesznie przesuwał wzrokiem po tłumie.

- Pójdę z tobą.

- Do damskiej toalety? - Rzuciła mu pełne nagany spojrzenie. - Zaczekaj tutaj. Zaraz wrócę.

Nie dała mu wielkiego wyboru, chyba że będzie ją śledził. Patrzył, jak odchodzi w stronę podświetlonego napisu „Femmes”, a potem znika za ciemnymi drzwiami.

Corinne spędziła w łazience zaledwie minutę czy dwie, stojąc oparta plecami o ścianę naprzeciwko obtłuczonej umywalki i mętnego lustra. Tylko tyle czasu, by odzyskać oddech, zebrać myśli. Ten drink przy kolacji naprawdę uderzył jej do głowy. No bo dlaczego inaczej siedziałyby przy stoliku z Hunterem, rozmawiając o muzyce i wspominając przeszłość, skoro powinna wyciągać z niego informacje, jakie Zakon zebrał na temat Henry'ego Vachona?

Gdyby Hunter nie poruszył tematu jej blizn i niezbyt subtelnie nie przypomniał jej, że je widział, zapewne dalej by tam siedziała, zatracając się w prostych przyjemnościach dobrego jedzenia i muzyki, którą kochała tak bardzo jako dziewczyna. Cieszyła się nawet towarzystwem sztywnego Huntera - kolejny dowód na to, jak źle wpłynęła na nią ta odrobina alkoholu.

Wyszła z łazienki z powrotem do zadymionego, ciemnego wnętrza restauracji. Kręciło jej się w głowie, nogi miała jak z waty. Ruszyła niepewnie ku scenie, na której trio grało

powolną serenadę. Niewielki parkiet wypełniły kołyszące się w tańcu pary.

Corinne stanęła na skraju niewielkiego kwadratu zniszczonej podłogi i przyglądała się, jak ludzie tańczą w migotliwym blasku świec. Przytulali się do siebie, obejmowali. Corinne mimowolnie uśmiechnęła się, rozpoznając zmysłowy, ale zadziorny tekst piosenki.

Kolejny utwór Bessie Smith. Kolejne wspomnienie z przeszłości, z czasów, kiedy była niewinna, nieświadoma tego, jak okrutne i odrażające potrafi być zło.

Zamknęła oczy i dała się pochłonać znajomej muzyce, czuła, jak ją wabi ku bezpiecznej przystani. To była tylko iluzja, wiedziała o tym. Nie mogła uciec, choćby nie wiem jak chciała wykreślić z pamięci wszystko, przez co przeszła. Nie mogła zapomnieć o tym, gdzie była, co straciła... co jeszcze musi zrobić.

Mimo to głos wokalistki kazał jej kołysać się lekko na skraju parkietu. Nie mogła się oprzeć jego czarowi. Chciała choćby tylko na chwilę poddać się, zamknąć oczy i unosić się na fali spokoju.

Kiedy podniosła wzrok, stał przed nią Hunter.

Nic nie powiedział, po prostu stał, wielka ściana mięśni i mrocznej energii. Żar, jaki z niego emanował, sprawiał, że tych kilka centymetrów, które ich dzieliło, przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Jego kanciasta, szczupła twarz była równie nieodgadniona jak zawsze, ale w oczach migotały mu iskierki powstrzymywanego ognia.

Ten sam wyraz oczu miał wtedy, w hotelu, tylko że teraz nie dzieliły ich drzwi. Nie miała się gdzie ukryć przed gorącym wzrokiem tego śmiertelnie niebezpiecznego mężczyzny. Ale to nie strach ją ogarnął. Wcale nie.

W tym momencie przemknęło między nimi coś podobnego do potężnej elektrycznej iskry. Tylko tak mogła wyjaśnić, jak to się stało, że wyciągnęła do niego ręce i oparła się na jego

szerokich ramionach. Tylko tak mogła wytłumaczyć impuls, który kazał jej przyłożyć policzek do silnej piersi i wyszeptać:

- Zatańcz ze mną, Hunterze. Tylko chwilę, dobrze?

Trzymając się go, kołysała się powoli w takt piosenki Bessie Smith i słuchała mocnego bicia jego serca. Nie tańczył, ale jej to nie przeszkadzało. Ogarnął ją jego żar, sprawił, że poczuła się bezpieczna, choć zapewne był najbardziej niebezpiecznym mężczyzną w tym lokalu.

Po dłuższej chwili objął ją, jego wielkie dłonie spoczęły lekko, niepewnie, u podstawy jej pleców. Zachowywał się sztywno, nawet jak na niego. Nie słyszała już jego oddechu, tylko coraz mocniejszy łomot jego serca, tak mocny i szybki, że zagłuszył wszystkie inne dźwięki.

Uniosła głowę i spojrzała na niego, nadal trzymając ręce na jego potężnych ramionach. Jego złociste oczy rzucały bursztynowe iskry, źrenice były wąskie i pionowe jak u kota. Promieniowała z niego namiętność, gorąca i potężna. Corinne cofnęła się niepewnie o krok, jej puls gwałtownie przyspieszył. Nagle poczuła się skrępowana. Poczuła pożądanie.

Zaskoczyła ją głębia tego uczucia. Po tym wszystkim, co przeszła, namiętność była dla niej czymś nieznanym. Myślała, że już nigdy w życiu nie będzie pragnąć dotyku mężczyzny. A jednak... To niewiarygodne i zapewne głupie, ale zapagnęła bliskości tego kamiennie spokojnego, niebezpiecznego wojownika bardziej niż czegokolwiek innego na świecie. Przynajmniej w tej chwili.

Zmusiła się do zrobienia kolejnego kroku w tył.

- Dziękuję za taniec - wymamrotała niepewnie. - I za to, że mnie tu dziś przyprowadziłeś. Zapomniałam, jak to jest poczuć się... normalnie. - Spuściła oczy pod wpływem jego palącego spojrzenia. - Nie sądziłam, że jestem w stanie jeszcze coś... poczuć.

W odpowiedzi ujął lekko, ale stanowczo jej podbródek, a potem uniósł jej twarz końcami palców, aż ich spojrzenia znów się spotkały.

Pochylił się i pocałował ją delikatnie.

Bardzo powoli przesunął wargami po jej wargach. Jego pocałunek był niepewny, jakby nie wiedział, co powinien zrobić. Dotyk jego ust był upajający i słodki, po raz pierwszy ktoś obchodził się z nią tak ostrożnie, z taką czułością. Zaskoczyło ją, że tak potężny mężczyzna jak Hunter potrafi okazać cierpliwość i opanowanie.

Nie było to dla niego łatwe. Pojęła to już w następnej chwili, kiedy ich wargi rozstały się i spojrzała w jego złociste oczy, dwa płomienie, które przenikały ją bursztynowym żarem. Pochylił bardziej głowę, ich usta dzielił tylko oddech. Czubki jego kłów połyskiwały bielą pod górną wargą. Dermaglify nabrzmiały kolorem na kunsztownych łukach zdobiących jego szyję i kark.

Pragnął jej.

Ta myśl powinna ją przerazić, a nie upajać. Spojrzała na niego, wbrew rozsądkowi pragnąc znów poczuć smak jego zmysłowych ust. Jego ręka, nadal spoczywająca na jej plecach, drżała wyraźnie. Kiedy ją cofnął, by pogłodzić Corinne po policzku, jego dotyk był lekki jak piórko, równie delikatny jak pocałunek, mimo szorstkości skóry na palcach.

Corinne oddychała płytko, kiedy pieścił opuszkami kciuka jej dolną wargę. Nadal unosił jej podbródek. Powoli pochylił głowę raz jeszcze, żeby...

Nagle zamarł.

Spiął się - i w jednej chwili stał się zimnym, gotowym do walki wojownikiem. Jego oczy przemknęły przez tłum.

- Mamy kłopoty - stwierdził. - Tu nie jest już bezpiecznie. Muszę cię stąd zabrać.

- O co chodzi? - Usiłowała zobaczyć, co go zaniepokoiło, ale był od niej dużo wyższy. - Co widzisz?

- Wampiry - odparł cicho. - Cała grupa weszła właśnie do restauracji. Jest wśród nich jeden z Pierwszego Pokolenia. Jeden z zabójców Dragosa.

Corinne poczuła, jak serce tłucze jej się boleśnie o żebra.

- Jesteś pewien?

- Tak.

Powiedział to w taki sposób, że zaparło jej dech w piersiach.

- Nadal ich widzisz? Co robią?

- Przeszukują tłum. - Odszukał jej rękę i chwycił mocno. - Jak sądzę, szukają nas.

Wciągnął ją głębiej w tłum na parkiecie, przeciskając się wśród tańczących i nie spuszczać oczu z nadciągającego zagrożenia.

- Dlaczego nas szukają? - spytała, idąc u jego boku i czując narastającą panikę. - Skąd Dragos wie, że jesteśmy w Nowym Orleanie?

- Ponieważ ktoś mu powiedział, gdzie szukać - odparł Hunter spokojnie. - Ktoś, kogo powinienem był zabić, kiedy miałem okazję.

Victor Bishop.

O Boże. Zdradził ją jeszcze raz.

Co za głupi błąd sądzić, że tego nie zrobi. A ona sama mu to umożliwiła, gdy prosiła Huntera, by darował mu życie. Oby ta pomyłka nie kosztowała życia ich obojga.

Wstrząśnięta i pełna wyrzutów sumienia, trzymała z całej siły rękę Huntera i szła za nim przez tłum w stronę ciemnego zaplecza restauracji.

Rozdział 15

Wypadli na zewnątrz tylnymi drzwiami restauracji. Hunter skupił się tylko na tym, by zapewnić bezpieczeństwo Corinne Bishop. Kiedy stalowe drzwi stanęły otworem, dwa wampiry w garniturach Agencji Bezpieczeństwa Rasy, pilnujące uliczki na tyłach, odwróciły się gwałtownie. Za późno.

Wojownik pozbył się ich tak szybko, że pierwszy nie miał nawet czasu sięgnąć po broń. Puścił rękę Corinne, chwycił wampira za głowę i przekręcił ją gwałtownie. Kręgosłup złamał się z trzaskiem przypominającym wystrzał, a ciało osunęło się bez życia na ziemię.

Drugi wampir został zlikwidowany równie szybko jak pierwszy.

Hunter obejrzał się na Corinne, która stała za nim, blada i milcząca.

- Chodź - ponaglił. - Nie mamy wiele czasu.

Wyciągnął telefon z kieszeni spodni, kiedy biegli labiryntem wąskich zaułków. Zadzwoił do Bostonu i poinformował o zajściu.

- Cholera! - warknął Gideon. - Jeśli Dragos zaniepokoił się aż tak, żeby wysłać do Nowego Orleanu swoich zabójców, należy zakładać, że ma silne powiązania z Vachonem.

- Oznacza to również, że Bishop utrzymuje z nim kontakt - zauważył Hunter, omijając sklep wudu sprzedający kurze łapki i inne części ciał zwierząt. - Jest to sprawa, którą załatwię z nim później.

Gideon sapnął głośno.

- Nie ma potrzeby, stary. Victor Bishop został zabity dziś po południu w swojej Mrocznej Przystani. Raport Agencji z Detroit

stwierdza, że zaatakował własną dawczynię życia i zapewne zabiłby ją, gdyby nie powstrzymał go jeden z jego ochroniarzy.

- Kto go zabił?

- Mason. Tak stwierdza raport.

Hunter mruknął w odpowiedzi, przypominając sobie, jak opiekuńczo zachował się ten wampir. Obejrzał się na Corinne, która za wszelką cenę starała się dotrzymać mu kroku, i zobaczył, jak na jej bladej twarzy pojawia się zrozumienie. No cóż, przynajmniej Victor Bishop zranił ją po raz ostatni. Z jakichś powodów pożałował, że to nie z jego ręki zginął ten dwulicowy drań. Za to wszystko, co jej zrobił.

- Musimy się gdzieś ukryć - zagadnął do Gideona.

- Nie jesteście w hotelu?

- Nie. Mapy i moja broń zostały w pokoju.

- Lepiej połóż na nich krzyżyk. Nie możecie tam wrócić, stary. Za duże ryzyko.

To oczywiste, pomyślał Hunter. Jeśli wojownicy Dragosa przeszukują miasto, należy założyć, że sprawdzą również hotele.

- Posłuchaj - podjął Gideon. - Straciłeś element zaskoczenia, jeśli chodzi o Vachona. Lucan jest tu ze mną i uważa, że samotne wykonanie tej misji jest w tej chwili zbyt ryzykowne. Poza tym musisz myśleć o kobiecie. Lucan mówi, że czas przerwać akcję. Wracajcie do samolotu.

Hunter miał ochotę zaprotestować. To było u niego coś niezwykłego, ponieważ wychowano go, by wykonywał rozkazy, a nie je kwestionował. Chciał dokończyć tę sprawę - musiał zobaczyć, jak Henry Vachon i Dragos dostają to, na co zasłużyli. Trudno mu było pogodzić się z faktem, że trop wystygnie tylko dlatego, że zaniedbał zabezpieczenia tyłów.

Nim zdołał coś powiedzieć, znów odezwał się Gideon:

- Właśnie rozmawiałem z pilotami. Samolot będzie czekał na was zatankowany i gotowy do odlotu. Jak daleko jesteście od lotniska?

Hunter wybiegł z alejki na ulicę, która prowadziła do jednej z głównych arterii francuskiej dzielnicy, co zapamiętał z planu miasta.

- Idziemy pieszo, ale to maksymalnie dwadzieścia minut samochodem.

- Dostań się tam jak najszybciej - polecił Gideon. - I zadzwoń do mnie, jak już będziecie w powietrzu. Znajdziemy wam bezpieczną kryjówkę, do czasu aż załatwimy sprawy tutaj. Nie możemy sobie pozwolić na dalsze straty. Wystarczy, że już straciliśmy jednego z nas.

- Straciliśmy kogoś? - Ta informacja zaskoczyła Huntera. Poczł zimny skurcz żołądka na myśl o utracie któregoś z towarzyszy. - Czy zginął w akcji?

- Racja, ty nic nie wiesz. Chodzi o Harvarda. Odszedł... po prostu wyszedł z kwatery, jak zbierałeś się do Detroit, i od tamtej pory nie dał znaku życia. Dante i Kade znaleźli jego komórkę nad rzeką, w Southie. Przykro mi to mówić, ale wygląda na to, że Chase nie zamierza wracać. - Gideon zamilkł na chwilę. - Pytałeś, czy zginął. Powiem ci, że właśnie tak się tu czujemy, jakby on zginął. Gorzej będzie tylko wtedy, jak ktoś wróci z patrolu z informacją, że usmażył Szkarłatnego, a tym Szkarłatnym był Harvard.

- Mam nadzieję, że tak się nie stanie - wycedził Hunter zaskoczony, jak bardzo mu na tym zależy.

- Ja również - zgodził się Gideon. - A tymczasem dopilnujmy, żeby nie sknociło się nic więcej. Zabierajcie się na lotnisko. I zgłoś się, jak już będziecie bezpieczni.

- Zrobione - odrzekł Hunter poważnie.

Schował telefon do kieszeni i pobiegł wraz z Corinne poszukać środka transportu.

Nie zauważył ludzi, póki prawie na niego nie wpadli. Chase przyssał się właśnie do szyi karmicielki, którą niedawno wytropił w melinie narkomanów. Chrząknął z irytacją,

kiedy światła samochodu zatańczyły na ścianie budynku w zaułku, gdzie właśnie przykucnęła nad ofiarą.

Radiowóz jechał powoli między starymi kamienicami. W połowie ulicy włączył zamontowany z boku szperacz.

Chase skulił się, wciągając bezwładną karmicielkę głębiej w cień kontenera na śmieci. Jasnowłosa kobieta jęknęła, ale czy z powodu jego pozywiania się, czy kokainy, która krążyła w jej żyłach, nadając krwi paskudny mdły posmak, nie był pewien. Spróbowała się poruszyć, ale ją przytrzymał. Nie zaspokoił jeszcze głodu, choć wiedział, że już wypił więcej, niż powinien.

Radiowóz podjechał bliżej.

Resztki zdrowego rozsądku nakazały mu ściągnąć cienie. Sięgnął do nich umysłem, próbował nagiąć je do swej woli, zebrać wokół siebie ciemność i ukryć się przed stróżami prawa, którzy już za chwilę zwrócą szperacz w jego stronę.

Próbował, ale jego talent nie chciał go słuchać. Pojawiał się i znikał, działał może przez kilka sekund.

Chase zawarczał sfrustrowany.

Ile jeszcze czasu minie, nim zupełnie straci swój dar? Widział skutki nałogu krwi u innych. Znał jego niszczącą moc. Pożre jego wrodzony talent, potem zdrowe zmysły, człowieczeństwo... aż wreszcie jego duszę.

Ta myśl przedarła się przez zamroczenie spowodowane nadużywaniem krwi, tak gorzka, jak skażona narkotykami krew, której posmak czuł w gardle. Z niskim pomrukiem oderwał usta od szyi karmicielki i zamknął ranę muśnięciem języka, pełen obrzydzenia dla siebie i kobiety, którą zapewne pozbawiłby życia, gdyby nie przerwała mu policja.

Wciągnął głębiej ciało karmicielki za wielki kontener ze śmieciami. Niedługo się ocknie, nie pamiętając, co zaszło, i będzie mogła wrócić do własnego nałogu, który sprowadził ją na tę zakazaną przez Boga ulicę.

A co z nim?

Chase parsknął. W głowie mu szumiało, kiedy wycierał krew z podbródka. Przycupnął w brudnej alejce. Radiowóz podjeżdżał powoli, kazał mu się nadal ukrywać za kontenerem. Czekał. Samochód zatrzymał się z piskiem hamulców dokładnie naprzeciwko jego kryjówki. Syrena policyjna zawyła raz, a potem uruchomił się niebieski kogut na dachu i zalał alejkę pulsującym światłem. Drzwi radiowozu otworzyły się, a potem zamknęły z cichym trzaskiem.

- Ktoś tu jest? - Rozległ się stanowczy i pewny głos z ciężkim bostońskim akcentem. Buty o grubych podeszwach zadudniły na zmrożonym chodniku. Z radia policjanta dobiegał szum. - Nie wolno się tu włóczyć, szczególnie wam, żałośni degeneraci. - Kolejny krok. Jeszcze dwa i człowiek znajdzie się dokładnie naprzeciwko Chase'a. - Zabierajcie stąd swoje zaćpane dupy, żebym nie musiał zabierać was na poste...

Chase wystrzelił z cienia jak potwór z koszmarów.

Odbił się i przeleciał nad głową zdezorientowanego gliniarza. Wylądował na masce radiowozu lekko jak kot, po czym zeskoczył równie zwinnie i uciekł biegiem, nim któryś z policjantów miał czas zarejestrować, co się właśnie stało.

Pędził na złamanie karku z prędkością właściwą tylko Rasie. Nadal to w sobie miał, nadal miał tę siłę i wytrzymałość. Jeśli już, to przedawkowanie krwi jeszcze wzmocniło te cechy. Uciekał coraz głębiej w mrok, byle dalej od jasnych światła i zamętu głównych ulic.

Nie miał pojęcia, ile czasu biegł.

Nie wiedział, gdzie jest, kiedy w końcu zwolnił. Zapewne poza miastem, gdyż nie poruszał się już po ulicach, parkingach czy wśród domów, ale po pokrytych śniegiem polach i w gęstym podmiejskim lesie. Przed sobą, całkiem niedaleko, zobaczył szerokie granitowe wzgórze porośnięte sosnami. Domyślił się, że to jeden z ludzkich rezerwatów przyrody, pozostałość naturalnego krajobrazu, chroniona przed rosnącym wciąż miastem, które dusiło ją ze wszystkich stron.

To miejsce obudziło wspomnienie, drzemiące w zakamarkach jego umysłu. Był tu kiedyś, wiele lat temu. Wzdrygnął się, próbując odgonić myśli. Nic go nie obchodziło, gdzie jest, a jedynie to, że jest w ruchu, że oddala się od miasta.

Przysiadł w kucki, oparł plecy o pień dębu. Nagie gałęzie kołysały się nad jego głową, księżyc usiłował przeniknąć przez pokrywę chmur. Przez długi czas słyszał jedynie własny chrapliwy oddech i walenie serca.

Siedział tak, niepewny, dokąd jeszcze zaprowadzi go pragnienie krwi.

Ale tak naprawdę wcale go to nie obchodziło.

Wyszczrzył kły, wciągnął do płuc chłodne powietrze i zadrżał z zimna. Wnętrza ogarnął bolesny skurcz. Mimo że jego organizm walczył z nadmiarem wypitej krwi, wampir nie mógł myśleć o niczym prócz kolejnego polowania. Popatrzył w nocne niebo i spróbował odgadnąć, ile ma jeszcze czasu do świtu, kiedy będzie musiał się ukryć i poczekać na kolejny zmierzch.

O, tak, pomyślał i zaśmiał się śmiechem szaleńca. Musiał tylko poddać się bestii, która wbiła już w niego szpony.

To właśnie ta bestia szeptała do niego, kiedy w lesie nagle zapadła cisza. Chase zmarł, jego instynkty drapieżnika się obudziły.

Gdzieś niedaleko trzasnęła w ciemności gałązka. Potem druga.

Chase siedział nieruchomo, w milczeniu. Czekał. Ktoś się zbliżał.

Zobaczył go chwilę później - chudy chłopak, w dżinsowym ubraniu. Biegł na oślep, rzucając za siebie pełne przerażenia spojrzenia. Miał na sobie zimową kurtkę, ale widoczna pod rozsuniętym suwakiem koszula była podarta i pochlapana czymś ciemnoczerwonym.

To był tak niespodziewany i dziwaczny widok, że Chase w pierwszej chwili uznał go za halucynację, sztukę swego zagubionego umysłu.

Póki jego nozdrzy nie napełniła paskudna woń strachu. Skrajnego, szalonego przerażenia. I krwi.

Chłopak krwawił z małej ranki na szyi. Chase zauważył dwie strużki spływające po jego skórze. Zapach świeżych czerwonych krwinek uderzył w jego zmysły jak pociąg towarowy. Przykucnął na czworakach, czekał, aż człowiek zbliży się do jego kryjówki.

A potem nagle okazało się, że dzieciak nie jest sam.

Z ciemności, kilka metrów dalej, wynurzyła się kobieta. Potem jeszcze jedno dziecko, starsze, w zasadzie nastolatek. Oczy miał okrągłe ze strachu. Chwilę później mężczyzna i jeszcze jedna kobieta, która kuląła i płakała. Ona też była pochlapana krwią, która spływała z ugryzienia na ramieniu. Rozbiegli się w różnych kierunkach, uciekali jak przerażone stado jeleni.

Jak zdobycz. Bo tym właśnie mieli zostać, uświadomił sobie Chase. Nagle pojął, czego jest świadkiem.

To było polowanie, urządzone przez klub krwi.

Stąd wrażenie, że zna to miejsce. Trafił tu już kiedyś, ponad dziesięć lat temu, gdy on, Quentin i oddział uderzeniowy Agencji sprawdzali pogłoski o nielegalnych polowaniach na ludzi, organizowanych nocami na przedmieściu Bostonu, w Blue Hills Park.

Nie musiał nawet słyszeć zwierzęcego wycia wampira, ścigającego ludzkie ofiary, by zdać sobie sprawę, że znalazł się na drodze najbardziej zdeprawowanych łowów, jakie urządzała sobie jego Rasa. Takie kluby były zakazane od wieków. Organizowano w nich polowania na ludzi - i wszelkie inne uciechy, jakie tylko mogli sobie wymarzyć nieumarli. Większość klubów krwi została rozwiązana, ale nie wszystkie. Te, które istniały nadal, działały w ukryciu, ku rozrywce zdeprawowanej elity.

Chase szukał w sobie pogardy, którą powinien poczuć na widok czegoś tak nagannego. Poczłł gniew, a dawny impuls agenta kazał mu interweniować, ale pod wpływem miedzianego zapachu krwi kły wysunęły mu się gwałtownie z dziąseł. Poczłł ogromne pragnienie, jego puls przyspieszył, krew tętniła dziko w żyłach.

Kiedy ludzie zbliżyli się do zasadzki, w jaką zmieniła się jego kryjówka, wstał.

Bursztynowy blask jego oczu rozświetlił mrok, kiedy wyszedł z ukrycia i zastąpił im drogę.

Rozdział 16

Przyjechali na lotnisko sportowym el camino, które Hunter ukradł wprost z ulicy.

Jakiś człowiek zostawił je z zapalonym silnikiem przy krawężniku i wdał się w gorącą dyskusję z parą półnagich młodych kobiet, stojących na rogu - jego zdaniem były mu winne pieniądze. Kiedy wyskoczył z samochodu i zaczął im wymyślać, Hunter posadził Corinne na siedzenie pasażera, a potem zwinnie wsiadł za kierownicę i odjechał, nim właściciel zorientował się, co się dzieje.

Samolot Zakonu czekał na nich w prywatnym hangarze. Wjechali do środka kradzionym samochodem. Corinne rzuciła okiem na Huntera, nadal próbując pogodzić czułego mężczyznę z klubu jazzowego ze śmiertelnie niebezpiecznym wojownikiem, który zabił dwie osoby w uliczce na tyłach restauracji.

- Ci ludzie, tam w mieście... - szepnęła, kiedy zaparkował i wyłączył silnik. - Złamałeś im karki jak gałązki.

Wyraz jego twarzy nie zdradzał niczego, był zupełnie neutralny.

- Musimy iść, Corinne. Gideon już zawiadomił pilotów. Czekają na nas w środku.

Przełknęła bryłkę lodu, która tkwiła jej w gardle, odkąd opuścili klub.

- Zamordowałaś tych ludzi, Hunterze. Z zimną krwią.

- Tak - potwierdził spokojnie. - Nim oni mieli szansę zamordować nas. „Zajmuję się zabijaniem”.

Przecież sam jej to powiedział. Urodził się, żeby zabijać, i został świetnie do tego przeszkolony. Tyle że wcześniej to były tylko słowa. A teraz siedziała obok niego w kradzionym samochodzie i miała wsiąść z nim do samolotu, który zabierze ich Bóg wie dokąd.

A jednak, kiedy wysiadł i obszedł wóz, żeby otworzyć jej drzwi, a potem podał jej rękę, przyjęła jego pomoc.

Poszła z nim przez hangar ku opuszczonym schodkom prowadzącym do wnętrza prywatnego odrzutowca. Hunter wszedł pierwszy, a potem wskazał jej gestem kabinę.

- Piloci zapewne są w kokpicie - oznajmił, kiedy minęła go i skierowała się ku jednemu z dużych skórzanych foteli. - Powiem im, że już jesteśmy, i zaraz przyjdę, dobrze?

Corinne obróciła głowę, by przytaknąć.

Ale kiedy Hunter znalazł się w jej polu widzenia, nagle wokół nich zrobiło się zupełnie cicho. Potwornie cicho. W jego oczach dostrzegła ostrzeżenie. Wyciągnął do niej rękę.

- Corinne, uciekaj stąd. Natychmiast wysiadaj z...

Nim miała szansę zareagować, coś wielkiego - wampir, równie potężny jak Hunter i ubrany w czarny obcisły strój - wypadł z zamkniętego kokpitu za plecami wojownika.

Hunter obrócił się z prędkością światła i stawiał czoło napastnikowi. Chwytał go za rękę, w której trzymał wielki czarny pistolet. Rozległy się strzały - jedna kula trafiła w sufit nad głową Huntera, dwie kolejne we wnętrzu kabiny. Jedno z okien pokryło się siecią pęknięć wokół dużej dziury po kuli.

Corinne przykucnęła za wysokim oparciem skórzanego siedzenia, obserwując z przerażeniem i zaskoczeniem, jak Hunter uderza kantem dłoni w nadgarstek napastnika. Pistolet upadł na podłogę kabiny. Hunter odkopnął go i zadał serię ciosów w szyję oraz szczękę przeciwnika.

Jednak ten nie poddał się tak łatwo, jak agenci pod klubem jazzowym. Dorównywał Hunterowi wzrostem, a kiedy Corinne zobaczyła, jak się porusza, zrozumiała, że dorównuje mu również w sztuce walki.

Chwyci! Huntera za szyję i cisnął nim o najbliższą ścianę, po czym zaczął go okładać pięścią po głowie i twarzy. Po chwili Hunter zdołał się wyrwać z jego chwytu. Jedną ręką złapał przeciwnika za nadgarstek, a drugą wykręcił mu ramię z taką siłą, że Corinne usłyszała trzask łamanych kości.

Jednak napastnik tylko chrząknął i odwrócił się, znów próbując zdobyć przewagę. Hunter uderzył obcasem w rzepkę kolanową przeciwnika, a następnie wymierzył mu silny cios w brzuch, a potem w skroń. Zabójca padł na podłogę, a czarna maska, którą nosił na twarzy, podwinęła się przy upadku.

Corinne gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca.

Hunter miał włosy ścięte bardzo krótko, natomiast ten wampir był ogolony na łyso. Jego nagą czaszkę pokrywały dermaglify charakterystyczne dla Pierwszego Pokolenia. Ich kolor był przytłumiony, nie sygnalizował furii i bólu, pod wpływem których znaki na skórze innych wampirów nabierały żywych i głębokich kolorów. Szare oczy, osadzone głęboko pod ciemnymi brwiami, były twarde i zimne jak stal.

Był równie spokojny i zimny jak Hunter. I dokładnie tak samo niebezpieczny.

Choć nie byli do siebie podobni, nie różnili się od siebie. Obaj urodzili się zabójcami.

Obaj zostali przeszkoleni, by zabijać na rozkaz Dragosa. W owej chwili, którą zajęło jej uświadomienie sobie tego wszystkiego, Hunter uniósł nogę, by wymierzyć leżącemu przeciwnikowi kopniaka w twarz. Kiedy mięśnie jego uda napięły się, a stopa zaczęła opadać, zabójca przeturlał się i rzucił ku niewielkiej kuchence położonej między kabiną a wyłamanymi drzwiami do kokpitu.

Jego złamana ręka zwisała bezwładnie u boku. Drugą otworzył szafkę ze szkłem, po czym odwrócił się do Huntera, trzymając długi połyskliwy odłamek kryształu jak nóż. Wykonał zamach, a Hunter ledwie o włos uniknął cięcia. Odskoczył po czym uderzył pięścią w podbrzusze przeciwnika. Cios sprawił, że zabójca upuścił szkło i dalsza walka toczyła się w kuchence.

Corinne mogła uciec. Zapewne nawet powinna uciec. Ale myśl o pozostawieniu Huntera sam na sam z niebezpiecznym zabójcą w ogóle nie przyszła jej do głowy. Wysunęła się zza fotela, szukając sposobów, jak mu pomóc. Jej talent był w tej chwili bezużyteczny. Ponieważ nie miała do dyspozycji żadnej regularnej fali dźwiękowej, jej zdolność zwiększania natężenia dźwięku nie była przydatna.

Ale gdyby zdołała przejąć pistolet, który leżał zaledwie kilka metrów dalej, między nią a terenem walki... Zauważyła go za późno.

Przeciwnik Huntera już zrzucił z siebie Huntera i kopiąc gwałtownie, chciał zbliżyć się do broni.

Obracali się i wymierzali sobie ciosy, które innego przeciwnika bez wątpienia pozbawiłyby przytomności. A potem... to był moment, Corinne ledwie go zarejestrowała, jak zabójca chwycił broń i wycelował w twarz Huntera.

- Nie! - Corinne poderwała się i zaczęła biec, nim zdążyła choćby nabrać tchu i krzyknąć jeszcze raz. Podbiegła do

zabójcy i rzuciła mu się na plecy. Przytrzymując się jedną ręką, wbiła paznokcie drugiej w miękką skórę jego twarzy i powiek. Drapała najmocniej, jak mogła, czując zwierzęcą potrzebę uniemożliwienia jednej z bestii Dragosa zabicia kogoś na kim jej zależy.

Wyszkolony zabójca tylko sapnął, kiedy go zaatakowała. Uderzył ją mocno łokciem w twarz, miażdżąc jej wargę o zęby. Poczowała w ustach metaliczny smak i krew kapiącą na podbródek z pękniętej wargi.

A potem poleciała do tyłu, zrzucona z pleców przez zabójcę, jakby nic nie ważyła.

Ale jej atak, choć nieudany, dał Hunterowi szansę na podbicie bron, w ręku przeciwnika, kiedy ten naciskał już spust. Potem Hunter schylił głowę i walnął bykiem zabójcę całym impetem swego ciała. Pchnął go w stronę otwartych drzwi prowadzących na schodki. Obaj wypadli z samolotu. Corinne wstała, pobięła za nimi w sam czas, żeby zobaczyć, jak upadają na betonową podłogę.

Hunter rzucił na nią szybkie spojrzenie, żeby się upewnić że jest cała. Poczowała żar jego złocistych oczu, kiedy spoczęły na jej twarzy i cieniutkiej strużce krwi, którą wytarła z podbródka.

Usłyszała jego cichy warkot, pierwszy dźwięk, jaki wydał odkąd rozpoczęła się walka. Kiedy się odwrócił do półprzytomnego przeciwnika, leżącego pod nim na ziemi, jego ruchy stały się zdecydowane i precyzyjne. Wyjął broń z bezwładnej ręki zabójcy i wstał. Stał okrakiem nad pokonanym i wycelował broń w jego łysą, pokrytą dermaglifami głowę.

Nie, niezupełnie. Corinne zauważyła to dopiero po chwili. Nie celował w czoło zabójcy, tylko w dziwną obrożę z twardego metalu, którą ten miał na szyi.

Nawet ze szczytu schodów widziała, jak oczy napastnika rozszerzają się, kiedy zrozumiał, do czego Hunter celuje. Teraz ujrzała w nich strach, uznanie klęski.

Hunter strzelił.

Z obroży trysnął promień światła, tak jaskrawego, że Corinne musiała osłonić oczy ręką. Kiedy chwilę później światło znikło, z miejsca, gdzie leżał zabójca, unosił się dym. Jego ciało leżało bezwładnie na ziemi, z odciętą głową.

- O mój Boże - szepnęła, nie bardzo wiedząc, czego właściwie była świadkiem.

Hunter zbliżył się do niej, kiedy zeszła na dół.

- Czy nic ci nie jest?

Kiwnęła głową, a potem pokręciła nią słabo. Próbowwała zrozumieć, co się stało.

- Jak... co ty mu zrobiłeś?

Hunter znów był spokojny, jedynie w jego oczach lśniły bursztynowe iskry, które pojawiły się, kiedy spojrzał na jej rozciętą wargę. Odprowadził ją od zwłok, potem wrócił do nich i zdjął grubą czarną obrozę ze zwęglonej szyi zabójcy.

- Piloci byli martwi, zanim tu przyjechaliśmy. Dragos ma pewnie teraz szpiegów w całym mieście. Może wysłać za nami więcej takich zabójców. Musimy iść.

Rzuciła przez ramię pełne niedowierzania spojrzenie, kiedy prowadził ją do samochodu.

- Zamierzasz go tak zostawić? Hunter z powagą kiwnął głową.

- Drzwi hangaru są otwarte. Kiedy nadejdzie ranek, słońce zniszczy jego ciało.

- A jeśli nie? - naciskała. - A jeśli Dragos albo jego zabójcy znajdą go wcześniej i zobaczą, co zrobiłeś? A jeśli zaczną cię ścigać?

- Wtedy będą wiedzieli, co ich czeka, jeśli spróbują. Wyciągnął do niej rękę, czekając, żeby ją przyjęła.

- Chodźmy stąd, Corinne.

Zawahała się, niepewność dręczyła jej sumienie. Ale po chwili podała mu dłoń i pozwoliła się zabrać z hangaru.

Rozdział 17

Na widok Chase'a, który wynurzył się z kryjówki pod dużym dębem, kobieta krzyknęła przeraźliwie. Jej twarz była skąpana w bursztynowym blasku jego przemienionych oczu. Wydała kolejny mrozący krew w żyłach wrzask i skręciła gwałtownie, żeby go ominąć.

Bez trudu mógł ją schwytać.

Ale nim zdążył to zrobić, las ożył odgłosami pogoni. Z ciemności wynurzył się wampir i skoczył na jednego z uciekających. Kiedy wbił kły w szyję swojej ofiary, pojawiły się trzy kolejne wampiry, ścigające przerażonych ludzi jak stado wilków.

To wtedy Chase rozpoznał jednego z nich. Murdock.

Ten skurczybyk tu był.

Kiedy Chase służył w Agencji, czasami dochodziły go słuchy o perwersyjnych skłonnościach Murdocka, więc w zasadzie nie powinien być zaskoczony jego widokiem. Agent wypadł z ciemności i rzucił się na małego chłopca w pokrwawionej koszuli.

Niemniej Chase poczuł zaskoczenie. Tak wielkie, że zapomniał na chwilę o własnym pragnieniu. Widok Murdocka przypomniawszy mu starcie w Chinatown sprzed zaledwie dwóch dni - choć teraz wydawało mu się odległe o sto lat.

Z obrzydzeniem przyglądał się, jak Murdock chwytając dziecko za włosy i rzuca na ziemię, przekręcając jego szyję tak, by móc zatopić w niej kły.

Chase rzucił się na niego z dzikim okrzykiem.

Impet uderzenia sprawił, że Murdock puścił wyrywające się i zanoszące płaczem dziecko. Mały uciekł, a Chase usi-

łował obezwładnić agenta. Kiedy przewracali się po śniegu, walnął go pięścią w szczękę. Ucieszył go trzask pękającej kości.

Jeden z kumpli Murdocka zauważył, co się dzieje. Porzucił swoją ofiarę i skoczył Chase'owi na plecy. Harvard strząsnął go z siebie, wampir uderzył ciężko w pobliskie drzewo.

Murdock walczył, ale usiłował uciec. Żeby mu to uniemożliwić, Chase chwycił leżącą na ziemi gałąź i walnął go w kolano. Murdock zawył z bólu i skulił się, chwytając uszkodzoną nogę. To dało Harvardowi czas na zajęcie się drugim wampirem, który znów atakował, sycząc przez wyszczerzone, skrwawione kły.

Obrócił się, a kiedy kumpel Murdocka rzucił się na niego, zamachnął się gałęzią jak oszczepem, przebił przeciwnikowi mostek i rozerwał mu serce.

Na ten widok pozostali dwaj członkowie krwawego klubu stracili zainteresowanie polowaniem. Zamarli i wypuścili swe ofiary.

Chase odwrócił się do nich, jego oczy pałały bursztynem, rozjaśniając mrok. Ścisnął w rękę skrwawioną gałąź, gotów walczyć dalej.

Bez słowa obaj zdeprawowani agenci uciekli w różne strony i zniknęli w lesie.

Znów zapadła cisza, wyjąwszy jęki Murdocka.

Chase odetchnął głęboko. Powoli przez mroczną mgłę furii i pragnienia krwi zaczął przebijać się rozsądek. Sytuację trudno było nazwać idealną. Jeden martwy agent wykrwawił się właśnie u jego stóp. Dwaj inni uciekli, ale z pewnością mogli go zidentyfikować i oskarżyć o niesprowokowany atak. Zważywszy, jaką reputacją cieszył się ostatnio, mało kto uwierzy, jeśli powie, że natknął się na nielegalne polowanie na ludzi i zrobił tylko to, co konieczne, żeby je przerwać.

No i pozostawała jeszcze kwestia zbiegłych ofiar. Wiedział równie dobrze jak wszyscy członkowie Rasy, że ze względów

bezpieczeństwa nie można wypuszczać ludzi, nie pozbawiwszy ich wszelkich wspomnień o ataku wampirów. Cała tajemnica, która pozwalała Rasi koegzystować od wieków z ludzkim społeczeństwem mogła legnąć w gruzach, jeśli wystarczająca liczba rozhisteryzowanych osób zacznie krzyczyć „wampir”.

Chase zawarczał, rozdarty między powinnością wobec Rasy a głębszą, osobistą potrzebą wyrwania z Murdocka informacji na temat Dragosa.

Wiedział, co powinien zrobić. Porzucił Murdocka, gotów ścigać zbiegłych ludzi i opanować niebezpieczną sytuację.

Nagle w oddali rozległo się wycie policyjnych syren. Narastało z każdą sekundą. Chase zamarł. Już jest za późno.

Popatrzył na Murdocka, zaklął pod nosem, po czym zarzucił sobie rannego wampira na ramię i skoczył w zarośla.

W baku czerwonego el camino ukradzionego alfonsowi było dość paliwa, by mogli odjechać spory kawałek od miasta. Tutaj domów było niewiele, stały rzadko, najczęściej porzucone przez właścicieli po huraganie, który szalał tu kilka lat temu.

Hunter prowadził, obserwując uważnie horyzont na wschodzie. Powoli ciemność rozpraszała się, już wkrótce wstanie dzień. Rzucił okiem na Corinne, która siedziała w milczeniu na miejscu pasażera. Jej rozcięta warga spuchła, zaczął formować się siniak. Wpatrywała się w pustą drogę przed nimi. Wyraźnie była zmęczona, jej delikatne ramiona się trzęsły. Nie wiedział, czy ze zdenerwowania, czy z powodu zimna.

- Niedługo się zatrzymamy - powiedział. - Musisz odpocząć, zresztą nadchodzi świt.

Kiwnęła lekko głową. Odetchnęła z drzeniem i powoli wypuściła powietrze z płuc.

- Znałeś go?

Hunter nie musiał pytać, o kim mówi.

- Nigdy wcześniej go nie widziałem.

- Ale ty i on... - Przełknęła z trudem, po czym rzuciła mu szybkie spojrzenie spod oka. - Walczyliście tak samo. Byliście obaj tacy nieustępliwi, tacy bezlitośni. Tacy pozbawieni uczuć. Walczyliście na śmierć i życie.

- Obaj zostaliśmy wyszkoleni na zabójców.

- Na rozkaz Dragosa. - Poczuję, że na niego patrzy, zauważył kątem oka jej ściągniętą twarz. - Ilu was jest?

Wzruszył ramionami.

- Mogę tylko zgadywać. Nigdy nas nie informowano o innych zabójcach. Dragos trzymał nas w izolacji, o nasze podstawowe potrzeby dbał sługa. Kiedy przechodziliśmy do czynnej służby, zawsze pracowaliśmy sami.

- Czy zabiłeś wiele osób?

- Dość - odparł, po czym zmarszczył brwi i pokręcił głową. - Nie, dość będzie dopiero wtedy, kiedy Dragos zginie. Nawet jeśli będę musiał zabić wszystkich takich jak ja, żeby się do niego dostać. Dopiero wtedy będzie dość.

Znów zwróciła wzrok na drogę, milcząca i zamyślona.

- Jak zabiłeś tego na lotnisku? Nosił coś w rodzaju obroży. Zabrałeś ją ze sobą, a wcześniej w nią strzeliłeś. Eksplozja była oślepiająca.

Hunter nadal widział w myślach ten blask. Były czasy, kiedy on też nosił na szyi taką obrożę. Tej nocy, kiedy się jej pozbył, wstąpił do Zakonu.

- To urządzenie wymuszające posłuszeństwo, zaprojektowane przez Dragosa. W obroży znajduje się emiter wiązki ultrafioletu. Nie można jej otworzyć ani zdjąć, nie uruchamiając detonatora. Tylko Dragos może go wyłączyć.

- O Boże - szepnęła. - Chcesz powiedzieć, że to kajdany. I to zabójcze.

- Na pewno efektywne.

- A ty? - spytała. - Nie nosisz takiej obroży.

- Już nie.

Patrzyła na niego uważnie, nie oderwała od niego wzroku, nawet kiedy skręcił z głównej drogi w boczną, kierując się ku rzędowi porzuconych domów.

- Skoro też nosiłeś taką broń, jak zdołałeś się uwolnić?

- Dragos nie miał wyboru. W zeszłe lato zwołał zebranie swoich współpracowników do prywatnej posiadłości pod Montrealem. Zakon odkrył jego zamiar i zaatakował. Dragos rozkazał mi osłaniać ucieczkę, swoją i towarzyszy.

- Wysyłał cię samego przeciwko wojownikom? Chciał, żebyś zginął? Hunter wzruszył ramionami.

- Wtedy zrozumiałem, jak bardzo jest zdesperowany i jak bardzo mną gardzi. Obaj wiedzieliśmy, że jeśli zaraz nie rozpocznę ataku, on i jego wspólnicy nie będą mieli szansy na ucieczkę. Powiedziałem mu, że pójdę, ale tylko jeśli mnie uwolni.

Już dawno nie myślał o tamtej nocy, w lesie pod Montrealem. Prawdę powiedziawszy, jego podróż ku wolności zaczęła się wcześniej - w noc, kiedy zakradł się do prywatnej posiadłości Sergeia Yakuta, wampira pochodzącego z Pierwszego Pokolenia, i zajrzał w hipnotyzujące lustrzane oczy małej niewinnej dziewczynki.

- To Mira dała mi odwagę, by domagać się wolności -oznajmił i poczuł w piersi ciepło, jak zawsze, kiedy o niej myślał. - Jest jasnowidząca. Ma dar ukazywania przyszłości. To w jej oczach zobaczyłem siebie, uwolnionego spod władzy Dragosa. Gdyby nie ona, być może nigdy nie próbowałbym zmienić swojego życia.

- Ocaliła cię - stwierdziła Corinne. - Nic dziwnego, że tak ją lubisz.

- Oddałbym za nią życie - odpowiedział odruchowo.

To była prawda. Ta świadomość wstrząsnęła nim, ale nie mógł zaprzeczyć, że zależy mu na Mirze. Czuł w sobie dziką potrzebę roztaczania nad nią opieki. Coś podobnego zaczynał też czuć wobec pięknej kobiety siedzącej obok niego.

To, co czuł wobec Miry, było słodkie i ciepłe, natomiast uczucia, jakie budziła w nim Corinne Bishop, były zupełnie inne. Siegały głębiej, płonęły z intensywnością narastającą z każdą chwilą, jaką spędzili razem. Pożądał jej. Zrozumiał to, kiedy ją pocałował. Chciał znów ją pocałować, i to był problem.

Jeśli chodzi o inne uczucia, jakie w nim obudziła, nie wiedział, co o nich sądzić. A w zasadzie nie chciał wiedzieć. Miał obowiązki wobec Zakonu i w jego życiu nie było miejsca na żadne rozrywki. Wszystko jedno jak kuszące.

Corinne milczała dłuższą chwilę, nim odpowiedziała.

- Każde dziecko zasługuje na to, by mieć kogoś, kto zrobi dla niego wszystko, kto zapewni mu bezpieczeństwo i szczęście. Taka jest funkcja rodziny, prawda? - Kiedy spojrzała na niego teraz, miała udreńczony wyraz twarzy. - Nie sądzisz, że tak powinno być, Hunterze?

- Nie wiem. - Zwolnił przed niewielkim domkiem z oknami zabitymi deskami i zapadającą się werandą. Wyglądał na opuszczony, tak jak reszta ulicy. Zapewne nikt tu nie mieszkał od czasu powodzi. Popękane, zarośnięte chwastami betonowe fundamenty wskazywały, gdzie stały inne domy. - Ten powinien się nadać - dodał i zaparkował.

Corinne nadal patrzyła na niego dziwnie.

- Nigdy nikogo nie miałeś, nawet kiedy byłeś dzieckiem? Nie miałeś matki?

Wyłączył silnik i wyjął kluczyk ze stacyjki.

- Nikogo. Urodziłem się w laboratorium Dragosa, odebrano mnie dawczyni życia, która mnie urodziła, kiedy byłem niemowlęciem. Nie pamiętam jej. Za moje wychowanie odpowiadał sługa, którego przydzielił mi Dragos.

Jej twarz pobladła.

- Urodziłeś się w laboratorium? Odebrano cię... matce?

- To standardowe postępowanie - odparł. - Dragos kontrolował nasze życie od chwili poczęcia, żeby stworzyć z nas perfekcyjne maszyny do zabijania. Urodziliśmy się, by zostać zabójcami. Jego hunterami i niczym więcej.

- Hunterami? - To słowo zabrzmiało pusto w jej ustach. - Sądziłam, że Hunter to twoje imię. Czy to jest twoje imię?

Zauważył jej zmieszanie. Zmarszczyła brwi, widać było, że próbuje pojąć to, co jej wyznał.

- Od urodzenia nazywano mnie hunterem. Tym jestem. Myśliwym. Tym zawsze będę.

- O Boże. - Jej głos drżał lekko. Coś przemknęło przez jej twarz, coś, czego nie potrafił określić. Smutek? Przerazenie? - Odbierano matkom wszystkie niemowlęta urodzone w laboratorium Dragosa. Czy wszystkie wychowywano tak jak ciebie? Tych niewinnych chłopców? A więc taki los ich czekał...

To nie było pytanie, niemniej kiwnął poważnie głową.

Corinne zamknęła oczy. Nie rzekła nic więcej, ale odwróciła się w stronę okna, chowając przed nim twarz.

W zapadłej nagle niezręcznej ciszy Hunter otworzył drzwi samochodu.

- Zaczekaj tutaj. Sprawdzę, czy ten dom nadaje się na schronienie.

Nie odpowiedziała. Nawet na niego nie spojrzała, ukryła twarz w ramionach. Kiedy odchodził, miał wrażenie, że płakała.

Corinne wyskoczyła z samochodu, gdy tylko Hunter zniknął we wnętrzu domu. Długa jazda w zamkniętym pojeździe źle na nią wpłynęła, szczególnie po tym, czego była świadkiem na lotnisku. Jednak z samochodu wypędziło ją coś znacznie gorszego.

Żołądek zaciskał jej się boleśnie z przerażenia, kiedy szła chwiejnie w stronę fundamentu, tkwiącego na sąsiedniej posesji. Usiadła na mokrym betonie i ukryła twarz w dłoniach.

Kiedy zastanawiała się, co mogło się stać z jej synem, nigdy nie myślała, że spotkał go brutalny los, o jakim mówił Hunter.

Hunter.

Dobry Boże, to nawet nie było prawdziwe imię, tylko nazwa, jak marka pistoletu czy noża, czy innego narzędzia służącego destrukcji.

Nazwa obiektu pozbawionego znaczenia.

Łatwego do zastąpienia.

Pozbawionego cech ludzkich.

Otarła łzy, które zaczęły płynąć, nim jeszcze Hunter wysiadł z samochodu. Serce bolało ją na myśl o tym, co przeszedł, ale prawdziwą rozpacz budziła w niej świadomość, że jej chłopiec - jej piękne, niewinne dziecko, które pokochała w chwili, gdy je zobaczyła - nadal tkwił uwięziony w okrutnym świecie Dragosa.

Zaszlochała na wspomnienie słodkiej twarzyczki niemowlęcia, które urodziła trzynaście lat temu. Nadal widziała jak macha maleńkimi piąstkami, gdy pielęgniarka sługa niesie go przez salę, żeby go umyć i owinąć w biały kocik. Nadal widziała jego oczy - w kształcie migdałów i niebieskozielone, dokładnie takie jak jej - jego główkę pokrytą dermaglifami z pojedynczym kosmykiem jedwabistych czarnych włosów.

Jej syn odziedziczył po niej na pewno dar sonokinezy, a po stworzeniu, które go spłodziło, siłę i moc. Talent, jaki przekazała synowi, to coś, czego Dragos nigdy nie zdoła mu odebrać. Ta zdolność sprawi, że zawsze będzie jej synem, bez względu na to, co Dragos mu zrobił przez te lata.

Jej syn miał też imię. Corinne powiedziała mu je w tamtej chwili, kiedy ich oczy spotkały się po raz pierwszy. Usłyszał ją, choć dopiero co przyszedł na świat, była tego pewna. I usłyszał jej płacz, kiedy sługa zabrała go chwilę później. Na zawsze.

Boże, ile dni, tygodni i miesięcy - ile lat - opłakiwała jego utratę? A teraz wiedziała, po co został spłodzony. Czowała ból

na samą myśl, czym mógł się stać po trzynastu latach w rękach Dragosa.

Niemniej czuła też desperacką nadzieję. Może jego życie nie było takie straszne? Może odebrano go jej w innym celu? Może nie nosił tej strasznej zabójczej obroży? Może nie poddano go brutalnemu szkoleniu na maszynę do zabijania?

Może jakimś cudem udało mu się uniknąć straszliwego zniewolenia, o którym mówił Hunter? A może w ogóle już nie żył? Przez jedną straszną chwilę chciała, żeby tak było, żeby mu oszczędzić ponurej egzystencji, opisaną przez Huntera.

Ale on żył. Wiedziała o tym, tak samo jak każda matka, bez względu na to, jak długo jest oddzielona od dziecka. Czuła w kościach, że jej chłopiec nadal oddycha.

Ze gdzieś jest...

Przytłaczało ją poczucie beznadziejności. Nawet nie wiedziała, gdzie powinna zacząć szukać. Siedziała samotnie na betonowym fundamencie, patrząc na wymarłą okolicę, która zapewne kiedyś była miłym przedmieściem Nowego Orleanu. Teraz prawie nic z niego nie zostało. Przesiedlone rodziny, niszczone puste domy, życie zrujnowane przez siły, których człowiek nie jest w stanie kontrolować.

Przeżyła własny kataklizm w czasach, kiedy Dragos ją więził. Ale jeszcze jej nie pokonał. Nie wygrał. I nie wygra, póki ona oddycha.

Mogła się tylko modlić, by jej syn okazał się równie odporny.

Hunter zdołał się przecież uwolnić i rozpocząć nowe życie. No, ale Hunter otrzymał pomoc od Zakonu, wojownicy pomogli mu się otrząsnąć ze wcześniejszych przeżyć. Miał też Mirę, która dała mu tak potrzebną nadzieję na odmianę losu.

A co miał jej syn?

Nie wiedział, że ktoś go kocha i chce uwolnić. Nie wiedział, że ktoś pragnie go odnaleźć i dać mu życie, na jakie zasługuje.

Nie miała pojęcia, gdzie jest jej syn ani czy zdoła go uratować. Dla Huntera i Zakonu był tylko kolejnym z zabójców Dragosa, jednym z tych, których przysięgli zniszczyć. Szczególnie dla Huntera, który wiedział lepiej od innych, jak niebezpieczni byli tacy jak on. Zakon wydał wojnę Dragosowi i wszystkim, którzy mu służą, i miał po temu powody. Uznają jej dziecko za wroga.

Choć nie chciała o tym myśleć, w głębi duszy podejrzewała, że mogą mieć rację.

Kiedy Hunter wyszedł z domu, otarła wilgotne policzki wierzchem dłoni. Zobaczył ją i ruszył ku niej po wyłysiałej, tonącej w błocie trawie. Był niczym mrok na tle cieni nadchodzącego świtu, jego ciężkie buty miażdżyły trawę, poły płaszcz łopotały za nim niczym czarny skórzany żagiel.

Kiedy podszedł bliżej, stwierdziła, że patrzy na nią z naganą.

- Dlaczego opuściłaś pojazd? Otarła ostatnie łzy.

- Nie lubię ciasnych pomieszczeń. Poza tym to była długa noc i jestem zmęczona.

Zatrzymał się przed nią i popatrzył na nią pytająco.

- Płakałaś - zauważył.

- Nie. - Powiedziała to za szybko, ale ku jej uldze Hunter nie naciskał. Patrzył na jej usta, na jego czole pojawiły się zmarszczki.

- Twoja warga znowu krwawi.

Instynktownie wysunęła język, by odszukać niewielkie rozcięcie. Poczowała smak krwi - było jej tylko kilka kropli, nic niepokojącego, ale Hunter wyraźnie nie mógł oderwać od niej wzroku. Jego źrenice się zwięzły. W złocistych tęczęwkach pojawiły się drobinki bursztynu.

- Nadchodzi świt - oznajmił. Jego głos był niski i schrypnięty. - Chodź ze mną. Ten dom stoi pusty od dłuższego czasu. Zapewni nam odpowiednie schronienie.

Wstała i poszła za nim. Opuszczony dom czuć było pleśnią, słoną wodą i zaschniętym błotem. Hunter wszedł pierwszy, zaciągnął sztywne zasłony, które nadal wisiały w oknach w salonie. Z sufitu zwisał nieruchomy wentylator. Wyglądał jak odwrócony tulipan, jego drewniane łopatki spoczyły się w wodzie, która utrzymywała się tutaj Bóg jeden wie jak długo.

W pokoju pozostało tylko kilka zakurzonych mebli. Wszędzie wały się śmieci, tapety odchodziły od ścian. Hunter przeprowadził ją przez to śmietnisko do holu, skąd wchodziło się do kolejnego pokoju. Tu puścił ją przodem.

- Oczyszciliśmy kawałek podłogi, żebyś mogła wypocząć. Stanęła na progu. Podłoga została zamieciona. O ścianę

stał oparty cienki, poplamiony szlamem materac, przystawiony solidną, choć połamaną przez powódź komodą.

Hunter zdjął swój długi płaszcz i rozłożył na środku podłogi.

- Żebyś miała gdzie spać - wyjaśnił, kiedy spojrzała na niego pytająco.

- A co z tobą?

- Ja muszę zameldować się w kwaterze. Potem będę pełnił wartę w sąsiednim pokoju. - Odwrócił się, żeby wyjść do holu.

- Zaczekaj. Hunterze... - Objęła się ramionami, przerażona perspektywą zamknięcia w tym małym obskurnym pokoiku. - Czy możesz ze mną zostać... póki nie zasnę?

Patrzył na nią w milczeniu tak długo, że musiała odwrócić wzrok. Wiedziała, że jest zapewne ostatnią osobą, u której powinna szukać pociechy, szczególnie po tym, czego była świadkiem dziś w nocy i czego się dowiedziała o jego wychowaniu i misji w Zakonie. Zdawała też sobie sprawę, że ten niebezpieczny mężczyzna jest zapewne najgorszym sprzymierzeńcem, jakiego mogłaby sobie znaleźć przy poszukiwaniach syna.

Niemniej kiedy spojrzała na Huntera, stojącego wśród cieni zrujnowanego przez powódź domu, nie widziała w nim bezwzględności i agresji. Ujrzała te same opanowanie i czułość, jakie okazał w klubie

jazzowym, nim niespodziewanie jej nie pocałował. Jego złociste oczy pały teraz tym samym żarem, jego gorące spojrzenie powędrowało powoli ku jej wargom.

Teraz to Corinne zaniemówiła, zamarła, niepewna, co niepokoja ją bardziej: myśl o tym, że znów ją pocałuje czy że zaraz wyjdzie i zostawi ją tu samą.

- Połóż się - poprosił cicho, jego głos był niski i niewyraźny. Spod wydatnej górnej wargi widoczne były czubki jego kłów.

Corinne posłusznie położyła się na boku na jego płaszczu. Hunter podszedł do niej powoli, niczym skradający się drapieżnik, po czym wyciągnął się tuż za nią. Czuła na plecach i pośladkach żar jego ciała, jego twarde i mocne uda przyłgnęły do jej ud. Choć oboje byli całkowicie ubrani, jego obecność ją elektryzowała. Poczwała w sobie głęboką potrzebę, zupełnie jakby niepewnie rozkładała złożone dotąd skrzydła. Serce zaczęło jej bić nierówno, nagle zabrakło jej tchu.

Hunter objął ją ramieniem, jego twarde kości i mięśnie zamknęły ją jak w klatce. Czuła promieniującą z jego ciała moc, ale zamiast strachu przed zamknięciem, poczuła się bezpieczna.

Nie zaznała tego uczucia od bardzo dawna.

Czuła się bezpieczna w ramionach najbardziej niebezpiecznego mężczyzny, jakiego zdarzyło jej się w życiu spotkać.

Rozdział 18

Poranek w bostońskiej kwaterze Zakonu zwykle był poświęcany na odpoczynek. To był prywatny czas dla Lucana i reszty tutejszych mieszkańców.

Jednak nie dzisiaj.

Choć nikt nic nie powiedział, Lucan zdawał sobie sprawę, że zbliża się przełom. Nawet Mira była przygnębiona, w milczeniu siedziała u boku Renaty i kończyła jeść naleśniki i parówki, zamiast jak zwykle gadać jak nakręcona.

Wspólne śniadanie było pomysłem Gabrielle, ale miejsce, gdzie się odbywało, w kwaterze pod ziemią, zamiast w rezydencji na górze, wybrał Lucan. Choć dziwnie się czuł, przyjmując taki tłum w swoim apartamencie. Gabrielle udało się posadzić dziewiętnaście osób przy długim stole, który zamówiła kilka miesięcy temu w jednej z Mrocznych Przystani. Lepsze to niż zgoda na wyjście kobiet na powierzchnię w ciągu dnia, kiedy żaden wampir nie mógł ich chronić. Chronić je? Niech to szlag. W tej chwili to był żart, nie ochrona. Lucan skrzywił się, doskonale świadom, że Zakon nigdy jeszcze nie był taki bezbronny. Kwatera, niegdyś niezdobyta twierdza, teraz praktycznie stała przed Dragosem otworem, skoro poznał jej dokładne położenie.

A najgorsze było to, że Dragos najwyraźniej zamierzał przeprowadzić ofensywę również w innych miejscach - dowodził tego raport Huntera sprzed dwóch godzin. Atak na hangar na lotnisku i śmierć obu pilotów spowodowały, że utknął w Nowym Orleanie z Corinne Bishop. Obecnie zaszyli się w ruinach po huraganie Katrina i czekali na zmierzch i dalsze instrukcje Lucana.

No i pozostawała jeszcze sprawa nieobecności Sterlinga Chase'a. Lucan skreślił go w chwili, gdy oddalił się bez pozwolenia, ale prawdę powiedziawszy, bardzo niepokoiło go zniknięcie Harvarda. I nie tylko jego. Nieobecność Chase'a przy stole - i na misjach - odczuwał cały Zakon. Jednak nie mogli go zmusić do powrotu. Ponieważ sam zdecydował o swoim odejściu, również powrót musiał być jego decyzją.

Jedyna dobra rzecz, jaka się ostatnio wydarzyła, to bezpieczny powrót Brocka i Jenny z Alaski, wczoraj późno w nocy. Wielki czarnoskóry wampir z Detroit i jego piękna partnerka siedzieli naprzeciwko Lucana, trzymając się za ręce, i rozmawiali z Kade'em i Alex. Fakt, że Jenna nie była dawczynią życia, nie wpływał na siłę jej więzi z Brockiem. Jednak trudno byłoby uznać Jennę Darrow również za człowieka. Kilka tygodni temu Prastary umieścił w jej kręgosłupie implant wielkości ziarnka ryżu, zawierający jego DNA.

Choć nie było jej tylko kilka dni, mały dermaglif, który pojawił się nagle na jej karku jeszcze przed wyjazdem, zdążył się rozlać na ramiona. To było coś niesamowitego, widzieć wampiryczne znaki na skórze człowieka - i to w dodatku kobiety. Jeśli dodać do tego fakt, że ciało Jenny leczyło się z obrażeń w tempie właściwym dla Rasy i że nabrało niezwyklej siły i zwinności, była policjantka z Alaski stała się cennym nabytkiem dla Zakonu.

Jak daleko zajdzie jej transformacja genetyczna, nadal nie było wiadomo.

Jeżu, co to był za dziwny okres, pomyślał Lucan i rozejrzał się po twarzach zebranych przy stole. Większość z nich znał krócej niż półtora roku, a jednak byli mu bliscy jak rodzina.

Nawet Lazaro Archer i jego wnuk, Kellan, wydawali się członkami rodziny, choć znajdowali się pod ochroną Zakonu zaledwie od kilku dni. Lazaro okazał się silnym i honorowym wampirem. Lucan był mu bardzo wdzięczny za propozycję, by Zakon założył swą tymczasową kwaterę w jego posiadłości w Maine. To była lina ratunkowa, której bardzo potrzebowali, a Lucan zamierzał z niej skorzystać jak najszybciej.

- Chciałbym ci jeszcze raz podziękować za twoją ofertę, Lazarze - powiedział, spoglądając na Archera, który z uśmiechem słuchał ożywionej dyskusji swego wnuka z Mirą na temat książki, którą oboje niedawno przeczytali.

Ciemnoniebieskie oczy Lazara były pełne powagi, kiedy podniósł je na Lucana.

- Nie musisz mi dziękować. Mój dług wobec ciebie i Zakonu jest ogromny. Ocaliłeś życie Kellanowi i mnie również. Zawsze będę twoim dłużnikiem. Poza tym - dodał, wzruszając ramionami - ta posiadłość na północy stoi pusta praktycznie od czasu, kiedy ją zbudowałem, w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Eleanor uważała cały pomysł za śmieszny. Stwierdziła, że oszalałem, kiedy jej powiedziałem, że chcę zbudować schron, tak jak robiło wielu ludzi w okresie nazywanym zimną wojną. Uznała, że w przypadku wojny atomowej woli zmienić się w kupkę popiołu jak reszta ludzkości, niż żyć w schronie ściśnięta jak sardynka w puszcze. Nigdy nie zdołałem jej przekonać, żeby tam choćby zanocowała. Moja Ellie była równie uparta jak piękna.

Lucan ujrzał na twarzy Archera tęsknotę, gdy mówił o swojej dawczyni życia. Po raz pierwszy wypowiedział jej imię, od czasu kiedy zginęła w ataku na Mroczną Przystań, podobnie jak reszta jego rodziny. Eleanor Archer i wszyscy mieszkańcy Mrocznej Przystani zostali zgładzeni na rozkaz Dragosa tylko po to, by mógł mocniej chwycić Zakon za gardło. Lazaro Archer odetchnął i pokręcił głową.

- Od dawna nie myślałem o tej posiadłości ani o tym, jak bardzo Ellie jej nie lubiła. Ale powtarzam, jeśli uznasz posiadłość za odpowiednią dla Zakonu, jest wasza.

Lucan kiwnął głową.

- Podejmiemy decyzję dziś w nocy, kiedy obejrzymy to miejsce.

Gideon, siedzący kilka miejsc dalej, uchwycił jego spojrzenie.

- Wgrałem już na laptopa program CAD i spakowałem odpowiedni sprzęt - oznajmił. - Od razu na miejscu przeagramy na komputer zdjęcia budynków, z zewnątrz i od wewnątrz, a potem w mgnieniu oka przekonwertuję je na plany i schema-

ty. Przygotowałem też łączność satelitarną. Podłączę się, jak tylko znajdziemy się w posiadłości, i przeprowadzę potrzebne testy.

Lucan ledwie powstrzymał uśmiech, słysząc, jak Gideon entuzjazmuje się nowym zadaniem.

- Całe to techniczne hokus-pokus zostawiam w twoich rękach.

Zauważył, że siedząca obok Gideona Savannah zamilkła, kiedy zaczęli planować wyprawę na północ. Gideon również zauważył reakcję swojej partnerki. Uścisnął lekko jej rękę.

- Nie martw się, kochana. To tylko wyprawa w teren, a nie misja. Żadnej broni i materiałów wybuchowych. Tym większa szkoda - dodał, uśmiechając się krzywo.

Nawet ze swego miejsca u szczytu stołu Lucan zauważył, jak poważne są łagodne brązowe oczy Savannah. Nie, raczej smutne i przerażone. Jej głos był czuły i pełen bólu.

- Nie mogę żartować na ten temat, Gideonie. Już nie. To wszystko zrobiło się dla mnie zbyt prawdziwe.

Gwałtownie wstała od stołu i zaczęła zbierać naczynia. Jakby chcąc zademonstrować kobiecą solidarność, Gabrielle, Eliza i Dylan zabrały talerze i poszły za nią do kuchni.

Gideon odchrząknął.

- Najwyraźniej czeka mnie przed wyjazdem ugładzenie nastroszonych piórek.

- Zapewne powinieneś też dodać szczyptę płaszczenia się - poradził mu Lucan.

- Ona się o ciebie martwi - odezwała się Tess do Gideona, kładąc rękę na swym wydatnym brzuchu. - Nie powie, jak bardzo, ponieważ wie, że potrzebujesz jej siły, ale ten niepokój jest w niej zawsze. - Kiedy Gideon kiwnął głową, Tess zwróciła czułe spojrzenie na swojego partnera, Dantego, który siedział u jej boku. - Wszystkie się martwimy, kiedy wychodzicie na patrole. Za każdym razem, kiedy wychodzicie z kwatery, zabieracie ze sobą nasze serca.

- To cenny bagaż - stwierdził Dante, biorąc jej rękę i przyciskając do ust.

Uśmiech Tess zmienił się nagle w pełen bólu grymas. Wciągnęła gwałtownie powietrze, po czym wypuściła z sykiem.

- Twój syn znów robi się niespokojny. Przez cały ranek rozrabia. Chyba lepiej... wrócę do siebie i... położę się... na chwilę.

Dante poderwał się, ostrożnie pomógł jej wstać, a Renata, Jenna i Alex otoczyły ich kręgiem, gotowe pomagać. Lucan wstał również, podobnie jak reszta mężczyzn, choć czuli się całkowicie bezużyteczni.

- Nic mi nie jest - wyrzuciła z siebie Tess, zdaniem Lucana zbyt szybko. Poruszała się powoli, ostrożnie, przytrzymując brzuch jedną ręką, a drugą czepiając się kurczowo Dantego, kiedy ostrożnie prowadził ją do wyjścia. Termin miała wyznaczony na za dwa tygodnie, a choć Lucan nie był ekspertem w tych sprawach, przypuszczał, że nowy nabytek Zakonu pojawi się szybciej.

- Może wolisz położyć się na kanapie w drugim pokoju? - zaproponował Dante, spięty i niespokojny.

Tess odrzuciła tę propozycję.

- Chcę się poruszać... Jest mi wtedy lepiej. Kiedy się położę, szybko nie wstanę.

- No dobrze - ustąpił Dante. - Zrobimy to powoli, dobrze? Właśnie tak, najdroższa. Powoli. Krok za krokiem. Świetnie ci idzie.

Pożegnali się oboje i niespiesznie ruszyli do swego apartamentu. Gabrielle wróciła z kuchni z Savannah i pozostałymi kobietami w sam czas, by zobaczyć ich odejście. Po kilku chwilach niezręcznej ciszy Mira zwróciła na Renatę niespokojne spojrzenie.

- Czy dziecko Tess zaraz się urodzi?

Renata rozejrzała się po twarzach zebranych, a potem uśmiechnęła się do Miry.

- Myślę, że już niedługo. Mira zmarszczyła brwi.

- Hunter powinien się pospieszyć i wrócić do domu, jeśli chce się z nim przywitać. Gdzie on jest?

- Nadal na misji - odparł Niko, który był dla małej przybranym ojcem.

- Hunter musi załatwić ważne sprawy w Nowym Orleanie, ale wróci, jak tylko będzie mógł.

- To dobrze - ucieszyła się Mira. - Ponieważ musi tu być na Boże Narodzenie. Wiecie, że jeszcze nigdy nie miał Gwiazdki? Obiecałam mu, że udekoruję mu pokój.

Kiedy mała wspomniała o świętach, w pokoju znów zapadła cisza. Lucan czuł na sobie ciężar licznych spojrzeń. Wszyscy wyraźnie czekali, aż powie niewinnemu dziecku, że świąt w kwaterze nie będzie.

Cholera, nie wiedział nawet, czy na święta będą w ogóle mieli jakąś kwaterę, choć od Bożego Narodzenia dzieliły ich niecałe dwa tygodnie.

Renata przykucnęła przy krześle, na którym siedziała Mira.

- Mam pomysł, myszko. Może pokażesz mi teraz, co przyszykowałaś dla Huntera?

- Dobrze - odparła Mira i spojrzała z uśmiechem na Kellana. - Też chcesz zobaczyć?

- Może być. - Nastolatek wzruszył ramionami, jakby go to nie obchodziło, ale natychmiast poderwał się z miejsca. Ruszył z nadąsaną miną za Renatą i Mirą, machając długimi rękami.

- Renata ma rację co do dziecka - zaczęła Savannah po ich wyjściu. - W rodzinie mojej matki było wiele położnych. Sama widziałam dość porodów, żeby wiedzieć, że u Tess to sprawa kilku dni. Rusza się tak, że może nawet kilku godzin.

Lucan zmarszczył brwi.

- Dni? Godziny? Potrzeba nam jeszcze kilku tygodni. Lazaro Archer popatrzył na niego mądrymi oczami.

- Natury nie obchodzi nasza wygoda. Nigdy nie obchodziła.

Lucan westchnął, świadom ironii tej prawdy. Wiedział również, że mogliby zdobyć drogocenny czas, gdyby jakimś cudem znów udało im się zmusić Dragosa do ucieczki. Potrzebowali czasu, żeby przenieść kwatery, a Dante i Tess zasługiwali na to, by ich dziecko urodziło się w normalnych warunkach.

Obejrzał się na Gideona.

- Jak sądzisz, ile zajmą ci przenosiny, jeśli uznamy, że bunkier Lazara się nadaje?

- Przekonamy się na miejscu. Zakładając, że uda mi się od razu zestawić transmisję satelitarną, mogę uruchomić podstawowe systemy w kilka godzin. Reszta tego bałaganu - sieć, komunikacja, system nadzoru, czujniki ruchu i ciepła i tak dalej - minimum dwa tygodnie.

Lucan zaklął i westchnął głęboko.

- No dobrze. Nie są to dobre wieści, ale będziemy musieli się z tym pogodzić. A co z naszymi tropami w sprawie Dragosa? - zwrócił się do pozostałych. - Coś wiadomo o Murdocku?

- Nic pewnego - odparł Tegan z drugiego końca stołu. -Przepytałem kilku jego kumpli, ale nic nie wiedzą. Nikt go nie widział ani nie miał od niego wieści od czasu incydentu w Chinatown. Rowan bada jego powiązania w Agencji. Tak czy inaczej, znajdziemy tego skurczybyka.

Lucan kiwnął głową.

- Niech to będzie szybko, dobra? W tej chwili to nasz najlepszy trop. Hunter przeprowadzi dziś w nocy rekonesans w Nowym Orleanie, w sprawie Vachona. Biorąc pod uwagę wczorajszy atak na nasz samolot, związek Vachona z Drago-sem jest oczywisty.

Wojownicy pokiwali głowami. Hunter i jego podopieczna cudem uniknęli śmierci z rąk jednego z zabójców Dragosa. Brock był najbardziej zaniepokojony. To zrozumiałe, zważywszy, że kiedyś pracował jako jej ochroniarz. Z trudem powstrzymali go od działania, kiedy dowiedział się o fatalnym spotkaniu Corinne z rodziną. Nadal był wściekły z tego powodu.

- Henry Vachon to na pewno łajdak, wszystko jedno jak świeże są jego powiązania z Dragosem - powiedział teraz, głosem pełnym furii. - Osobiście chętnie bym go poćwiartował, ale nie podoba mi się myśl, że Hunter zostawi Corinne samą, żeby zebrać dane.

- Mnie też to martwi - zgodził się Lucan. - Hunter jest zdania, że znalazł bezpieczną kryjówkę, przynajmniej na razie, ale potrzebna im lepsza. Niestety, nie możemy zaryzykować umieszczenia ich w hotelu ani w żadnej z tamtejszych Mrocznych Przystani. Musimy założyć, że każdy wampir może mieć sekretne powiązania z Vachonem albo nawet z samym Dragosem.

- A co powiesz na człowieka? - spytała Savannah. Wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę. - Znam miejsce, gdzie będą przez jakiś czas bezpieczni. Niedaleko od miasta, ale w mało dostępnym miejscu.

- Savannah, nie możemy jej prosić, żeby... - wtrącił się Gideon i urwał.

- O kim mówicie? - spytał Lucan. Savannah spojrzała mu prosto w oczy.

- O mojej siostrze, Amelie. Mieszka na błotach Atchafalaya od ponad siedemdziesięciu lat. Można jej zaufać. To, że oboje z Gideonem żyjemy, zawdzięczamy właśnie jej.

Gideon kiwnął głową, choć niechętnie.

- Savannah i ja zawdzięczamy Amelie Dupree życie. Jest godna zaufania, Lucanie. Ręczę za nią głową.

- Amelie wie, kim jest Gideon - dodała Savannah. - Zna go od trzydziestu lat, odkąd zjawił się u niej, szukając mnie, i przez cały czas nikomu nie zdradziła sekretu.

Wiadomość, że jakaś kobieta, mieszkająca na bagnach w Luizjanie, wie o istnieniu Rasy, wcale nie ucieszyła Lucana, niemniej byłby głupcem, gdyby nie rozważył rozwiązania, jakie przedstawili mu właśnie Savannah i Gideon. Nie przepadał za sprzymierzeńcami wśród ludzi - prawdę powiedziawszy, byli

ostatni na jego liście pożądanych współpracowników - ale sytuacja była rozpaczliwa, a czas na pewno nie działał na korzyść Zakonu.

- Ile czasu zajmie wam skontaktowanie się z siostrą?

- Mogę zaraz do niej zadzwonić - odparła Savannah. -Wiem, że z chęcią nam pomoże. Muszę tylko ją powiadomić, kiedy ma się spodziewać gości.

- Przekaż jej, że zjawią się wkrótce po zachodzie słońca.

Rozdział 19

Corinne spała głęboko aż do popołudnia. Choć Hunter siedział teraz pod ścianą pokoju, nadal czuł miękkie krągłości jej ciała oraz zapach jej włosów i skóry. Przez kilka godzin leżał przy niej i obejmował ją, kiedy spała.

Obserwował zafascynowany, jak oddycha, jak zaczarowany wpatrywał się w pulsującą tętnicę na jej szyi, pod alabastrową skórą.

Głód, jaki w nim budziła, nie zmniejszył się mimo fizycznego oddalenia. Pragnął jej w sposób, który go zaskoczył, przytłumiał nawet pierwotne pragnienie krwi właściwe Rasie. Już wcześniej zaczęło go to niepokoić, ale teraz, po torturze, jaką było dla niego trzymanie jej w ramionach, pożądanie napierało na wszystkie jego zmysły. Co gorsza, miało również wpływ na jego logikę, koncentrował się na jej wygodzie, zamiast planować rekonesans, który miał przeprowadzić dziś w nocy.

Spróbował skupić się na rozmowie, którą odbył z Zakonem kilka godzin temu. Znaleźli dla nich bezpieczną kryjówkę, oddaloną od miasta o mniej więcej godzinę drogi samochodem. Kiedy słońce zajdzie, zabierze Corinne we wskazane miejsce, a potem wyruszy szukać Henry'ego Vachona. Miał nadzieję, że zdobędzie jakieś informacje. Jego dusza wojownika już nie mogła doczekać się zmierzchu.

Corinne jęknęła i poprawiła się na niewygodnym pościeliu, a potem zaczęła kopać nogami, jakby próbowała się uwolnić. Hunter poderwał się z miejsca, porzucając myśli o Dragosie i jego współnikach. Zobaczył, jak jej usta wykrzywia grymas, zaczęła oddychać gwałtownie, urywanie.

Położył się za nią na swym skórzanym płaszczu i przyciągnął ją do siebie. Nie wiedział, co powiedzieć, żeby ją uspokoić. Nie miał takich doświadczeń, więc po prostu objął ją lekko i przytrzymał, kiedy rzucała się w jego ramionach. Dyszała ciężko, szeptała coś niewyraźnie. Z każdą sekundą wpadała w większą panikę.

Czuł gwałtowne bicie jej pulsu. Nagle krzyknęła jedno słowo tak głośno, że wyrwało ją to ze snu. Jej twarz znajdowała się ledwie kilka centymetrów od jego. Otworzyła szeroko oczy.

- Jesteś bezpieczna - oznajmił. Tylko to przyszło mu do głowy, kiedy ujrzał te przerażone zielononiebieskie oczy. Powoli uniósł rękę i ostrożnie zdjął pasmo włosów z jej wilgotnego czoła. - Jesteś przy mnie bezpieczna, Corinne.

Skinęła lekko głową.

- Śniłam koszmar. Myślałam, że znowu tam jestem... w tym strasznym miejscu.

- Nigdy więcej - zapewnił ją. To była obietnica. Nagle poczuł pewność, że jest gotów dla niej umrzeć. Nie odsunęła się od niego, kiedy pogładził jej miękki policzek, niemniej przyglądała mu się badawczo.

- Jak długo zostałeś ze mną, kiedy spałam?

- Jakiś czas.

Lekko pokręciła głową, ale nie zaprotestowała, kiedy wsunął palce w jej jedwabiste rozpuszczone włosy.

- Długo. Obejmowałeś mnie, żebym mogła spać.

- Prosiłaś mnie o to.

- Nie - zaprotestowała łagodnie. - Prosiłam cię tylko, żebyś zaczekał, aż zasnę. To, co zrobiłeś, było... bardzo uprzejme. - Popatrzyła na niego z taką wdzięcznością, że poczuł się zażenowany. Kiedy znów się odezwała, jej głos był cichy, jakby trudno jej było dobrać słowa. - Nie przywykłam, żeby ktoś mnie obejmował. Ledwie pamiętam czuły dotyk. Nie wiem już, jak powinnam się czuć.

- Jeśli powoduję jakiś dyskomfort...

- Nie - odparła szybko i położyła lekko dłoń na jego piersi. Trzymała ją tam, niewielki obszar ciepła na jego mocno bijącym sercu. - Nie, nie powodujesz dyskomfortu, Hunterze. Wcale nie.

Zmarszczył brwi, przyglądając się, jak jego wielka ręka gładzi niesamowicie delikatny kontur jej twarzy. Jego palce były pokryte odciskami i bliznami. Skórę miał szorstką, szczególnie w porównaniu z jej idealnie gładką twarzą.

- Nigdy nie dotykałem czegoś tak kruchego. Staram się być ostrożny. Boję się, że zrobię ci krzywdę moim dotykiem.

Uśmiechnęła się do niego, co sprawiło, że zapragnął ją pocałować.

- Masz bardzo delikatne ręce. Lubię, jak mnie tak dotykasz.

Jej pochwała przeszła go jak błyskawica. Puls walił mu w uszach, krew płynęła w jego żyłach niczym wrząca lawa. Poczuł, jak wysuwają mu się kły, reagując równie gwałtownie jak inna część jego ciała. Walczył z tą reakcją, usiłując ją okiełznać, a równocześnie obrysowywał palcem owal jej twarzy. Przesunął opuszką kciuka po jej dolnej wardze. Boże, była taka miękka. Taka piękna.

Westchnęła cicho, z zadowoleniem, kiedy on badał ją dłońmi i oczami.

- Zawsze jesteś dla kobiet taki czuły?

Wzruszył ramionami, omal nie przyznając, że nie było innych kobiet - ani razu. Wychowano go na maszynę, nie dopuszczano do żadnych kontaktów fizycznych, znał jedynie dyscyplinę. Jeszcze dwa dni temu nawet nie pragnął czegoś takiego.

- W moim wychowaniu nie było miejsca na intymność -oświadczył. - Nie wyszkolono mnie do takich kontaktów.

- No to świetnie sobie radzisz, na wypadek gdybyś chciał wiedzieć.

Znów się uśmiechnęła i znów jego ciało zareagowało gorącą potrzebą. Wiedział, że poczuła wibrację, która nim wstrząsała. Musiała też poczuć jego erekcję, napierającą na jej udo, które w jakiś sposób zawędrowało między jego nogi. Leżeli teraz ciasno przytuleni do siebie.

Chciał ją pocałować. Chciał dać upust choć części tego bólu, który wzbierał w nim, kiedy położył rękę na jej delikatnym karku i przyciągnął ją bliżej. Nie opierała się nawet przez chwilę.

Pochylił się i musnął wargami jej usta. Wczorajszy pocałunek był nieoczekiwany, słodki i niezobowiązujący. Ten był zupełnie inny.

Ich usta wpiły się w siebie, ich twarze znalazły się tuż przy sobie, ręce obejmowały się mocno. Pocałunek z obu stron był głodny i natarczywy, żarłoczny. Przytrzymał głowę Corinne ręką, przyciągnął ją do siebie jeszcze bardziej. Każde uderzenie serca wysyłało ogień w jego żyły. Kły pulsowały mu boleśnie, wysunęły się gwałtownie z dziąseł na całą długość. Członek pulsował również, przyciśnięty do jej rozkosznie miękkiego uda, rozpalając w nim coś pierwotnego, coś zwierzęcego, coś, nad czym nie do końca panował.

Nie sądził, że jego pożądanie może jeszcze wzrosnąć, ale Corinne wysunęła język i musnęła nim lekko jego górną wargę. Wyjęczał coś niezrozumiałego, niezdolny znaleźć słów. Jego ciało tylko krok dzielił od wyrwania się spod kontroli.

Rozchylił wargi i omal nie oszalał, kiedy wsunęła między nie język.

Całowali się długą chwilę. Jego ciało było spięte i twarde jak skała, natomiast Corinne zdawała się topnieć w jego ramionach. Czuł dotyk jej miękkich piersi. Z zaciekawieniem sięgnął do nich, potarł dłonią przez sweter. Potem objął palcami ten niewielki wzgórek, zaskoczony podnieceniem, jakie budził w nim ich dotyk i jej zdyszany z rozkoszy oddech.

Teraz chciał znaleźć się jeszcze bliżej. Chciał więcej... jeszcze więcej.

Puls walił mu w uszach, pożądanie płonęło w nim jasnym płomieniem, był o krok od utraty kontroli. Obrócił ją na plecy i przykrył swym ciałem, wpijając usta w jej usta w natarczym pocałunku. Pulsujący żarem wzdół kazał mu trącać biodrami jej srom.

Choć nigdy wcześniej nie zakosztował spełnienia seksualnego, teraz musiał ulec tej potrzebie. Czuł, jak Corinne wije się pod nim, słyszał jej jęki, kiedy przesuwiał rękami po jej ramionach. Z każdym uderzeniem serca czuł większą potrzebę, by ją wziąć, by ją posiadać.

Dłuższą chwilę trwało, nim uświadomił sobie, że Corinne cały czas jęczy, ale już nie z pożądania, tylko czegoś, co niepokojąco przypominało strach.

Przytrzymał jej ręce nad głową, ścisnął palcami delikatne nadgarstki. Corinne wiała się pod nim, a do niego nagle dotarło, że ona walczy, że usiłuje się spod niego wydostać.

Jej jęk brzmiał zupełnie jak szloch.

Pełny obrzydzenia dla samego siebie, natychmiast odtoczył się na bok.

- Przepraszam - wymamrotał. Poczul się okropnie, kiedy poderwała się z podłogi, obejmując się ciasno ramionami, jakby to była tarcza. - Corinne, ja nie chciałem... Przepraszam.

Rzuciła mu smutne spojrzenie.

- Nie musisz przeproszać. Nie powinnam była do tego dopuścić. Powinnam była wiedzieć, że nie mogę tego zrobić - odparła, oddychając urywanie. - Nie jestem na to gotowa, Hunterze. Może oszalałam, sądząc, że kiedykolwiek będę gotowa.

Kiedy odwróciła się od niego, spróbował się opanować.

- Czy to z powodu Nathana?

Odwróciła się do niego gwałtownie. Na jej twarzy odmalowało się przerażenie. Otworzyła szeroko oczy. Jej głos był ledwie słyszalny.

- Co powiedziałaś?

- Nathan - powtórzył. - Wołałaś to imię przez sen. Czy to przez niego nie jesteś gotowa? Czy to dlatego, że twoje serce należy do innego mężczyzny?

Wstrzymała oddech. Miał wrażenie, że przez całą wieczność patrzy na niego nieruchomym wzrokiem.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - odrzekła wreszcie zdecydowanym tonem. - Nie wołałam przez sen żadnego imienia. Musiałeś się przesłyszeć.

Nie przesłyszał się, ale postanowił nie naciskać. Choć puls nadal walił mu w uszach, choć jego penis nadal był nabrzmiąły i domagał się spełnienia, rozumiał, że Corinne nie chce mieć z nim w tej chwili nic wspólnego. Jej milczenie przedłużało się, cofnęła się, nagle czujna. Miał wrażenie, że patrzy na niego oskarżycielko, jakby sobie właśnie przypomniwała, że jest kimś obcym... może nawet jej wrogiem.

Poczuł się skrepowany i zażenowany z powodu rzeczy, które były mu nieznane, póki nie zjawiała się w jego życiu. I ponieważ mu na niej zależało, a udręczone spojrzenie, jakie mu rzuciła, jeszcze bardziej oddaliło ich od siebie.

Wróciła do niego wizja Miry, była niczym uderzenie w twarz. Błaganie Corinne. Jej łzy. Jej prośby, żeby darował życie mężczyźnie, którego utraty nie była w stanie znieść.

Był pewien, że zna jego imię.

Nathan.

Nie wiedział, dlaczego na myśl o tej informacji zacisnął zęby tak mocno, że aż zabolalo.

- Hunterze - zaczęła Corinne i urwała, żeby odetchnąć. - To, co zaszło między nami...

- Więcej się nie powtórzy - dokończył za nią. Wysiłkiem woli odsunął od siebie pożądanie i dumę. To

były bezużyteczne uczucia. Oparł się na bezwzględnej dyscyplinie, która zawsze tak dobrze mu służyła - dyscyplinie, której omal nie porzucił na widok bólu i zmieszania w ślicznych oczach Corinne Bishop.

- Słońce wkrótce zajdzie - zauważył. - Zaraz potem ruszamy.

Skuliła się, wyraźnie zaniepokojona.

- Dokąd?

- Przygotowano dla nas kryjówkę. Zostaniesz tam, a ja podejmę moją misję.

Odwrócił się i zostawił ją samą w pokoju.

- Panie Masters, zapewniam jeszcze raz, że doceniam w pełni hojność, jaką okazał pan podczas mojej ostatniej kampanii. Ten czek... - Senator uniósł starannie wymodelowaną brew i rzucił ponownie okiem na okazałą sumkę wypisaną na czeku. - Szczerze mówiąc, zawstydza mnie wysokość tej donacji. Jest bez precedensu.

Dragos uśmiechnął się, złożył dłonie i oparł na palcach podbródek. Siedział w fotelu po drugiej stronie biurka polityka.

- Niech Bóg błogosławi demokrację i Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych.

- Święta racja. - Senator zaśmiał się z widocznym skrepowaniem. Jego jabłko Adama podskoczyło nad wykrochmalonym białym kołnierzykiem frakowej koszuli i sztywną czarną muchą. Złocistoblond włosy miał starannie szesane do tyłu, a lekka siwizna na skroniach dodawała temu trzydziestokilku-letniemu senatorowi powagi i dystynkcji.

Dragos zastanawiał się, czy przypadkiem nie dorobił się jej w kosztownym salonie fryzjerskim, a potem doszedł do wniosku, że nic go to nie obchodzi. Najbardziej interesowała go polityka senatora i jego elitarne koneksje.

- Jestem zaszczycony, że pan i TerraGlobal okazujecie takie zaufanie mojej kampanii - ciągnął senator, przywołując na twarz poważny wyraz, dzięki któremu zapewne otrzymywał wszystko, czego tylko zapragnął w swoim krótkim, acz uprzywilejowanym życiu bostońskiego kawalera uważanego za jedną z najlepszych partii w mieście. - Zapewniam pana, że cała kwota, jaką mi pan przekazuje, zostanie zużyta dla dobra wspólnego.

- Nie mam co do tego wątpliwości, senatorze Clarence.

- Proszę mi mówić Robert - poprosił senator, wkładając czek do górnej szuflady biurka i ją zamykając. - Och, do diabła, proszę mi mówić Bobby, jak wszyscy przyjaciele.

Dragos odwzajemnił jego układny uśmiech.

- W takim razie Bobby.

- Chcę, żeby pan wiedział, panie Masters, że podzielam pana oddanie dla spraw, które mają ogromny wpływ na nasz naród. Obiecałem walczyć w Waszyngtonie, byśmy odzyskali wszystko, na co zasługujemy - zajęli należną nam pozycję najpotężniejszego państwa świata. Chcę, żeby pan wiedział, że moja walka dopiero się zaczyna, skoro dane jest mi sprawować ten wysoki urząd w tak kluczowym momencie historii. Jestem tu, ponieważ chcę coś zmienić.

- Oczywiście - odparł Dragos, cierpliwie słuchając powtórki z przemówienia, które słyszał już nie raz podczas kampanii senatora. - Mamy wiele wspólnych celów. Przede wszystkim walkę z terroryzmem. Podziwiam twoją nieugiętą postawę w tej kwestii. Chwali ci się taka dbałość o sprawy bezpieczeństwa narodowego.

Bobby Clarence pochylił się nad biurkiem i w wystudiowany sposób zmrużył oczy.

- Tak między nami, Drake, jeśli wolno mi się tak do ciebie zwracać. - Dragos gestem nakazał mu kontynuować. - Tak między nami, nie byłbym wcale przeciwny przywróceniu publicznych egzekucji, jeśli chodzi o tych drani terrorystów, szczególnie tych, którzy wyrastają jak chwasty z naszej amerykańskiej ziemi. Należałoby ich powywieszać za jaja i poszczuć głodnymi psami. Na nieszczęście moi doradcy uznali to za niezbyt fortunny slogan wyborczy.

Wybuchnął głośnym śmiechem. Dragos mu zawtórował, choć niekoniecznie śmiali się z tego samego. Dragos czekał niecierpliwie na chwilę, kiedy to on zacznie pociągać za sznurki i odniesie ostateczne zwycięstwo nad Zakonem.

Zadzwoił telefon na biurku senatora. Ten przeprosił grzecznie i podniósł słuchawkę.

- Tak Tavio? Mmm. Świetnie, świetnie. Och, niedobrze, czy to już czas? Zadzwoń, proszę, do biura przewodniczącego i usprawiedliw mnie, dobrze? Powiedz mu, że kończę ostatnie spotkanie, niech jedzie przed nami. Dołączymy do niego wkrótce. Tak, wiem, że nie znosi zmiany planów w ostatniej chwili, ale obawiam się, że będzie się musiał z tym pogodzić. - Bobby Clarence mrugnął porozumiewawczo do Dragosa. - Powiedz mu, że zatrzymały mnie sprawy bezpieczeństwa państwowego. Będzie miał o czym myśleć, póki się nie zjawimy.

Odłożył słuchawkę i spojrział przepaszajaco na Dragosa.

- Nikt mnie nie uprzedził, że wybór na senatora to będzie ta najłatwiejsza część. Trzymanie się kalendarza to dopiero wyzwanie, szczególnie o tej porze roku. Mówię ci, spędziłem więcej czasu w tym cholernym smokingu niż w okopach, tam gdzie moje miejsce.

- Jesteś rozchwytywanym człowiekiem - odparł Dragos, zdając sobie sprawę, że zniecierpliwienie przyjęciami to tylko część publicznego wizerunku złotego chłopca. Na pewno dobrze się sprawdziło podczas kampanii, a tylko to liczyło się dla

Dragosa, ponieważ zainwestował kupę kasy w to, by gwiazda z Cambridge otworzyła mu drogę do ludzi naprawdę sprawujących władzę. - Musisz wypełnić swoje zobowiązania, a ja nie powinienem cię dłużej zatrzymywać - dodał, wstając z fotela, choć senator zaczął go zapewniać, że wcale nie muszą się spieszyć. - Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną zobaczyć, choć jest już późno.

Senator Clarence obszedł biurko i pomógł Dragosowi włożyć kaszmirowy płaszcz. Ujął jego rękę w przyjacielskim uścisku.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Drake. Musimy to powtórzyć, kiedy tylko zechcesz.

Odprowadził gościa do drzwi i otworzył je przed nim. Po drugiej stronie stała z uniesioną ręką, jakby właśnie miała zapukać, bardzo wysoka i bardzo atrakcyjna młoda kobieta, ubrana w grafitowy kostium ze spodniami i kremową bluzkę ze stójką. Gęste włosy w karmelowym odcieniu miała związane na karku w koński ogon, każdy włoszek znajdował się dokładnie na swoim miejscu. U mniej pięknej kobiety taki strój i fryzura mogły sprawiać odpychające wrażenie, ale nie u niej.

- Ach, Tavia - powiedział Bobby Clarence, kiedy Dragos zatrzymał się gwałtownie, zaskoczony jej widokiem. Cofnęła się równie gwałtownie, a jej inteligentne spojrzenie powędrowało od zaintrygowanego uśmiechu Dragosa do szerokiego uśmiechu jej szefa. Senator położył rękę na ramieniu Dragosa. - Drake, czy poznałeś już moją osobistą asystentkę, Tavię Fairchild?

- Miło mi - wymruczał, pochylając uprzejmie głowę.

- Panie Masters - zaczęła, przyjmując jego rękę i ściskając ją krótko, ale mocno. - Nie mieliśmy okazji się poznać, ale znam pańskie nazwisko z korespondencji senatora.

- Tavia ma fantastyczną pamięć do twarzy i nazwisk - wtrącił się jej dumny szef. - To moja tajna broń, dzięki niej zawsze wiem kto, kiedy i gdzie. A przynajmniej się staram.

- Bez wątplenia - odrzekł Dragos, ledwie mogąc oderwać oczy od tej kobiety.

Ciemne rzęsy przysłaniały oczy zielone jak wiosenny liść. Odwróciła wzrok, a on zastanawiał się, czy przypadkiem nie wyczuła instynktownie, że jest kimś więcej, niż się wydaje. Był nią zafascynowany, a nawet wręcz oczarowany. Odwróciła się do senatora i podała mu małe, ozdobnie zapakowane pudełko przewiązane czerwoną wstążką z gałązką ostrokrzewu.

- Dla żony przewodniczącego. To zabytkowa broszka, którą znalazłam w sklepie na Newburry Street w zeszły weekend. Doszłam do wniosku, że skoro kolekcjonuje kamee...

- Co ci mówiłem, Drake? - spytał Bobby Clarence, wskazując ją idealnie kwadratowym podbródkiem. Wziął od niej pudełko i potrząsnął nim lekko przy uchu. - Moja tajna broń. Zawsze sprawia, że wypadam lepiej, niż na to zasługuję.

Tavia Fairchild przyjęła komplement obojętnie, skupiona na swoim zadaniu.

- Czy mam zadzwonić do garażu i kazać przyprowadzić samochód?

- Tak, tak, bardzo proszę. - Senator poklepał Dragosa po ramieniu, a jego piękna asystentka odwróciła się do biurka i podniosła słuchawkę. - Może dasz się przekonać i pojedziesz ze mną, Drake? Porozmawiamy po drodze, a ja z radością przedstawię cię paru grubym rybom. Myślę, że znajdziesz tam wiele podobnie myślących osób. Chętnie wymienię poglądy na temat spraw, o których dyskutowaliśmy.

Dragos uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Obawiam się, że nie dam rady. - Sięgał znacznie wyżej niż szefowie związków zawodowych i komendant policji. - Ale dziękuję za zaproszenie. Naprawdę muszę już iść.

- Na pewno? - Senator uśmiechnął się szeroko. - Warto dla samego żarcia. Ci faceci kochają jeść. Powinieneś spróbować, szczególnie że to pięćset dolarów za talerz, a kolację przygotował najlepszy włoski szef kuchni w North End.

- Mimo to. - Dragos rozłożył ręce. - Poza tym jestem na ścisłej diecie. Obawiam się, że włoska kuchnia mi nie służy.

- Och, przykro mi to słyszeć. - Bobby Clarence zaśmiał się cicho, podszedł do szafy i wyjął elegancki płaszcz z jedwabną podszewką. - Ale będziesz jutro u mnie na przyjęciu, prawda?

Dragos kiwnął głową.

- Za nic bym go nie przegapił.

- Wspaniale. Tavia naprawdę przeszła samą siebie, przygotowując wszystko, łącznie z ręcznie pisanymi zaproszeniami.

- Czy tak? - Dragos rzucił kolejne taksujące spojrzenie na młodą kobietę, która wzięła już płaszcz i torebkę. Jeszcze wyłączyła komputer i uruchomiła pocztę głosową w telefonie.

- Nie powinienem tego jeszcze ogłaszać - zaczął senator -ale mamy potwierdzenie od naszego gościa honorowego. To mój dobry przyjaciel i mentor z czasów Cambridge. Ktoś, kogo na pewno z chęcią poznasz, Drake.

Choć młody polityk starał się być subtelny, Dragos nie potrzebował dalszych wskazówek, by odgadnąć, że gościem honorowym i dobrym przyjacielem Clarence'a jest nie kto inny, jak jego ulubiony profesor z college'u, który wykorzystał swoją szansę i zajmował teraz drugie stanowisko w państwie. To właśnie to powiązanie czyniło z Bobby'ego Clarence'a cenny nabytek w oczach Dragosa.

Jutro wieczorem posiadzie umysły i dusze obu tych ludzi.

- W takim razie do zobaczenia - pożegnał się. Wyciągnął rękę do senatora i potrząsnął nią z entuzjazmem. Spojrzał na śliczną asystentkę Bobby'ego Clarence'a i skłonił grzecznie głowę. - Panno Fairchild, to była prawdziwa przyjemność poznać panią wreszcie.

Czując na sobie jej przenikliwy wzrok, wyszedł z biura przy wtórce optymistycznych pożegnań senatora i ruszył ku windom. Kiedy znalazł się na ulicy i wsiadł do czekającej na niego limuzyny, na jego twarz wypłynął szeroki uśmiech.

Rozdział 20

Dotarcie do kryjówki, którą organizował im Zakon, zajęło mniej więcej godzinę. Skręcili z głównej drogi i dłuższą chwilę jechali gruntową dróżką, która wiodła coraz głębiej na bagna, porośnięte kępami upiornych, obwieszonych mchem cyprysów.

Kiedy Hunter zakręcił w nieoznakowany podjazd - przynajmniej tak się Corinne wydawało, że to podjazd - światła samochodu wyłoniły z mroku kilka par żółtych pałających oczu, zawieszonych nisko przy ziemi. Gęste krzaki zakołysały się, kiedy bagienne stwory ukryły się w ciemności swej dzikiej domeny.

- Jesteś pewien, że to właściwe miejsce? - spytała Corinne, kiedy Hunter wjeżdżał coraz głębiej w bagna. - Trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś postawił tu dom.

- Nie popełniam błędu - odparł. - Tu mieszka Amelie Du-pree.

To były pierwsze słowa, jakie wypowiedział do niej od początku podróży. Znowu zachowywał się jak obojętny żołnierz. Wcale jej to nie zaskoczyło. Nie załatwili najlepiej tego, co zdarzyło się między nimi.

Choć bardzo chciała z nim o tym porozmawiać - wyjaśnić, dlaczego spanikowała w sytuacji, która początkowo sprawiała jej ogromną przyjemność - zażenowanie kazało jej trzymać język za zębami. Oraz ogromne zaskoczenie, jakie poczuła, kiedy Hunter wymówił imię jej syna.

Nie była na to zupełnie przygotowana ani wtedy, ani teraz. Instykt, nakazujący jej chronić dziecko, zaprzeczyć jego istnieniu, jeśli w ten sposób mogła uchronić je przed krzywdą, zadziałał w niej równie odruchowo, jak gdyby cofała rękę przed

ogniem. Ale to kłamstwo otworzyło między nią a Hunterem przepaść.

Kiedy reflektory samochodu oświetliły stary drewniany dom, ukryty głęboko wśród upiornych, porośniętych draperiami mchu drzew, odwróciła wzrok od jego niezgłębionej twarzy. Na werandzie stała stara czarnoskóra kobieta w kwiciastej sukience. Ręce miała założone na obfitym biuście, ale kiedy samochód zatrzymał się, uniosła dłoń na powitanie.

Hunter wyłączył silnik i schował kluczyki do kieszeni skórzanego płaszcza.

- Zaczekaj tutaj, póki nie stwierdzę, czy jest bezpiecznie.

Kiedy wysiadł z samochodu i podszedł do staruszki, Corinne zaczęła się zastanawiać, jakiego zagrożenia spodziewał się z jej strony. Ale widziała po jego ruchach, po wyprostowanej linii ramion i długich krokach, że takie postępowanie narzuca mu jego wyszkolenie.

Spędziła w jego towarzystwie tyle czasu, że zdarzało jej się zapomnieć, jaki jest potężny, jak potrafi być niebezpieczny. Otaczałaby go groźna aura, nawet gdyby nie miał wyszkolenia żołnierzy Dragosa. Jego czułe pocałunki sprawiły, że zapomniała, jak bezlitosne potrafią być jego ręce, jeśli wyczuje zagrożenie albo coś wzbudzi jego podejrzliwość. Nie zamierzał ryzykować, wszystko jedno, jak niewielkie były szanse napotkania zagrożenia. Corinne chciała, żeby przestał się tak zachowywać, ale uświadomiła sobie ze wstydem, że on po prostu stara się zapewnić jej bezpieczeństwo.

Poruszał się z wdziękiem pantery i żołnierską precyzją. Przez chwilę Corinne obawiała się, że biedna staruszka wrzaśnie zaraz z przerażenia na jego widok i zacznie uciekać. Ale nic podobnego nie nastąpiło. Do Corinne dotarł przez szybę jej łagodny głos, kiedy witała Huntera i zapraszała ich oboje do środka.

Hunter odwrócił głowę i odszukał wzrok Corinne. Skinął jej lekko głową, a potem wrócił do samochodu i otworzył jej

drzwiczki, nim zdążyła sama wysiąść. Podeszedł wraz z nią do starej kobiety i umieścił dłoń Corinne w wyciągniętej na powitanie ręce staruszki.

Zamglone mlecznobiałe oczy strzelały na wszystkie strony, kiedy Amelie Dupree ujęła mocno rękę Corinne. Jej uśmiech był szeroki i promienny, pełen życzliwości, która wręcz z niej promieniowała. A kiedy przemówiła, jej głos okazał się słodki i melodyjny, choć naznaczony wiekiem.

- Witaj, dziecinko.

Hunter przedstawił ją szybko. Niewidome oczy Amelie przesuwają się po nich w ciemności. Poklepała Corinne po matczynemu po rękę.

- Wejdz do środka, dziecinko. Mam czajnik na piecu i gotową zupę z ketmią.

- Brzmi wspaniale - zapewniła Corinne. Nie miała wyboru, jak pozwolić się zaprowadzić po skrzypiących schodkach na werandę. Obejrzała się na Huntera, który został przy samochodzie. Już przyciskał telefon do ucha, niewątpliwie meldując Zakonowi, że dotarli na miejsce bez przeszkód.

Z zewnątrz dom nie robił imponującego wrażenia, ale meble były nowe i dobrze utrzymane, a ściany pomalowano w ciepłych kolorach ziemi i ozdobiono obrazami i fotografiami. Jedna z nich natychmiast przyciągnęła wzrok Corinne, kiedy szła za Amelie Dupree, podziwiając jej zdolność orientowania się w przestrzeni bez pomocy wzroku.

Zatrzymała się, żeby przyjrzeć się lepiej zdjęciu. Nie było nowe - musiało mieć wiele lat, zważywszy dziwne stroje i pożółkłe brzegi. Ale twarz pełnej życia kobiety, otoczoną okrągłą aureolą czarnych loków, trudno było z kimś pomylić. Corinne poznała ją w kwaterze Zakonu w Bostonie.

- Moja piękna młodsza siostra, Savannah - potwierdziła Amelie Dupree, podchodząc do Corinne. - Właściwie przyrodnia siostra. Miałyśmy tę samą matkę, niech Bóg czuwa nad jej słodką, udręczoną duszą.

- Nie wiedziałam - oznajmiła Corinne, ruszając za siwą kobietą do pomalowanej na żółto kuchni na tyłach domu.

Czajnik właśnie zaczął gwizdać na piecu. Amelie wymacała gałkę od gazu i wyłączyła płomień. Obok grzała się zupa. Staruszka otworzyła kredens i wyjęła dwa gliniane kubki.

- Znasz moją siostrę? - spytała, a jej palce wędrowały teraz po blacie w poszukiwaniu puszki z herbatą.

- Spotkałam ją przelotnie - odparła Corinne, niepewna, ile może zdradzić komuś spoza Zakonu, nawet jeśli to krewna. - Savannah wydała mi się bardzo miła.

- To prawda - zgodziła się Amelie, a w jej głosie brzmiał śmiech. - Rozmawiamy ledwie kilka razy w roku, ale zawsze jest tak, jakby stąd nigdy nie wyjechała.

Corinne przyglądała się, jak staruszka wkłada torebki z herbatą do kubków, a potem sięga po rękawicę, wiszącą na haczyku koło kuchenki. Miała ochotę jej pomóc, ale Amelie Dupree najwyraźniej świetnie radziła sobie sama. Położyła palec wskazujący na brzegu kubka i zalała herbatę wrzątkiem, nie parząc się i nie rozlewając ani kropli. Corinne zapewne nie byłaby tak precyzyjna.

- A jak się miewa ten jej przystojny facet? - zapytała Amelie swobodnie, niosąc do stołu oba kubki. - Jeśli poznałaś moją siostrę, musiałaś też poznać Gideona. Ci dwoje są jak syjamskie bliźnięta, i to chyba już od trzydziestu lat.

Usiadła, wskazując Corinne krzesło obok siebie. Ponieważ Hunter nie nadchodził, usiadła i podmuchała lekko herbatę.

- Mmm - zamruczała Amelie w zadumie, a jej niewidzące spojrzenie zrobiło się zamyślane. - Trudno uwierzyć, że tyle czasu minęło od tamtych kłopotów.

- Kłopotów? - zdziwiła się Corinne, popijając ostrożnie gorącą herbatę. Poczowała zaciekawienie, chciała dowiedzieć się więcej nie tylko o kobiecie, udzielającej im schronienia, lecz także o parze, która zdawała się być tak integralną częścią Zakonu.

- Nie lubię wracać do złych wspomnień, dziecinko, a to jest jedno z najgorszych. - Staruszka nakryła dłonią rękę Co-rinne i poklepała ją lekko. - Za dużo krwi przelano tamtej nocy. Dwie osoby omal nie straciły życia na moim ganku. Wiedziałam, że Gideon jest inny od chwili, jak go zobaczyłam, a wiek nie odebrał mi jeszcze wtedy wzroku. Nigdy bym nie zgadła, kim on jest, gdybym nie zobaczyła tego na własne oczy. Ten postrzał powinien był go zabić. Ten, który dostała Savannah, też powinien sprowadzić na nią śmierć. Niechybnie by umarła, gdyby nie zrobił tego, co zrobił, żeby ją ocalić. Gdyby nie ugryzł się w nadgarstek i nie dał jej swojej krwi.

Corinne uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech, że słucha zafascynowana.

- Widziałaś, jak ją karmił... Wiesz, kim on jest?

- Wampirem. - Stara kobieta pokiwała głową. - Tak, wiem. Wszystko mi powiedzieli tamtej nocy. Zawierzyli mi swoje życie, i to jest sekret, który zamierzam zabrać ze sobą do grobu, kiedy nadejdzie mój czas. - Amelie napiła się herbaty. - Ten mężczyzna na zewnątrz... on też należy do Rasy Gideona. Nawet ślepa stara kobieta taka jak ja może to zobaczyć. Ma w sobie mroczną moc. Czułam jego wibracje, jeszcze nim wysiadł z samochodu.

Corinne zapatrzyła się w kubek.

- Hunter jest trochę... onieśmielający, ale widziałam w nim dobro. To szlachetny i odważny człowiek, tak jak Gideon.

Amelie chrząknęła cicho. Nadal trzymała prawą rękę Corinne, pocierając w zamyśleniu kciukiem jej purpurowe znamię w kształcie kropli i półksiężyca. Nagle Corinne uświadomiła sobie, że staruszka je bada.

- Ona ma takie samo - szepnęła Amelie, marszcząc gładkie czoło. - Savannah też ma takie znamię, tylko że na lewej łopatkę. Mama mówiła, że w to miejsce pocałowały ją wróżki, nim ją włożyły do jej macicy. No ale mama też była trochę dziwna.

Corinne się uśmiechnęła.

- Każda dawczyni życia rodzi się z tym znamieniem gdzieś na ciele.

- Hm - zamyśliła się Amelie. - Jesteście z Savannah pod pewnym względem siostrami, prawda?

- Tak sędzę - zgodziła się Corinne, rozgrzana zarówno herbatą, jak i spokojną akceptacją gospodyni. - Od dawna pani tu mieszka?

Amelie kiwnęła siwą głową.

- Siedemdziesiąt dwa lata. Urodziłam się w tym domu. W tym pokoju. Tak samo jak Savannah, choć kiedy się rodziła, byłam już dorosła i pomagałam przy porodzie. Jestem od niej starsza o dwadzieścia cztery lata.

Siedemdziesiąt dwa lata, pomyślała Corinne, przyglądając się jej starej twarzy i siwym włosom. Gdyby nie krew Prastarego, którą wmuszano w nią przez cały czas uwięzienia, jej ciało byłoby o dwadzieścia lat starsze od ciała Amelie Dupree. Wydało jej się ironią, że rzecz, którą tak pogardzała - pobieranie składników odżywczych od stworzenia nie z tego świata - pozwoliła jej przetrwać tortury Dragosa. Dawała jej siłę, kiedy chciała tylko położyć się i umrzeć. To z powodu tej obcej krwi miała teraz gdzieś syna, kawałek serca, który, jak się obawiała, wymykał się coraz bardziej z jej rąk.

- Czy ma pani inną rodzinę? - spytała Amelie, kiedy ból w piersi stał się nie do zniesienia.

Starsza kobieta się rozpromieniła.

- O, tak. Dwie córki i syna. Mam też ośmioro wnucząt. Moja rodzina się rozjechała, dzieci nigdy nie kochały bagna tak jak ja. Nie mają go we krwi, w kościach, jak ja i mój zmarły mąż. Przenieśli się do miasta. Och, przyjeżdżają tu prawie co tydzień, upewniają się, że nic mi nie jest, i pomagają w domu. Ale to wszystko za mało. Szczególnie im bardziej się starzeję. Wiek sprawia, że chcesz mieć blisko tych, których kochasz.

Corinne uśmiechnęła się i ścisnęła lekko jej pomarszczoną rękę. Była w tej chwili zadowolona ze ślepoty staruszki, gdyż nie widziała łez, które popłynęły z kącików jej oczu.

- Nie trzeba być starą, żeby tak się czuć.

Łagodna twarz starej kobiety przybrała wyraz zamyślenia.

- Ile czasu minęło, odkąd widziałas swoje dziecko?

Corinne zamarła, nagle uświadamiając sobie, że te zamglone oczy widzą więcej, niż sądziła. Czując się śmiesznie, uwolniła rękę i pomachała nią przed oczami Amelie. Żadnej reakcji. Czy staruszka w jakiś sposób zajrzała w jej umysł? Obejrzała się przez ramię, upewniając się, że Huntera nie ma w pobliżu.

- Skąd wiesz, że ja...

- Och, nie jestem jasnowidząca, jeśli to masz na myśli. - Amelie zaśmiała się cicho. - W naszej rodzinie tylko Savannah miała prawdziwy dar. Według mamy ta dziewczyna była większą Cyganką niż Cajuni, ale kto to może wiedzieć? O ojcu Savannah nie mówiło się w naszej rodzinie. Mama nigdy o nim nie wspominała. A ja przez tyle lat byłam akuszerką, że zawsze rozpoznam kobietę, która rodziła. Coś się w nas zmienia, kiedy sprowadzimy nowe życie na ten świat. Można wyczuć takie rzeczy... to coś jak intuicja.

Corinne nie próbowała zaprzeczać.

- Nie widziałam syna od dnia narodzin. Odebrano mi go zaraz po porodzie. Nawet nie wiem, gdzie on jest.

- Och dziecinko - westchnęła Amelie. - Tak mi cię szkoda. I jego też, ponieważ czuję miłość, jaką nosisz w sercu. Musisz go znaleźć. Nie możesz tracić nadziei.

- Tylko on się dla mnie liczy - zaznaczyła Corinne.

Ale mówiąc to, poczuła, że to nie jest do końca prawda. Zaczął się dla niej liczyć również ktoś inny. Ktoś, komu chciała zawierzyć prawdę. Ktoś, kogo odepchnęła i komu skłamała, kiedy okazał jej czułość. Bardzo tego teraz żałowała.

Nienawidziła muru, jakim się od niej odgrodził. Chciała go zburzyć, nim jeszcze urośnie, a to oznaczało, że będzie się

musiała przed nim zupełnie otworzyć. Chciała mu zaufać, choć oznaczało to, że będzie mógł ją osądzić.

Wiedziała, że musi się na to zdobyć.

- Czy mogę panią przeprosić na chwilę? Chcę sprawdzić, co zatrzymało Huntera.

Kiedy stara kobieta kiwnęła głową, Corinne wstała od stołu i przeszła przez dom. Ale gdy wyszła na werandę, okazało się, że Hunter i czerwone el camino zniknęli.

Wyruszył na swoją misję bez słowa pożegnania.

Murdock ocknął się ze zduszonym krzykiem.

Chase przyglądał się przez chwilę, jak rzuca się na łańcuchu, na którym zwiisał za kostki z belki w starym pustym silosie, gdzieś pod miastem. Z jego świeżych ran płynęła krew. W silosie było przeraźliwie zimno, co jeszcze zwiększało cierpienia tego skurczybyka, który uparcie nie chciał mówić.

Przez większość dnia Chase próbował biciem wydobyć z niego informacje. Kiedy to nie podziało, a ograniczone zasoby cierpliwości Harvarda zaczęły się wyczerpywać, gdy nadciągnął zachód słońca, a wraz z nim możliwość zaspokojenia dręczącego go pragnienia krwi, wziął nóż Murdocka i zaczął go ciąć, by wydobyć z niego prawdę.

W pewnym momencie agent stracił przytomność, ale Chase nawet tego nie zauważył. Dopiero kiedy ręce miał unurzane we krwi wampira, a ciało agenta zwiślało zupełnie bezwładnie, nie reagując na ból, zdołał się opanować.

Odłożył nóż i czekał.

A teraz przyglądał się, jak Murdock odzyskuje przytomność. Łańcuch pobrzękiwał echem w pełnym szcurów silosie. Wampir zakaszlał i splunął na podłogę. Pod jego ciałem zebrała się na betonie duża czerwona plama krzepnącej krwi i moczu. Wsiąkała powoli w zapleśniałe resztki paszy dla zwierząt i zamrożone szczurze bobki. Ta kałuża przyciągała wzrok

Chase'a. Patrząc na nią, miał ochotę zapomnieć o Murdocku i ruszyć na łowy.

Agent rzucał się na łańcuchu jak oszalały. Zasyczał, kiedy jego zamglone oczy napotkały nieruchomy wzrok Chase'a.

- Ty draniu! - ryknął. - Nie masz pojęcia, z kim pogrywasz!

Chase owinął sobie mocno pięść końcem długiego kawałka łańcucha - drugi jego koniec był przywiązany do szyi Murdocka - i szarpnął mocno.

- Czy to znaczy, że jesteś gotów coś mi powiedzieć? - Wstał powoli i podszedł do Murdocka, po drodze owijając luźny łańcuch wokół pięści. Kiedy znalazł się dwa kroki od agenta, zatrzymał się. - Jakie są twoje powiązania z Dragosem? I ostrzegam - jeśli będziesz mi wmawiał, że nigdy nie słyszałeś tego imienia, zmienię ci twarz w krwawą miazgę.

Murdock zawarczał, jego zmrużone, podbiegnięte krwią oczy połyskiwały bursztynem.

- Zabije mnie, jeśli ci powiem. Chase wzruszył ramionami.

- A ja cię zabiję, jeśli nie powiesz. No to mamy impas. Ale to ja trzymam łańcuch i nóż. Uprzedzam, że potnę cię na kawałki, jeśli nie przestaniesz mnie irytować.

Murdock tylko na niego patrzył. Zacisnął zęby, ale w jego bursztynowych oczach czaił się strach.

- Inni stoją bliżej operacji Dragosa niż ja. To nie ze mną chcesz gadać.

- Niestety, tak się składa, że tylko ciebie mam akurat pod ręką. Więc przestań mi grać na nerwach i zacznij gadać. - By podkreślić swoje słowa, Chase znów owinął pięść łańcuchem.

Chryste, wcale nie chciał podchodzić tak blisko do tego skurczybyka. Nie tylko dlatego, że czuł przemożną potrzebę rozwalenia mu głowy już za sam udział w krwawym klubie, lecz również z powodu tej cholernej krwi. Choć krew wampira nie stanowiła pożywienia dla członków Rasy, widok i zapach

takiej ilości świeżej hemoglobiny sprawiał, że w Chasie obudziła się jego dzika natura.

Murdock musiał zauważyć jego wysunięte kły i pałający wzrok. Transformacji nie spowodowały wściekłość czy ból, ale głód, który dręczył go teraz praktycznie przez cały czas.

To jego dzika natura kazała mu zawarczeć, gdy stanął z Murdockiem twarzą w twarz.

- Gadaj, gdzie znaleźć Dragosa.

Kiedy odpowiedź nie nadeszła, zrobił zamach pięścią owiniętą łańcuchem i uderzył agenta w bok twarzy. Wampir zawył, wypluł ząb i strumień ciemnoczerwonej krwi.

Żołądek Chase'a skurczył się boleśnie, przez jego żyły przebiegło paskudne drzenie. Jakaś wściekła radość kazała mu zadawać kolejne ciosy, rozerwać tego drania na kawałki. Przecież na to zasługiwał.

Zaskoczyło go, jak silna stawała się mroczna strona jego natury. Jak bardzo dzikie, jak głębokie było jego szaleństwo.

Prawdę powiedziawszy, przeraziło go to.

Opanował się - na ile zdołał - i chwycił Murdocka za podbródek. Z trudem znalazł potrzebne słowa, tak bardzo musiał walczyć ze sobą. Kiedy wreszcie się odezwał, jego głos był schrypnięty i niski. Odsłonił kły we wściekłym grymasie.

- Gdzie. Jest. Dragos.

- Nie wiem - jęknął Murdock. Chase uniósł pięść, gotów uderzyć ponownie. - Nie wiem! Nie wiem! Przysięgam, że nie wiem! Mogę ci tylko zdradzić, że chce zniszczyć Zakon...

- Żartujesz - przerwał mu sarkastycznie Chase. - Powiedz mi lepiej coś, czego nie wiem, bo skończę z tobą tu i teraz.

Murdock oddychał szybko i z trudem.

- No dobrze, już dobrze... on chce się was pozbyć - całego Zakonu. Mówi, że musi, jeśli jego wielki plan ma się powieść.

- Wielki plan - powtórzył Chase. Czyżby wreszcie zaczynał się czegoś dowiadywać? - O co mu chodzi, do jasnej cholery?

- Nie bardzo wiem. Nie należę do jego wewnętrznego kręgu. Podlegam jego zastępcy, który przyjechał do Bostonu z Atlanty. Freyne też mu podlegał.

- Jak się nazywa ten wampir? - spytał Chase. - Powiedz mi, jak go znaleźć.

- Nie fatyguj się - odparł Murdock. - Nikt nie słyszał o nim od zeszłego tygodnia, więc zapewne tak zdenerwował Dragosa, że go zabił. Nikomu nie daje drugiej szansy.

Chase zaklął pod nosem.

- W porządku. W takim razie zdradź mi coś więcej o jego wewnętrznym kręgu. Kto jeszcze do niego należy?

Murdock pokręcił głową, kapiąc krwią na buty Chase'a.

- Nikt nie wie, kto ma do niego dostęp. Bardzo uważa.

- Jak planuje pozbyć się Zakonu?

- Nie wiem. To coś dużego. Pracował nad tym od jakiegoś czasu, przynajmniej tak słyszałem. Próbuje ustalić, gdzie jest wasza kwatera. Nim Freyne zginął, wspomniał coś o przynęcie. O koniu trojańskim...

- Och, do diabła - mruknął Chase.

W jego głowie zrodziło się paskudne podejrzenie. Przez mgłę rosnącego pragnienia przypomniał sobie noc odbicia Kellana Archera i unicestwienia Mrocznej Przystani Lazara Archera. Po tym ataku Zakon nie miał wyboru, jak tylko zabrać obu ocalałych członków rodziny Archerów do kwatery, żeby zapewnić im bezpieczeństwo.

Czyżby cała sprawa rozegrała się dokładnie według scenariusza Dragosa? Czyżby ten skurczybyk zaplanował cały incydent, żeby zlokalizować kwaterę Zakonu? Sama myśl o tym była jak dźgnięcie rozpalonym żelazem w brzuch.

Z trudem skoncentrował się znów na przesłuchaniu.

- Co jeszcze wiesz o jego planach?

- To wszystko. Nic więcej nie wiem.

Chase przyjrzał mu się podejrzliwie. Pokręcił głową.

- Nie wierzę ci. Może potrzebujesz czegoś na polepszenie pamięci?

Znów uderzył Murdocka pięścią owiniętą łańcuchem. Na policzku wampira otworzyła się rana. Chase nie zdołał powstrzymać zwierzęcego warkotu, który wyrwał się mu na widok i zapach krwi.

- Mów, do cholery - zasyczał, zaczynając poddawać się bestii, która w nim tkwiła. - Więcej nie zapytam.

Murdock wreszcie zaczął się poddawać. Zakaszłał, a był to paskudny, mokry dźwięk.

- Zamienia w sługi ludzi z sił porządkowych i każe im donosić. Bardzo wielu. Podobno ostatnio mówił o jakimś polityku, nowym senatorze, którego właśnie wybrali.

Chase od dawna nie śledził ludzkiej polityki, ale nawet on słyszał o obiecującym młodym człowieku, wychowanku Cambridge, który zdawał się stworzony do politycznej kariery.

- Co to ma do rzeczy? - spytał.

- Musisz zapytać o to Dragosa - parsknął Murdock. Mówił z trudem, miał rozciętą wargę i spuchnięte usta. - Jego plan jest jakoś związany z tym Clarence'em.

Chase zastanawiał się przez chwilę, patrząc z pogardą na agenta.

- Na pewno nie wiesz nic więcej? Nie dowiem się czegoś bardziej interesującego, jeśli wybije ci dziurę po drugiej stronie czaszki?

- Teraz powiedziałem ci już wszystko. Nie wiem nic więcej, daję ci moje słowo.

- Twoje słowo - prychnął Chase. - Spodziewasz się, że uwierzę w słowo pedofila i członka krwawego klubu. Sprzedałbyś własną matkę takiemu popaprańcowi jak Dragos.

W oczach Murdocka pojawił się niespokojny błysk. Jego południowy akcent stał się wyraźniejszy.

- Mówiłeś, że chcesz dostać informacje, a ja ci je dałem. Jesteśmy kwita, Chase. Puść mnie.

Chase uśmiechnął się, szczerze ubawiony.

- Puścić cię? Och, raczej nie. Dla ciebie to już koniec. Świat będzie dużo lepszym miejscem bez takich jak ty.

Śmiech Murdocka był zupełnie szalony, jakby właśnie zrozumiał, że nie ma szans wyjść z życiem z tej opresji, i zamierzał odejść z hukiem.

- Pięknie, co nie, Chase? Twoje zadufanie w sobie nie ma granic. Świat będzie lepszym miejscem beze mnie? A patrzyłeś ostatnio w lustro? Może i jestem taki, jak mówisz, ale ty nie jesteś lepszy.

- Zamknij się, do cholery - zawarczał Chase.

- Myślisz, że nie zauważyłem, że przez cały czas oczy ci płoną? Od kiedy kły przestały ci się chować?

- Powiedziałem, żebyś się zamknął, Murdock. Ale on nie chciał milczeć. Co to to nie.

- Dużo cię musi kosztować, żeby nie paść na kolana i nie zlizać mojej krwi z podłogi. Czy twoi świętoszkowaci kumple z Zakonu widzieli cię w tym stanie? Wiedzą, że jesteś zafaj-danym Szkarłatnym? Zrób światu przysługę i skończ ze sobą.

Chase nie mógł tego dłużej znieść. Nie mógł znieść prawdy, szczególnie od takiego gówna jak Murdock. Walnął go w twarz pięścią owiniętą łańcuchem, wprawiając w ruch wahadłowy jego wiszące ciało. Przyciągnął go do siebie i walnął jeszcze raz, a potem uderzał raz za razem, póki nie bardzo było w co bić.

Póki ciało Murdocka nie zwisało bez życia, a okropna prawda została wreszcie uciszona.

Odwinął łańcuch z obolałej pięści. Potem opuścił na dół ciało Murdocka. Uderzyło głucho w podłogę silosu, upadkowi towarzyszył brzęk łańcucha.

Chase odwrócił się i wyszedł, pozostawiając drzwi otwarte, by nocne drapieżniki mogły się pożywić na trupie. Jutro słońce zajmie się resztą.

Rozdział 21

Przynajmniej tym razem szczęście chyba nam sprzyja, Lucanie.

Gideon stał pośrodku ogromnego schronu przeciwatomowego ukrytego pod Mroczną Przystanią Lazara Archera wzniesioną w czasach zimnej wojny. Posiadłość była oddalona

o dwie godziny jazdy od Augusty w stanie Maine. Jak zastrzegł Archer, bunkier nawet nie umywał się rozmiarem do kwatery Zakonu, ale Lucan musiał się zgodzić z Gideonem: to był najlepszy wariant - jedyny dostępny - jaki mieli w tej chwili.

Schron zbudowano na położonej na odludziu dwuakrowej działce, porośniętej pierwotną puszcza. W ciągu ostatnich dwóch wieków zapewne częściej odwiedzały ją łosie i niedźwiedzie niż ludzie. Sama rezydencja był to duży dom o dziesięciu sypialniach, prawdziwa forteca, wzniesiona z drewna

i kamienia, o łącznej powierzchni siedmiuset pięćdziesięciu metrów kwadratowych. W porównaniu z elegancką rezydencją Lazara w Bostonie była wręcz prymitywna, a otaczający ją trudny do przebycia teren tworzył naturalną strefę ochronną.

- Żałuję, że nie mogę wam oferować niczego więcej -oznajmił Archer. Stał obok Lucana, a jego surową twarz oświetlało słabe światło lampy, padające z betonowego tunelu prowadzącego do domu na górze. - Nie potrafię w pełni wyrazić, jak głęboko żałuję roli, jaką odegrała moja rodzina w planach Dragosa. To, że wykorzystał Kellana do...

- Zapomnij o tym - poprosił Lucan. - Żaden z nas nie znalazłby się w takiej sytuacji, gdyby nie Dragos. A jeśli chodzi o ten schron, to jest dokładnie tak, jak mówi Gideon. Właśnie czegoś takiego bardzo w tej chwili potrzebujemy.

Archer kiwnął głową i wszyscy trzej ruszyli długim podziemnym tunelem.

- Chociaż dom nigdy nie był zamieszkały, miejscowa firma zarządzająca nieruchomościami dbała o jego konserwację i utrzymanie...

- Zawiadom ich, że ich usługi nie będą już potrzebne - poprosił Lucan.

- Jeśli trzeba będzie spłacić kontrakt do końca, daj mi znać, a pokryjemy wszystkie koszty.

- Oczywiście. Kiedy zaczniecie przeprowadzkę? Lucan rzucił okiem na Gideona.

- Zdasz przygotować pierwszą partię sprzętu na jutrzejszy wieczór?

Oczy Gideona za błękitnymi szklami okularów były czujne i pełne determinacji.

- Mało czasu, ale da się zrobić. Pewnie będę musiał tu położyć kable, bo punkty dostępowe mogą nie działać dobrze, zważywszy na grubość ścian i materiał, z jakiego je zbudowano, ale tak, mogę zacząć jutro w nocy.

Lucan kiwnął głową.

- No to wygląda na to, że znów działamy.

Gideon przepuścił ich przodem, a potem zrównał krok z Archerem, żeby iść u jego drugiego boku.

- Nim wyjdziemy, chciałbym rzucić okiem na tutejszy system alarmowy, Lazarze.

- Tak, oczywiście.

W kieszeni płaszcza Lucana zadzwonił telefon. Gideon i Archer zajęli się dyskusją o różnych aspektach bezpieczeństwa rezydencji.

- Tak, maleńka? - odezwał się Lucan do słuchawki. Dzwoniła Gabrielle. - Wszystko u was w porządku?

- No cóż, i tak, i nie - odparła. Nawet gdyby nie zdradziło jej wahanie w głosie, wiedziałby, że coś się dzieje. Dzięki więzi krwi wyczuwał jej podniecenie i niepokój, jakby to były jego własne uczucia.

- Co się dzieje?

- Chodzi o Tess. Właśnie zaczęły się bóle. Dziecko się rodzi.

Hunter utopił skradzione el camino w bagnie kilka kilometrów od domu Amelie Dupree i resztę drogi do Nowego Orleanu przebył pieszo. W pierwszej posiadłości Henry'ego Vachona nie było żywego ducha, więc ruszył pod drugi adres, jaki dostał od Gideona.

Przez godzinę zdołał ustalić jedynie tyle, że Henry Vachon lubi wystawne życie. Dom był dość duży, by pomieścić co najmniej dwanaście osób, jednak on mieszkał tam sam, jedynie z niewielką grupą ochroniarzy wampirów. Hunter zredukował siły ochrony o trzech członków, kiedy zakradł się na tyły domu. Bezgłośnie poderżnął gardła wampirom stojącym tam na warcie.

Zakradł się do pomieszczeń, które kiedyś musiały być pokojami dla służby, a potem szybko i bezszelestnie wspiął się po schodach prowadzących na piętro posiadłości.

Na szczycie schodów czekał już na niego zabójca z Pierwszego Pokolenia. Hunter rzucił w niego nożem, który nadal miał w ręku, ale przeciwnik przewidział atak i zrobił unik. Hunter chwycił się obiema rękami za poręcze schodów, a kiedy zabójca rzucił się na niego, kopnął go z całych sił obiema nogami.

Starli się w połowie schodów i stoczyli się ciężko na sam dół. Hunter miał drugi nóż u pasa z bronią. Kiedy się zatrzymali, wyciągnął go i jednym płynnym ruchem ręki poderżnął gardło przeciwnikowi, a potem na wszelki wypadek pchnął go jeszcze nożem, przecinając ubranie, skórę, mięśnie i kości. Zabójca znieruchomiał, wykrwawił się u stóp schodów. Hunter podniósł się i wszedł na górę, gdzie znajdowały się apartamenty Vachona.

Usłyszał ruch za zamkniętymi drzwiami na końcu korytarza. Podkradł się tam i otworzył je kopniakiem, wyłamując zawiasy. Drzazgi posypały się na barwny dywan w luksusowej

sypialni. Hunter zarejestrował uciekającą postać, znikającą w łazience. Pomknął za nią.

Henry Vachon skulił się na marmurowej podłodze między sedesem ze złotą deską a głęboką, wpuszczoną w podłogę wanną. W rękę trzymał komórkę, jego palce tańczyły po maleńkiej klawiaturze. Hunter zamachnął się nożem i odciął mu palec.

Vachon zasyczał z bólu, oczy miał oszalałe ze strachu. Komórka wypadła mu z ręki i rozbiła się na kawałki na wypolerowanej kamiennej posadzce.

- Co ty tu, do diabła, robisz? - spytał. Jego głos był cienki i skrzekliwy.
- Czego ode mnie chcesz?

Hunter przekrzywił głowę.

- Jestem pewien, że wiesz. Chcę informacji.

- Jesteś głupi, jeśli sądzisz, że je ode mnie dostaniesz -parsknął Vachon, tuląc do siebie uszkodzoną dłoń. Krew rozlała się na jego białej jedwabnej koszuli jak czerwony kwiat, pochlapała szare, szyte na miarę spodnie. - Mojej lojalności nie złamię tacy jak ty. Zabiorę ją do grobu.

Hunter zbliżył się o krok.

- Znam ponad sto sposobów zadawania bólu. Mogę sprawić, że będziesz marzył o śmierci. Jeden z tych sposobów na pewno rozwiąże ci język.

Vachon niezgrabnie wstał z podłogi. Oparł się o ścianę w kącie łazienki, pochlapane krwią skarpetki ślizgały mu się na gładkiej jak szkło posadzce.

- Czy Zakon wart jest ceny, jaką zapłacisz za wzbudzenie gniewu Dragosa? Narażasz się, zdradzając tego, który cię stworzył, hunterze.

Hunter pokręcił głową.

- Dragos nie jest twórcą, jest niszczycielem. A także tchórzem i szaleńcem. Morduje niewinnych i torturuje bezbronne kobiety i dzieci. Wkrótce zginie, podobnie jak wszyscy, którzy są wobec niego lojalni. A jeśli chodzi o ciebie, z chęcią zakończę twoje bezużyteczne życie.

Mina Yachona zrzędała nieco, między jego brwiami pojawiła się zmarszczka.

- Moje? A co ci takiego zrobiłem?

- Nie mnie, tylko jej - odparł Hunter i stwierdził, że dziwnie trudno jest mu opanować gniew.

- Mówisz o tej gówniarze Bishopów? - Przez chwilę Va-chon wydawał się szczerze zaskoczony. Uśmiechnął się oblesnie. - A tak. Uganiaś się za tą dupą, co nie? Facet musiałby być ślepy i głuchy, żeby nie chcieć takiej przelecieć. Nawet ktoś taki jak ty, wychowany na żywą maszynę.

Hunter miał wrażenie, że w żyłach płynie mu ogień zamiast krwi, ale nie dał się sprowokować. Niech Vachon myśli, co chce; jego opinia, podobnie jak jego życie, nie miała znaczenia.

- Dragos planuje uderzyć w Zakon. Powiesz mi, kiedy, gdzie i w jaki sposób przeprowadzi ten atak.

Vachon tylko na niego patrzył, w jego ciemnych oczach pojawił się niepokojący błysk.

- Zerżnąłeś ją, zabójco? Czy tylko chcesz ją zerżnąć?

- W żołądku cywila znaleźliśmy urządzenie naprowadzające - ciągnął Hunter, ignorując jego słowa, choć musiał zacisnąć zęby. - Jeśli Dragos zamierza uderzyć na kwaterę Zakonu, czy będzie to atak dużymi siłami, czy zamach?

- To niezła dupa, pamiętam - stwierdził Vachon. - Wierz mi, wiem dobrze, jak taka suka potrafi zawrócić mężczyźnie w głowie, sprawić, że zapomni, kim jest naprawdę. Sama myśl o wejściu w coś tak gorącego i ciasnego...

- Nie rozmawiamy o niej - warknął Hunter, zaskoczony własną wściekłością. Oczy płonęły mu bursztynem furii. Spróbował coś powiedzieć i z zaskoczeniem stwierdził, że wysunęły mu się kły, że wbijają mu się w język. Popatrzył z morderczą nienawiścią na Vachona. - Nie jesteś godny nawet wymienić jej imienia, ty obrzydliwy sukinsynu.

- Nie jestem godny? - Hunterowi nie spodobało się rozbawienie Yachona, uśmiech, który pojawił się na jego wąskich

wargach. - Powiem ci coś, hunterze. Brałem ją, i od przodu, i od tyłu. I to nie raz. Robiliśmy to z Dragosem na zmianę, tej nocy, kiedy porwaliśmy ją z nocnego klubu. Ostra diaboliczka. Walczyła jak demon. I potem jeszcze przez wiele lat, kiedy ją zamknął z innymi.

Te słowa - i kryjąca się w nich straszliwa prawda - zerwały ostatnią kruchą nić samokontroli Huntera. Skoczył na Vacho-na, cisnął nim o ścianę z taką siłą, że wypolerowany marmur popękał. Oślepiła go nienawiść.

Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo poddał się wściekłości, póki nie poczuł krwi na języku i nie zorientował się, że wbija kły w gardło Vachona.

Z dzikim okrzykiem wgryzł się głębiej. Pokręcił głową, rozrywając wampirovi gardło i uciszając na dobre jego straszne słowa.

Krew była wszędzie - miał ją w oczach, we włosach. Spływała mu po podbródku i języku, wprost do gardła, jak gorzka trucizna.

Popatrzył w milczeniu na drgające spazmatycznie, umierające ciało Vachona, które przytrzymał w skrwawionych rękach. Na chwilę wzrok zasłoniła mu mgła. W jego umyśle eksplodowały obrazy.

Vachon wczepia ręce w długie czarne włosy Corinne i gwałci ją. Obraz był tak żywy, tak cholernie prawdziwy.

Huntera ogarnęła furia. Odrzucił głowę w tył i zawył, kiedy przed oczami pojawiły mu się kolejne obrazy: Vachon i Dragos obserwują Prastarego, uśpionego i przywiązanego do długiego stołu w laboratorium. Obok stoi klatka z dawczyniami życia, które krzyczą i płaczą. Jedną z nich wywleka sługa.

Hunter jęknął, uświadomiwszy sobie, co widzi.

Ale jak to było możliwe?

W jego umyśle pojawił się kolejny obraz. Vachon nadzoruje ładowanie sprzętu laboratoryjnego do kilku wielkich ciężarówek. Dragos z powagą kiwał głową.

Na litość boską.

To były wspomnienia Vachona!

Wspomnienia zawarte w jego krwi.

Hunter nadal czuł jej paskudny smak na języku. Zrozumiał, że właśnie, po raz pierwszy, obudził się w nim jego talent. Krew - krew wampira - dawała mu moc oglądania wspomnień.

Jezu Chryste.

To był ten dar, który wymykał mu się przez całe życie? Zrobiło mu się niedobrze na tę myśl.

Chciał splunąć, pozbyć się goryczy krwi Vachona. Ale zamiast tego przyssał się do jego rozerwanego gardła i wypił więcej.

Rozdział 22

Chase stał w brudnej budce telefonicznej i wystukiwał po raz trzeci numer na klawiaturze telefonu. Po czym po raz trzeci zaklął i cisnął słuchawkę na widełki, nim uzyskał połączenie.

- Cholera - mruknął i przeczesał palcami włosy. Głowa bolała go przez większość nocy.

Znał przyczynę. Ten sam przenikliwy ból wwiercał się w jego żołądek, żądał, by zapomniał o telefonie, którego najwyraźniej i tak nie jest w stanie wykonać, i zajął się czymś bardziej produktywnym.

Ciało trzęsło mu się z potrzeby krwi. Próbował zignorować brzęczenie w żyłach, pobudzone do granic wytrzymałości nerwy, dręczący go niepokój. Przynajmniej kły mu się schowały,

a oczy nie rzucały już bursztynowego blasku. W metalowej obudowie automatu nie widział odbicia pionowych źrenic.

Jeszcze nie całkiem się zatracił. Mimo przeraźliwego głodu nie popadł w nałóg krwi. Nie był Szkarłatnym, jeszcze nie.

Choć był na dobrej drodze, żeby się nim stać, i dobrze o tym wiedział.

Ale jeszcze nie zatracił się do tego stopnia, żeby puścić mimo uszu słowa Murdocka i nie czuć przerażenia na myśl, co oznaczają.

Znów podniósł słuchawkę i wybrał numer bezpiecznej linii, którą Gideon założył w kwaterze. Wstrzymał oddech, kiedy uzyskał połączenie i telefon w kwaterze zaczął dzwonić. W połowie drugiego sygnału ktoś odebrał.

- Tak?

Chase zmarszczył brwi, zaskoczony brakiem znajomego brytyjskiego akcentu Gideona. Otworzył usta, ale słowa nie chciały przyjść. W gardle paliło go pragnienie, które starał się ignorować.

- Tegan... czy to ty? - wychrypiał wreszcie.

- Harvard - stwierdził Tegan spokojnie. Nie było to przywitanie. Nawet nie próbował udawać przyjaciela. - Czego chcesz?

Zasłużył sobie na takie traktowanie, niemniej zaboląła go obcesowość Tegana. Odetchnął głęboko.

- Dziwię się, że robisz za sekretarkę - zażartował, starając się jakoś przełamać lody. - Gideon zwykle nie pozwala nikomu bawić się swoimi zabawkami.

- Powtarzam, Harvard. Mów, czego chcesz.

Lodów nie da się przełamać. Powinien się tego domyślić. W końcu odszedł przecież z Zakonu. Nie mieli obowiązku przyjmować go z powrotem. Odchrząknął.

- Muszę porozmawiać z Lucanem. To ważne. Tegan parsknął.

- Trudno. Chwilowo możesz porozmawiać tylko ze mną. Mów albo przestań marnować mój czas.

- Znalazłem Murdocka - wykrztusił.

- Gdzie?

- Nieważne. Nie żyje. - Kilka metrów dalej pojawiła się dziwka. Ruszyła w stronę Chase'a, drobiąc na wysokich czerwonych szpilkach. Rozpięta kurtka odsłaniała długie nogi i wielki dekolt, i zbyt wiele nagiej skóry szyi, jak na jego obecny stan. Chase z trudem oderwał wzrok od potencjalnej karmiciel-ki i oparł czoło o chłodny metal automatu. - Dał mi informacje, które musi poznać Lucan. Nie jest dobrze.

Tegan zaklął.

- Nie spodziewałem się dobrych wieści. Powiedz mi, co wiesz.

- Dragos przyspiesza akcję. Tworzy sobie sługi w siłach ludzkiej policji, przynajmniej Murdock tak twierdził. I chce się też dobrać do miejscowych polityków. Murdock wspomniał coś o młodym senatorze, którego właśnie wybrano.

- Chryste. Nie podoba mi się to, co mówisz.

- Właśnie. Ale nie to jest najgorsze. Murdock powiedział, że Dragos zamierza zająć się Zakonem. Mówił coś o koniu trojańskim. I mam takie przeczucie, że ma to coś wspólnego z Archerami.

- Co ty nie powiesz. - Tegan wydawał się znudzony. -Skrót wiadomości Harvard. Kiedy raczyłeś zniknąć, chłopak Archera wyrzygał urządzenie naprowadzające. Nie pamięta, skąd się wzięło ani kiedy je połknął. Ponieważ porywacze pobili go do nieprzytomności wkrótce po uprowadzeniu, zapewne wtedy wetknęli mu je do gardła.

- Cholera - wysyczał Chase. - Murdock mówił prawdę.

i teraz Dragos zna lokalizację kwatery.

- Na to wygląda.

- Więc jaki jest plan? Jak Lucan chce rozwiązać tę sytuację? Nie możemy tak po prostu siedzieć i czekać, aż Dragos zrobi pierwszy ruch.

Chase zorientował się, że mówi głównie on. Tegan słuchał, ale jego milczenie było więcej niż wymowne.

- To, co zrobimy, to sprawa Zakonu, stary.

W tym stwierdzeniu nie było wrogości, choć Tegan jasno określił swoje stanowisko. To sprawa Zakonu. A Chase już do niego nie należał.

- Chyba że dzwonisz, bo chcesz wrócić - ciągnął Tegan. - Jeśli tak, ostrzegam: przyda ci się cały twój harwardzki czar, jeśli chcesz przekonać Lucana, żeby cię znów przyjął. To samo z Dantem - jest na ciebie wściekły bardziej niż którykolwiek z nas.

Chase zamknął oczy, zwiesił głowę i westchnął. Ostatnia rzecz, jakiej Dante teraz potrzebował, to zajmować się takim gównem, kiedy jego partnerka miała za kilka tygodni urodzić mu syna.

- Jak sobie radzą z Tess? - spytał cicho. - Wybrali już imię dla dziecka?

Tegan milczał przez chwilę.

- Może wrócisz do kwatery i sam ich o to spytasz?

- Nie - odpowiedział automatycznie i popatrzył na narkomanów i prostytutki, którzy kręcili się po ponurych ulicach nędznej dzielnicy Bostonu. - Nie ma mnie w mieście. Nie wiem, kiedy wrócę i...

Tegan zaklął.

- Posłuchaj mnie, Harvard. Sknociłeś sprawę. Obaj wiemy, co się dzieje, więc jedna rada, nie próbuj mi tu wstawiać kitu. Masz poważny problem. Być może wpadłeś za głęboko i nie wiesz, jak się wydostać, ale sam fakt, że ze mną rozmawiasz - fakt, że się zastanawiasz, czy jeszcze ci zależy - mówi mi, że nadal masz szansę. Możesz wrócić, ale musisz to zrobić, nim będzie za późno.

- Nie wiem - wyszeptał Chase. Chciał przyjąć tę pomocną dłoń i już jej nie puścić, ale równocześnie nie chciał ani więzi, ani przebaczenia. I nie mógł oderwać wzroku od młodej, aż

nazbyt chętnej kobiety, która oparła właśnie tyłek obleczony w minispódniczkę o ścianę budynku naprzeciwko niego. Przyglądała mu się. Bez wątpienia była na tyle doświadczona, by wyczytać zainteresowanie w jego oczach.

- Chase? - spytał Tegan po kilku sekundach ciszy. - Musisz dokonać poważnego wyboru. Co mam przekazać Luca-nowi?

Dziwka kiwnęła głową i zaczęła się zbliżać. Chase poczuł, jak w gardle wzbiera mu warkot. Głód, który krył się tuż pod powierzchnią jego świadomości, ożył nagle, choć starał się go opanować. Dziaśła pulsowały mu boleśnie pod wpływem wysuwających się kłów.

- Chase, do cholery! - Już odsuwał słuchawkę od ucha, kiedy dobiegł go niski głos Tegana. - Sam sobie kopiesz grób.

Odłożył słuchawkę na widelki, po czym wyszedł z budki, by zabrać młodą kobietę w swoje cienie.

Hunter przemierzał Nowy Orlean pieszo. W głowie nadal kręciło mu się od natłoku wspomnień, które przekazała mu krew Henry'ego Vachona. Widział nieprawdopodobnie bulwersujące rzeczy. Straszliwe czyny przeprowadzone przy aprobacie Dragosa oraz z własnej woli.

Potrzebował całej swej dyscypliny, by nie przeżywać raz po raz najgorszych z tych wspomnień - tych o młodej, niewinnej Corinne, o gwałtach i torturach, jakie spotkały ją z rąk obu wampirów tej nocy, kiedy została porwana. Starał się skupić na innym wspomnieniu pobranym od Henry'ego Vachona w ostatnich chwilach jego życia.

Kiedy Vachon oddawał ostatnie tchnienie - a Hunter dopilnował, by była to chwila pełna straszliwego cierpienia - zdradził lokalizację magazynu w okolicach Metairie. Magazynu, gdzie w ciągu kilku ostatnich miesięcy umieścił część wyposażenia zlikwidowanego laboratorium Dragosa.

Budynek z białej cegły stał na płaskiej narożnej działce zaraz koło autostrady i torów kolejowych. Naprzeciwko wznosiły się piętrowe kamienice, a obok znajdował się pusty biurowiec. Hunter sunął bezszelestnie po oświetlonym blaskiem księżyca popękany beton przylegającego do magazynu ogrodzonego parkingu. Minał kilka wynajętych ciężarówek i samochodów kempingowych, oświetlanych pojedynczą lampą umieszczoną na słupie. Magazyn był zamknięty na noc, szklane frontowe drzwi zabezpieczono od środka stalową żaluzją.

Hunter ruszył wzdłuż ściany budynku, przemknął koło kamery nadzoru, którą umieszczono w narożniku. W połowie ściany znajdowały się stalowe drzwi z napisem „Wstęp wzbroniony”. Chwycił klamkę i naparł na nie z taką siłą, że wyłamał zamek. Wszedł do środka i ruszył ku pomieszczeniu, którego numer wyczytał z krwi Vachona.

Magazyn znajdował się na końcu długiego korytarza. Hunter szybko wyrwał wzmocnioną kłódkę, otworzył harmonijkowe metalowe drzwi i wszedł do środka. Pomieszczenie miało trzy i pół metra na pięć. Kiedy przekroczył próg, poczuł lekkie wibracje, a kiedy spojrzał w dół, stwierdził, że uruchomił właśnie czujnik ruchu i cichy alarm. Co oznaczało, że ma niewiele czasu.

Na szczęście w środku nie bardzo było co oglądać. Ogniotrwały sejf zaraz za drzwiami. Z tyłu dwa przysadziste okrągłe kontenery z hermetycznie zamykanymi wiekami; zamknięcia wyglądały jak stalowe koła sterowe. Rozpoznał je ze wspomnień pobranych od Vachona, ale wiedziałby, do czego służą nawet bez pomocy swego talentu.

Pojemniki kriogeniczne.

Oba były podłączone do dużego przenośnego akumulatora. Wskaźniki temperatury panującej wewnątrz pokazywały minus sto pięćdziesiąt stopni Celsjusza. Hunter odkręcił wieko jednego z nich i uniósł lekko. Ze środka buchnęła lodowata chmura ciekłego azotu. Rozproszył ją ręką i spojrzał na niezliczone próbki. Nie musiał żadnej wyciągać, żeby wiedzieć, iż zawierają próbki tkanek i komórki pobrane od Prastarego w tajnym laboratorium Dragosa.

Fizyczne wyniki eksperymentów i testów genetycznych. Probówki były ułożone w kontenerze w wielu warstwach.

Hunter zamknął wieko i zajął się sejfem. Po prostu wyrwał drzwi, a jego oczom ukazał się stos dokumentów i fotografii, a także garść pendrive'ów.

Musiał to wszystko zabrać i przekazać w ręce Zakonu.

Ustaliwszy cel, wrócił na parking i odpalił na krótko jedną z ciężarówek. Podjechał pod boczne wejście i zostawił ją na wolnych obrotach, po czym biegiem wrócił do magazynu.

Załadował już sejf i jeden z kontenerów kriogenicznych i właśnie miał wrócić po drugi, kiedy uświadomił sobie, że nie jest sam. Cichy alarm musiał mieć bezpośrednie połączenie z Dragosem, jeśli uznać za wskazówkę obecność zabójcy z Pierwszego Pokolenia, przykucniętego w pozycji bojowej w drzwiach ciężarówki.

Wielki, ubrany na czarno wampir skoczył, wpychając Huntera głębiej do środka. Wpadli na pojemnik kriogeniczny, stał zadzwoniła pod wpływem uderzenia jak dzwon.

Hunter dźwignął się szybko i uderzył przeciwnika łokciem w brzuch. Zabójca padł na plecy, ale pozostał w tej pozycji tylko przez chwilę. Natychmiast podniósł się i ruszył na Huntera. W prawej ręce ścisnął nóż.

Wywiązała się zażarta walka. Hunter wypatrzył swoją szansę, kiedy zabójca uchylił się przed jego ciosem i na chwilę odsłonił głowę i szyję. Uderzył kantem dłoni w krtani przeciwnika, a siła ciosu zmiażdżyła tchawicę. Zabójca rzeził i chwiał się przez chwilę, po czym rzucił Hunterowi mordercze spojrzenie i znów zaatakował nożem.

Hunter zablokował atak ramieniem. Obrócił łokieć i uwieził pod pachą rękę z nożem. Złamał ją, szarpiąc mocno w dół. Kiedy nóż spadł na podłogę, a zabójca poleciał do przodu,

Hunter chwycił go za czarną obrożę i walnął jego głową o brzeg pojemnika kriogenicznego.

Trysnęła krew, ale zabójca nie zamierzał się jeszcze poddać. Wymierzył Hunterowi w rzepkę kolanową cios, który zapewne by go powalił, gdyby nie był na niego przygotowany. Hunter rzucił zabójcę kopniakiem na ziemię, równocześnie odkręcając wieko kontenera. Otworzył je i nim przeciwnik zdołał wstać, poderwał go z podłogi i wepchnął mu głowę w lodowate wnętrze kontenera, po czym zatrzasnął wieko i przytrzymał.

Minęło kilka minut, nim wampir przestał walczyć.

Jego ciało znieruchomiało, członki opadły bezwładnie. Lodowata mgła, wydobywająca się spod wieka, ścieliła się na podłodze ciężarówki.

Po długiej chwili Hunter uniósł wieko. Głowa zabójcy zamarzła, niebieskie wargi i nieruchome otwarte oczy były pokryte kryształkami lodu. Hunter wyrzucił zwłoki na zewnątrz. Spadły z głuchym hukiem, a gruba czarna obroża otaczająca szyję popękała i rozpadła się na kilka części.

Załatwiwszy sprawę zabójcy, Hunter wrócił do magazynu po drugi pojemnik i załadował go na ciężarówkę.

Rozdział 23

Corinne wycierała się właśnie po kąpieli, kiedy usłyszała hałas z pokoju.

- Amelie? - zawołała zza częściowo zamkniętych drzwi. Musiało być dobrze po północy, ale była zbyt niespokojna, żeby spać. - Jedną chwileczkę, zaraz wyjdę.

Włożyła szlafrok, który pożyczyła jej gospodyni, i szybko zawiązała pasek. Szlafrok uszyto z grubej różowej tkaniny, która w dotyku przypominała aksamit, a pachniała jak rozgrzana słońcem suszona bawełna. Upewniwszy się, że zakryła dobrze pokryte bliznami ciało, Corinne otworzyła nieco szerzej drzwi łazienki i weszła do sypialni.

To nie była Amelie.

To był Hunter, cały we krwi. Wklęsłe policzki miał posiniaczone, knykcie zdarte do krwi. Nigdy jeszcze nie widziała go w takim stanie, nigdy nie widziała tak wyraźnie, z jaką przemocą wiąże się jego profesja.

- Mój Boże - szepnęła, podchodząc bliżej, wstrząśnięta i niespokojna.
- Hunterze... jesteś ranny?

- Krew nie jest moja - stwierdził obojętnie. Jego niski głos był spokojny jak zawsze.

Corinne pomogła mu zdjąć pochlapany krwią skórzany płaszcz.

- Buty też - uznała, widząc na nich krew.

Kiedy pochylił się, by rozwiązać sznurówki, przykucnęła i zaczęła rozwiązywać drugi but. Czuła, że przygląda się jej dziwnie. Zachowywał się inaczej, choć był milczący jak zwykle. Zupełnie jakby usiłował przeniknąć ją wzrokiem. W jego złocistych oczach dostrzegła łagodność, której wcześniej nie było.

- Zabiorę to - oznajmiła. Wzięła w jedną rękę jego ciężkie wojskowe buty, a w drugą długi skórzany płaszcz. - Chodź ze mną.

Ruszyła do łazienki, Hunter za nią. Włożyła płaszcz i buty do wanny, a potem sięgnęła po myjkę leżącą na toalecie. Zmoczyła ją i wycisnęła. Hunter stanął przy umywalce, obok drzwi.

Była na niego zła przez całą noc, za to, że wyszedł tak bez słowa. Martwiła się, że może zginąć podczas misji. A teraz czuła ulgę, że znów go widzi, że wrócił w jednym kawałku, choć wyglądał, jakby brał udział w bitwie.

Usiadła na brzegu wanny, przyglądając się, jak napszcza wody do umywalki i myje twarz. Kiedy skończył, zaczerpnął w złożone dłonie wody, wziął ją do ust, przepłukał i wypluł. Raz za razem, jakby chciał się pozbyć jakiegoś uciążliwego smaku. Woda ściekała mu po podbródku, kiedy uniósł głowę i spojrzał na nią. Ostre kąty jego twarzy podkreślało jaskrawe światło nad umywalką.

- Twoja koszula nie nadaje się do niczego - zauważyła. Czarny materiał całkiem przesiąkł krwią. Podeszła do Huntera i odłożyła myjkę na brzeg umywalki. Nic nie powiedział, kiedy wzięła brzeg lepkiej od krwi koszuli i uniosła, odsłaniając jego pokryty glifami brzuch i szeroką, masywną pierś. Cofnął się, kiedy napełniała wodą umywalkę i wkładała do niej koszulę. Wziął myjkę i zaczął się nią wycierać. Potem wrzucił ją do umywalki, razem z koszulą. Woda w umywalce zrobiła się czerwona.

- Znalazłeś Henry'ego Vachona. - To nie było pytanie. Corinne spojrzała na Huntera, a on spokojnie kiwnął głową. -Zabiłeś go?

Spodziewała się spokojnego potwierdzenia, pozbawionej uczuć konstatacji faktu, gdyż tak właśnie zwykle odpowiadał. Tymczasem Hunter delikatnie ujął w dłonie jej twarz. Pochylił głowę i pocałował ją tak ostrożnie i czule, że aż zaparło jej dech w piersiach. Kiedy skończył, zajrzał jej w oczy wzrokiem pełnym napięcia.

- Henry Vachon nie skrzywdzi cię już nigdy więcej. Miała wrażenie, że zapada się pod wpływem jego czulego

pocałunku. Jej serce rozgrzały jego delikatność i ciepło wzroku. Chciała poddać się tej rozkoszy, ale w żołądku zaległ jej kamieniem strach.

Vachon nie żył. Fakt, że jeden z potworów z jej najgorszych koszmarów już nie oddychał, powinien ją ucieszyć. Tak było, ale wraz z jego śmiercią straciła jedyną szansę na odnalezienie dziecka.

Delikatnie odsunęła się od Huntera.

- Czy udało ci się wydobyć z niego jakieś informacje na temat Dragosa i jego operacji?

Pokiwał głową.

- Kiedy opuściłem posiadłość Vachona, sprawdziłem magazyn w innej części miasta. W środku był sprzęt laboratoryjny oraz sejf z dyskami komputerowymi i dokumentami z laboratorium.

Corinne poczuła lekką nadzieję.

- Jakimi dokumentami? Gdzie jest ten magazyn? Musimy tam iść. Musimy wszystko przejrzeć. To nas może doprowadzić do Dragosa.

Hunter kiwnął głową.

- Zabrałem stamtąd wszystko. Jest zapakowane na ciężarówce, którą ukryłem na bagnach za domem. Masz rację, tam muszą być wskazówki, które doprowadzą Zakon do Dragosa. Zamierzam dostarczyć to wszystko jak najszybciej do Bostonu.

Corinne zapragnęła pobiec do tej ciężarówki i przejrzeć wszystko, co znalazł. Była pewna, że w dokumentach jest klucz do odnalezienia jej syna. Musiał tam być albo nigdy się nie dowie, gdzie jest jej dziecko.

Spojrzała na Huntera. Zdawała sobie sprawę, że go oszukuje, ukrywając prawdę o swoim synu. Popatrzyła w jego poważne oczy i znów poczuła się winna tak jak wcześniej, w ciągu dnia. Kiedy ponownie ją pocałował, poczucie winy stało się nie do zniesienia. Przecież był dla niej taki dobry i czuły.

Wbiła wzrok w podłogę, zawstydzona i przerażona.

- Musisz coś wiedzieć - zaczęła cicho. - Już dawno powinnam ci była to powiedzieć. Powinieneś wiedzieć, co się ze mną działo podczas tych lat niewoli, ale najpierw musiałam nabrać pewności, że mogę ci zaufać...

- Wiem, co ci zrobili. - Jego niski głos wywołał wibrację w jej ciele. Hunter uniósł jej podbródek, aż znów patrzyła mu

prosto w oczy. - Wiem, co Dragos i Vachon zrobili ci tej nocy, kiedy zostałeś porwana. Wiem, że cię zgwałcili.

Nie to zamierzała mu powiedzieć, a jednak powietrze zaczęło ją nagle palić w płucach. Poczowała się zdezorientowana, przerażona. Ogarnął ją wstyd, że Hunter wie o jej największym upokorzeniu. Tamtej nocy chciała umrzeć. I coś w niej naprawdę wtedy umarło.

- Skąd... skąd wiesz? - spytała. Głos trząsał jej się trochę.

- Vachon chwalił się tym, nim go zabiłem. - W złocistych oczach Huntera pojawiły się bursztynowe iskry, kiedy to mówił. - Rozerwałem mu gardło zębami. Straciłem panowanie nad sobą, kiedy zrozumiałem, co ci zrobił ten sadystyczny skurwiel - i że się przy tym dobrze bawił.

Corinne na chwilę zapomniała, co miała mu wyznać. Trudno jej było uwierzyć, że ten sztywny, nienagannie zdyscyplinowany wojownik był w stanie stracić nad sobą kontrolę.

Z powodu czegoś, co jej zrobiono.

- Dopilnowałem, by umierał w mękach - ciągnął Hunter. - Chciałem, żeby cierpiał. Chciałem, żeby krwawił.

I udało mu się, pomyślała Corinne, nie tyle zbulwersowana, co zaskoczona głębią okrucieństwa, do jakiego zdolny był Hunter. Wrócił praktycznie skąpany w krwi Vachona.

- To jego krew pokazała mi, co ci zrobił, Corinne. Widziałem jego wspomnienia, poznałem wszystkie jego sekrety. Jego krew pokazała mi wszystko.

Zmarszczyła brwi, niepewna, jak rozumieć jego słowa.

- Nie wiem, co...

- Ja też nie wiedziałem, aż do dzisiaj - przerwał jej. - Kiedy zatopiłem kły w szyi Vachona, połknąłem przypadkiem trochę jego krwi. Wcześniej nigdy mi się to nie zdarzyło, nigdy nie piłem krwi innego wampira. Kiedy tylko ją przełknąłem, zobaczyłem wspomnienia Vachona.

- Potrafisz czytać z krwi? I nic o tym nie wiedziałeś? Przytaknął.

- Dragos starał się, by jego zabójcy jak najmniej wiedzieli o swoim pochodzeniu, o rzeczach, które wyróżniały ich spośród innych. Nic nie wiedziałem o moim darze, póki nie zakosztowałem krwi wampira.

A teraz wiedział o jej poniżeniu! Dobry Boże, czy widział, jak ją bili i gwałcili? Czy widział, jak ją rozebrali, jak zadawali jej niewypowiedziane tortury?

Odwróciła się do niego tyłem. Czuła się naga, brudna i bezbronna. Nie mogła znieść myśli, że Hunter poznał brutalną prawdę o jej przejściach, choć sama nie była jeszcze w stanie stawić jej czoła. Przeszła do sypialni. Potrzebowała przestrzeni, żeby odzyskać dech w piersiach, zebrać myśli.

Nie zdawała sobie sprawy, że Hunter poszedł za nią, póki nie poczuła na ramionach jego ciepłych rąk. Stał tuż za nią. Po chwili odwrócił ją ku sobie. Nic nie powiedział, po prostu objął ją i przytulił do swej potężnej, gorącej piersi.

Corinne przyłgnęła do niego całym ciałem. Tak bardzo potrzebowała ochrony jego silnych ramion. Hunter pochylił głowę, przysunął usta do jej warg. Pocałował ją, powoli, czule. Jego naga pierś była ciepła i miękka jak aksamit. Czuła pod palcami nieco wypukły wzór dermaglifów.

Cofnęła głowę i zajrzała mu w oczy. Złociste tęczówki płonęły już bursztynem, źrenice gwałtownie kurczyły się w pionowe kreski. Czuła, jak ogarnia ją żar jego pożądania.

Wiedziała, do czego to wszystko prowadzi, ale ku własnemu zdumieniu stwierdziła, że ta myśl nie budzi w niej przerażenia. Choć nie była na to przygotowana, choć nie wiedziała, jak go dotykać, jak go przyjąć.

Kiedy znów ją pocałował, poczuła na wargach ostre czubki jego kłów. Dermaglify pod jej palcami ożyły, zaczęły pulsować. Jego oddech przyspieszył.

- Hunter, zaczekaj... - Z trudem znajdowała słowa, ale musiała mu to powiedzieć. - Ja nigdy wcześniej tego nie robiłam. Wiesz, co się stało, kiedy... - Nie, nie mogła wypowiedzieć

tego na głos, nie chciała mieszać Dragosa do tej chwili, która należała tylko do Huntera i do niej. - Musisz zrozumieć, że ja jeszcze nigdy... z nikim się nie kochałam.

Popatrzył na nią, coś mrocznego i zaborczego pojawiło się w jego złocistobursztynowych oczach.

- Ja też nie. - Powoli pokiwał głową, z czułością gładząc ją po policzku. - Nigdy nikogo nie miałem.

Corinne przełknęła z trudem, zaniemówiła na chwilę ze zdumienia.

- Nigdy?

Dotknął jej podbródka, potem przesunął palcem po jej ustach.

- Nie pozwalano nam na intymność. Pragnienie kontaktu fizycznego uznawano za słabość. Nie wolno było pożądać niczego, szczególnie przyjemności. - Znów ją pocałował, a w jego piersi wezbrał cichy warkot.

- Nigdy nie wiedziałem, jak to jest pragnąć dotyku kobiety. Albo jej pocałunku.

- A teraz wiesz? - spytała z wahaniem.

- Odkąd cię poznałem, nie myślę o niczym innym.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu, słysząc to wyznanie, choć widziała, że jest skrepowany. I może trochę zły. Uniosła rękę i położyła lekko na jego karku. Zrozumiał zachętę. Pochylił głowę, by obdarzyć ją kolejnym pocałunkiem. Tym razem gorącym. Namiętnie przycisnął wargi do jej warg, poczuła, jak jego język żąda, by wpuściła go do środka. Posłusznie rozchyliła usta.

Poddała się Hunterowi, pozwoliła, by pociągnął ją na łóżko i zdjął z niej szlafrok. Ułożył ją ostrożnie na materacu, a sam położył się obok. Nie przerwali pocałunku, ich ręce badały nawzajem swe ciała. Corinne czuła, jak Hunter przesuwa palcami po jej bliznach. Większość zaleczyła się dzięki krwi Prastarego, którą w nią wmuszano. Były też jednak rany, które zadano jej, by ją oszpecić. Chcieli ją w ten sposób złamać, gdyż walczyła z nimi dłużej, niż nakazywał rozsądek.

- Nie - szepnęła zduszonym głosem. - Proszę, Hunterze... nie patrz na nie. Nie chcę, żebyś patrzył na moją brzydotę. Nie dzisiaj.

Miała nadzieję, że cofnie rękę, że przestanie dotykać tych strasznych blizn, ale nie zrobił tego. Podparł się na łokciu i uważnie przyjrzał się jej całej, od czubka głowy po palce u nóg. Jego gorące spojrzenie przemknęło po śladach rażenia prądem i innych okrutnych karach, które często trwały wiele tygodni, bez przerwy.

Wiedziała, jak okropnie musi wyglądać, ale on przyglądał się jej ze szczerym podziwem, jakby była najpiękniejszą istotą, jaką widział w życiu.

- Nie widzę w tobie niczego brzydkiego - stwierdził. - To po prostu blizny. Twoje ciało jest miękkie i silne, doskonałe. Nigdy mi się nie znudzi patrzenie na ciebie. Ani dotykanie cię.

Żeby podkreślić te słowa, pochylił głowę i pocałował najgorszą bliznę. Powoli przesunął ustami w górę, aż trafił na jej usta i wycisnął na nich oszałamiająco namiętny pocałunek.

Jego glify nabrały ciemnej barwy, eleganckie łuki i spirale ożyły kolorami indygo, złota i czerwieni - kolorami pożądania. Corinne dotykała ich, przesunęła po nich palcami coraz niżej, aż do podbrzusza, tam gdzie znikają pod paskiem.

Przesunęła dłonią po skraju jego luźnych spodni. Ogarnął ją żar, kiedy odważyła się zsunąć rękę nieco niżej. Hunter zajęczał cicho, prosto w jej ucho. Położył swą wielką dłoń na jej ręce, przycisnął ją do twardego łuku swej erekcji.

Bez wahania, bez niepewności, musnęła palcami rozporek. Jego erekcja była potężna, twarda jak kamień. Z zaskoczeniem zauważyła, że na myśl o jego członku przenika ją mroczny, zmysłowy dreszcz. Gdzieś zniknęła panika, która zeszłym razem zniszczyła wszystko.

Hunter schował głowę w zagłębieniu jej szyi, pieścił ją językiem, kiedy powoli przez cienki materiał spodni badała jego

członek. Jego ręka niepewnie zawędrowała między jej nogi, poczuła, jak bierze w dłoń jej płeć, jak ugniata ją lekko. Rozkoszny dreszcz rozszedł się po jej ciele falą ciepła, sięgając aż po końce palców. Ale Hunter cofnął zaraz rękę. Pomógł jej rozpiąć sobie spodnie, a potem zdjął je szybko wraz z bielizną.

Teraz oboje byli nadzy. Leżeli obok siebie, napawając się długimi, niespiesznymi pocałunkami i pieszczotami, ucząc się nawzajem swoich ciał. Corinne czuła na biodrze pulsowanie penisa Huntera. Budził w niej pełną namietności ciekawość, potrzebę bliskości... potrzebę wzięcia go w siebie.

Zaplotła nogę o jego nogę, ich biodra zetknęły się ciaśniej. Hunter zacisnął zęby tak mocno, że jeszcze chwila, a byłby je sobie połamał. Kiedy przesunęła palcami po jego szerokich ramionach, podziwiając kolory, jakimi nasycaly się glify pod wpływem jej dotyku, zauważyła, że drży.

Powstrzymywał się, pozwalał jej narzucać tempo.

Pochyliła głowę i pocałowała go, starając się dać mu do zrozumienia, że jest gotowa, że wie, co się teraz stanie i że tego pragnie. Hunter jęknął i przyciągnął ją do siebie. Jego długi członek zaczął drgać spazmatycznie między jej udami.

- Wejdz we mnie - szepnęła prosto w jego usta. Sięgnęła ręką, by pokazać mu drogę. - Kochaj mnie, Hunterze.

Szeroka główka jego penisa natarła na jej ciało, gorąca i nieustępliwa. Uniosła biodra, wychodząc mu na spotkanie, a potem westchnęła z rozkoszy, kiedy wszedł w nią jednym płynnym, niespiesznym ruchem, wypełniając ją całą. Pod zaciśniętymi powiekami zebrały jej się łzy rozkoszy. Zalały ją niesamowite uczucia, każde włókno jej ciała reagowało na tę cudowną inwazję. Ciało Huntera było napięte, twarde jak kamień. Powstrzymywał się z całych sił, poruszał się w niej powoli, ostrożnie, z taką czułością, że chciało jej się płakać.

Kołysali się razem, zmierzając ku rozkoszy, jakiej nigdy jeszcze nie zaznała, jakiej nigdy sobie nawet nie wyobrażała. Hunter pochłonął jej jęk zmysłowym pocałunkiem. Kie-

dy ogarnęła ją fala spełnienia, wydała stłumiony okrzyk rozkoszy.

Hunter zatracił się w słodkich odgłosach i zaskakującej sile namiętności Corinne. Tak rozkosznie było czuć, jak jej ciało drży i zaciska się na jego członku, kiedy wsuwał go w nią i wysuwał.

Nigdy jeszcze nie czuł czegoś równie cudownego.

Nigdy nie wyobrażał sobie, że taka rozkosz w ogóle jest możliwa. Zapanowała nad nim w owej chwili, żądała, by się jej oddał bez zastrzeżeń, choć nie zamierzał się spieszyć. Chciał, by ta chwila trwała w nieskończoność, by mógł się rozkoszować każdą jej sekundą.

Starał się poruszać ostrożnie, okazać czułość, gdyż Corinne zaznała tyle zła z rąk mężczyzn. Narzucił sobie spokojny rytm, którego nie zmienił, nawet kiedy wstrząsał nią orgazm, choć każdy skurcz jej pochwy sprawiał, że tylko włos dzielił go od spełnienia. Całował ją i pieścił, przytulał do siebie, wsuwał się w nią i cofał, aż jej orgazm powoli zaczął mijać.

Oddychała drżąco przy jego uchu. Potem zaszlochała cicho i poczuł na policzku jej ciepłą łzę. Znowu zadrżała w jego ramionach, a wówczas przez rozkoszną mgłę, jaka przesłoniła jego umysł, dotarło do niego, że ona płacze.

- Corinne - szepnął, cofając głowę i patrząc na nią z niepokojem. Zamarł przerażony. - O Boże, zadałem ci ból...

- Nie - szepnęła i zaszlochała cicho. - Nie, to wcale nie boli. Wręcz przeciwnie. To takie rozkoszne. Sprawiasz, że czuję coś, czego wcześniej nigdy nie znałam. Nie wiedziałam, że to może być właśnie tak. Tak niesamowicie. Nie chcę jeszcze kończyć.

Pełen ulgi, że nic jej nie jest, pocałował ją i odszukał poprzedni rytm. Fakt, że płakała z rozkoszy, którą jej dał, sprawił, że zapragnął uderzyć się pięściami w piersi i wrzasnąć z dumy. To był dziwaczny impuls, zwierzęcy, zaborczy i dziki, ale tak

właśnie czuł, patrząc na zalaną łzami piękną twarz Corinne. Dyszała cicho, kiedy kołysał się z nią powoli.

Jęknęła, gdy przyspieszył, wbiła mu w ramiona krótkie paznokcie i przylgnęła mocniej do niego. Objęła udami jego biodra, pozwalając mu wejść w siebie jeszcze głębiej. Jej gorące, wilgotne wnętrze zacisnęło się mocno na jego członku, gdy u nasady penisa zaczęła mu się zbierać dzika fala spełnienia.

Próbował ją powstrzymać. Jęknął z wysiłku, ale to nie wystarczyło. Ciało Corinne wsysało go w siebie, zmuszało, by poruszał się w pierwotnym rytmie, podsycając jego namiętność. Z każdym pchnięciem wchodził głębiej, szybciej, aż rozkosz wyrwała się spod jego kontroli i popłynęła ogniem w jego żyłach.

Stłumił krzyk, który zapewne wstrząsnąłby całym domem, ukrywając twarz u nasady delikatnej szyi Corinne. Wytrysk szarpnął jego ciałem, które zaczęło drgać konwulsyjnie w pierwszym prawdziwym orgazmie jego życia.

Wymamrotał coś niezrozumiałego, czując, jak penis pulsuje mu z rozkoszną siłą w twardej, ciepłej jaskini jej seksu. Zaraz potem znów był gotowy, znów zrobił się twardy. Nie musiał z niej wychodzić, mógł zacząć wszystko od początku.

Palce Corinne przesuwaly się leniwie po jego plecach. Poruszyła się lekko pod nim, bez słów śląc mu zaproszenie, któremu nie mógł odmówić.

- Nie potrzebujesz chwili na odzyskanie oddechu? - spytała, a w jej oczach czaił się zmysłowy uśmiech.

- W tej chwili nie. Wolę nie przerywać tego, co robimy - wymruczał.

- Ja też. - Objęła go za kark i przyciągnęła do siebie jego głowę, żeby obdarzyć go powolnym, upajającym pocałunkiem. Kiedy przesunęła językiem po jego wargach, znów się zatracił.

Wbijał się w nią coraz głębiej, centymetr po centymetrze. Nie panował już nad swoim pożądaniem. Żadna dyscyplina, bez względu na to, jak okrutna, nie mogłaby go powstrzymać teraz, kiedy zakosztował z Corinne

prawdziwej rozkoszy. Ujął w dłoń jej pierś i odwzajemnił jej pocałunek. Ich języki splotły się ze sobą, ciała odnalazły właściwy rytm, dając i biorąc w równych proporcjach.

Ona szczytowała pierwsza, dysząc ciężko i jęcząc. Jej smukłe plecy wygięły się pod nim w łuk, a pochwa zacisnęła się na jego członku niczym pięść. Jego orgazm nastąpił zaraz potem. Wytrysnął gwałtownie, poddając się zupełnie.

Czuł, jak zalewa ją jego gorące nasienie. Zaznał rozkoszy, która biła na głowę wszystkie inne doznania. Przez ułamek sekundy zabawiał się myślą o normalnym życiu, o odcięciu się od mrocznej przeszłości, która go ukształtowała. Zastanawiał się - bez sensu, jak podpowiadała logika - jak by to było, mieć u boku kobietę, doświadczać z nią tego, co jego towarzysze ze swoimi partnerkami.

To były niebezpieczne myśli, marzenia. Ale jeszcze bardziej niebezpieczna była pierwotna zaborczość, jaką czuł na samą myśl o Corinne. Zabił dla niej dziś w nocy i wiedział, że zrobi to znów, bez wahania, jeśli uzna, że coś jej grozi.

Kiedy sycił w niej swą namiętność i czerpał rozkosz z jej czułych pieszczot, gdzieś na skraju świadomości pojawiła się niepokojąca myśl, że być może sam jest największym zagrożeniem dla jej szczęścia.

Rozdział 24

Dante krążył po korytarzu przed ambulatorium, próbując nie myśleć, że jego piękna i odważna partnerka znosi okropne

męki po drugiej stronie drzwi. Poród trwał od wczorajszego wieczora, a był już późny ranek. Z każdą mijającą godziną skurcze stawały się coraz silniejsze i coraz częstsze. Ale Tess radziła sobie doskonale.

Natomiast on miał wrażenie, że zaraz zemdleje za każdym razem, kiedy słyszał jej jęk.

Właśnie dlatego niedawno wyniósł się na korytarz. Zapewne ostatnie, czego Tess w tej chwili trzeba, to widok jego, jak blednie i słania się na nogach.

Więź krwi sprawiała, że odczuwał ból tak jak Tess. Z całych sił pragnął móc wziąć go na siebie. Ból? To żaden problem, poradzi sobie z nim. Natomiast dobijała go świadomość, że kobieta, którą kocha, cierpi. Miał ochotę albo coś rozbić, albo zwymiotować w kącie. Ale wyczuwał też siłę Tess. Podziwiał jej wytrwałość - tę niezwykłą cechę kobiet - jej odwagę w walce z wyczerpaniem i bólem porodu.

Rzucił okiem w małe okienko w drzwiach ambulatorium. Gabrielle i Eliza stały po obu stronach łóżka. Przyszły tu kilka godzin temu i na zmianę trzymały Tess za rękę, wycierały jej czoło i dawały do ssania kostki lodu. Poród zdawał się nie mieć końca. Gideon nadzorował jego przebieg. Przysiękł, że będzie badał Tess z zamkniętymi oczami, żeby nie oglądać tego, czym Dante na pewno nie miał ochoty się z nim dzielić.

Najlepsza była jednak Savannah. To ona odbierała poród, a ponieważ pochodziła z rodziny akuszerki, Dante ufał jej zapewnieniom, że wszystko będzie w końcu dobrze. Przynajmniej miał nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

A tymczasem czuł się zupełnie bezużyteczny.

Znów przespacerował się korytarzem, zastanawiając się, gdzie, do diabła, podziewa się Harvard, kiedy go potrzebuje.

Gdyby był tutaj i zobaczył, jak Dante snuje się po korytarzu niczym duch, z pewnością dodałby mu otuchy. Wyśmiałyby go za to, że zachowuje się jak mięczak, i wysłałby go z powrotem do ambulatorium.

Dante naprawdę tęsknił za tym przemądrzałym byłym agentem. Przez ostatni rok Harvard był jego najbliższym przyjacielem w Zakonie.

Nie, teraz to jest były wojownik i były przyjaciel, napomniał się w myślach. Nadal wściekała go ta pokrecona sytuacja. A jego humoru nie polepszyła wiadomość, że Chase zadzwonił wczoraj do kwatery i poinformował, że wbrew wyraźnym rozkazom Lucana ścigał Murdocka na własną rękę.

I z jakim skutkiem? Oprócz wzmianki o zainteresowaniu Dragosa miejscowym politykiem jedyna informacja, jaką wycisnął z tego drania - że Dragos zamierza podstępem ustalić lokalizację kwatery - i tak była spóźniona o jeden dzień.

Z relacji Tegana wynikało, że Chase raczej szybko się do nich nie odezwie - o ile w ogóle jeszcze kiedyś. Zdaniem Tegana Harvard się staczał. Padło słowo „Szkarałatny”, a choć nikt nie był skłonny zaakceptować tego stwierdzenia, równie trudno było im mu zaprzeczyć.

Dante znów zrobił rundkę po korytarzu, przeczesując palcami ciemne włosy i klnąc pod nosem. Już czas, żeby przywykł do myśli, że Harvard nie jest członkiem Zakonu. I częścią ich życia.

Miał ochotę skopać się za rozmowę, którą odbył niedawno z Tess. Chciał poprosić Chase'a, żeby został ojcem chrzestnym ich syna. Musiał ją długo przekonywać, że na Harvardzie można polegać w tak poważnej sprawie, a teraz ten skurczybyk zniknął i przez niego wyszedł na durnia w oczach własnej kobiety.

Wyszło na to, że w takich sprawach instynkt Tess jest dużo lepszy niż jego. Gideon był szczerze zaskoczony ich prośbą, ale oboje z Savannah przyjęli tę odpowiedzialność z powagą i wdziękiem. Jeśli Dantemu i Tess coś się stanie, nie mogliby sobie wymarzyć lepszych opiekunów dla swego syna.

Dante podniósł wzrok i stwierdził, że Eliza wystawia głowę przez drzwi ambulatorium.

- Już czas - oznajmiła, a jej fiołkowe oczy błyszczały podnieceniem. - Dziecko za chwilę się urodzi.

Wbiegł do środka, serce waliło mu jak młotem. Podszedł do swojej dawczyni życia, uniósł jej rękę do ust i pocałował wilgotną dłoń.

- Tess - szepnął, język mu się plątał, czuł równocześnie radość i przerażenie. - Jak sobie radzisz, mój aniele?

Chciała odpowiedzieć, ale nagle jej twarz wykrzywił ból. Ścisnęła z całej siły jego rękę. Savannah spokojnie poleciła jej przeć, zapewniała, że już prawie po wszystkim. Tess uniosła się na łóżku. Z jej ust wyrwał się głośny jęk, a Dante poczuł, jak nogi się pod nim uginają. Jednak nie zemdlał. Wystarczy, że ostatnią godzinę spędził, krążąc po korytarzu. Nie zamierzał dopuścić, by Tess musiała przechodzić przez to samotnie choćby o sekundę dłużej.

Skurcz trwał przez koszmarnie długie dwie minuty, a potem Savannah nakazała Tess, żeby się położyła i spróbowała odpocząć. Tess dyszała ciężko, była spocona. Otarł jej czoło szmatką, którą podała mu Gabrielle, a potem pocałował czule.

- Czy masz pojęcie, jak bardzo cię kocham? - szepnął, patrząc w jej zielononiebieskie oczy. - Jesteś niesamowita, wspaniała, niewiarygodnie odważna. Będiesz wspaniałą matką dla naszego...

Wyszczерzyła zęby i zawyła, zagłuszając jego słowa. Dante poczuł ból, który przeszył jej delikatne ciało. Był straszliwy, po prostu koszmarny. Miał ochotę przysiąc, że nigdy nie pomyśli nawet o kolejnym dziecku, jeśli Tess znów będzie musiała przejść przez taki koszmar.

- No dobrze, kochani - odezwała się Savannah, a jej spokojny głos był jak balsam. - Zaczynamy. Jeszcze tylko raz Tess. Już prawie go mamy.

Dante pochylił głowę do ucha swojej partnerki i szeptał jej słowa zachęty, rzeczy przeznaczone tylko dla niej. Dziękował

jej za to, co mu dzisiaj daje, zapewniał o swoim oddaniu, którego nie potrafił w pełni wyrazić słowami.

Trzymał ją za rękę, kiedy zaczął się ostatni skurcz. Krzyknął z radości, kiedy jego syn wreszcie przyszedł na świat, maleńki i różowy. I nie wstydził się łez, kiedy napotkał pełne szczęścia spojrzenie Tess. Kochał ją całym sobą.

Pochylił się i pocałował swą wspaniałą dawczynię życia, wziął ją w ramiona i dzielił z nią radość tej magicznej chwili, choć nastąpiła w tak trudnych czasach.

Po kilku minutach Savannah przyniosła im maleńkie zawiniątko z ich nowo narodzonym synem.

- Na pewno chcecie go potrzymać - stwierdziła, kładąc niemowlę w ramionach Tess. - Jest piękny, naprawdę. Doskonały pod każdym względem.

Tess zaczęła płakać, delikatnie dotykając maleńkiej buzi noworodka. Dante przyglądał się im w zachwycie. Tess podarowała mu dziś cud, coś tak cennego, niezwyklej dar swojej miłości. Zdjął z jej twarzy wilgotny kosmyk jasnych włosów.

- Dziękuję - mruknął cicho. - Dziękuję, że uczyniłaś moje życie tak pełnym.

- Kocham cię - odparła, przyciągając jego rękę do ust. Pocałowała wewnątrz jego dużej dłoni. - Chcesz się przywitać ze swoim synem?

- Naszym synem - poprawił ją.

Tess kiwnęła głową, taka dumna i śliczna. Wziął ostrożnie w ramiona zawiniątko. Jego ręce wydawały się olbrzymie, czuł się niezdarny i niepewny. Ostrożnie spróbował ułożyć dziecko w swych za dużych ramionach. Wreszcie odkrył, jak należy go trzymać. Tess uśmiechnęła się do niego, a on czuł w żyłach jej radość i własne szczęście.

Boże, jego serce było tak pełne uczuć, że zaraz pęknie.

Popatrzył na różową pomarszczoną twarzyczkę dziecka.

- Witaj na świecie, Xanderze Raphaelu.

Gdy nadszedł ranek, Corinne stanęła obok łóżka i przyglądała się, jak Hunter śpi. Leżał nagi na brzuchu, ogromny mężczyzna pokryty pięknymi dermaglifami, silny i umięśniony. Spał głęboko, pochrapując cicho.

Ich wspólna noc była niesamowita. Nigdy nie czuła się tak zaspokojona, jak kiedy leżała w jego ramionach, gdy skończyli się kochać. Ale noc już mminęła i jej myśli znów koncentrowały się na jednym: konieczności odnalezienia syna.

To ta potrzeba kazała jej wstać przed świtem, wyśliznąć się z ciepłych ramion Huntera i iść na bagna, szukać ciężarówka, którą zostawił tam po powrocie od Henry'ego Vachona. Miała szczęście, bo znalazła ją prawie zaraz nad rzeką opodal domu Amelie. Nie była zamknięta, więc weszła do środka i spędziła prawie godzinę na przeglądaniu akt i zdjęć, które znalazła w rozbitym sejfie.

Akta z laboratorium Dragosa. Dziesiątki lat zapisków.

Przejrzała wszystkie, szukając czegoś, co mogłoby jej powiedzieć coś o losie syna lub innych dzieci urodzonych w laboratorium. Znalazła dane medyczne i wyniki eksperymentów -tysiące stron zapisanych żargonem, pełnych danych, które nic dla niej nie znaczyły. Akta nie zawierały imion badanych obiektów, jedynie numery, grupy kontrolne i statystyki.

Dla Dragosa ci wszyscy, którym zniszczył życie w swym szalonym laboratorium, naprawdę nic nie znaczyli.

A nawet mniej niż nic.

Corinne przekopała się przez resztę papierów, czując bezradny gniew. Miała ochotę podrzeć te akta na kawałki. Na samym dnie sejfu natrafiła na skórzaną teczkę na dokumenty. Wyciągnęła ją i wysypała zawartość na kolana, szukając choć najmniejszej nadziei.

Dokumenty, spisane ręcznie, były równie bezosobowe jak te, które już przejrzała. Różniły się jednak od tamtych w sposób, który sprawił, że Corinne włosy zjeżyły się na karku. Najpierw to było podejrzenie... a potem pewność, straszliwa pewność.

Trzymała teraz w rękach tę skórzaną teczkę. Podeszła bliżej do łóżka, kiedy Hunter zaczął się budzić. Musiał wyczuć jej ruch w cichym, ciemnym pokoju. Uniósł głowę, otworzył oczy i wbił w nią złociste spojrzenie.

Zauważył, że jest ubrana, że nadal oddycha szybko po biegu przez bagna, i zmarszczył brwi.

- Co się stało? Wychodziłaś gdzieś?

Nie mogła dłużej ukrywać przed nim prawdy. Nie po tym, co zaszło w nocy. Była mu to winna. Była mu winna swoje zaufanie.

- Musiałam wiedzieć - odezwała się cicho. - Nie mogłam spać. Nie mogłam leżeć w twoich objęciach, wiedząc, że sekrety Dragosa znajdują się w zasięgu ręki.

- Wyszłaś z kryjówki, nic mi nie mówiąc? - Hunter usiadł, przesunął się na skraj łóżka i opuścił duże stopy na podłogę. Nachmurzył się. - Nie możesz nigdzie wychodzić sama, Corinne. Mam cię chronić. Nie jesteś teraz bezpieczna, nawet za dnia.

- Musiałam wiedzieć - powtórzyła. - Musiałam zobaczyć, czy jest tam coś, co pomogłoby mi go znaleźć.

Coś mrocznego przemknęło przez kanciastą twarz Huntera. Czoło nadal miał zmarszczone, popatrzył na dużą teczkę, którą trzymała w rękach.

Kiedy nic nie powiedział, przełknęła z trudem ślinę i zmusiła się do mówienia.

- Musiałam wiedzieć, czy w tych aktach, które zabrałeś Vachonowi, są informacje, które mogłyby mnie doprowadzić do mojego dziecka. Urodziłam je w laboratorium Dragosa.

Hunter patrzył na nią przez chwilę, a potem odwrócił wzrok. Zaklął cicho i przesunął ręką po krótko ostrzyżonych włosach.

- Masz syna.

Mimo że jego głos brzmiał obojętnie, pozbawiony wszelkich emocji, zabrzmiał w jej uszach jak oskarżenie.

- Tak - odparła. Nie patrzył na nią teraz. Zaczynali się od siebie oddalać, z każdą chwilą bardziej. - Chciałam ci to wyznać, Hunterze. Zamierzałam, ale się bałam. Nie wiedziałam, do kogo się zwrócić, komu zaufać.

Dystans emocjonalny najwyraźniej mu nie wystarczył. Wstał z łóżka i nie kryjąc nagości, przeszedł na drugą stronę pokoju, by odsunąć się od niej również fizycznie.

- To dziecko pochodzi z Pierwszego Pokolenia, jak ja? -upewnił się, rzucając jej mroczne spojrzenie. - Zostało spłodzone przez Prastarego, na którym eksperymentował Dragos?

Corinne kiwnęła głową, gardło miała ściśnięte.

- Najgorsza rzecz, jaką mi zrobił, to odebranie mi dziecko. Widziałam syna tylko przez chwilę, zaraz po urodzeniu, a potem mi go zabrali. Myśl o nim trzymała mnie potem przy życiu. Nigdy nie sądziłam, że zostanę uwolniona. Ale kiedy odetchnęłam po raz pierwszy powietrzem na wolności, obiecałam sobie, że poświęcę każdą chwilę, do ostatniego tchu, na odszukanie mego syna.

- Nie znajdziesz go, Corinne. Twojego syna już nie ma. Zniknął w chwili, kiedy Dragos zabrał go z twoich ramion.

Nie chciała tego słuchać. Nie chciała zaakceptować tej prawdy.

- Wiedziałabym, gdyby nie żył. Serca matki i dziecka biją razem przez dziewięć miesięcy. W kościach, w duszy, nadal czuję bicie jego serca.

Hunter zaklął znowu. Unikał jej wzroku. Mówiła dalej, usiłując przeciągnąć go na swoją stronę.

- Próbowałam liczyć czas, ale nie wiem na pewno, ile lat minęło. Mój syn ma teraz około trzynastu lat, tak sędzę. To tylko mały chłopiec...

- W tej chwili jest już zabójcą, Corinne. - Niski głos Huntera trząsał się z gniewu. Nie tego się spodziewała. Twarz miał ściągniętą, skóra napięła mu się na na wydatnych kościach policzkowych i zaciśniętej szczęce. - Nigdy nie byliśmy chłopcami, żaden z nas. Rozumiesz? Jeśli twój syn

żyje, jest hunterem, jak ja. Kiedy miałem trzynaście lat, byłem w pełni wyszkolony, miałem już doświadczenie w zadawaniu śmierci. Nie możesz się spodziewać, że z nim stało się inaczej.

Te bezwzględne słowa zadały jej wielki ból.

- Musi być inaczej. Muszę wierzyć, że jeśli on gdzieś tam jest - a moje serce wie, że gdzieś jest - to go znajdę. Będę go chronić, choć nie byłam w stanie ochronić go w dniu, kiedy się urodził.

Hunter milczał, odwrócił się do niej tyłem, powoli kręcąc głową. Corinne odłożyła skórzaną teczkę i podeszła do niego. Dotknęła lekko jego ramienia. Deramglify pod jej palcami pulsowały żarem gniewu, ale zauważyła, że ich kolory łagodnieją pod jej dotykiem, że jego ciało reaguje na nią, choć chciał się od niej odciąć.

- Muszę odszukać mojego syna, Hunterze. Muszę go zobaczyć i dotknąć, muszę mieć pewność, że wie, że go kocham. Muszę spróbować dać mu lepsze życie. - Obeszła go, żeby zajrzeć mu w twarz, zmusić go, by spojrzał jej w oczy. - Muszę odtworzyć wszystko, co się zdarzyło w dniu jego narodzin. Być może Dragos albo jego słudzy powiedzieli albo zrobili coś, co doprowadzi mnie do niego. Może to coś ukryte jest w moich wspomnieniach. Chcę, żebyś mi pomógł przypomnieć sobie wszystko z tamtego dnia.

Twarz Huntera ściągnęła się jeszcze bardziej, kiedy dotarło do niego, co ona proponuje. Chwycił jej rękę i oderwał od swego ramienia.

- Chcesz mojej pomocy? Czy wiesz, co to oznacza?

- Tak - odparła. - I wiem, że proszę cię o zbyt wiele. Ale robię to, ponieważ jesteś w tej chwili moją jedyną nadzieją.

Patrzył na nią z niedowierzaniem albo obrzydzeniem, nie potrafiła określić. Jego oczy płonęły, ale nie odwróciła wzroku. Nie mogła. Czowała się bliższa niż kiedykolwiek odpowiedzi, których tak bardzo potrzebowała.

- Hunter, proszę - szepnęła. - Chcę, żebyś wypił moją krew.

Rozdział 25

Patrząc w błagające oczy Corinne, Hunter miał wrażenie, że właśnie trafiła go w brzuch kula armatnia.

Nie mógł uwierzyć, że ona proponuje mu coś takiego. Był na nią wściekły, że ukrywała przed nim istnienie swego syna - huntera tak jak on. Stała przed nim i prosiła go o pomoc w odnalezieniu dziecka, ale Hunter wiedział, że na końcu tej podróży czeka ją ból i rozczarowanie.

I to on złamie jej serce, jeśli okaże się, że nastolatek jest takim zabójcą, jakim sam był w jego wieku. Szansa, że stało się inaczej, była naprawdę niewielka. Hunter wiedział aż za dobrze, jakiemu szkoleniu i dyscyplinie poddano już to dziecko.

Znów przypomniała mu się wizja Miry. Teraz zrozumiał o oszczędzenie czyjego życia błagała go Corinne. Pojął też, że imię, które wykrzyczała przez sen, nie należało do kochanka, tylko do dziecka, które odebrał jej Dragos.

- Pomóż mi odszukać syna, Hunterze - poprosiła, dotykając miękką ręką jego twarzy. Obawiał się, że temu błaganiu nie zdoła odmówić. - Pomóż mi znaleźć Nathana.

Pomyślał o łzach, jakie Corinne przeleje, jeśli dopuści, żeby wizja Miry się spełniła. Rozważył nienawiść, jaką na pewno do niego poczuje, jeśli znajdą jej syna, a on jej go znowu odbierze - na zawsze - wymierzając mu ten ostateczny cios. Nie chciał być tym, kto zada jej taki ból.

A poza tym, jeśli wypije jej krew, stworzy się więź, którą tylko śmierć jednego z nich będzie mogła zerwać. Nawet jej nienawiść go nie odpędzi, jeśli napije się krwi dawczyni życia.

- Corinne - zaczął łagodnie, odrywając jej rękę od policzka i przytrzymując w dłoni. - Nie mogę zrobić tego, o co mnie prosisz. Nawet jeśli moja zdolność czytania z krwi nie dotyczy tylko wampirów, to miałyby daleko idące konsekwencje.

- Wiem, co to oznacza - odparła. - Ale czy nie warto spróbować?

- Nie czytam z ludzkiej krwi - oznajmił, mając nadzieję, że to ją zniechęci. - Pożywiałem się na ludziach przez całe życie i nigdy niczego nie poczułem. Istnieje duża szansa, że mój talent ogranicza się jedynie do wspomnień członków Rasy. Jeśli wezmę teraz twoją krew, gdzie nas to zaprowadzi? Jesteś dawczynią życia. Nasza więź będzie nierozzerwalna. Będzie trwała wiecznie.

Jej twarz posmutniała, przysłoniła rzęsami oczy.

- Musisz uważać mnie za najgorszą istotę na świecie, skoro nalegam, żebyś dał mi coś, co powinieneś zachować dla kobiety, która będzie cię warta, bardziej dla ciebie odpowiednia.

- Boże, nie - zaprzeczył, zły, że źle go zrozumiała. - Nie o to mi chodzi. Każdy wampir będzie się czuł zaszczycony, mając cię za partnerkę. Nie rozumiesz tego? To ja nie jestem godzien. - Uniósł jej podbródek, zmuszając ją, by wyczytała prawdę tego stwierdzenia z jego twarzy. - Jeśli wypiję twoją krew i mój talent zadziała, tak jak masz na to nadzieję, nie chcę cię potem sobą rozczarować.

- Jak mógłbyś mnie rozczarować? - spytała zdeorientowana, marszcząc brwi.

- Jeśli mój talent zadziała i znajdziesz swojego syna, nie chcę, żebyś mnie znienawidziła, kiedy okaże się, że chłopcu nie można pomóc.

Lekko pokręciła głową.

- Znienawidziła cię? Myślisz, że mogłabym zrzucić na ciebie odpowiedzialność za to, co stało się z Nathanem? Na pewno nie, Hunterze, nawet jeśli...

- Nawet jeśli będę zmuszony zabić go w walce? Na jej twarzy pojawił się strach.

- Nie zrobisz tego.

- Jeśli będę cię musiał przed nim bronić, nie będę miał wyboru - odparł poważnie. - Jeśli zgodzę się pomóc ci w poszukiwaniach, nie mogę obiecywać, że wynik będzie taki, na jaki masz nadzieję.

Przez długą chwilę rozważała jego słowa, a Hunter zastanawiał się przez ten czas, czy powiedzieć jej o wizji, która dręczyła go niemal od chwili, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Miał niemądrą nadzieję, że to się nie stanie, że jego talent nie zadziała na krwi dawczyni życia albo że coś uniemożliwi spełnienie się wizji Miry, a on uniknie łez Corinne i jej daremnych próśb o litość.

Kiedy przeżywał tę wewnętrzną torturę, Corinne odetchnęła głęboko i znów spojrzała mu w oczy. W jej wzroku nie było wahania, tylko determinacja i niezachwiane postanowienie.

- Zrób to, Hunterze. Jeśli choć trochę ci na mnie zależy, to proszę, zrób to. Rozumiem ryzyko i wierzę, że uczynisz tylko to, co będziesz musiał.

Jej odwaga napełniła go przerażeniem. Świadomość tego, co najpewniej ich czeka, sprawiła, że ścisnął mu się żołądek.

A wtedy Corinne podeszła do niego bliżej. Zebrała ręką swoje długie czarne włosy i odrzuciła na ramię, odsłaniając przed nim szyję. Kiedy przechyliła na bok głowę, zrozumiał, że nie zdoła się oprzeć tej zachęce.

- Proszę - wyszeptała. - Proszę, zrób to dla mnie.

Jego płonący wzrok spoczął na tętnicy, pulsującej lekko pod jej delikatną skórą. Do ust napłynęła mu ślina, kły wysunęły mu się z dziąseł. Ile czasu minęło, odkąd ostatni raz się pożywił? Krew Henry'ego Yachona była dla niego bardziej trucizną niż pożywieniem, jej wstępy posmak sprawiał, że zapragnął zakosztować czegoś słodkiego i upajającego, jak nektar płynący żyłami Corinne.

- Proszę - szepnęła jeszcze raz.

Nie mógł się dłużej opierać.

Przysunął usta do jej szyi i ostrożnie wgryzł się w nią, przebijając delikatne ciało ostrymi jak brzytwa kłami. Sapnęła, gdy to robił, jej ciało spięło się pod wpływem bólu, jaki jej zadał. Po chwili, gdy pociągnął pierwszy łyk jej krwi, oparła się o niego i odprężyła.

O Boże... nie wyobrażał sobie nawet, że ona tak smakuje!

Jej ciepła krew spłynęła na jego język jak balsam. Jego ciało wchłaniało ją żarłocznie, do każdej tkanki, każdej komórki. Była słodka i ciepła, a nozdrza napełniły mu zapachy delikatnej berga-motki i świeżych fiołków. Odetchnął nimi, rozkoszując się smakiem. Wiedział, że będzie go pamiętać, póki będzie biło jego serce.

Choć to, co robił, było aktem współczucia, a nie zawiązaniem prawdziwej więzi krwi między kochankami, jego wampiryczna natura - gorąca i samcza - zareagowała na ciepły słodki smak Corinne. Ta kobieta należała teraz do niego, pod każdym możliwym względem.

Natychmiast poczuł wzwód, żądza waliła mu w skroniach, powodując skurcze twardniejącego członka. Przyciągnął ją do siebie bliżej i wypił jeszcze. Czuł, jak budzi się w nim ogień. Więź tworzyła się bez względu na ich intencje. Logika, którą kierował się przez całe swoje puste życie, opuściła go zupełnie, ogłuchł na jej szept, że dopuszczenie do tego - bez względu na powód - jest błędem.

Wypełniał go żar jej krwi, czuł rozkosz, trzymając ją w ramionach... I potrzebę, która sprawiła, że jęknął z pożądania, a potem wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

Ułożył ją na materacu, nie odrywając ust od jej szyi i cały czas czując jej puls na języku. Chciał znów się z nią kochać, chciał ją rozebrać do naga i wejść jak najgłębiej w jej ciało.

Ogarnęło go pożądanie, ciało mu płonęło, zrobiło się sztywne i twarde jak kamień. Tak bardzo jej pragnął.

Z początku nie zwrócił uwagi na nagłe błyski, rozjaśniające ciemność, jaka zaległa w jego umyśle. Próbował je odepchnąć, zatracony w rozkoszy, jaką dawała mu Corinne. Ale obrazy wciąż wracały, ciągle tkwiły na skraju jego świadomości.

Obrazy z lochu Dragosa.

Słudzy ubrani w białe kitle, włokący gdzieś Corinne. Krzyki cierpiącej kobiety... a potem zawodzenie noworodka.

Zaskoczony cofnął głowę.

- O co chodzi? - spytała. Oczy miała wielkie, pełne strachu. - Wszystko w porządku?

- O Boże! - sapnął, zaskoczony działaniem swego daru, a równocześnie przerażony tym, co widział. Kolejne obrazy zalały jego umysł, odgłosy tortur i szaleństwa. Beznadziejność, która otaczała ją przez tyle lat. - Corinne... mój Boże. Co oni ci robili przez cały czas. Widzę to... widzę wszystko, przez co musiałaś przejść.

Położyła mu rękę na karku. W jej oczach dostrzegł ból, choć twarz miała pełną determinacji.

- Nie przestawaj, póki go nie znajdziesz.

Nie mógłby jej tego odmówić, nawet gdyby chciał. Skoro ona przeżyła to wszystko naprawdę, on zdoła to przeżyć w umyśle i znaleźć to, co było jej potrzebne, by odnaleźć dziecko.

Napił się jeszcze jej krwi, a cierpienie i tortury przepływały przez niego jak oleista fala. Czekał na coś, na jakąś wskazówkę, cokolwiek, co dałoby mu oparcie, pomogło znieść agonię, jaką było życie Corinne w więzieniu Dragosa.

Ale niczego takiego nie znalazł. Był tylko mrok, który jakimś cudem Corinne zdołała znieść samotnie.

Powiedziała, że to ze względu na dziecko. Tylko dlatego.

Ponieważ miała nadzieję, że pewnego dnia je odnajdzie.

To Nathan stał się jej liną ratunkową.

Jak ona to przeżyje, kiedy nadejdzie przewidziana przez Mirę chwila, a on pozostanie głuchy na jej błagania i zada cios, który odbierze jej na zawsze tę nadzieję?

Ta myśl zżerała go jak trucizna. Wziął krew Corinne i związał się z nią na zawsze, choć wiedział, że jego przeznaczeniem jest złamać jej serce.

Nagle ogarnął go wstyd. Zawarczał, pełen obrzydzenia dla siebie, i oderwał usta od jej szyi, gotów zamknąć ranki delikatnym muśnięciem języka. Nie chodziło tu przecież o rozkosz i zawarcie więzi; Corinne zwróciła się do niego o pomoc, żeby zgromadził, co zdoła z jej wspomnień. Nie powinien brać więcej jej krwi mimo przyjemności, jaką czuł, trzymając w ramionach tę kobietę.

Swoją kobietę.

To stwierdzenie wynurzyło się gdzieś z zakamarków jego umysłu, z miejsca, nad którym nie miał kontroli. Zdawał sobie sprawę, że to przemawia przez niego więź krwi. Od tej chwili jego ciało, jego zmysły, cała jego wampiryczna natura, będą nakierowane na Corinne. To była zwykła reakcja fizjologiczna, choć w tej sytuacji nie miał do niej prawa.

A jednak w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że jego uczucie dla Corinne rośnie, i to niezależnie od wzięcia jej krwi. Zależało mu na niej już wcześniej. Chciał, żeby była bezpieczna, żeby była szczęśliwa. Chciał, by jej cierpienia wreszcie dobiegły końca.

Tego wszystkiego nie mógł jej obiecać, póki wizja Miry wisiała nad nim jak miecz Damoklesa.

Wysunął język, by zamknąć ranki na jej szyi, ale nim zdążył to zrobić, Corinne jęknęła i wygięła ku niemu ciało. Jej ręce, rozgorączkowane i pałające podnieceniem, przytrzymały go, nie pozwalając mu odejść.

Słyszał opowiadania innych wojowników, jak działa więź krwi, ale nic nie przygotowało go na tę erotyczną świadomość,

jaką teraz czuł. Dzięki swemu talentowi poznał koszmarne wspomnienia Corinne, ale przemawiała przez niego w tej chwili głębsza wiedza. Czuł w sobie jej pożądanie. Czuł w sobie jej gorączkową potrzebę, jej podniecenie wywołane ugryzieniem.

Przycisnął ponownie usta do jej szyi i wypił kolejny łyk jej słodkiej krwi. Czuł, jak przepływa przez jego ciało, jak je odżywia, ożywia. Jej puls walił mu w uszach, był silny jak bęben wojenny.

- O Boże... Corinne - jęknął prosto w jej jedwabistą szyję. Choć postąpiłby uczciwie i honorowo, gdyby oderwał się od niej teraz, stwierdził, że nie jest w stanie. Corinne wiała się pod nim, tuliła się do niego. Jej oddech przyspieszył, dyszała cicho, kiedy z niej pił.

- Kochaj mnie, Hunterze - szepnęła, a jego natychmiast opuściło całe opanowanie.

Nie obchodziło ją, jak desperacko to zabrzmiało, tak wielką erotyczną rozkosz sprawiało jej pożywanie się Huntera.

Zamknęła oczy i przylgnęła do niego, a upojenie, jakie dawały jej jego usta, przyciśnięte do jej szyi, zalało żarem jej ciało.

Tu nie chodziło przecież o rozkosz! Poprosiła Huntera, by wziął jej krew z konieczności, gdyż tylko tak mogła uzyskać jakąś wskazówkę co do miejsca pobytu syna. Zdobyła się na to, pewna, że nie będzie to nic przyjemnego, może nawet sprawi jej ból. Przynajmniej tak wynikało z jej dotychczasowych doświadczeń.

Powinna była przewidzieć, że z Hunterem będzie inaczej. Był równie delikatny jak wczoraj, kiedy się kochali. Tulił ją do siebie ostrożnie. Jego potężne ciało, które potrafiło bez trudu zadać śmierć, otaczało ją opiekuńczo, a ramiona dawały bezpieczne schronienie.

Nie była dziewczcą, ani jeśli chodzi o ciało, ani o krew. Jedno i drugie odebrano jej w laboratorium Dragosa, ale przy Hunterze czuła się inaczej. Czuła się czysta.

Choć wiedziała, dlaczego zgodził się wziąć jej krew i związać z nią na zawsze, choć zdawała sobie sprawę, że ten akt nie ma nic wspólnego z uczuciem, przez jedną całkowicie samolubną chwilę pozwoliła sobie na udawanie, że to się dzieje naprawdę. Tak łatwo było się zapomnieć, tak łatwo było czerpać z tego rozkosz.

- Kochaj mnie, Hunterze - szepnęła, pragnąc ze wszystkich sił poczuć go znów w sobie.

Wydał niski, zduszony jęk i przesunął językiem po dwóch małych rankach na jej szyi, żeby je zamknąć. Błyskawicznie rozebrał ją, jego silne ręce zaczęły ją pieścić, kiedy unosiła się na upajającej fali rozkoszy po ugrzyzieniu.

Kiedy była już naga, stanął obok łóżka i przyglądał się jej, a jego oczy płonęły bursztynem pożądania. Kły, którymi wgryzł się w jej szyję, połyskiwały biało jak perły, wypełniały mu usta. Jego wielki twarde członek podrygiwał niecierpliwie, równie wspaniały, jak reszta jego ciała. Wyglądał drapieżnie i niebezpiecznie. Nigdy w życiu nie widziała czegoś równie wspaniałego, jak ten piękny wampir.

Leżała na plecach i napawała się jego widokiem, zdumiona, że wgląda wspanialej nagi niż w pełni ubrany i uzbrojony. Jego ciało to były mięśnie i gładka złocista skóra. Dermaglify pokrywały go od karku po kostki nóg skomplikowanymi spiralami i łukami. Pulsowały jak żywe tatuaże, wysyczone jaskrawymi kolorami pożądania.

Przyklął na łóżku, przesuując rękami po jej nogach. Rozsunął jej uda i przykrył ją swym ciałem. Była mokra, gotowa na jego przyjęcie. Chciała znów poczuć, jak ją wypełnia. Nie rozczarował jej. Tępa główka jego penisa odszukała wejście do jej pochwy. Wszedł w nią jednym, zapierającym dech w piersiach ruchem.

Westchnęła, jej puls przyspieszył gwałtownie. Szepnęła jego imię, kiedy poruszał się w niej, ale nie w tym słodkim,

opanowanym rytmem jak zeszłej nocy, ale namiętnie i zwierzęco, błyskawicznie doprowadzając ją do orgazmu.

Hunter musiał wiedzieć, jak bardzo tego pragnie. I chyba podzielał jej uczucia. Wbijał w nią płonące bursztynem oczy i nacierał z namiętnością, która całkiem pozbawiła ją tchu. Umierała z rozkoszy przy każdym pchnięciu. Patrzyła na niego przez mgiełkę zbliżającego się orgazmu, ich oczy wpatrywały się w siebie, kiedy ją kochał, mocno i nieustępliwie.

- O Boże - jęknęła całkiem bez tchu. A potem nie była już w stanie mówić.

Orgazm ogarnął jej ciało gorącą falą rozkoszy, tym intensywniejszą, że Hunter wpatrywał się w nią z miną wyrażającą dziką i czystą męską satysfakcję. Wyjęczała jego imię, zatracona w rozkoszy.

Nie ustawał, nawet kiedy zaczęła szczytować. Wyszczrzył zęby, odsłaniając kły, i wydał gardłowy warkot, który przeniknął ją drzeniem. Żar jego oczu parzył jej skórę, posiadał ją, przesuwając się w niej szybko, natarczywie, wywołując kolejną rozkoszną falę spełnienia... i następną.

Nie przestał, póki oboje nie opadli z sił, całkowicie zaspokojeni i zdyszani.

A potem, kiedy ich pożądanie znów się obudziło, zaczęli od początku.

Rozdział 26

Pozwól, że ci pomogę, Amelie.

O piątej po południu było już ciemno. Jakies dwie godziny wcześniej Corinne i Hunter wyszli ze swego pokoju. Jeśli

Amelie zwróciła uwagę na ich nieobecność przez cały dzień, była zbyt dobrze wychowana, by o tym wspomnieć.

Corinne skończyła nakrywać stół w kuchni. Teraz chciała pomóc przy piecu, gdzie Amelie wkładała właśnie rękawice kuchenne, by wyjąć ich posiłek z piekarnika.

- Ja to zrobię - powtórzyła Corinne. Amelie klasnęła lekceważąco językiem.

- Nie przejmuj się mną, dziecinko. Umieję poruszać się w tej starej kuchni.

Najwyraźniej nie należało jej przypominać, że nie widzi. Podobnie jak poprzedniego dnia staruszka poruszała się tak, jakby znała każdy centymetr swego domu. Corinne cofnęła się, gdy wyjęła z piekarnika dwa ślicznie przypieczone kawałki białej ryby, posypane pachnącą mieszanką pieprzu i przypraw. Aromat sprawił, że Corinne zaburczało w brzuchu.

Amelie zdjęła rękawice, nucąc do wtóru jazzowej piosenki, dobiegającej z odtwarzacza CD w sąsiednim pokoju. Poruszając w jej rytm szerokimi biodrami, sięgnęła po łopatkę stojącą w glinianym słoju koło pieca.

- Mam nadzieję, że lubisz suma - powiedziała, wykładając rybę na dwa przygotowane talerze. Nadal nucąc i kołysząc biodrami, odłożyła łopatkę. - Możesz zanieść na stół brudny ryż i warzywa, jeśli chcesz. I przełóż do koszyka chleb kukurydziany.

- Jasne - odparła Corinne. Wyłożyła na talerze ryż i gotowane warzywa, a potem zaniosiła wszystko, wraz z koszykiem chleba, na stół. Usiadła naprzeciwko Amelie.

- Czy te ubrania, które znalazłam, pasują na twojego mężczyznę? - spytała staruszka.

Corinne już miała zaprotestować, że Hunter nie jest jej mężczyzną, ale słowa jakoś nie chciały jej przejść przez usta. Po wszystkim co zaszło pod dachem Amelie w ciągu ostatnich

¹Brudny ryż - potrawa kuchni Cajunów (przyt. red.), i.-r> 239 ^

dwudziestu czterech godzin, trudno jej było zaprzeczyć, że coś jest między nimi.

- Tak, pasują - oznajmiła, po prostu odpowiadając na pytanie. - Dziękuję, że mi je pani pożyczyła.

Amelie pokiwała głową, nie przestając kroić ryby.

- Mój syn zawsze tu zostawia swoje rzeczy, w swoim dawnym pokoju, jak przyjeżdża z wizytą. To duży chłopak, tak jak twój mężczyzna. Cieszę się, że jego ubrania pasują.

- Jesteśmy pani bardzo wdzięczni - zapewniła Corinne. Wspólnie udało im się sprać większość krwi ze spodni

Huntera, ale póki jego ubranie wirowało w suszarce, musiał pożyczyć od Amelie bluzę i spodnie od dresu jej syna. Twierdzenie, że te rzeczy na niego pasują, nie do końca było prawdą. Corinne uśmiechnęła się do siebie, przypomniawszy sobie, jak wyglądał w jaskrawej sportowej bluzie i błyszczących nylonowych spodniach.

Kiedy wraz z Amelie jadła kolację, słuchając muzyki grającej w drugim pokoju, Hunter w sypialni rozmawiał przez telefon z Gideonem, korzystając z komputera syna Amelie. Niedawno przyniósł z ciężarówki zapiski z laboratorium Dra-gosa, które Vachon przechowywał w sejfie. Część miała formę zaszyfrowanych plików na pendrive'ach. Hunter przysyłał właśnie te dane do kwatery Zakonu w Bostonie.

Corinne modliła się, żeby w zdobytych aktach znalazło się coś użytecznego. Choć czas spędzony z Hunterem był niesamowity, na jej sercu zalegał ciężar. Miała desperacką nadzieję, że jej krew zdradzi jakiś drobiazg, choćby najmniejszy, będący wskazówką co do miejsca pobytu jej syna. Ale talent Huntera nie wniósł nic nowego. Tyle że wiedział teraz o wszystkich poniżeniach i gwałtach, jakie wycierpiała z rąk dręczycieli.

Mimo to nie rozczulał się nad nią, nie dał jej też odczuć, że gardzi nią ze względu na to, co przeszła. Czowała się brudna, zawstydzona rzeczami, jakie jej robili. Czowała się tchórzem, że pozwoliła, by jej odebrali dziecko.

Po uwolnieniu miała okropne poczucie winy, że przeżyła, skoro nie udało się to tylu innym uwięzionym kobietom. Im też odebrano synów. Dzieci, które kochałyby, gdyby nie bezwzględność Dragosa. Wśród dawczyń życia przyjętych do Mrocznej Przystani Andreasa i Claire Reichenów w Nowej Anglii, były takie, które opłakiwały synów, podobnie jak ona.

W milczeniu jedząc kolację, Corinne czuła się okropnie samolubna, że przede wszystkim chce odnaleźć własne dziecko. Ale choć nadzieja na sukces była wątpliwa, być może jej poszukiwania dadzą szansę innym uwolnionym na odnalezienie własnych dzieci.

Kiedy o tym pomyślała, przypomniały jej się słowa Huntera, mroczne i złowrogie.

„Nigdy nie byliśmy chłopcami, żaden z nas...”

„Jeśli twój syn żyje, jest hunterem... w pełni wyszkolony... ma doświadczenie w zadawaniu śmierci”.

„Twojego syna już nie ma. Zniknął w chwili, kiedy Dragos zabrał go z twoich ramion”.

Nie, powiedziała sobie. Nadal jest nadzieja.

Sam Hunter był na to dowodem. Zdołał się wyrwać spod władzy Dragosa, otrząsnąć się spod jego wpływu. Otrzymał szansę, by stać się kimś innym, kimś lepszym. Tylko tyle chciała dla swojego syna. Tylko tego chciały inne dawczynie życia dla swoich dzieci. Może, jeśli ocala Nathana, będzie nadzieja na odzyskanie innych?

Postanowiła trzymać się tej nadziei, jedząc wspaniały posiłek przyrządzony przez Amelie.

- Wszystko było bardzo dobre - powiedziała, nadal czując w ustach ostre przyprawy i wyraziste smaki. - Nigdy nie jadłam sumy ani brudnego ryżu. I kukurydzianego chleba. Wszystko było przepyszne.

- Och, dziecinko. - Amelie powoli pokręciła głową, a jej ton wyrażał równocześnie szok i współczucie. - Naprawdę nie miałaś życia, prawda?

- Chyba nie. - Ponieważ staruszka była ślepa, nie widziała smętnego uśmiechu Corinne, gdy to mówiła. Zaczęła zbierać ze stołu brudne naczynia. Kiedy Amelie wstała, by jej pomóc, łagodnie położyła rękę na jej ramieniu. - Proszę siedzieć. Niech mi pani pozwoli przynajmniej pozmywać.

Z westchnieniem, które w równych częściach wyrażało rezygnację i zadowolenie, Amelie usiadła z powrotem przy stole, a Corinne zebrała resztę talerzy i napełniła zlew wodą z płynem do mycia naczyń.

Kiedy zanurzała naczynia w pianie, doszła do wniosku, że dzięki godzinom, jakie spędziła w ramionach Huntera, jedzenie smakowało jej lepiej, cichy jazz grający w drugim pokoju brzmiał jeszcze przyjemniej, a właściwie wszystko wokół niej było bardziej żywe i kolorowe. Zastanawiała się, jak by to było, czuć się tak przez cały czas. Czy tak żyją związane krwią pary?

Czy to ciepło, które w sobie czuła, było po prostu reakcją na fizyczny komfort, jaki dał jej Hunter, czy czymś więcej?

Nie chciała go wpuścić do swego serca. Nie sądziła, że jest w nim miejsce dla kogoś prócz utraconego dziecka. Ale kiedy myślała o tym, jak dobry był dla niej Hunter, kiedy myślała o tym, co przeszli razem przez ostatnie dni, nie mogła zaprzeczyć, że zaczął coś dla niej znaczyć. Początkowo nie ufała mu, nawet się go bała, a teraz uważała go za najbliższego sprzymierzeńca.

Niespodziewanie stał się jej przyjacielem i kochankiem.

Ten wspaniały wampir, który związał się z nią nierozwalną więzią tylko dlatego, że go o to prosiła.

Oddał jej ten cenny dar, by wykorzystała go jako narzędzie w swej prywatnej misji. Bez wahania ofiarował jej najcenniejszą, najbardziej intymną rzecz, jaką miał.

Poczuła, że do niej podchodzi, a jednak jego niski głos sprawił, że jej puls przyspieszył.

- Wszystkie dane elektroniczne są już u Gideona - powiedział. - Zeskanowałem również papierowe akta, na wypadek, gdyby miały okazać się pomocne.

Corinne wytarła ręce w ścierkę i odwróciła się do niego.

- I co on o tym sądzi? - spytała, zaniepokojona jego poważnym tonem. Coś przed nią ukrywał, jego twarz była znów pozbawiona wyrazu. Nieodgadniona. Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, ten wyćwiczony wraz twarzą niepokoił ją, ciekawił. Teraz po prostu ją martwił. - Czy on coś z tego rozumie?

- Zawiadomi nas. - Hunter skrzyżował potężne ramiona na dużym napisie SAINTS na środku obcisłej, czarno-złotej bluzy. Rękawy ledwie sięgały mu do połowy przedramion, a materiał napiął się niebezpiecznie na ramionach. - Sytuacja w kwaterze nie jest w tej chwili najlepsza. Ale Gideon obiecał, że skontaktuje się z nami, jeśli z jego analiz wyniknie coś obiecującego.

- To dobrze - odparła Corinne. Przecież to dopiero początek. Nie miała jeszcze nic do stracenia.

Nathan dalej znajdował się poza jej zasięgiem, pomimo wspomnień, które Hunter odczytał z jej krwi. Zapiski z laboratorium, które znalazł w magazynie Henry'ego Vachona, to było wszystko, co im teraz zostało - wraz z geniuszem technicznym Gideona. Zaufała Hunterowi, a on z kolei ufał Zakonowi. Musiała wierzyć, że jeśli istnieje jakieś rozwiązanie, znajdzie je tylko, mając u boku tego wampira.

Choć czekanie będzie najtrudniejsze.

Westchnęła cicho.

- To dobrze - powtórzyła, kiwając głową, jakby chciała przekonać sama siebie, że to się w końcu uda.

Kiedy odwróciła się do zlewu, żeby skończyć zmywanie, odezwała się Amelie.

- Czy w Bostonie wszystko w porządku z moją siostrą i jej mężczyzną?

- Tak, proszę pani - odrzekł Hunter. - Savannah i Gideon mają się dobrze.

- Świetnie - stwierdziła. - Ci dwoje zasługują na swoje szczęście bardziej niż inni. Podejrzewam, że ty i Corinne również.

Skrepowana nagłym zwrotem w rozmowie Corinne spuściła głowę i zaczęła szorować zaschnięty ryż na talerzach. Próbowwała się skoncentrować na muzyce - na melodii, którą od razu rozpoznała - na czymkolwiek prócz nieodgadnionego milczenia Huntera. Spłukała pianę z talerza i postawiła go na drucianej suszarce na blacie. Obecność Huntera sprawiała, że mrowiła jej skóra. Zbliżył się do niej, a kiedy rzuciła na niego okiem, zauważyła, że trzyma w ręku ścierkę w biało-czerwoną kratkę.

Nie mogła dłużej znieść ani jego milczenia, ani wymownego spojrzenia.

- Z nami tak nie jest - wykrztusiła. - Hunter i ja nie jesteśmy...

Amelie zaśmiała się ciepło.

- Och, nie byłabym tego taka pewna, dziecinko. Wcale nie byłabym tego taka pewna.

- My nie.... - powtórzyła Corinne tym razem ciszej, zaskoczona, że w ogóle może mówić. Hunter stał tuż przy niej, wbijając w nią te swoje złociste oczy, pełne żaru i nieustępliwe. Natychmiast zalały ją wspomnienia wspólnych godzin namiętności.

- Znam tę muzykę - stwierdził, przechylając głowę i nasłuchując jazzu, ale nadal patrząc na nią.

- A tak - odezwała się Amelie. - To jedyna w swoim rodzaju Bessie Smith.

Hunter i Corinne nie potrzebowali tej informacji. To była ta sama piosenka, którą grano w klubie jazzowym ich pierwszej nocy w Nowym Orleanie. Wspomnienie wróciło teraz do Corinne. Czuła znów przy sobie jego twarde ciało, jak wtedy, kiedy z nim tańczyła. Znów przeżywała tę czułą chwilę, kiedy pocałował ją po raz pierwszy.

- Też lubicie Bessie? - spytała Amelie, nucąc cicho pod nosem słowa piosenki.

- To moja ulubienica - odparł Hunter cicho, a jego usta ułożyły się w zmysłowy uśmiech, który sprawił, że Corinne mocniej zabiło serce. Podszedł do niej, uwięził ją między swoimi ramionami. Pochylił głowę do jej ucha i szepnął. - A ta piosenka nie ma nic wspólnego z młynkami do kawy.

Corinne zaczerwieniła się gwałtownie, ale to zar w podbrzuszu sprawił, że zadrżała, kiedy przesunął ustami po jej uchu, a potem niżej, po szyi. Ledwie zarejestrowała, że Amelie wstaje z fotela. Hunter odsunął się, dając Corinne szansę na odzyskanie oddechu.

- Dokąd pani idzie, Amelie?

- Jestem stara dziecinko, a życie tutaj jest proste. Po kolacji lubię popatrzeć na teleturnieje i zdrzemnąć się nieco. - Jej zamglone oczy wpatrywały się w miejsce tuż obok Huntera i Corinne. - Poza tym wy dwoje nie potrzebujecie mojego towarzystwa. Wolicie być sami. Może i jestem ślepa, ale nie aż tak.

Nim Corinne zdążyła zaprotestować, Amelie pomachała im ręką i wyszła z kuchni.

- Nie zwracajcie na mnie uwagi - zawołała z rozbawieniem. - Będę oglądać telewizję tak głośno, że i huraganu nie usłyszę.

Corinne zaśmiała się cicho.

- Dobranoc, Amelie.

Usłyszeli trzaśnięcie drzwi. Hunter powoli wytarł jedną, a potem drugą dłoń Corinne ścierką do talerzy. Odłożył ją na blat, a potem splótł palce z jej palcami i poprowadził ją na środek małej kuchni.

Bessie Smith śpiewała o złej miłości i dobrym seksie, a oni tulili się do siebie i kołysali się powoli w tańcu. Ta chwila była idealnie czysta, niespieszna i spokojna... po prostu doskonała. Tak bardzo, że Corinne krajało się serce.

A choć żadne z nich tego nie powiedziało, ujrzała odbicie własnych myśli w udreńczonych złocistych oczach Huntera.

Jak długo może trwać idealna chwila? Szczęście tak niewinne jak to, które odnaleźli razem, tu i teraz?

Rozdział 27

Hunter stał oparty plecami o ścianę sypialni, którą dzielił z Corinne w domu Amelie, i obserwował, jak wpadający przez okno blask księżyca igra na nagim ciele jego kobiety. W oddali słyszał odgłosy zwierząt żerujących na bagnach, niebezpiecznych nocnych łowców, takich jak on, których ciemność skłaniała do szukania zdobyczy. Będą polować, a jeśli im się uda, zabiją. A jutro wieczorem cykl rozpocznie się od początku.

Robili tylko to, do czego się urodzili: zabijali bez litości czy żalu, nie zastanawiając się, czy w innym miejscu nie czeka ich coś innego. Nie mieli doświadczeń, które pozwalałyby im tęsknić za czymś, prócz tego, co już mieli.

Hunter znał ten świat.

Żył w nim, odkąd pamiętał.

I wiedział doskonale, że nie wolno mu snuć żadnych bezzasadnych scenariuszy, szczególnie takich, w których odgrywał rolę bohatera. Białego rycerza z baśni, który przybywa z pomocą damie w potrzebie, jak ci, o których czytał dawno temu... nim sługa, który się nim zajmował, nie zabrał mu wszystkich książek i nie zmusił go do ich spalania.

Nie był bohaterem, bez względu na to, jak bardzo by tego pragnął, spędziwszy tyle czasu z Corinne.

Za tę tęsknotę częściowo odpowiadała więź krwi, która go z nią łączyła. Jej krew odżywiła jego ciało, tworząc nieroze-

rwalną więź, która wzmocniła wielokrotnie jego uczucia dla niej. Przynajmniej tak mu podpowiadał rozsądek.

Lepsze takie wyjaśnienie niż to drugie, bardziej niepokojące, które krążyło mu po głowie od chwili, kiedy trzymał Corinne w ramionach i tańczył z nią na zniszczonym żółtym linoleum maleńkiej kuchni Amelie Dupree.

Gdyby mógł rozciągnąć tę chwilę na wieczność, na pewno by to zrobił. Niczego bardziej nie pragnął, jak w nieskończoność tulić w ramionach Corinne. Tęsknił za tym nawet teraz, kiedy skończyli razem porządkować kuchnię, a potem kochali się niespiesznie.

Puls walił mu wciąż w skroniach. Czuł jej zapach na swojej skórze, jej smak na języku. Chciał ją obudzić i dać jej więcej rozkoszy. Chciał słyszeć, jak szepcze jego imię, jak płacze przy orgazmie, chciał poczuć, jak tuli się do niego, jakby był jedynym mężczyzną na świecie.

Szaleńczo, opętańczo chciał usłyszeć z jej ust zapewnienie, że jest jedynym mężczyzną, jakiego może pokochać.

Dlatego właśnie odmówił sobie tej przyjemności, jaką było leżenie u jej boku, kiedy spała. Już wziął od niej więcej, niż miał prawo. Musiał pamiętać, kim jest. A właściwie kim nigdy nie będzie.

W jednym ich gospodyni miała rację, Corinne zasługiwała na szczęście. Teraz, kiedy dzięki krwi poznał jej wspomnienia, tym bardziej dziwił się, jakim cudem zdołała przeżyć i wyjść z tego więzienia, zachowując człowieczeństwo. Jej serce nadal było czyste, nadal otwarte i bezbronne, mimo straszliwych przeżyć.

Uważał, że spotkał ją dużo gorszy los niż jego. Dragos próbował pozbawić ją duszy, natomiast jemu po prostu od początku jej odmówił.

Kiedy zobaczył Corinne po raz pierwszy, poczuł zaciekawienie tą drobną kobietą, która wyszła z lochów Dragosa, nadal mając ogień w oczach. Ta ciekawość zmieniła się w dziwną

zażyłość - i niespodziewane współczucie - kiedy ujrzał, jak walczy o przetrwanie w świecie, którego fundamenty zawaliły się pod nią, gdy tylko postawiła na nim stopę. Nie wiedziała, gdzie przynależy, nie miała pojęcia, komu może zaufać. Nawet zaprawiony w bojach wojownik przeżyłby w takiej sytuacji momenty zwątpienia.

Ale Corinne nie dała się złamać. Nie złamało jej ani okrucieństwo Dragosa, ani nieprawość Vachona. Ani nawet niepojęta zdrada Victora Bishopa. W tym drobnym ciele kryło się serce wojownika.

A wszystko to z miłości do dziecka.

Szanował ją jeszcze bardziej, kiedy poznał źródło jej determinacji i odwagi. Chciał, żeby była szczęśliwa. Wbrew wszelkiej logice miał nadzieję, że odnajdzie syna i że nie czekają jej nowe łyzy i cierpienie.

Z powodu jego czynu.

Zaklął cicho pod nosem.

Jakby nie wystarczyła wizja Miry, biorąc krew Corinne, wziął na siebie kolejny ciężar. Twierdził, że jej krew nie objawiła mu niczego użytecznego, jeśli chodzi o miejsce pobytu jej syna, coś jednak było. Drobnny fakt, który jednak mógł się okazać istotny. Nie miał jeszcze pewności, co dokładnie oznacza.

W jej wspomnieniach z dnia, kiedy powiła syna, znajdowała się część sekwencji numerycznej, recytowanej przez jednego ze sług obecnych przy porodzie. Nie zapamiętała jej świadomie, gdyż otrzymała silne środki nasenne zaraz po porodzie i odebraniu jej dziecka.

Co te numery oznaczały, Hunter nie miał pojęcia. To mogło być nic, zupełnie nic, niemniej przekazał te liczby Gideonowi wraz z zaszyfrowanymi danymi i skanem dokumentów z laboratorium, prosząc, by dał mu znać, jeśli dopasuje coś do tej sekwencji.

W gruncie rzeczy nie był pewien, na jaki wynik ma nadzieję: na zlokalizowanie syna Corinne czy na to, że sekwencja

okaże się bezużyteczna. Powinien był powiedzieć jej o swoim odkryciu, ale nie chciał w niej budzić fałszywej nadziei.

Chciałby jej oszczędzić w życiu wszelkiego bólu.

Przesunął ręką po włosach i przykucnął w kącie pokoju. Kiedy to zrobił, zauważył ciemny, prostokątny przedmiot, leżący na podłodze pod łóżkiem.

Skórzana teczka, którą Corinne przyniosła dziś rano z ciężarówki.

Po rozkosznych chwilach seksu całkiem o niej zapomniał, kiedy kontaktował się z kwaterą w kwestii zapisków z laboratorium Dragosa. Teraz sięgnął po nią i wyjął zawartość.

Pożółkłe papiery i ręcznie sporządzone notatki. Do tego zniszczony czarny skoroszyt. Hunter odłożył papiery i teczkę na podłogę i otworzył skoroszyt. Na pierwszej stronie zobaczył tytuł:

„Obiekt numer 862108102484”.

Patrzył przez chwilę na ten ciąg cyfr. Nic mu nie mówił. Nie pokrywał się też z sekwencją, którą podał Gideonowi. A jednak z jakiegoś powodu zrobiło mu się zimno. Odwrócił stronę.

„Data obserwacji: 8 sierpnia 1956 roku, godzina 4.24

Wynik: pierwsza donoszona ciąża zakończona narodzinami obiektu z Pierwszego Pokolenia

Status: program Hunter uruchomiony”.

Hunter wpatrywał się w tę notatkę, póki litery nie zlały mu się przed oczami, a w uszach nie zaczęło dzwonić. Przekart-kował skoroszyt, przejrzał późniejsze wpisy. Jego umysł przyswajał fakty i daty, choć świadomość próbowała je wyprzeć.

Na litość boską...

Miał przed sobą notatki z obserwacji rozwoju pierwszego z hunterów, jakiego udało się stworzyć w laboratorium Dragosa.

Siebie.

Corinne obudziła się i wyciągnęła rękę, szukając ciała Huntera.

Nie było go przy niej.

- Hunterze? - Usiadła w ciemnym pokoju. Słyszała tylko dźwięki dobiegające z bagien przez otwarte okno. - Hunterze, gdzie jesteś?

Kiedy nie odpowiedział, wstała i ubrała się szybko. Jej buty stały przy łóżku. Obok leżała skórzana teczka z zapiskami z laboratorium Dragosa.

Zawartość była rozsypana po podłodze.

Na ten widok zaczęło ją dławić w gardle.

Włożyła buty i cicho wyszła z sypialni. Telewizor Amelie nadal grał za zamkniętymi drzwiami na końcu korytarza, ale poza tym w domu panowała cisza.

- Hunterze? - szepnęła, wiedząc, że jeśli tu jest, usłyszy ją dzięki właściwemu Rasie czułemu słuchowi. Ruszyła przez ciemny dom w kierunku kuchennego wyjścia.

Gdzie on poszedł?

Pomyślała, że chyba wie. Wyszła na ciemny ganek i popatrzyła w cienie bagna, tam gdzie kilkadziesiąt metrów dalej kryła się w krzakach biała ciężarówka. Trawa pod jej nogami była sztywna, powietrze wilgotne i pachnące słoną wodą. Szła, pocierając ramiona, gdyż chłód przenikał ją do szpiku kości.

Kiedy dotarła do ciężarówki, zauważyła, że tylne drzwi są otwarte. Została w nich szpara, przez którą nic nie było widać. Biały lakier był pochłapany błotem i krwią po wczorajszej misji Huntera.

- Hunterze, jesteś tam?

Pociągnęła drzwi do siebie i zajrzała do środka. Pod wpływem ruchu włączyła się lampka na suficie. Hunter siedział w głębi, bosy i bez koszuli, pożyczone nylonowe spodnie od dresu podjechały mu do połowy pokrytych dermaglifami łydek. Oparł łokcie na uniesionych kolanach, głowę i ręce miał opuszczone.

Spojrzał na nią, a pusty wyraz jego oczu sprawił, że serce ścisnęło się jej boleśnie.

- Co się stało?

Wsiadła do ciężarówki i podeszła do niego. Między jego stopami leżał duży czarny skoroszyt.

- Co tu robisz? - spytała, siadając naprzeciwko i podwijając pod siebie nogi. - Czy znalazłeś coś w aktach Dragosa?

Podniósł skoroszyt i podał jej. Kiedy się odezwał, jego głos był zupełnie bez wyrazu.

- To było wśród papierów w tej skórzanej teczce, którą przyniosłaś do domu.

Corinne zmarszczyła brwi, otworzyła skoroszyt i popatrzyła na tytuł na pierwszej stronie.

- Czy to notatki z laboratorium? - Kiedy Hunter nie odpowiedział, przerzuciła kilka stron, a potem szybko przekartkowała skoroszyt do końca. Pełen był ręcznie sporządzanych notatek. - To raport z porodu. Mój Boże, dziennik obserwacji. Szczegółowa dokumentacja programu tworzenia zabójców.

- Pierwszego zabójcy - poprawił ją Hunter.

Prawda dotarła do niej, jeszcze nim na niego spojrzała i ujrzała wyraz jego twarzy. To nie był jakiś tam stary dziennik z laboratorium... to był dziennik z obserwacji Huntera.

Wstrzymała oddech, niepewna, czego oczekiwać. Otworzyła dziennik na chybił trafił i przeczytała jeden z wpisów.

„Obiekt: czwarty rok

Raport: Doskonały rozwój fizyczny i umysłowy; wyniki testów 50 punktów powyżej pozostałych pięciu hunterów objętych programem”.

Nie zdziwiło jej, że Hunter był najlepszy we wszystkim, co robił, nawet w tak młodym wieku. Wypuściła z płuc część powietrza i przeczytała kolejny wpis, kilka stron dalej.

„Obiekt: piąty rok

Raport: Wstępne przygotowania zakończone. Obiekt przeniesiony z laboratorium do indywidualnej kwatery, poza kompleksem. Wyznaczono służbę odpowiedzialnego za szkolenie i utrzymanie dyscypliny".

Przewróciła kilka kartek.

„Obiekt: ósmy rok

Raport: Osiągnięcia fizyczne i umysłowe wykraczają poza założenia projektu. Planowanie i praktyka likwidacji celów opanowane. Treser zaleca rozpoczęcie szkolenia z żywymi celami".

Kilka dalszych wpisów sprawiło, że Corinne ciarki przeszły po plecach.

„Obiekt: ósmy rok

Raport: Pierwsza likwidacja zakończona sukcesem. Cel: człowiek (bez walki).

Raport: Likwidacja zakończona sukcesem. Cel: nastolatek należący do Rasy. Metoda: nóż i walka wręcz (obiekt i cel uzbrojeni tak samo).

Raport: Likwidacja zakończona sukcesem. Cel: dorosły członek Rasy. Metoda: walka wręcz, nóż, miecz (obiekt nieuzbrojony; zastosowane techniki pościgu i przejęcia wykraczające poza założenia programu, efektywne wykorzystanie warunków w terenie)".

Zimno, które czuła chwilę temu, teraz zmieniło się w lód. Zrobiło jej się niedobrze, kiedy pomyślała, jakiego trzeba zła, by zmienić dziecko w bezdusznego potwora. Spojrzała na obojętnego, wyszkolonego zabójcę, który został jej przyjacielem i kochankiem. Nie czuła strachu czy pogardy z powodu tego, do czego go zmuszono.

Zależało jej na nim. Bardzo jej zależało.

Nagle uświadomiła sobie, że go kocha.

Ze łzami w oczach i ściśniętym gardłem odwróciła jeszcze kilka stron.

„Obiekt: dziewiąty rok

Raport: Treser zauważył alarmujący wzrost dociekliwości obiektu. Częste pytania o cel życia, o pochodzenie.

Raport: Obiekt gromadzi książki w swojej kwaterze. Przypadkowe pozycje z literatury pięknej, filozofii i poezji, ukradzione z kwatery tresera".

Pod tym wpisem znajdowały się dodatkowe uwagi, poczynione z wyraźną złością.

„Wnioski: Konieczne ograniczenie dostępu do materiałów pisanych, innych niż zaaprobowane na potrzeby projektu.

Podjęte działania: Treser otrzymał polecenie usunięcia książek i zmuszenia obiektu do ich zniszczenia.

Uwagi: Bunt należy traktować jako czynnik negatywnie wpływający na cele programu. Obiekty są bardzo inteligentne i mają wrodzoną potrzebę dominacji. Sama dyscyplina może nie wystarczyć do utrzymania ich posłuszeństwa.

Wskazówki: Należy polecić personelowi technicznemu opracowanie środków pozwalających na utrzymanie posłuszeństwa i lojalności obiektów".

Corinne zamknęła notes i przysunęła się do Huntera.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Czowała wielkie współczucie dla chłopca, któremu nigdy nie pozwolono być po prostu dzieckiem. I podziw dla mężczyzny, który przeszedł przez piekło w samotności, a mimo to zachował honor i był zdolny do wyższych uczuć.

Ujęła jego twarz w obie dłonie i delikatnie obróciła w swoją stronę.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Hunterze. Jesteś kimś więcej, niż chciał Dragos. Jesteś lepszy niż twoja przeszłość. Wiesz o tym, prawda?

Hunter wyrwał się jej, zmarszczył brwi i pokręcił głową.

- Zabiłem ją - skwitował cicho. To było proste stwierdzenie faktu.

- O czym ty mówisz?

- Wszystko tam jest - oznajmił, wskazując na skoroszyt na jej kolanach.

Choć wcale nie chciała poznawać wszystkich okropności dzieciństwa Huntera, zrozumiała, że on przeczytał te zapiski w całości. Otworzyła skoroszyt i przerzuciła kilka pierwszych stron, tym razem wolniej. Przeczytała raport z jego narodzin i pierwszych miesięcy życia, kiedy - inaczej niż jej syn - był karmiony z żyły matki, a nie krwią obcych. Jej odmówiono choć tej drobnej łaski.

A potem to zobaczyła.

„Raport: Obiekt okazuje wyraźny niepokój, kiedy zostaje odseparowany od matki. Niewłaściwe zachowanie należy skorygować.

Podjęte działanie: Eliminacja stosunków z matką. Karmienie krwią ludzi i/lub sług”.

Corinne przerzuciła jeszcze kilka stron, choć pod wpływem złych przeczucí trzęsły jej się ręce. Wreszcie trafiła na wpis, przy którym bladły wszystkie inne.

„Obiekt: drugi rok

Raport: Przypadkowe spotkanie obiektu z matką. Obiekt okazał silne emocje, nie dawał się uspokoić, kiedy treserzy odmówili mu kontaktu z nią. Incydent spowodował zniszczenie sprzętu laboratoryjnego.

Wnioski: W celu zapewnienia optymalnego szkolenia należy wyeliminować potencjalne przyszłe zaburzenia tego typu.

Podjęte działania: Matka obiektu zlikwidowana. Wprowadzono modyfikację do programu, mającą zapobiec w przyszłości interakcjom pomiędzy obiektami i ich matkami. Obiekty od początku znajdować się będą pod wyłączną pieczęą wyznaczonych treserów”.

Nie mogła czytać dalej, wzrok przesłoniły jej łzy. Odsunęła od siebie ze złością skoroszyt będący dowodem szaleństwa Dragosa.

- Zabiłem swoją matkę, Corinne - oświadczył Hunter zupełnie drewnianym głosem. Choć mówił obojętnie, po jego twarzy spłynęły dwie łzy. Zupełnie je zignorował.

- Nic podobnego. - Wyciągnęła rękę i z całą czułością, na jaką się ośmieliła, przesunęła kciukiem po mokrych śladach na jego policzkach. Miała wrażenie, że łamie jej się serce. - To Dragos to zrobił, nie ty.

- Moja matka nie żyje z mojego powodu, Corinne. Ponieważ ją kochałem.

W jego oczach była taka głębia żalu, że ledwie mogła znaleźć słowa pociechy. Nic, co powie, nie zmniejszy jego bólu.

Wiedziała z własnego doświadczenia, jak bezwzględny potrafi być Dragos, więc nie powinna czuć zaskoczenia, że uznał naturalne przywiązanie niewinnego dziecka do matki za słabość. Wade w jego sadystycznym programie, którą należało usunąć za pomocą zdecydowanej i ostatecznej akcji.

To, że Hunter się tego dowiedział i że uznał, że to jego wina, sprawiło, że miała ochotę gołymi rękami wyrwać Dragosowi jego czarne, zboczone serce i rozerwać je na kawałki.

Objęła mocno Huntera i przyciągnęła do siebie jego wielkie ciało. Pocałowała go w czubek głowy i gładziła lekko po plecach, przejmując na siebie rolę obrońcy, chroniąc go w swych ramionach. Hunter poddawał się temu w milczeniu.

- Nie zrobiłeś niczego złego - zapewniła go. - Miłość do kogoś nigdy nie jest zła.

Rozdział 28

Tego wieczoru, tuż po zmroku, w Bostonie zaczął padać śnieg. Płatki wielkości dziesięciocentówek, niesione przez zimny grudniowy wiatr, topniały na policzkach Chase'a i moczyły mu włosy. Przez mokre kosmyki opadające mu na oczy patrzył na samochody dostawcze, dowożące ostatnie zamówienia do posiadłości North Shore, należącej do senatora Roberta Clarence'a.

Nie wiedział dokładnie, jak doszło do tego, że kryje się teraz w cieniach naprzeciwko domu młodego polityka. Jego wrodzona ciekawość, podobnie jak nałóg krwi, nie dawała mu spokoju, choć w zasadzie nie miał powodów interesować się szpanerskim przyjęciem, które zapewne odbędzie się tu później.

Najwyraźniej miało to być wydarzenie towarzyskie sezonu, sądząc po wielkości dostaw i liczbie wypożyczonych nakryć. Kiedy się tu zjawił, na tyłach domu dwunastoosobowa orkiestra wypakowywała właśnie swe instrumenty. Dwudziestu kilku umundurowanych policjantów i poważnych agentów Secret Service zajęło stanowiska w strategicznych punktach terenu.

Chase przyglądał się krótko ostrzyżonym agentom w czarnych garniturach. Bobby Clarence był wschodzącą gwiazdą Kongresu, ale ochrona rządowa nie zjawiała się tu z jego powodu. Agentów było za dużo i za bardzo rzucali się w oczy, więc ich podopiecznym musiał być ktoś dużo ważniejszy. W pamięci Chase'a pojawiły się puste hasła kampanii do Senatu, które zasłyszał mimo woli. Clarence'a popierał wiceprezydent, wyśpiewujący hymny pochwalne na temat swego byłego studenta, który zrobił na nim wrażenie swymi zdolnościami, niezwykłą prawością i jankeską wrażliwością.

W umyśle Chase'a zaczęło się rodzić paskudne podejrzenie.

Dragos nie ukrywał przed swymi współpracownikami, że interesuje się senatorem Clarence'em. A jeśli tak naprawdę miał na oku kogoś, kto stoi dużo wyżej?

- Jezu Chryste - wymamrotał Chase pod nosem. A co, jeśli niektórzy z policjantów, pilnujących teraz rezydencji, to słudzy należący do Dragosa? Co go powstrzyma od wykorzystania tego przyjęcia do realizacji własnych planów?

Nie mógł ignorować ostrzeżenia swego instynktu. Coś złego zdarzy się dziś na tym przyjęciu, czuł to przez skórę. Senator albo jego ważny gość - dobry Boże, może nawet obaj -znajdą się dziś w niebezpieczeństwie. Mógłby dać za to głowę, choć ostatnio niewiele była warta.

Poczuł strach, który sięgał nawet głębiej niż pragnienie krwi. Przywołał swoje wrodzone zdolności i z ich pomocą wdarł się na teren rezydencji. Dla agentów i policjantów był niczym zimny powiew wiatru, tańczyła za nim fala śniegu, kiedy wślizgiwał się do domu przez wejście kuchenne.

Gdy tylko znalazł się w środku, zza rogu korytarza wyszło dwóch agentów w garniturach.

Chase zanurkował do spiżarni i zaczekał, aż agenci go miną. Jeden z nich zameldował dyspozytorowi, że piętro budynku zostało zabezpieczone, a potem wdał się z kolegą w dyskusję na temat wczorajszego meczu fubolowego, rozegranego przez drużyny uniwersyteckie. Chase odetchnął z ulgą, gdy obaj wyszli z domu i przyłączyli się do towarzyszy na zewnątrz.

Już miał wyjść ze spiżarni, kiedy jej drzwi otworzyły się gwałtownie, omal go nie uderzając.

- A sprawdzałeś tutaj, Joe? - Do spiżarni weszła młoda kobieta. Zwracała się przez ramię do kogoś, kto został na zewnątrz. Miała na sobie aksamitną suknię w kolorze burgunda, z długimi rękawami i stójką. Strój oblepiał jej silną, wysoką

postać jak czuły kochanek. Grzywa falujących włosów w odcieniu karmelu zatańczyła na jej ramionach, kiedy odwróciła głowę i weszła głębiej. - Ach. Tu są. Jeszcze dwie skrzynki pinot noir. Dokładnie tam, gdzie myślałam.

Chase zebrał wokół siebie cienie, gdy ta niezwykle piękna kobieta przeszła tuż koło niego i gestem nakazała śniademu mężczyźnie we fraku, by przyprowadził wózek.

Całą wieczność zabrało załadowanie skrzynek z drogim francuskim winem na wózek, choć Chase tak naprawdę nie miał nic przeciwko temu. Wprawdzie trudno było mu utrzymać cienie, doszedł jednak do wniosku, że szybko nie znudzi mu się patrzeć na tę pewną siebie i energiczną kobietę w czerwonej sukni.

Wreszcie druga skrzynka wylądowała na wózku, pobrzękując zawartością.

- Cy coś jeszcze, panno Fairchild? Kobieta spojrzała na zegarek.

- Dam ci znać, Joe. Dziękuję - odparła. Wyszła ze spiżarni za mężczyzną i wózkiem, a jej kształtny tyłeczek sprawiał zdecydowanie zbyt seksowne wrażenie u kogoś potrafiącego zachowywać się z takim zimnym profesjonalizmem. - Gdyby ktoś ze służby mnie potrzebował, to będę z orkiestrą. Chcę jeszcze raz przejrzeć wybrany repertuar. Powiedz wszystkim, żeby się szykowali. Goście senatora zaczną się zjawiać dokładnie za godzinę.

- Oczywiście, panno Fairchild - zapewnił Joe, zamykając za nią drzwi spiżarni.

Gdy tylko Chase znalazł się sam, rozproszył zebrane wokół siebie cienie. Oddychał szybko, miał wrażenie, jakby właśnie przebiegł maraton. Ręce mu się trzęsły, organizm domagał się pożywienia. Cholera. Był ledwie żywy, a przyjęcie jeszcze się nawet nie zaczęło.

Uchylił drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Kiedy zyskał pewność, że nie będzie żadnych niespodzianek, wyszedł i resztką

sił wbiegł na piętro. Znalazł pustą sypialnię na sprawdzonym już przez ochronę piętrze. Zamierzał tutaj zaczekać na przybycie gości senatora.

E-mail od Gideona czekał już na nich, kiedy wrócili do domu. Hunter zadzwonił do Bostonu, a Corinne siedziała obok niego i słuchała z mieszanką przerażenia i ekscytacji. Gideon poinformował Huntera, że część sekwencji numerycznej, uzyskana z jej wspomnień, dała interesujące wyniki.

Znalazł dwa trafienia w zaszyfrowanych danych przesłanych do kwatery. Złe wieści były takie, że jedno dotyczyło obiektu, na którym brak było aktywności przez ostatnie pięć lat. A dobre wieści? Drugi obiekt był aktywny.

Gideon przyłożył się trochę i odkrył powiązane z obiektem koordynaty GPS. Z pomocą satelity ustalił, że wskazują na małe miasteczko w zachodniej Georgii, jakieś siedemdziesiąt kilometrów od Atlanty. Gideon mówił niemal równie szybko, jak myślał, kiedy przekazywał Hunterowi dane. Był zdania, że za kilka godzin uda mu się wydobyć coś większego z materiałów uzyskanych z magazynu Henry'ego Vachona.

Choć była to intrygująca perspektywa, dająca możliwość wymierzenia ciosu w operację Dragosa, Hunter był bardziej zainteresowany bieżącymi ustaleniami.

Corinne milczała, pogrążona w myślach, kiedy zegnali się pośpiesznie z Amelie Dupree i ruszali ciężarówką w długą drogę. Od tego czasu minęło już kilka godzin. Jechali teraz przez Alabamę, kierując się ku drodze międzystanowej numer 85. Hunter uznał, że zdoła dojechać do granicy Karoliny Północnej, nim słońce wzejdzie i zmusi go do szukania schronienia.

A potem jeszcze szesnaście godzin i Corinne znajdzie się bezpiecznie z powrotem w Mrocznej Przystani Reichena na Rhode Island.

Oczywiście ona o tym nie wiedziała.

Zataił przed nią wcześniej ten szczegół, uważając, że lepiej będzie porozmawiać z nią w cztery oczy, kiedy już ruszą. Teraz jednak trudno mu było znaleźć właściwe słowa.

Świadomość, jak bardzo ją rozczaruje i zrani, była jeszcze trudniejsza po współczuciu, jakie mu okazała wcześniej. W głowie nadal miał mętlik po przeczytaniu dziennika obserwacji. Wciąż czuł się wytracony z równowagi, jakby zgubił punkt ciężkości i nie mógł go odnaleźć.

Ale tylko wtedy, gdy nie myślał o tym, jak go obejmowała.

Jakby wyczuwając jego wewnętrzną walkę, oderwała wzrok od wydrukowanej z Google mapy, którą trzymała na kolanach, i spojrzała na niego pytająco.

- Czy wszystko w porządku?

Kiedy kiwnął głową, odniósł wrażenie, że ujawnił słabość i ona zaraz go przejrzy.

- Nic nie mówisz, odkąd wyjechaliśmy z Nowego Orleanu. Jeśli czegoś potrzebujesz....

- Nie - przerwała mu, kręcąc głową. - Nic nie mówię, ponieważ jestem zdenerwowana. I przestraszona. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę jedziemy go szukać, że naprawdę szukam Nathana.

Wymówiła imię syna z takim uczuciem i nadzieją, że ścisnęło mu się serce. Przy Corinne nauczył się bardzo wielu uczuć, ale palące poczucie winy, że ją oszukuje, okazało się trudne do zniesienia. Odchrząknął i postanowił powiedzieć jej prawdę.

- Nie ma pewności, że twój syn faktycznie przebywa w miejscu ustalonym przez Gideona. Poza tym kierujemy się teraz bardziej na północ. Odwożę cię na Rhode Island, do Mrocznej Przystani Andreasa i Claire.

- Co ty mówisz? - Aż otworzyła usta ze zdumienia. - Jak to, nie jedziemy do Atlanty?

- To byłoby dla ciebie zbyt niebezpieczne. Kiedy znajdziesz się u Andreasa i Claire, wrócę sam sprawdzić ten trop. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

Nagle poczuł w żyłach jej gniew, przekazany mu przez więź krwi.

- Kiedy zamierzałeś mnie o tym poinformować? Dopiero po odstawieniu mnie na próg Mrocznej Przystani?

- Przepraszam. - Naprawdę było mu przykro. - Rozumiem, że tego nie chcesz, ale zamierzam zapewnić ci bezpieczeństwo i oszczędzić niepokoju i rozczarowania.

- On tam jest, Hunterze - odparła. - Czuję to. Nathan tam jest.

Hunter oderwał wzrok od drogi i spojrzał na tę piękną, opiekuńczą matkę, która z pewnością rzuciłaby się w ogień karabinów maszynowych, gdyby uznała, że to ocali jej dziecko. Ta myśl kazała mu się zastanowić.

- Mamy bardzo niewiele danych, Corinne. Równie dobrze trop może prowadzić do innego zabójcy Dragosa, a nie do twojego syna.

Odwróciła się na siedzeniu.

- Opierając się na tej samej logice, możemy też założyć, że to jest mój syn.

- Tym bardziej nie chcę, żebyś tam jechała. - Westchnął bezradnie. - Jeśli to on, ta sprawa nie skończy się dobrze.

- Skąd wiesz? - spytała gwałtownie. - Jak możesz być tego taki pewien, skoro...

Rzucił na nią jeszcze jedno spojrzenie i uświadomił sobie, że to, co teraz powie, może zniszczyć wszystko, co razem zbudowali przez kilka dni.

- Po prostu wiem, Corinne. Wiem, jak rozegra się twoje spotkanie z synem. Ta mała dziewczynka w kwaterze Zakonu...

- Mira? - zapytała zdumiona. Zmarszczyła cienkie czarne brwi. - Co ona ma z tym wspólnego?

- Widziałem w jej oczach wizję - odrzekł. - Wizję dotyczącą ciebie, twojego syna... i mnie.

- Co? - Corinne spojrzała na niego, jakby właśnie zadał jej cios w splot słoneczny. Choć była wyraźnie zaskoczona, w jej

cichym, spokojnym głosem pojawiła się nuta zrozumienia. - Powiedz mi, co się dzieje, Hunterze. Czy Mira zobaczyła coś, nim wyjechaliśmy z kwatery?

- Nie. To było wiele miesięcy temu - wyznał. - Na długo, zanim się poznaliśmy.

Kiedy teraz na nią spojrzął, miał wrażenie, że jest chora. W przyćmionym świetle w kabinie ciężarówki widać było, jak bardzo zbladła. Oskarżenie w jej oczach cięło go jak nóż.

- O czym ty mówisz? Co wiesz o Nathanie? Wiesz, że go znajdziemy? Czy Mira przewidziała, jak to się dzisiaj skończy?

Hunter milczał. Najwyraźniej nie była w stanie tego znieść.

- Zatrzymaj - zażądała. - Natychmiast zatrzymaj samochód!

Zjechał na pobocze prowadzącej na północ trzypasmów-ki. Żwir zazgrzytał pod kołami. Zaparkował i odwrócił się do Corinne. Nie patrzyła na niego. Nie musiał widzieć jej oczu, by wiedzieć, że są pełne bólu, niedowierzania i zagubienia.

- Przez cały czas wiedziałeś coś o moim synu, i to jeszcze nim zawiozłeś mnie do Detroit?

- Nie wiedziałem, że wizja dotyczy twojego dziecka. Kiedy ją zobaczyłem w oczach Miry, nie wiedziałem nawet, kim jesteś. To wszystko nie miało dla mnie sensu.

Corinne spojrzała na niego przenikliwym wzrokiem.

- Co dokładnie widziałeś?

- Ciebie - odparł. - Widziałem, jak płaczesz i prosisz mnie, żebym darował życie temu, który jest dla ciebie wszystkim. Błagałaś mnie, żebym się wstrzymał.

Przełknęła z trudem. Mijały ich samochody.

- I co zrobiłaś... w tej wizji?

Słowa nadeszły powoli, pełne goryczy.

- To, co musiałem. Prosiłaś o niemożliwe. Gwałtownie wciągnęła powietrze i sięgnęła do klamki.

Mógł siłą umysłu zamknąć zamek i zatrzymać ją w samocho-

dzie, ale się powstrzymał. Wskoczył z ciężarówki i poszedł za nią, kiedy ruszyła oświetlonym blaskiem księżycy poboczem.

- Corinne, proszę, spróbuj zrozumieć.

Była zraniona i pełna gniewu, cała aż się trzęsła.

- Okłamałeś mnie! - Ryk przejeżdżających samochodów zaczął narastać. Najwyraźniej uruchomił się jej dar sonokinezy. - Wiedziałeś to wszystko... przez cały czas, jaki spędziliśmy razem, i nic mi nie powiedziałeś? Jak mogłeś?

- Nie wiedziałem, kogo próbujesz chronić. Nie wiedziałem, kiedy przepowiedziane zdarzenia mają się rozegrać. Może za kilka lat? To mogło znaczyć wszystko. Nim coś ci powiedziałem, musiałem sam to zrozumieć.

Szybkim pasem ruchu przemknęła wielka ciężarówka, a od jej ryku zatrzęsła się ziemia. Corinne słuchała cierpliwie, jak próbuje jej wyjaśnić coś, co jemu samemu też wydawało się nie do obrony.

- Niczego nie rozumiałem, póki mi nie powiedziałaś o swoim synu.

Zamknęła na chwilę oczy, potem spojrzała na gwiazdy i wreszcie zwróciła na niego pełne łez spojrzenie.

- Ale potem, po wszystkim, co zaszło między nami - po tym, jak się kochaliśmy, jak wzięłaś moją krew - i tak nie przekazałaś mi, co wiesz.

- Wtedy za bardzo zależało mi na tobie, żeby ranić cię prawdą - odrzekł.

Pokręciła głową, najpierw powoli, a potem z coraz większą energią.

- Ufałam ci! Czułam, że tylko tobie mogę zaufać. I pomyśleć, że byłam na tyle głupia, żeby się w tobie zakochać!

Wraz z jej złością rósł hałas samochodów na autostradzie. Nad ich głowami pękła latarnia, iskry posypały się na nich. Hunter odciągnął Corinne na bok i przytulił, choć płakała i się wyrywała. Przycisnął usta do jej czoła. Zmusił ją, żeby na

niego spojrzała, żeby zajrzała mu w oczy i zobaczyła kolejną prawdę, którą przed nią ukrywał.

- Ja też cię kocham, Corinne.

- Nie - szepnęła. - Nie sędzę, żebyś był do tego zdolny. Ujął ją pod brodę i unióś w górę jej twarz. Pocałował jej otwarte, protestujące usta.

- Kocham cię. Uwierz mi. Jesteś jedyną kobietą, którą pragnę kochać. Chcę twego szczęścia. Ono wiele dla mnie znaczy.

- Więc nie możesz mnie odsyłać, jeśli istnieje szansa, że moje dziecko przebywa raptem kilka godzin jazdy stąd.

Hunter zmarszczył brwi. Wiedział, że przegrywa. Niewykluczone, że było to pierwsze starcie, jakie kiedykolwiek przegrał.

- Wizje Miry zawsze się sprawdzają - przypomniał jej, naj-łagodniej, jak potrafił. - Jeśli pojedziesz ze mną i znajdziemy twojego syna, czy będziesz w stanie mi wybaczyć?

- Jeśli naprawdę mnie kochasz, tak jak ja kocham ciebie, to powinno wystarczyć do zmiany wizji. - Zaczęła się uspokajać, a równocześnie cichł ryk samochodów przejeżdżających autostradą. Po chwili zmienił się tylko w szum w tle. Za nimi, na poboczu, stała ciężarówka. Jej silnik pracował na wolnych obrotach. Corinne wyciągnęła niepewnie rękę i położyła dłoń na jego piersi, tam gdzie biło mocno jego serce. - Może nasza miłość zdoła przełamać wizję?

- Może - powiedział, żałując, że nie jest w stanie w to uwierzyć.

Wierzył natomiast, że jeśli teraz ją odeśle, znienawidzi go, bez względu na to, co znajduje się w miejscu wskazywanym przez sygnał GPS. Gdyby to zrobił, zrujnowałby jej nadzieję i zdradził jej zaufanie.

Ujął jej rękę. Razem wrócili do ciężarówki i do tego, co czekało na nich na końcu drogi.

Rozdział 29

Przyjęcie w domu senatora trwało w najlepsze od dwóch i pół godziny. Chase zaczynał się nudzić.

Ze swej kryjówki na ciemnym podeście schodów obserwował z góry tłum bawiących się ludzi. Elegancko ubrani ważniacy przechadzali się po sali i rozmawiali, śmiali się i prawili sobie komplementy, polując na drinki i przystawki. Ich pozbawionym głębszego sensu rozmowom towarzyszyła muzyka dwunastoosobowej orkiestry, wesoła składanka popularnych melodii i utworów klasycznych.

Chase mimowolnie podążył wzrokiem za ubraną w czerwoną suknię piękną, która krążyła na skraju przyjęcia, niczym kwoka opiekująca się pisklętami. Panna Fairchild wyszukiwała podpieraczy ścian, po czym obdarowywała ich czarującym uśmiechem i kilkoma minutami ciekawej rozmowy. Potem przedstawiała ich innym ludziom, wciągała do większych grup i zostawała u ich boku, póki się nie zintegrowali. Następnie ruszała szukać kolejnych nieudaczników.

Odgadywał z jej zachowania, że pracuje dla senatora Clarence'a, choć intrygowało go, czy jej zakres obowiązków u tego polityka kawalera obejmuje coś jeszcze poza planowaniem przyjęć. Może ta stójka i profesjonalne zachowanie to tylko pozory? Nie wyglądała teraz na taką zimną. Może była równie zmysłowa jak jej obcisła suknia?

Tak, a może on traci czas, tkwiąc tutaj jak jakiś Quasimodo? Mógłby robić bardziej interesujące rzeczy w mieście.

Jego podejrzenia potwierdzał bolesny skurcz żołądka.

Chase popatrzył niecierpliwie w dół i zauważył senatora, krążącego wśród gości. Był taki układny. Profesjonalny ściskacz rąk, całowacz pomarszczonych policzków, pozowacz do

zdjęć. Widać było, że czar i ogłada szybko zaprowadzą go na wyższe stanowisko. Bez wątpienia Dragos zauważył w nim to samo. Chase bał się myśleć, co to może oznaczać dla Zakonu, jeśli jego główny wróg zacznie się zajmować szychami w ludzkim rządzie.

Na dole nagle zrobiło się poruszenie. Głównym wejściem weszło dwóch agentów Secret Service, trzech kolejnych otworzyło podwójne drzwi z wiśniowego drewna i przytrzymało je przed honorowym gościem przyjęcia. Kolejna para agentów pilnowała tyłów.

Chase już odgadł, kim będzie nowo przybyły, ale puls i tak przyspieszył mu pod wpływem złych przeczuc, kiedy senator Clarence ruszył na spotkanie wiceprezydenta. Goście zaczęli klaskać, kiedy ci dwaj uśmiechnęli się do siebie i objęli ramionami, a potem rozpoczęli obchód wyczekującego tłumu.

Chase zauważył kątem oka, że ktoś wchodzi na górę. Widać uruchomiono dodatkowe środki ochrony, skoro do rezydencji wszedł drugi człowiek w państwie. Uzbrojony agent zajął pozycję po drugiej stronie długiego podestu i zgłosił swoją gotowość przez mikrofon przypięty do klapy czarnego garnituru. Chase wycofał się w mrok korytarza.

Kiedy to robił, odniósł wrażenie, że zauważył w tłumie aż nazbyt znajomą twarz. Twarz, która na pewno nie pasowała do tego przyjęcia.

Agent Secret Service stał na drugim końcu podestu i się rozglądał. Wyszkolono go tak, by zauważał wszystko, co mogłoby wzbudzić podejrzenia. Ale nie wyczuł niebezpieczeństwa, które było oczywiste dla Chase'a. Nie miał pojęcia, że jeden z gości na tym przyjęciu nie jest człowiekiem.

Chase ściągnął do siebie cienie i podkradł się do barierki, żeby znów spojrzeć w tłum.

Do diabła, pomyślał, potwierdziwszy sobie najgorszy scenariusz.

To naprawdę był Dragos.

Wiceprezydent szedł wraz z senatorem przez podniecony tłum.

Wkrótce dotarli do Dragosa. Rozmawiali we trzech przez chwilę, śmiejąc się i ściskając sobie ręce, a potem ruszyli razem w stronę prywatnego gabinetu, przylegającego do sali balowej.

Cholera.

Nie.

Nie. Nie. Nie.

Chase wiedział, że nie może pozwolić Dragosowi udać się w ustronne miejsce z którymś z tych ważnych ludzi. Nie może do tego dopuścić.

Ogarnęło go niezdecydowanie. Przez chwilę walczył, by utrzymać wokół siebie cienie, i śledził wzrokiem ruchy Dragosa. Instykt wampira kazał mu skoczyć z podestu i zaatakować - zabić tego drania, nim ktoś się zorientuje, co się stało. Ale zrobić to, oznaczało ujawnić publicznie, że nie jest człowiekiem. Gdyby chodziło tylko o niego, nie wahałby się ani chwili, ale konsekwencje byłyby nieodwracalne i zbyt dalekosiężne.

Może mógłby wywołać jakieś zamieszanie, spowodować wybuch paniki? Zrobić coś, żeby ochrona wiceprezydenta zabrała go stąd i ochroniła przed zakusami Dragosa?

Poczuł nagle, że jego dar mu się wymyka.

Cienie rozproszyły się jak mgła i stał teraz w pełnym świetle.

W tej samej chwili panna Fairchild spojrzała w górę, prosto na niego. Natychmiast skinęła na jednego z ludzi w czarnych garniturach i pokazała go ręką. Mężczyzna powiedział coś do mikrofonu i agenci zaczęli się zbiegać ze wszystkich stron.

O Chryste.

Tymczasem Dragos niemal już dotarł z senatorem i wiceprezydentem do drzwi gabinetu.

Chase jednym skokiem znalazł się przy agencji Secret Service stojącym na podeście. Zajęło mu sekundę pozbawienie go przytomności i zabranie mu broni z kabury. Wystrzelił

raz w powietrze. Z sufitu posypała się na dół chmura tynku, a wśród gości wybuchła panika.

Ludzie krzyczeli i biegali we wszystkie strony, szukając osłony.

Wszyscy z wyjątkiem panny Fairchild. Stała nieruchomo w samym środku tego szaleństwa, patrząc prosto na niego. Jej oczy wbijały się w niego jak dwa jasnozielone lasery.

Chase skupił się na Dragosie. Popatrzył na niego z równie wielką nienawiścią jak ta, która płonęła bursztynem w oczach jego wroga, i wystrzelił, nim Dragos miał szansę uskoczyć. Strzał trafił go w pierś, powalając na ziemię.

Na Chase'a posypał się grad kul, padały ze wszystkich stron.

Dragos leżał nieruchomo i krwawił. Nie żył albo umierał, przynajmniej Chase miał taką nadzieję. Choć nie mógł mieć pewności.

Podbiegł do najbliższego okna i wyskoczył przez nie bez wahania. Kiedy leciał w powietrzu, poczuł nagły ból w udzie, a potem w ramieniu. Odsunął go od siebie i wylądował miękko na pokrytym śniegiem trawniku.

Słyszał tupot biegnących i szcęk przeładowywanej broni.

Poderwał się z ziemi i zaczął uciekać.

Dragos leżał, tam gdzie upadł, krwawiąc z rany brzucha wprost na podłogę sali balowej senatora Bobby'ego Clarence'a. Wokoło panował chaos, słychać było krzyki. Przerażeni goście rozbiegli się jak stadko kur, a agenci Secret Service rzucili się ewakuować senatora i wiceprezydenta w bezpieczne miejsce.

Niech będzie przeklęty Zakon.

Jakim cudem go znaleźli? Jakim cudem dowiedzieli się, że będzie właśnie tutaj?

Dragos położył rękę na ranie, słuchając odgłosów masowej hysterii. Choć rana była poważna, nie miał wątpliwości, że

przeżyje. Kula przeszła przez ciało na wylot, a krwawienie już ustawało. Właściwa Rasie zdolność regeneracji już naprawiała zniszczenia.

Przez tłum przepchnęło się dwóch agentów w garniturach i kilku policjantów. Jeden z agentów mówił coś cicho i z naciskiem do mikrofonu. Drugi przykląkł obok Dragosa wraz z dwoma wyraźnie zaniepokojonymi policjantami.

Dragos spróbował usiąść, ale agent Secret Service przytrzymał go ręką za ramię.

- Proszę zachować spokój. Wszystko jest pod kontrolą. Pomoc będzie tu za kilka minut.

Nie czekał na odpowiedź. Pewien, że jego polecenie zostanie wykonane, podniósł się i podszedł do swojego towarzysza, pozostawiając na miejscu dwóch policjantów. Obok przemknęło kilku gości, przyciskali ręce do ust na widok kałuży krwi.

Dragos chrząknął, pełen pogardy dla paniki tych ludzi. Gardził nimi niemal równie mocno jak tym durniem z Zakonu, który jednym głupim strzałem zdołał mu popsuć miesiące przygotowań. To duma, a nie ból kazała mu zacisnąć usta w cienką linię, raczej furia niż strach kazała mu zacisnąć zęby tak mocno, że cud, że nie złamał sobie szczęki. Jego dźiąsła pulsowały, kły wysuwały się z nich, wypełniając usta. Jego wzrok, zawsze niezwykle dobry, wyostrzył się jeszcze bardziej, kiedy skraj jego pola widzenia wypełnił bursztynowy blask.

Musiał się stąd wydostać, i to szybko.

Nim jego wściekłość zdradzi publicznie, kim jest naprawdę.

Rzucił okiem na policjantów i stwierdził, że jeden to jego sługa. Przykucnął nad nim i wyraźnie czekał na rozkazy, jak gorliwy pies.

- Powiedz mojemu kierowcy, żeby podjechał od tyłu - powiedział cicho. Sługa pochylił głowę, chłonąc każde słowo. -I zrób coś, żeby usunąć stąd tych ludzi.

- Tak, panie.

Sługa wstał. A kiedy odwrócił się, by wykonać rozkaz, wpadł na Tavię Fairchild. Stała tam, zupełnie nieruchomo, a jej bystre spojrzenie wędrowało to na policjanta, który omal jej nie przewrócił, to na Dragosa, patrzącego na nią z pełnym zachwytem, ale ostrożnym zainteresowaniem. Choć zapewne była tu tylko chwilę, tyle wystarczyło. Słyszała jak sługa zwrócił się do Dragosa. Widział to w lekkim pochyleniu jej głowy, w leciutkim zmarszczeniu brwi. Wyraźnie próbowała zrozumieć coś, co przerastało nawet jej bystry umysł.

- Przepraszam, proszę pani - wymamrotał sługa, schodząc jej z drogi i niezgrabie się kłaniając. Spojrzał na Dragosa i odchrząknął. - Panie Masters, zaraz wrócę.

Dragos kiwnął głową, nadal wpatrując się w Tavię Fairchild. Dźwignął się do pozycji siedzącej. Wysilek sługi, by ukryć swoją wpadkę, najwyraźniej przekonał piękną asystentkę senatora. Kiedy policjant odszedł, jej zaskoczenie zmieniło się w troskę.

- Wezwano już karetkę, jest w drodze - odezwała się do Dragosa. Nagle urwała i zbladła, cały kolor odpłynął z jej twarzy, kiedy ujrzała krew na jego jedwabnej koszuli frakowej i na podłodze. Zachwiała się lekko, przyciskając ręce do brzucha. Spojrzała mu w oczy zapewne tylko po to, żeby nie patrzeć na ranę, i lekko pokręciła głową. - Przepraszam. Trochę kręci mi się w głowie. Nie radzę sobie dobrze w takich sytuacjach. Potrafię zemdleć na widok obtartego kolana.

Dragos pozwolił sobie na uśmiech.

- Trudno wymagać od kogoś doskonałości pod każdym względem, panno Fairchild.

Zmarszczyła brwi, wyraźnie skrepowana. Przynajmniej dzięki własnej słabości zapomniała o bezmyślnej uwadze sługi. Wyprostowała ramiona, znów wchodząc w rolę profesjonalistki.

- Właśnie widziałam się z senatorem i wiceprezydentem. Żaden z nich nie został ranny. Znajdują się pod ochroną agen-

tów Secret Service. Oczywiście bardzo się niepokoją pańskim losem.

- Bez potrzeby - zapewnił ją Dragos. - Jestem pewien, że rana wygląda na dużo poważniejszą, niż jest w istocie. - Żeby jej to zademonstrować, zaczął się podnosić z podłogi.

- Och, nie powinien pan... - Podskoczyła, żeby mu pomóc, ale okazało się, że sama ledwie trzyma się na nogach. Jej twarz znowu bardzo zbladła.

- Nic mi nie będzie - zapewnił ją Dragos. Kiedy to powiedział, sługa policjant wrócił do sali balowej i zajął miejsce Tavii u jego boku. Poinformował go, że samochód czeka na tyłach domu, tak jak prosił.

- Chyba powinien pan poczekać na ratowników - zagadnęła Tavia, patrząc na niego z niedowierzaniem. - Został pan postrzelony, panie Masters. Stracił pan masę krwi.

Lekko pokręcił głową i z pomocą sługi zrobił kilka kroków.

- Proszę mi wierzyć, trzeba dużo więcej, żeby mnie unieruchomić.

Nie wyglądała na przekonaną.

- Powinien pan trafić na ostry dyżur.

- Zajmą się mną moi lekarze - odparł niespieszony, pozwalając słudze i drugiemu policjantowi prowadzić się w stronę wyjścia. - Poza tym ma pani inne ważne sprawy na głowie, panno Fairchild.

Wskazał ręką otwarte frontowe drzwi oraz dziennikarzy i wozy transmisyjne, które już zaczęły się gromadzić na podjeździe. Tavia Fairchild obciągnęła swą czerwoną suknię i uniosła głowę, wyraźnie szykując się na atak dziennikarzy. W oddali słychać było syreny nadjeżdżającej karetki.

Odchodząc, Dragos usłyszał jej ciche przekleństwo, ale kiedy na nią spojrział, już szła na spotkanie tłumu sepów, spokojna jak posąg.

- Czy to prawda, że snajper ukrywał się w domu senatora? - krzyknął ktoś do niej.

- Gdzie są teraz wiceprezydent i senator? - pytał inny dziennikarz.

Rozległy się kolejne niespokojne pytania, jedno po drugim.

- Czy próbowano zabić senatora Clarence'a? Czy są powody przypuszczać, że celem zamachu był wiceprezydent?

- Czy to był akt terrorystyczny?

- Czy ktoś widział zamachowca?

- Czy to prawda, że za atak odpowiada jedna osoba?

- Czy policja albo Secret Service wiedzą, kto mógł to zrobić i dlaczego?

Dragos uśmiechał się do siebie, wychodząc tylnym wejściem. Być może dzisiejsze wydarzenia okażą się dla niego użyteczne. Być może te gorączkowe pytania i paraliżujący strach są dokładnie tym, czego potrzebuje, by wbić ostatni gwóźdź do trumny Zakonu?

Kula, która go dziś trafiła, chybiła tak naprawdę celu, a on był gotów odpowiedzieć ogniem.

Kiedy wsiadał do czekającej limuzyny, wyciągnął z kieszeni smokingu pochłapaną krwią komórkę. Koniec zwlekania i czekania na odpowiednią chwilę. Czas się pozbyć Zakonu raz na zawsze.

Kiedy czekał na połączenie z linią naziemną w północnym Maine, przyglądał się przez przyciemniane okna limuzyny, jak Tavia Fairchild stoi w światłach tuzina kamer, spokojnie zwracając się do rozgorączkowanego tłumu.

Gdy zapewniała dziennikarzy, że wszystko jest pod kontrolą, Dragos dał zielone światło misji, która już wkrótce wprawi w histerię całe miasto.

Rozdział 30

Minęła już czwarta rano, kiedy dotarli do miejsca, które wskazał im Gideon. Corinne była wyczerpana długą jazdą i trudną konfrontacją z Hunterem, do której doszło kilka godzin temu.

Ale sama myśl, że wreszcie tu są - kilkaset metrów od starej chaty nad brzegiem rzeki, gdzie mógł przebywać Nathan - sprawiała, że nerwy miała pobudzone do granic wytrzymałości.

Wcześniej była zdenerwowana i niecierpliwie wyczekiwała chwili, kiedy spojrzy na syna i obieca mu inne życie, teraz jednak ogarnęło ją równie wielkie przerażenie. Wizja Miry zmieniła wszystko. Opisana przez Huntera rola, jaką będzie zmuszony odegrać, sprawiła, że zaczęła wątpić we wszystko, czego wcześniej była taka pewna.

We wszystko prócz miłości Huntera.

To była jedyna rzecz, której mogła się trzymać. Kiedy wyłączał silnik ciężarówki, siedzieli w milczeniu w ciemnym pojeździe, patrząc na słabo oświetloną chatę widoczną wśród otaczającej ją puszczy.

- Przrzekasz, że zaraz wrócisz? - spytała. Przywiózł ją tutaj, ale stanowczo odmówił zabrania jej ze sobą do chaty. - Proszę, uważaj na siebie.

Kiwnął głową i przyczepił do uda pochwę z dwoma nożami. Koszula z długim rękawem, którą uprała i wysuszyła u Amelie, dopełniła jego przemiany na powrót w wojownika, który eskortował ją nie tak dawno temu z Bostonu do Detroit.

Ale teraz Hunter daleki był od stoicyzmu i obojętności. Jego złociste oczy patrzyły na nią czule. Przyciągnął ją do siebie bliżej, żeby ją pocałować.

- Kocham cię - powiedział namiętnie. - Nie chcę, żebyś się martwiła.

Kiwnęła głową.

- Ja też cię kocham.

- Zostań w ciężarówce. Nie pokazuj się, póki nie wrócę. -Pocałował ją znowu, tym razem mocniej. - To nie potrwa długo.

Nie dał jej czasu na protesty. Wysiadł z ciężarówki i zniknął w ciemności.

Corinne została sama. Natychmiast pożałowała, że dała się przekonać. A jeśli Hunter zostanie odkryty, nim będzie miał szansę stwierdzić, czy Nathan tu mieszka? Jak długo powinna czekać, nim...

Ciszę nocy przerwały strzały.

Corinne podskoczyła. Przed sobą ujrzała rozbłyśki pomarańczowego światła, huk wystrzału odbijał się od drzew jak grom.

- O mój Boże, Hunterze...

Nim zdążyła pomyśleć, już wyskakiwała z szoferki i biegła ku chacie. Nie miała żadnego planu, nie miała pojęcia, co zrobi, kiedy się tam znajdzie. Chciała tylko wiedzieć, że Hunterowi nic się nie stało. Choć wydawał się niepokonany, jej serce należało do niego i nic nie mogło jej powstrzymać.

Kiedy zbliżyła się do chaty, poczuła zapach prochu. Na ganku leżał martwy człowiek, na piersi trzymał dymiącą strzelbę. Jego twarz zamarła w wyrazie zdumienia. Miał skrzyżowany kark.

Hunter.

Był tutaj.

Musiał wejść do chaty.

Corinne zakradła się ostrożnie do środka. Natychmiast usłyszała odgłosy walki, toczącej się gdzieś pod jej nogami. Znalazła wejście do piwnicy, a kiedy rozważała, czy powinna tam zejść, drzwi nagle zostały wyłamane. Wokoło poleciały drzazgi drewna.

Siła odrzutu cisnęła ją na ścianę. Kiedy otworzyła powieki, ujrzała przed sobą oczy identyczne jak swoje - zielononie-bieskie w kształcie migdałów. Należały do chłopca, smukłego

i muskularnego. Miał jakieś sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, a jego piękna twarz nie straciła jeszcze wszystkich cech dziecka, nadal była okrągła i delikatna.

Uświadomiła sobie, że to jej syn. Choć było chłodno, był ubrany w szare, zawiązywane w pasie spodnie od dresu i białą koszulkę bez rękawów. Głowę miał ogoloną na łyso, skórę pokrytą dermaglifami. Jego szyję okalała gruba czarna obroża.

- Nathan - sapnęła zdumiona.

Chłopiec przechylił głowę, nie zmieniając wyrazu twarzy. Nie poznawał jej.

Jednak krótkie wahanie drogo go kosztowało, ponieważ teraz w pokoju znalazł się również Hunter. Poruszał się szybciej, niż oczy Corinne były w stanie zarejestrować, zupełnie jakby zmaterializował się za Nathanem.

Refleks chłopca okazał się równie szybki. Odwrócił się do Huntera, a potem, poruszając się z taką samą niesamowitą szybkością jak on, sięgnął ręką i chwycił długi stalowy pogrzebacz, zawieszony obok paleniska.

Ale zamiast nim zaatakować, uderzył nim w metalową rurę odprowadzającą spaliny.

Brzęk odezwał się wibracją w całej chacie. Zamiast cichnąć, stawał się coraz głośniejszy. Corinne wyczuła moc Natha-na - swój dar, przekazany dziecku za pośrednictwem genów. Wzmacniał siłą umysłu fale dźwiękowe.

Choć od początku wiedziała, że to jej syn, teraz zyskała pewność. To był on. Jej Nathan.

Tymczasem chłopiec wykorzystywał swój dar przeciwko Hunterowi, za pomocą fali dźwiękowej usiłując rzucić przeciwnika na kolana. Hunter zacisnął zęby, sięgnął na jego szyi napięły się jak baty. Próbował odciąć się od hałasu.

- Nathan przestań! - krzyknęła Corinne, ale jej głos utonął w przenikliwym brzęczeniu. Spróbowała stłumić dźwięk za pomocą własnego daru, ale chłopak kontrolował go dużo lepiej. Nie mogła go uciszyć.

Nathan rzucił się na Huntera, a w jego bezlitosnych oczach mignęła chęć mordu. Zaczął uderzać pogrzebaczem, każdy z tych ciosów mógłby rozwalić Hunterowi czaszkę, gdyby trafił celu.

Corinne uświadomiła sobie nagle, że Hunter ogranicza się do robienia uników. Nie zadawał ciosów, choć mógł bez trudu powalić chłopaka. Mógł go zabić, gdyby taki był jego zamiar. Tymczasem tylko się bronił, niczym doświadczony lew alfa, który cierpliwie odgania małego lewka, sprawdzającego swoją siłę. To było jednak dużo bardziej niebezpieczne niż zabawa; Corinne świetnie zdawała sobie z tego sprawę. Hunter również, a jednak nie próbował zrobić chłopakowi krzywdy.

Nigdy jeszcze nie kochała go tak bardzo, jak w tej chwili.

Nathan wciąż ponawiał ataki, nieustępliwie i planowo, tak jak go wyszkolono. Corinne jeszcze raz spróbowała opanować falę akustyczną. Objęła dźwięk umysłem i starała się nagiąć go do swej woli.

Nathanowi udało się trafić Huntera pogrzebaczem w ramię. O Boże. Umrze, jeśli któremuś z nich coś się stanie. Skup się.

Skoncentrowała się na dźwięku, zaczęła go kształtować, odbierać nad nim kontrolę Nathanowi, zajętemu Hunterem. Wreszcie jej się udało.

Zebrała dźwięk, ukształtowała... a potem cisnęła siłą woli w syna.

Poderwał gwałtownie głowę. Spojrzał na nią, w jego oczach pojawiło się zdumienie. Mogła wyczytać w nich pytanie. Kim jesteś?

Ale to go tak naprawdę nie obchodziło.

Zaatakował ją dźwiękiem, uderzając całą mocą swego daru. Corinne krzyknęła i chwyciła się za głowę. Miała wrażenie, że zaraz popekają jej bębunki w uszach. Padła na kolana.

W tej samej chwili usłyszała ryk Huntera i ujrzała, jak jego twarz wykrzywia furia. Jej oczy zarejestrowały tylko mgnienie ruchu, kiedy zamierzył się pięścią i wyprowadził cios.

Nie! - krzyknęło jej serce. Nie!

- Nie! - krzyknęła i uświadomiła sobie nagle, że hałas ucichł.

Hunter pochylał się nad nią.

- Jesteś ranna? Corinne, proszę, powiedz coś.

- Gdzie jest Nathan? - jęknęła. Zamrugała i spojrzała na Huntera pełna obaw, co zobaczy w jego twarzy. Ale były w niej tylko ciepło i troska.

- Nic mu nie będzie. - Przesunął się, żeby mogła zobaczyć syna. Leżał na podłodze, jakby spał. - Ogłuszyłem go, to wszystko. Chodź teraz ze mną. Zabiorę go stąd.

- Miro, nie odchodź nigdzie daleko. Niko i ja chcemy cię widzieć.

- Dobrze, Rennie! - zawołała Mira, niknąc w ciemności ogrodów przy rezydencji Zakonu. Śnieg chrzęścił pod jej butami. Obejrzała się na Kellana Archera i przewróciła oczami. - Uważają mnie za dziecko.

Jego skafander w kolorze oliwki zaszeleścił, kiedy wzruszył ramionami.

- Bo jesteś dzieckiem.

Zatrzymała się i położyła na biodrach ręce w rękawiczkach. Popatrzyła na niego, marszcząc brwi.

- Na wypadek gdybyś nie wiedział, Kellanie Archerze, to mam już osiem i pół roku.

Kąciki jego ust zadrgały, jakby powiedziała coś zabawnego. To był prawie uśmiech, pierwszy, jaki u niego widziała, więc choć nie rozumiała, co go tak rozbawiło, ruszyła energicznie dalej u jego boku. Szli za psami, które pognały za patykiem rzuconym przez Kellana. Mira musiała co chwilę podbiegać, żeby dotrzymać mu kroku. Czuła się trochę jak mały terier, Harvard, biegnący za wielkim wilczurem, Luną. Nie mogła nadążyć za długimi krokami chłopaka, ale robiła dwa kroki na każdy jego jeden, nie chcąc zostać w tyle.

- A ty ile masz lat? - spytała. Jej oddech zmieniał się w małe obłoczki pary.

Znów wzruszył ramionami.

- Czternaście.

- Och! - Mira obliczyła w myślach różnicę. - No to jesteś dość stary, prawda?

- Nie dość - odparł, a jego twarz spoważniała. - Dziś zapytałem Lucana, czy mogę wstąpić do Zakonu. Powiedział, że muszę mieć przynajmniej dwadzieścia lat, nim znów go o to zapytam.

Mira zagapiła się na niego.

- Chcesz zostać wojownikiem?

Zacisnął usta, wbił wzrok w jakiś odległy punkt przed sobą.

- Chcę pomścić moją rodzinę. Muszę odzyskać honor, który odebrał mi Dragos. - Zaśmiał się ostro. To wcale nie zabrzmiało jak śmiech. - Lucan i mój dziadek mówią, że z takich powodów nie należy przystępować do wojny. Nie wiem, jakie są właściwe.

Mira przyjrzała się jego twarzy. Serce jej się ścisnęło na widok jego smutku. Przez te kilka dni, które spędziła w jego towarzystwie, niewiele mówił o swojej rodzinie albo o uczuciach związanych z jej utratą. Dwa razy widziała, jak płakał, sam w swojej kwaterze, ale on o tym nie wiedział.

Nie wiedział również, że postanowiła zostać jego przyjaciółką, czy tego chciał, czy nie. Co wieczór modliła się za niego, a zaczęła, kiedy tylko się dowiedziała, że z Mrocznej Przystani został porwany chłopiec. Modliła się za niego również, kiedy został uwolniony, ponieważ wydawało jej się, że potrzebuje pomocy. Teraz stało się to już jej nawykiem. Postanowiła, że przestanie, dopiero kiedy nie będzie już taki smutny.

- Hej, może ja też spytam Lucana, czy mogę pewnego dnia wstąpić do Zakonu?

Kellan rzucił na nią zdumione spojrzenie i roześmiał się głośno.

Stwierdziła, że jego śmiech jest miły. Słyszała go po raz pierwszy. Miał dołki w policzkach. Pojawiały się, kiedy się uśmiechał. Pokręcił głową.

- Nie możesz wstąpić do Zakonu - oświadczył.

- Dlaczego nie? - spytała dotknięta.

- Przede wszystkim dlatego, że jesteś dziewczyną.

- Renata też jest dziewczyną - zauważyła.

- Renata jest... inna - odparł. - Widziałem, co potrafi zrobić za pomocą noża. Jest szybka i ma zabójczego celu. I jest twarda.

- Ja też - odrzekła Mira z godnością. Szkoda, że jej głos zdradził, jaka poczuła się dotknięta. - Zobacz, pokażę ci.

Zbiegła ze ścieżki, poszukać czegoś, czym mogłaby rzucić, patyka albo kamienia. Chciała zrobić wrażenie na Kellanie. Krążyła przez chwilę wśród przykrytych gałęziami klombów i owiniętych słomą krzewów, a potem weszła w labirynt z żywopłotów, który rósł wzdłuż boku posiadłości.

- Jedna chwila - zawołała do Kellana. - Zaraz wrócę!

Początkowo nie była pewna, co widzi. Przed nią, na oświetlonej blaskiem księżyca ziemi, leżał duży, czarny kształt. Luna i Harvard stały obok, na przemian okrążając go i zatrzymując się, żeby powęszyć. Mały terier zaskowyczał, gdy Mira podeszła bliżej.

- Chodźcie do mnie - poleciała psom i zaczęła, aż oba posłuchają. Serce waliło jej szybko, z prędkością chyba stu uderzeń na minutę. Coś tu było nie tak, naprawdę nie tak. Popatrzyła na psy, kręcące się nerwowo u jej nóg. Ich łapy pozostawiały na śniegu ciemne plamy.

Krew.

Mira wrzasnęła.

Rozdział 31

Hunter zaniósł młodego zabójcę na tył ciężarówki i położył na podłodze. Corinne szła przy nim, cały czas trzymając syna za rękę, a po jej policzkach płynęły łzy.

- Ma takie silne dłonie - szepnęła. - Mój Boże... nie mogę uwierzyć, że to naprawdę on.

Hunter milczał, żeby nie zepsuć jej tej chwili, ale wiedział doskonale, że chłopiec wcale nie jest jeszcze bezpieczny. Ryzykiem było zabranie go z chaty, gdyż obroża z emiterem ultrafioletu zapewne pozwalała mu się od niej oddalić tylko na pewną odległość. A ponieważ sługa opiekujący się chłopcem nie żył, ryzyko wybuchu stało się dwa razy większe.

Chłopiec chyba również wyczuł zagrożenie, bo zaczął odzyskiwać przytomność. Wyrywał się, otworzył szeroko oczy. Corinne wciągnęła gwałtownie powietrze, a Hunter poprzez więź krwi odebrał jej niepokój i napięcie.

Przytrzymał chłopaka za obrożę, wyczuwając pod palcami gruby czarny polimer. Ostrzegawczo pokręcił głową.

- Musisz zachować spokój. Nie masz dokąd iść.

- Nathanie, nie bój się - przemówiła Corinne uspokajająco, jej głos był łagodny i pełen ciepła. - Nie chcemy cię skrzywdzić.

Chłopiec patrzył to na jedno z nich, to na drugie. Hunter podejrzewał, że tylko wiedza o działaniu obroży powstrzymuje młodego zabójcę od zaryzykowania ucieczki. Nozdrza chłopaka drgały, dyszał ciężko, zachowywał się jak zwierzę w potrzasku.

- Musimy się pozbyć obroży, jeśli ma opuścić to miejsce - powiedział Hunter do Corinne. - Dragos zapewne już wie, że jego treser nie żyje. Na całym terenie prawdopodobnie są czujniki i urządzenia komunikacyjne.

- Jak zdejmujemy tę obrożę? - spytała, patrząc mu z przerażeniem w oczy. - Wiem, co się stanie, jeśli spróbujemy ją otworzyć. Nie możemy ryzykować, że...

Urwała, wyraźnie niezdolna dokończyć myśli.

- Będziemy musieli zaryzykować - oświadczył Hunter łagodnie. - Inaczej obroża może w każdej chwili wybuchnąć mi w rękę.

Corinne spojrzała na syna. W milczeniu słuchał ich rozmowy, równocześnie badając otoczenie. Wyraźnie obliczał szanse ucieczki, tak samo jak zrobiłby na jego miejscu Hunter.

- Jesteś tutaj, ponieważ chcemy ci pomóc - oznajmiła Corinne. Jej uśmiech był smutny, pełen nadziei. - Pewnie mnie nie pamiętasz, ale jestem twoją matką. Nadałam ci imię Nathan. To znaczy „dar od Boga”. Tym dla mnie byłeś, od chwili kiedy cię zobaczyłam.

Patrzył na nią przez długą chwilę, mrugając szybko, badając jej twarz. Potem znów zaczął się wyrwać. Szarpnięcia i skręty ciała były dobrze skalkulowane, w ten sposób badał chwyt Huntera na obroży.

- Ja też kiedyś taką nosiłem - odezwał się Hunter, patrząc mu w oczy. - Też jestem hunterem, jak ty. Ale uzyskałem wolność. Ty też możesz ją otrzymać. Ale musisz nam zaufać.

Chłopiec jakby oszalał. Hunter pomyślał, że być może bardziej przerażyły go jego słowa - wzmianka o wolności, koncepcji nieznanej i niebezpiecznej dla hunterów - niż zagrożenie stwarzane przez obrożę.

Gdy się tak mocowali, w pewnej chwili obroża uderzyła mocno w podłogę ciężarówki. Zapaliła się na niej mała czerwona dioda.

- Co to znaczy? - zapytała Corinne. W jej głosie pobrzmiwała panika. - O Boże, Hunterze... nie możemy mu tego zrobić. Musisz go puścić... nim zrobi sobie krzywdę. Proszę, błagam cię, puść go, Hunterze.

Wizja Miry przemknęła przez jego mózg, gdy usłyszał pełne przerażenia słowa Corinne. Odsunął ją od siebie i skupił się na czekającym go zadaniu.

- Jeśli go puścimy, umrze na pewno. Detonator został uruchomiony. Nie zdoła go wyłączyć.

Czas uciekał. Hunter rozejrzał się w poszukiwaniu narzędzia, którym mógłby zdjąć obrożę, choć rozumiał aż za dobrze, że taka próba tylko przyspieszy wybuch.

Nagle przypomniał sobie o kontenerach kriogenicznych.

Ciekły azot.

- Wstań - nakazał Nathanowi. - Zrób to ostrożnie. Corinne popatrzyła na niego nierozumiejącym wzrokiem.

- Hunterze, co ty robisz? Powiedz mi, co chcesz zrobić! Nie było czasu na wyjaśnienia. Zaprowadził chłopaka do

kontenerów, nie puszczając jego obroży.

- Hunterze, proszę, nie rób mu krzywdy - błagała Corinne. To było kolejne potwierdzenie, że wizja Miry zaczęła się spełniać. - Nie rozumiesz? Kocham go! Jest dla mnie wszystkim!

Hunter uznał, że robi, co należy, żeby ocalić jej dziecko. Nie było innej drogi. Wolną ręką sięgnął po rurę łączącą pojemnik kriogeniczny ze zbiornikiem ciekłego azotu. Wyrwał ją. Z otworu wydobyła się biała chmura.

- Na kolana - polecił chłopcu i zmusił go, by ukląkł. - Zdejmij koszulę. Załóż ją sobie na głowę jak kaptur, wepchnij między obrożę a szyję.

- Hunterze! - krzyknęła z płaczem Corinne. - Proszę, puść go. Zrób to dla mnie...

Jej strach wczepił się w niego pazurami, ale teraz nie mógł się wahać.

- To jedyny sposób. To jego jedyna szansa, Corinne.

Nathan usłuchał, milczący, niepewny. Kiedy wykonał polecenie, Hunter kazał mu się położyć na podłodze na brzuchu.

Chłopak posłuchał. Hunter owinął sobie dłoń kawałkiem jego koszuli i chwycił mocniej obrożę. Zaklął cicho pod nosem, po czym skierował na nią strumień ciekłego azotu.

Chmura białej pary wzbijała się w powietrze. Nawet przez materiał poczuł palenie skóry. Ciekły azot zamrażał twardą obudowę i obwody śmiertelniegroźnego wynalazku Dragosa.

Syn Corinne leżał całkowicie nieruchomo. Oddychał szybko, urywanie, był po prostu przerażonym dzieckiem, które starało się jakoś trzymać w zapewne ostatnich sekundach swojego życia.

Ciekły azot skończył się szybko. Hunter wolałby zamrażać obrożę nieco dłużej, ale zbiornik był na wyczerpaniu. Musiał zaryzykować i mieć nadzieję, że mu się powiedzie.

- Co się dzieje? - zapytała Corinne. - Czy to działa?

- Zaraz się przekonamy.

Odrzucił rurę i sięgnął po nóż, tkwiący w pochwie na jego udzie. Wyjął go i obrócił tak, by móc uderzyć w obrożę rękojęścią.

Corinne chwyciła go za rękę.

- Zaczekaj! - Kręciła głową, jej twarz była pełna przerażenia. - Nie rób tego. Proszę, zabijesz go.

Jeśli jego plan się nie powiedzie i obroża wybuchnie, zapewne zabije nie tylko chłopaka, lecz także i jego. Corinne płakała, błagała go, by się wstrzymał, dokładnie tak jak w wizji Miry. Hunter wyrwał jej rękę.

Uderzył z całej siły w obrożę.

Rozpadła się na kawałki. Posypały się na zakrytą koszulą głowę Nathana.

Hunter wstał i się cofnął. Corinne rzuciła mu się w ramiona.

- O mój Boże - szepnęła, tuląc się do niego, płacząc i śmiejąc się równocześnie. - O mój Boże... nie mogę w to uwierzyć. Hunterze, udało ci się!

Nathan leżał przez chwilę nieruchomo, rozciągnięty na podłodze. Potem zdjął z głowy koszulę, wstał i odwrócił się

do nich. Ręce trzęsły mu się nieco, kiedy badał nimi nagą skórę na szyi.

Nie było tam nic, wyjąwszy białą obwódkę w miejscach, gdzie azot poparzył mu skórę. To nie było istotne, zregeneruje się szybko. Był wolny.

- Co... co wyście mi zrobili? - spytał, a były to pierwsze słowa, jakie do nich wypowiedział. Jego głos był niski, z charakterystyczną chrypką nastolatka.

- Jesteś wolny - odparł Hunter. - Nikt nie ma już nad tobą kontroli. Dzięki miłości twojej matki i jej determinacji, żeby cię odszukać, jesteś wolny i możesz żyć, jak zechcesz.

Corinne puściła Huntera i wyciągnęła ręce do syna.

- Chcę cię zabrać do domu, Nathanie. Teraz możemy być rodziną.

Przyglądał się jej, gdy się zbliżała. Spięty i nieufny, zmarszczył brwi i lekko pokręcił ogoloną głową.

Nim Hunter zarejestrował zmianę w jego postawie, Nathan, z szybkością właściwą Rasie, chwycił kawałek obroży i przycisnął mocno do szyi Corinne. Sapnęła, zupełnie nieprzygotowana na ten atak.

Hunter zawarczał, wbił wzrok w poszarpane improwizowane ostrze tuż przy tętnicy szyjnej jego dawczyni życia. Wszystko jedno, czy chłopak był jej synem, czy nie. Właśnie udowodnił, że jest wrogiem.

Nie zawaha się go zabić, jeśli spróbuje skrzywdzić Corinne.

Nawet kiedy Nathan cofał się z nią w kierunku otwartych drzwi ciężarówki, oczy Corinne błagały Huntera o litość.

- Nathanie - zaczęła, jeszcze raz próbując dotrzeć do syna. - Nie musisz się bać. Pozwól nam okazać ci przyjaźń. Pozwól, byśmy stali się rodziną. Po prostu daj mi szansę być twoją matką.

W milczeniu cofał się do drzwi, trzymając ostry kawałek metalu przy jej tętnicy.

- Nathanie - spróbowała jeszcze raz Corinne. - Proszę, pozwól mi się kochać.

Pchnął ją mocno do przodu, odcinając się od wszystkiego, co powiedziała i co dla niego zrobiła.

A potem wyskoczył z ciężarówki i zniknął w lesie, akurat gdy nad horyzontem pokazały się pierwsze promienie słońca.

Rozdział 32

Chase w zasadzie nie spodziewał się, że się jeszcze kiedyś obudzi. Jego ostatnie wspomnienie to był bieg na oślep przez miasto, hamowanie upływu krwi z rozerwanej tętnicy udowej i drugiego, lżejszego postrzału w bark. Odnosił już w walce poważniejsze rany, ale to było kiedyś. Teraz jego ciało było słabe, a jego prawie niezniszczalny metabolizm przeżarty chorobą.

Obudził się z bolesnym jękiem. Spróbował usiąść, ale mu się nie udało. Okazało się, że jest przykuty za ręce i nogi do łóżka w ambulatorium. W pasie był przypięty skórzanym pasem. Zaklął przez zaciśnięte zęby i szarpnął z całej siły kajdankami.

Kiedy udało mu się skupić wzrok, zauważył, że ktoś zagląda do niego z korytarza przez małe okienko w drzwiach.

Minęła dobra minuta, nim Dante zdecydował się wejść do środka. Zamknął za sobą drzwi, popatrzył na Chase'a i pokręcił głową.

- Jesteś cholernym idiotą, wiesz o tym, Harvardzie? Chase parsknął.

- Dzięki za troskę. Mam nadzieję, że nie fatygowałeś się tylko po to, żeby mi to powiedzieć.

- Nie pochlebiaj sobie - warknął Dante, nie łapiąc przynęty. - Byłem obok, siedziałem przy Tess.

- Tess jest w ambulatorium? - Przypomniawszy sobie, jak źle partnerka Dantego znosiła ostatnie tygodnie ciąży, Chase natychmiast poczuł się jak dupek. - Chryste, stary. Nie wiedziałem.

- Skąd miałeś wiedzieć? Nie było cię tutaj.

Chase westchnął i kiwnął głową. Zasłużył sobie na takie traktowanie. W końcu zrobił ostatnio, co mógł, by stać się w Zakonie *persona non grata*. Szczególnie jeśli chodzi o Dantego.

- Jak ona się czuje? Wszystko z nią w porządku?

- Tak, czuje się dobrze. - Dante lekko skłonił głowę. - I dziecko też. Są teraz w pokoju obok.

Tess już urodziła? Ta wiadomość zaskoczyła Chase'a. Poczul żal, że nie było go przy Dantem, kiedy stało się to, na co czekali od tylu miesięcy. Cholera, on też na to czekał. Nawet się zastanawiał, czy Dante poprosi go na ojca chrzestnego. Nie był godzien takiego zaszczytu, ale przyjąłby go z dumą. Kiedyś.

Milion lat temu.

A teraz coś takiego było milion kilometrów poza jego zasięgiem.

Tak mu się przynajmniej wydawało, kiedy patrzył na rozczarowaną minę Dantego.

- No to gratulacje, stary. Dla was obojga - powiedział. - Kiedy urodził się twój syn?

- Wczoraj rano, kilka minut przed południem. Chase się zastanowił.

- Czyli dziesiątego grudnia?

- Siedemnastego - poprawił go Dante, a jego twarz spoważniała jeszcze bardziej. - Harvardzie, jak bardzo z tobą źle? Poważnie, stary. Nie wstawiaj mi kitu.

- Jak cholera - przyznał Chase. Gardło miał wyschnięte, głos ochrypły.

- Ale poradzę sobie. A poradziłbym sobie dużo lepiej, gdybym nie był przykuty do łóżka jak jakiś czubek. -

Uniósł ręce zaciśnięte w pięści na tyle, na ile pozwalały mu kajdanki.

- Trudno - stwierdził Dante spokojnie. Chase chrząknął.

- Zalecenie lekarza?

- Rozkaz Lucana. Trzeba go było długo przekonywać, żeby pozwolił Nikowi i Renacie wnieść cię do środka, kiedy Mira cię znalazła. Twoja gęba jest teraz we wszystkich wiadomościach. Uważają cię za szalonego terrorystę. - Dante zaklął pod nosem. - Co ci przyszło do głowy, żeby pozować do zdjęć, a potem strzelać na przyjęciu u senatora?

- O czym ty gadasz?

- Zidentyfikowali cię, stary. Mają naocznego świadka, który podał twój rysopis policji i cholernemu Secret Service. Ten, kto cię widział, odtworzył twoją twarz do najmniejszego włoska na brodzie. Twój portret pamięciowy pokazuje bez przerwy we wszystkich stacjach telewizyjnych.

- Do diaska - jęknął Chase, przypominając sobie intensywne jak laser spojrzenie atrakcyjnej asystentki senatora, kiedy zauważyła go na podeście. - A zresztą trudno. Dragos tam był. Próbował się dobrać do senatora i wiceprezydenta.

Dante zamilkł, przyglądał mu się przez chwilę, jakby nie był pewien, czy powinien mu uwierzyć.

- Widziałeś Dragosa na przyjęciu u senatora? Jesteś pewien?

- Oczywiście, że jestem pewien. Widziałem na własne oczy, jak senator przedstawia go wiceprezydentowi. Zamierzali iść razem do gabinetu, więc wykorzystałem okazję i strzeliłem.

Dante przecesał palcami ciemne włosy.

- Widziałeś Dragosa i nas nie zawiadomiłeś? To Zakon powinien się nim zająć. O czym tyś, do cholery, myślał?

- Na pewno nie o tym, żeby iść szukać telefonu - parsknął Chase. - Nie miałem pojęcia, że Dragos tam będzie i że znajdę się kilka metrów od niego, wystarczająco blisko, żeby posłać mu kulkę. Miałem tylko przecucie.

- Jezu, Harvardzie. To nie są dobre wieści.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? - ryknął Chase, teraz już wściekły. Jego głód znów zaczął narastać. - Próbuję ci powiedzieć, że zastrzeliłem Dragosa! Widziałem, jak trafia go kula i jak pada na podłogę. Nie przyszło wam do tych pustych łbów, że powinniście mi dziękować, zamiast skuwać mnie za to, że nie trzymam się procedur? Jest duża szansa, że drań nie żyje!

- Dragos żyje - odparł Dante spokojnie. - Wczoraj w nocy nikt nie zginął. Pojawiły się doniesienia o kilku lekko rannych. Jeśli Dragos tam był, a ty go postrzeliłeś, tak jak twierdzisz, to był w stanie wstać i wyjść o własnych siłach.

Chase ledwie co słyszał przez walenie własnego serca.

- Muszę stąd wyjść. Raz go znalazłem, to znajdę i drugi. Mogę to naprawić i...

- Nie, Harvardzie, nie możesz. I nigdzie nie pójdziesz. W tej chwili to dla nas zbyt niebezpieczne. Lucan kazał ci tu siedzieć na tyłku, póki nie zmieni zdania.

Chase zawarczał. Był wściekły, że Dragos uciekł. Był wściekły na Lucana, na Dantego, na wszystkich, że uważają, iż mają prawo przetrzymywać go tu wbrew jego woli. Zrozumiał już, że nie jest członkiem Zakonu, ale niech go szlag, jeśli da się powstrzymać od ścigania Dragosa na własną rękę. Chciał go usunąć tak samo jak oni.

Poza tym miał inny, równie ważny powód, żeby wyrwać się z tego więzienia.

- Muszę się pożywić - mruknął pod nosem. - Ten postrzał w udo nie zagoi się szybko, jeśli nie dostanę świeżej krwi. Muszę zapolować, Dante.

Przyjaciół popatrzył mu uważnie w oczy i przejrzał jego grę.

- Jak sam powiedziałeś, twoja noga jest w kiepskim stanie. Nie dałbyś rady polować, nawet gdyby Lucan popełnił ten błąd i puścił cię wolno na górę.

Pragnienie, które dotąd tylko go dręczyło, teraz wpiło w niego pazury. Pocił się, a równocześnie trząś z zimna, żołądek związał mu się w bolesny węzeł.

- A możecie zaryzykować trzymanie mnie tutaj? - spytał ochrypłym, nieludzkim głosem. - Może się skończyć na tym, że zacznę polować w kwaterze, zważywszy, że mieszka tu teraz człowiek.

Dante zbladł lekko, a w jego oczach pojawiły się drobinki bursztynu.

- Ponieważ cierpisz, będę udawał, że niczego nie słyszałem. I nie powtórzę twoich słów Brockowi, ponieważ możesz być pewien, że zamorduje cię gołymi rękami, jeśli choć spojrzysz w stronę Jenny, czy jest człowiekiem, czy nie jest. Cholera, powiedz to jeszcze raz, a oszczędzę mu fatygi i sam cię zabiję.

Chase zawarczał w odpowiedzi.

- Mogę zerwać te kajdanki. Wiesz o tym doskonale.

- Jasne, wiem. - Dante podszedł bliżej tak szybko, że otepiałe zmysły Chase'a nie zarejestrowały jego ruchu. Zaskoczyło go dotknięcie zimnego ostrego metalu przyciśniętego mocno do gardła. Dwa zakrzywione noże Dantego prawie przecięły mu skórę. - Możesz zerwać kajdanki, ale teraz masz dwa dobre powody, żeby tego nie robić.

Chase wiedział z doświadczenia, że taką groźbę należy traktować serio.

- I to mówi przyjaciel?

- Mój przyjaciel odszedł. Już od dawna go nie ma - stwierdził Dante spokojnie. Był śmiertelnie niebezpieczny, gdy porzucał swą zwykłą brawurę. - W tej chwili rozmawiam z nałogowcem. I to na niego czekają tytanowe ostrza, jeśli sądzi, że żartuję.

Nie cofnął noży, nawet kiedy Chase powoli odprężył się i opadł na łóżko. Opuszczał je razem z nim. Chase nie śmiał ryzykować.

Choć jeszcze nie stał się Szkarłatnym, Dante miał rację. Wiedział, że opanowuje go nałóg krwi. Niewykluczone, że tytan okaże się dla niego trucizną, jeśli zetknie się z jego krwią. Patrzył na Dantego płonącym wzrokiem, ale nie próbował się poruszyć.

- To twoje pierwsze rozsądne posunięcie od bardzo dawna, Harvardzie.

Chase milczał, czekał, wstrzymując oddech, aż wojownik, który jeszcze niedawno był jego najbliższym przyjacielem, cofnie noże od jego gardła, wyjdzie i zostawi go samego.

Rozdział 33

Długie godziny dnia ciągnęły się niesamowicie powoli. Corinne miała wrażenie, że z każdą mijającą minutą umiera kawałek jej serca. Nathan odszedł.

Po latach nadziei, po latach modlitw o cud, żeby jeszcze kiedyś go zobaczyć, żeby stworzyć mu rodzinę... po prostu odszedł.

Wyślizgnął się jej z rąk nie z powodu jakiejś przepowiedni, ale z własnego wyboru.

Fakt, że żył i odszedł, bolał tylko troszeczkę mniej niż myśl, że mogła go stracić, tak jak przewidywała to wizja. Wraz ze zniknięciem Nathana zniknęła też cała nadzieja Corinne.

Siedzieli z Hunterem na tyle ciężarówki i czekali na zachód słońca, kiedy będzie mógł wyruszyć na poszukiwanie Nathana. Pobiegnął za nim już wcześniej, ale nie udało mu się go znaleźć i wrócił do ciężarówki z pustymi rękami.

Potem odjechali kilka kilometrów od chaty, która była więzieniem Nathana. Hunter uważał, że ryzyko wykrycia przez ludzi Dragosa jest zbyt wielkie, by mogli tam zostać, a Corinne zgodziła się niechętnie.

A teraz mogła się tylko zastanawiać, dokąd uciekł jej syn, i modlić się, by nieludzkie wychowanie nie kazało mu wrócić do zła, od którego próbowała go wybawić. Oczywiście o ile wcześniej nie zabije go słońce.

- Gdybyś był na jego miejscu, dokąd byś poszedł? - spytała Huntera.

Wziął ją delikatnie za rękę, przesunął kciukiem po jej znamieniu dawczyni życia.

- On sobie da radę, Corinne. Tego go uczono. Jest bardzo inteligentny i na pewno doskonale zna okolicę. Znalazłem tu kilka jaskiń, kiedy go szukałem. Zapewne ukrywa się w jednej z nich. - Zastanawiał się przez chwilę, a potem dodał. - Bez obroży, która ogranicza jego ruchy, może być praktycznie wszędzie.

Corinne kiwnęła głową, doceniając, że Hunter nie próbuje ukrywać przed nią prawdy. Kiedy jechali tu wczoraj w nocy, obiecali sobie, że nigdy więcej nie będzie między nimi sekretów, nawet drobnych.

Odetchnęła drżąco.

- Przynajmniej udało nam się zmienić wizję. Przynajmniej wiemy, że nie wszystko, co widzi Mira, musi się sprawdzić.

Hunter pokręcił głową.

- Nie zarejestrowałem żadnych zmian w stosunku do tego, co ujrzałem w oczach Miry. Wszystko przebiegło dokładnie tak, jak mi pokazała. To moja interpretacja była błędna.

- Jak to?

- Usłyszałem w wizji wszystko, co powiedziałaś w tych ostatnich chwilach. Błagałaś mnie, bym go puścił, a kiedy uniosłem rękę, żeby uderzyć, próbowałaś mnie fizycznie powstrzymać. - Uniósł do ust jej dłoń i pocałował lekko jej palce. - Ale ja i tak uderzyłem. Musiałem, to był jedyny sposób.

- Nie rozumiem - szepnęła. - Nie zabiłeś przecież Natha-na. Wizja była błędna.

- Nie. Uderzenie, które zadałem, zabiłoby go, gdyby obroża nie zamarzła. To tego nie pokazała mi wizja. Nie miałem pojęcia, że uderzenie, jakie zadam twojemu synowi, ma mu ocalić życie, a nie je odebrać.

- Dzięki Bogu - mruknęła Corinne, kuląc się w jego ramionach. - Ale Nathan i tak odszedł. Straciłam go, mimo wszystko.

- Znajdziemy go - pocieszał Hunter. Jego niski głos uspokajał ją, był równie mocny i opiekuńczy, jak jego ramiona. -Przysięgam ci to, Corinne. Wszystko jedno, ile czasu to zajmie, wszystko jedno, dokąd będę musiał iść, znajdę go. Zrobię to dla ciebie. Tylko dla ciebie.

Uniosła głowę, żeby na niego spojrzeć, poruszona jego przysięgą.

- Kocham cię - wyznał. - Poświęcę całe życie twojemu szczęściu.

- Och Hunterze - westchnęła. Uczucia ścisnęły jej gardło. - Tak bardzo cię kocham. Już pokazałeś mi szczęście, którego nie uważałam za możliwe.

Pochylił się i pocałował ją w czoło.

- A ja nigdy wcześniej nie zaznałem uczuć, których mnie nauczyłaś. Sprawiałaś, że chcę doświadczyć w życiu wszystkiego, mając cię u boku... jako swoją partnerkę. O ile uznasz, że jestem cię wart.

- Ja też nie chcę przeżyć ani jednego dnia bez ciebie - zapewniła. - Jesteś teraz częścią mnie, Hunterze.

- Właśnie tego pragnę - powiedział i pocałował ją namiętnie. Kiedy wreszcie cofnął głowę, oczy pały mu jak węgle. Jego kły połyskiwały bielą, wysuwały się coraz bardziej z dziąseł. - Pożądam cię, nic na to nie poradzę. Chcę znowu pić twoją krew. To bardzo silne uczucie - dodał schrypniętym głosem. - Czuję zaborczość, pragnienie. Patrzę na ciebie, Corinne, i myślę tylko o tym, że jesteś moja.

- Bo jestem - odparła, gładząc jego mocny podbródek i muskularny policzek. Chciała go mieć u swego boku na wieczność. - Jestem tylko twoja, Hunterze. Na zawsze.

Z niskim pomrukiem pocałował ją znowu, tym razem głębiej.

- Chcę, żebyś do mnie należała - zwierzył się jej. - Chcę wiedzieć, że moja krew żyje w tobie, że jest częścią ciebie.

- Dobrze - szepnęła, podniecona myślą związania się z nim na zawsze.

Popatrzył w jej oczy, a potem uniósł rękę do ust i zatopił w nadgarstku długie kły. Potem wyciągnął do niej rękę, najcenniejszy dar, jaki mógł jej ofiarować. Corinne przycisnęła wargi do otwartej żyły i wzięła do ust pierwszy łyk jego krwi.

Zapłonęła na jej języku jak ogień.

Gęsta i pełna mocy, sama esencja tego, kim był Hunter. Odżywiała jej ciało, odbudowywała komórki, napelniała zmysły... wplatała się w nią. Czowała, jak tworzy się więź, przepiękne, cudowne połączenie. Upajała się nim, poddawała mu się z radością.

Krew Huntera zmyła z niej horror, jaki przeżyła. Wspomnienia tortur zbladły, poniżenie przestało być ważne, w miarę jak tworząca się więź stawała się coraz silniejsza.

Kiedy piła, ujrzała, jak oczy jej wspaniałego mężczyzny rozbłyskują namiętnością i zaborczością... i miłością tak silną, że aż zaparło jej dech w piersiach. Sama też płonęła z pożądania, wzmocnionego upajającą mocą jego krwi.

Ledwie mogła znieść oczekiwanie, kiedy ostrożnie cofnął rękę i zamknął ranki muśnięciem języka. Drżała, kiedy ją rozbierał, kiedy pozbywał się własnych ubrań.

Nakrył ją swym ciałem i kochał ją słodko, w nieskończoność... a rozkosz płonęła w nich równie jasno jak miłość.

A jednak, nawet w tej chwili spełnienia, wiedziała, że serce nie przestanie jej krwawić, póki nie odzyska syna. Obietnica Huntera, że nie spocznie, póki go nie znajdą, dała jej wiarę. Może nie straciła go jeszcze na zawsze?

Dzięki miłości Huntera i więzi krwi silniejszej niż każda burza, wszystko wydawało jej się możliwe.

Padało mocno, kiedy słońce wreszcie zaszło.

Hunter narzucił skórzany płaszcz, szykując się do wyruszenia na poszukiwania Nathana. Jeśli teraz go nie znajdzie, pojedą do Nowej Anglii. Na podstawie krótkiej rozmowy, jaką odbył niedawno z Zakonem, wywnioskował, że w kwaterze dzieje się coraz gorzej. A choć nie chciał stąd odjeżdżać bez syna Corinne, nie mógł ignorować swoich obowiązków wobec towarzyszki.

Co więcej, musiał znaleźć dla Corinne jakieś bezpieczne miejsce, póki niebezpieczeństwo nie minie. Nie może wciąż na niego czekać w ciężarówce.

- Nic mi nie będzie - zapewniła go, odczytując jego troskę z łatwością, która powinna go zaniepokoić.

Ale nie zaniepokoiła. Wręcz przeciwnie, poczuł się podniesiony na duchu, że zna go teraz tak dobrze.

Niesamowite, jak namacalna stała się ich więź. Pogładził jej piękną twarz.

- Nie będzie mnie tylko dwie godziny. Tyle czasu wystarczy mi na przeszukanie terenu nad rzeką i parku stanowego.

- Dziękuję - powiedziała, całując wewnątrz jego dłoni. - Cokolwiek się stanie, czy go tam dziś znajdziesz, czy nie, wiedz, że jestem ci wdzięczna za to, że chcesz spróbować.

- Nathan to twoja rodzina. A zatem również i moja.

Kiwnęła głową, a on przyciągnął ją do siebie. Kiedy spojrzał w jej ufne oczy, poczuł gwałtowne pragnienie, by założyć prawdziwą rodzinę - by dać jej więcej synów do kochania, gdy Nathan będzie już bezpieczny.

Razem podeszli do drzwi ciężarówki. Hunter otworzył je na deszcz.

Na zewnątrz, w ulewie, stał Nathan.

Był przemoczony, bosy i półnagi, ubrany tylko w szare spodnie od dresu, które miał na sobie wczoraj. Woda spływa-

ła po jego ogolonej głowie, kapłała na szczupłą, muskularną, pokrytą dermaglifami pierś. Ręce trzymał luźno wzdłuż ciała, z palców woda ściekała prosto w błoto.

Corinne znieruchomiła u boku Huntera, jakby nie wierzyła własnym oczom. Jakby się bała, że to tylko złudzenie, które zniknie, jeśli choć odetchnie.

Nathan popatrzył na nich.

- Nie mam dokąd pójść - skwitował krótko.

- Owszem, masz - odparł Hunter. Wyciągnął do niego rękę.

Minęła długa chwila, nim chłopiec się poruszył. Kiwnął lekko głową, ujął dłoń Huntera i wsiadł do ciężarówki.

Hunter usłyszał teraz, jak Corinne wzdycha drżąco. Jej puls walił jak oszalały, krew płynęła w jej żyłach tak szybko, że odczuwał jej podniecenie, jej nadzieję. Ale opanowała się, oparła się impulsowi porwania w ramiona swego syna. Stała nieruchomo, czekając, aż Nathan sam do niej podejdzie.

- Czy to, co mówiłaś, to prawda? - spytał chłopiec. Kiwnęła głową, w oczach miała łzy.

- Wszystko.

Hunter zdjął płaszcz i narzucił na mokre ramiona chłopaka. Nathan spojrzał na niego niespokojnie, nadal nie do końca ufał im obojgu.

- Jeśli z wami pojedę, gdzie mnie zabierzecie?

- Do domu - odrzekł Hunter.

Spojrzał na Corinne, nagle rozumiejąc, jak potężne jest to słowo. Dom.

Było niezawodne jak broń, twarde jak diament, nieporu-szone jak skała. Dom.

To było coś, czego ani on, ani ten niebezpieczny nastoletni zabójca nigdy nie mieli. Coś, co obaj znaleźli w tej pięknej kobiecie, która otworzyła swe łagodne, lojalne serce dla nich obu.

Hunter objął jej drobne ramiona, patrząc na nią z miłością, która przepełniała mu serce. Przysunął twarz do jej twarzy i szepnął jej do ucha:
- Dziękuję ci, że przyprowadziłaś mnie do domu.

Rozdział 34

Zamierzasz tak chodzić przez cały dzień, Lucanie? Odpoczynek dobrze by ci zrobił.

Gabrielle poklepała wolne miejsce obok siebie na wielkim łożu. Zegarek na szafce nocnej wskazywał, że jest późny ranek, ale Lucan był na nogach od wczoraj.

Zbyt wiele miał pożarów do ugaszenia. Los zbyt wielu istnień spoczywał w jego rękach - a wśród nich nowo narodzonego syna Dantego i Tess.

No i jeszcze sprawa Sterlinga Chase'a, którego kazał zamknąć w ambulatorium, żeby się uspokoił. Lucan i jego wojownicy działali w trybie alarmowym, odkąd pokazał się na terenie posiadłości ponad dobę temu, krwawiąc z ran postrzałowych.

W wiadomościach telewizyjnych nadal pojawiał się jego portret pamięciowy, przygotowany na podstawie zeznań naocznego świadka. Pokazywano go we wszystkich stacjach -lokalnych, ogólnokrajowych i kablowych - a także w informacyjnych serwisach internetowych. Lucan zastanawiał się, ile czasu będzie musiało minąć, nim ludzkie służby porządkowe stracą nim zainteresowanie.

Niedobrze, że Zakon ukrywał osobę poszukiwaną przez policję i federalnych.

Choć był wściekły na Chase'a nie tylko za to, że pozwolił się wymknąć Dragosowi, lecz również, że dał się postrzelić i zidentyfikować, musiał przyznać, że instynkt byłego agenta i wojownika zadziałał bez

zarzutu, każąc mu się zjawić na przyjęciu u senatora. Mimo ostatnich wpadek, nadal miał w sobie to coś, a choć sknocił sprawę ponad wszelkie pojęcie, jego publiczny występ uniemożliwił Dragosowi wprowadzenie w życie swoich planów.

A coś się działo, Lucan był tego pewien. Ten cholerny skurczybyk na pewno nie przyszedł tam po to, żeby się najeść i porozmawiać.

Nie chciał nawet myśleć, jakie były plany Dragosa, zważywszy, że na przyjęciu obecna była druga osoba w państwie. Znow przespał się po dywanie.

- Zdarzy się coś potężnego. Czuję to w kościach, Gabrielle. Coś wybuchnie, a jeśli w porę nie przewidzę co, dostanie się nie tylko mnie, lecz także nam wszystkim.

- Chodź do mnie - nakazała, marszcząc brwi i odrzucając na bok koldrę. Była prześliczna, a jej nagie ciało zbyt kuszące, by mógł się oprzeć takiemu zaproszeniu.

- Robisz, co możesz - oświadczyła, kiedy położył się przy niej. - Jakoś to przetrwamy. Wszyscy, wspólnie. Nie jesteś sam, Lucanie.

Odprężył się trochę pod wpływem jej słów, dzięki jej bliskości kłopoty wydały mu się nieco mniej naglące. Ten wpływ, jaki na niego miała, nigdy nie przestał go zaskakiwać.

- Jakim cudem zdołałem cię przekonać, żebyś została moją partnerką? Zaśmiała się cicho.

- O ile dobrze pamiętam, miało to coś wspólnego z pocałunkami. No i z krzykami, i z wierzganiem. Głównie z twojej strony.

Podniósł głowę i popatrzył na nią surowo.

- Ja nie wierzgam. A już na pewno nigdy nie krzyczę.

- Może i nie - zgodziła się, a na jej usta wypłynął przebiegły uśmieszek. - Ale nie poddałeś się łatwo, przynajmniej tyle musisz przyznać.

- Podobno bywam tępy - oznajmił. - I nie wiem, co jest dla mnie dobre. Poruszyła kilka razy ciemnorudymi brwiami.

- Na szczęście ja wiem, co jest dla ciebie dobre. Pocałowała go powoli, zmysłowo, przez co nagle zrobiło

mu się za ciasno w spodniach. Był twardy jak kamień. Zamruczał, położył rękę na jej karku i wsunął język do jej ust.

Już leżał na niej, kiedy zadzwonił telefon. Laboratorium techniczne.

Natychmiast w jego głowie rozdzwonił się alarm. Oderwał się od ciepłego ciała Gabrielle i przyłożył słuchawkę do ucha.

- Co się dzieje, Gideonie?

- Nie masz przypadkiem włączonej telewizji?

- Nie.

Głos Gideona nie był tak beztroski jak zwykle.

- W centrum miasta wybuchło piekło. Lepiej przyjdź tu zaraz. Musisz to zobaczyć.

Chase uniósł głowę z poduszki, żeby lepiej widzieć ekran stojącego w kącie telewizora. Leciał właśnie jeden z tych beznadziejnych porannych programów informacyjnych, para prezenterów robiła głupie uwagi i wciąż chichotała, relacjonując błahe nowinki, popijając kawę i błyskając białymi zębami do kamery. Program drażnił go nawet mimo wyłączonego dźwięku, niemniej wolał patrzeć w telewizor niż na cztery ściany, w których był uwięziony.

Miał do wyboru telewizję w ambulatorium albo poddanie się głodowi i szaleństwu, które zżerały go od środka. Za wszelką cenę pragnął się stąd wydostać, ale zdawał sobie sprawę, że jego jedyna szansa to głodować i walczyć z pragnieniem. Najlepsze zaś miejsce, jakie mógł sobie wymarzyć na walkę z nałogiem, to kwatera, gdzie był wśród jedynych przyjaciół, jakich miał.

Przyjaciół, którym dał wiele powodów, by go opuścili. A jednak przyjęli go z powrotem.

Wprawdzie przykuli go do łóżka i zamknęli w ambulatorium, ale, do diabła, nie zamierzał zaglądać w zęby darowanemu koniowi.

Teraz jednak, kiedy popatrzył w ekran, zrobiło mu się zimno. Program przerwano relacją na żywo. Sięgnął po pilota, który leżał na stoliku obok. Kajdanki zabrzęczały i przytrzymały jego rękę. Mógł je rozerwać, ale zrezygnował. Potrafił włączyć dźwięk bez pomocy pilota.

Siłą woli pogłodził fonię i słuchał z przerażeniem relacji z wielkiej eksplozji, do której doszło w centrum Bostonu. Prezenterka opisywała właśnie, co widzi.

„... w budynku ONZ w centrum miasta. Policja dociera już na miejsce. Wstępne doniesienia wskazują, że był to wybuch bomby. Budynek jest poważnie uszkodzony. Sąsiednie ulice zostały zamknięte dla ruchu w promieniu dziesięciu przecznic”.

Cholera jasna. Chase zobaczył na ekranie chmurę dymu i kurzu oraz płomienie. Obraz był filmowany z helikoptera, który krążył nad miejscem zdarzenia. Choć wydawało się to niemożliwe - i całkowicie pozbawione sensu - dusza podpowiadała mu, że to również jest robota Dragosa.

„Mamy informacje, że trwa pościg policyjny za podejrzanym pojazdem. Sprawca lub sprawcy uciekają samochodem. Świadkowie zauważyli, jak opuszczają miejsce zdarzenia tuż przed eksplozją. Helikopter Kanału 5 śledzi pościg. Będziemy was informować na bieżąco o rozwoju sytuacji”.

Chase walnął głową w poduszkę i zaklął głośno. Jeśli Dra-gos maczał w tym palce, o co mogło mu chodzić?

Miał ochotę wydostać się z ambulatorium i ruszyć do laboratorium technicznego, gdzie z pewnością jego towarzysze oglądali w tej chwili te same wiadomości. Gideon zawsze monitorował serwisy informacyjne i coś takiego - akt terroru w środku miasta - na pewno nie umknął jego uwagi.

Ale nie miał już swojego miejsca przy długim stole konferencyjnym w laboratorium. Odszedł z Zakonu i nie miał prawa prosić wojowników, żeby przyjęli go z powrotem, póki nie będzie miał pewności, że się pozbierał do kupy.

Kiedy przeżuwał w myślach swoje ostatnie wpadki, na ekranie znów ukazała się reporterka.

„Przerywamy program, żeby przekazać ostatnie doniesienia, jakie otrzymaliśmy z helikoptera Kanału 5, który śledzi policyjny pościg za pojazdem powiązany ze strasznym incydem, do jakiego doszło dziś rano w budynku ONZ. Tych, którzy włączyli się dopiero teraz, chciałabym poinformować, że ekipa Kanału 5 znalazła się na miejscu pierwsza, gdy w centrum miasta doszło do wielkiej eksplozji, najprawdopodobniej bomby...”

Kiedy to mówiła, Chase przyglądał się z niedowierzaniem - i narastającą zgrozą - jak liczne radiowozy i wozy bojowe SWAT ścigają czerwonego pikapa, który wyjeżdża z miasta i kieruje się w stronę wielkich, zadrzewionych posiadłości na przedmieściach.

Dokładnie w stronę rezydencji Zakonu.

Spróbował usiąść, ale kajdanki wbiły mu się w nadgarstki i kostki u nóg. Wzmocniony stałą skórzany pas, którym był przypięty, zajęczał, kiedy wychylił się z łóżka, żeby lepiej widzieć ekran.

Nie było dobrze.

Pogoń minęła zakręt i jechała teraz prosto ku posiadłości Zakonu. Chwilę później czerwony pikap skierował się ku bramie rezydencji.

Chryste.

Cholera jasna!

Posypały się iskry, kiedy samochód staranował i wyłamał bramę. Kilku mężczyzn wyskoczyło z niego i ruszyło biegiem przez pokryty śniegiem trawnik. Uciekali w stronę rezydencji, a ścigało ich z dziesięciu gliniarzy.

To Dragos ich tu przysłał.

Chase był tego pewien.

To była zemsta, a nie dziwny przypadek. Dragos mścił się za to, co Chase zrobił mu wczoraj w nocy.

To on sprowadził nieszczęście na Zakon... na swoich przyjaciół.

Z pełnym bólu rykiem uwolnił się z kajdanek i wypadł z ambulatorium, przywołując na pomoc całą swą niehumanitarną szybkość.

Lucan z resztą wojowników stał w laboratorium technicznym i patrzył z niedowierzaniem w ekran telewizora.

Kiedy czerwony pikap z podejrzanymi o zamach bombowy staranował bramę posiadłości, poczuł przerażenie - po raz pierwszy od bardzo dawna dopadł go prawdziwy strach.

W laboratorium zapadła grobowa cisza.

Na zewnątrz był dzień. Nie mieli szans na ucieczkę. Znaleźli się w pułapce, mogli tylko obserwować to, co dzieje się na górze, i mieć nadzieję, że stróże prawa odejdą, nie przeszukując starannie posiadłości i nie próbując przesłuchać jej właścicieli.

W głębi serca Lucan rozumiał, że to robota Dragosa. To dlatego przemycił tutaj w żołądku Kellana Archera urządzenie naprowadzające. Tak zamierzał pokonać Zakon.

Nie własnoręcznie, ale rękami ludzi.

- Zamknij wszystkie wyjścia z kwatery - nakazał Gideonowi. - Jeśli ci bandyci albo policja zrobią coś głupiego, na przykład wejdą do rezydencji, nie chcemy, żeby zainteresowali się, co znajduje się pod nią.

Jeśli do tego dojdzie, nie będą mieli innego wyjścia, jak zabić ich wszystkich.

A coś takiego będzie bardzo trudno posprzątać, szczególnie że cały pościg pokazywano na żywo w telewizji.

- Zamykaj - powtórzył i walnął pięścią w stół z taką siłą, że blat popękał. - To robota Dragosa. On ich tu przysłał. Na nasz teren.

- Kwatera została zamknięta - zaraportował Gideon. Nagle zaklął, a Lucan bardzo nie chciał usłyszeć, co ma do powiedzenia. - O cholera. Nie wierzę.

Spojrzał na Lucana i wskazał brodą obraz z kamer nadzoru, umieszczonych w rezydencji.

- O Boże - jęknął Nikolai. - To Harvard. Co on tam robi?

- Ratuje nas - oznajmił Dante bez wyrazu.

Patrzyli w pełnym zaskoczenia milczeniu, jak Chase idzie spokojnie ku frontowemu wejściu do rezydencji. Otworzył je, ukazując ich oczom podjazd pełen umundurowanych policjantów, agentów SWAT i Secret Service. Kiedy uniósł ręce nad głowę w geście poddania, słońce otoczyło blaskiem jego sylwetkę. Wyglądał jak anioł zemsty.

Agenci wpadli do środka, żeby go obezwładnić, a kiedy przyjrzeni się jego twarzy, zaczęli gorączkowo meldować coś przez radio. Bez wątpienia wszyscy rozpoznali go z portretu pamięciowego, który przekazano do wszystkich komisariatów od Bostonu po Waszyngton.

Lucan obserwował to wszystko, pełen wdzięczności i podziwu. Gdyby nie poświęcenie Chase'a, ci ludzie zapewne roznieśli by rezydencję: na strzępy. Nadal mogli to zrobić, ale Zakon właśnie otrzymał odroczenie egzekucji. Być może będą mieli szansę umknąć stąd pod osłoną nocy.

Dzięki Sterlingowi Chase'owi.

- O, do diaska, ale się porobiło - mruknął Brock, stojący koło Lucana.

- Nie możemy im pozwolić tak go zabrać. Musimy coś zrobić.

Lucan pokręcił głową, żałując, że nie może pomóc Chase'owi.

- Harvard właśnie odebrał nam taką możliwość. Jest teraz zdany wyłącznie na siebie.